

Pierre Rey

BLASK FORTUNY

„Biada tym, którzy zadowolają się małym”
Henri Michaux

Rozdział 1.

O dziewiątej wieczorem policjanci zamknęli dla ruchu cały bulwar Croisette.

Właśnie zapadała noc, pachnąca, słodka, zwiewna. Ludzie, którym udało się zdobyć miejsce przy balustradach wznoszących się nad plażą do ostatniego centymetra kwadratowego zabudowaną drewnianymi kabinami, tłoczyli się wśród szczęśliwego, niecierpliwego zgiełku. Okrzyki radości, śmiech i muzyka mieszały się z przytłumionym szumem Morza Śródziemnego, którego fale niestrudzenie muskały piasek.

Był 21 lipca. Sezon ledwie się zaczął. Wakacyjna pauza kończyła się jesienią, należało korzystać. Między ścianą iluminowanych pałaców a morzem tłum gęstniał, wylewał się z wąziutkich uliczek wychodzących na Croisette, zalewał tarasy kawiarni szturmowane w atmosferze leniwej wesołości.

Na krańcu zatoki mistrzowie ceremonii kasyna Palm Beach prowadzili pierwszych gości ubranych w wieczorowe suknie i białe smokingi do stołów pod gołym niebem, oświetlonych świecami. Ci, którzy mieli szczęście zamieszkiwać w hotelach Majestic, Carlton, w Martinez czy w Grand Hotelu skupiali się przy oknach oczekując na rozwój wydarzeń. W starym porcie na końcu mola, u stóp latarni morskiej, pirotechnicy sprawdzali po raz ostatni instalacje. Ich szef popatrzył na zegarek.

- Zapalamy za pięć minut. Do dzieła!

I nagle zgasły wszystkie światła w Cannes. Głuchy szum przebiegł nabrzeże, zagłuszony wkrótce falą dźwięków, wytryskującą z setek głośników, przymocowanych na przestrzeni kilometrów do pni palmowych, gałęzi platanów, gzysów, dachów. Z tłumy podniosły się oklaski i wiwaty, przetoczyły jak ogromna fala, wzbierając w nocy naznaczonej maleńkimi czerwonymi kropkami żarzących się papierosów.

W tej samej chwili na pełnym morzu pojawił się ślizgacz prujący pełnym gazem w kierunku pontonu, na którym ustawiono wyrzutnie sztucznych ogni. Pod jego dziobem kłębiła się piana tworząc ogromną fosforyzującą grzywę, niewidoczną jednak z wybrzeża.

Przez szum motoru czterej mężczyźni na ślizgaczu usłyszeli wyraźnie rytualne zdanie zapowiedzi rozpoczynającej światowy festiwal pirotechniczny:

- Hiszpania ma zaszczyt przedstawić...

Ślizgacz zatoczył pętlę i przycumował do pontonu, mężczyźni wyskoczyli na śliskie deski. Silnik przycichł na zmniejszonych obrotach, podczas gdy z ciemności spowijających Croisette dobiegły pierwsze nuty Koncertu z Aranjuezu.

- Cztery minuty - powiedział ten, który pozostał przy sterze. Podobnie jak inni był ubrany w ciemne spodnie i czarną koszulkę polo. Schylił się i bez wysiłku podniósł ciało skrępowanego, zakneblowanego mężczyzny, którego zarzucił sobie na ramiona.

- Pomóc ci?

- Potrzyj tylko ster.

Ostatni z czwórki krzątał się po pontonie obwieszonym oponami, na których wisały petardy wszelkiego kalibru. Skrępowany mężczyzna wodził dokoła zrozpaczonym i błagalnym wzrokiem. Rzucono go między dwa rzędy bengalskich ogni, a tragarz przywiązał mu do brzucha bombę wielkiej mocy. Detonator przyczepił do wiązki cylindrycznych rakiet tworzących końcowy bukiet sztucznych ogni. Ofiara wiała się ze zwierzęcą siłą, ale więzy nie przesunęły się nawet o milimetr. Twarz mężczyzny pokrywał pot, a żyły na skroniach odcinały się przerażająco na sinej twarzy.

- Popatrz na tego wała! Siedzi w pierwszym rzędzie i jeszcze narzeka!

Dwaj pozostali zaczęli się śmiać.

- Marco, czy widziałeś kiedyś sztuczne ognie z tak bliska?

- Nigdy! Zawsze o tym marzyłem, kiedy byłem dzieciakiem.

- Niecałe dwie minuty! - niecierpliwił się trzeci. Liny przecięto jednym ruchem cęgów.

- Go!

Wskoczyli do łodzi, dodali gazu.

Ślizgacz uniósł się, zdawał się frunąć nad powierzchnią morza. Zatoczył szeroki łuk i zniknął w nocy. Porzucony mężczyzna nazywał się Erwin Broker. Miał dwadzieścia osiem lat i nie chciał umierać. Rzucił się gwałtownie, chcąc usunąć bombę ze swego splotu słonecznego. Lekko się przesunęła. Podwoił wysiłki, chcąc zerwać kable, łączące jego nadgarstki z jedną z desek. Jego mięśnie napięły się jak sznury. Zaciął zęby i podwoił wysiłki, mimo bólu przecinanej skóry, walcząc z nadciągającym omdleniem. Ci ludzie precyzyjnie wyliczyli wszystko. Ognie bengalskie zaraz zapłoną. Zrozumiał, że za

chwilę umrze, i że nic na świecie nie może go uratować. Przestał walczyć, pozwolił, by jego głowa spoczęła na śliskich od wilgoci deskach. Popatrzył w niebo. Z brzegu dochodził hałas tłumu przemieszany z wysokimi dźwiękami muzyki. Dotychczas nigdy nie miał czasu, aby patrzeć w gwiazdy. Rozcinały ciepłą noc swym zimnym blaskiem. Zauważył, że są piękne.

I nagle tysiąc słońc wybuchło mu w twarz. Mimo knebla zawył w strasliwym zgiełku rakiet zapalających się jedna od drugiej, oświetlających niebo wymyślnymi arabeskami. Szybowały w górę i zwalniając trajektorię lotu eksplodowały raz jeszcze nieskończonością poszarpanych słońc spadając do morza syczącymi parabolami. Poczuł, że pali się na nim ubranie i mocno zagryzł wargi, a wtedy oblał go ogień pokrywając całe ciało, rozerwane przedtem przez bombę, która wybuchła w momencie, gdy poszło w ruch wielkie koło. Rozszerzonymi zgrozą oczami widział jeszcze, jak ruszało, najpierw wolno i nagle przyspieszyło. Wytryski płomieni były ostatnim widokiem, jaki zarejestrowały źrenice Erwina Brokera. Wybuch wstrząsnął przystanią i wszystko eksplodowało fenomenalną fontanną ognia...

Rozdział 2.

O pierwszej po południu dzwonek zapowiadający przerwę obiadową wypełnił osiem pięter zarezerwowanych dla służb administracyjnych Hackett Chemical Investment. Sześćset dwadzieścia dwie osoby - kadra kierownicza, recepcjoniści, kierownicy biur, księgowi, woźni, sekretarki, maszynistki i urzędnicy wydziału spraw spornych - dzikim pędem rzucili się ku windom, które wypływały niecierpliwe grono ludzkie o 32 piętra niżej, w duszącą wilgoć 42 Ulicy.

W całym Rilford Building, tylko Alan Pope z 8021 na 30 piętrze był jedynym, który się nie ruszył. Tkwił przylepiony do krzesła, z nieobecny spojrzeniem; zdawało się, że nie słyszy niczego. Samuel Bannister, z ręką na klamce, popatrzył na niego zaniepokojonym wzrokiem.

- Odrabiasz sekundy nadliczbowe?

- Kto by mi za nie zapłacił? - zamruczał Alan głosem bez wyrazu.

Bannister przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

- Idę do Romanos. Zabrać cię?

- Nie jestem głodny, dziękuję.

Zmieszany Bannister przerzucał ciężar swego ciała z jednej nogi na drugą.

- Co cię niepokoi? Murray?

- Tak, Murray.

Choć spieszył się, by jak najszybciej opuścić to miejsce, Bannister puścił z zalem klamkę, którą kurczowo ścisnął od dłuższej chwili. Zrobił dwa kroki w kierunku dużego metalowego stołu przy którym od czterech lat siedział naprzeciwko Alana Pope'a.

- A gdybyśmy o tym porozmawiali przy kuflu zimnego piwa? Alan odmówił ruchem głowy i jeszcze głębiej zanurzył się w swoim fotelu.

- Idź beze mnie, Sammy. Muszę się zastanowić.

Bannister kiwał się przez chwilę, otworzył usta, chciał coś dorzucić, powstrzymał się i zapytał:

- Na którą godzinę cię wezwał?

- Na trzecią.

- Może chce ci dać podwyżkę?

- Bardzo śmieszne...

- Boisz się sam nie wiesz czego. Jestem pewien, że to coś dobrego!

- Jak ten facet na krześle elektrycznym, który miał nadzieję, że będzie awaria prądu.

Bannister wahał się jeszcze przez pewien czas, potem wzruszył ramionami i rzucił tonem, który miał być w zamierzeniu bez troski:

- Romanos... jeżeli zmienisz zdanie!

Alan został sam. Z żołądkiem ściśniętym ze strachu westchnął, podniósł się, przylepił nos do szyby wychodzącej na zatokę i popatrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Upłynęło dziesięć minut; nawet się nie ruszył... Wreszcie podszedł do telefonu i wykrecił swój numer: musi zobaczyć Marinę! Jeżeli ma choć trochę szczęścia, będzie jeszcze w łóżku, naga i ciepła... Zajęty! Poczł nagle straszliwą ochotę, aby z nią pogadać, dotknąć, kochać się. Nie miał już dużo czasu. Położył słuchawkę, zarzucił marynarkę na ramię i wypadł na pusty korytarz.

- Jaka kobieta, Penny? Nazwisko! - zapytał z rozpaczą Abel Hartman. Był podrzędnym nieznanym adwokatem, specjalizującym się w małżeńskich sporach, pośrednictwie, zalanych mieszkaniach, zadrapanych błotnikach.

Nienawidził swojej klienteli.

- Mabel Pope - odpowiedziała spokojnie sekretarka. - To znaczy była pani Alan Pope.

Hartman wydał głuchy pomruk.

- Czego ta nudziara znowu ode mnie chce?

- Jak zawsze. Opóźnienie alimentów.

- Nie trzeba było wychodzić za biedaka. Powiedz jej, że jestem w Turcji!

- Widziała pana w korytarzu, kiedy szedł pan po akta Leylanda. Lepiej będzie, jak pan się z nią zobaczy. Inaczej rozwali wszystko.

- Czy jest nam coś winna?

- Ani centa.

- Nienawidzę takich wampirów. Biada nieszczęsnym facetom, którzy wpadną w ich łapy. Wyssą ich!

Pochwycił nieprzyjazne spojrzenie, które posłała mu Penny i przypomniał sobie, że ona także jest rozwódką. Podrapał się po szyi i zamruczał:

- No trudno, wprowadź ją. Natychmiast występujemy przeciwko Alanowi Pope!

Taksówka wioząca go do domu wlokła się w potwornym upale.

- Nie może pan jechać szybciej?

- I zarznąć silnik?

Ze zdenerwowania Alan bębnił palcami po poręczy antycznego pontiaca, który kopcił jak stara lokomotywa. Marina musiała już wstać... Wyobraził sobie jak pręży się pod prysznicem. Od chwili ich pierwszego spotkania uderzało go jej podobieństwo do Marylin. Przypadkiem wszedł do baru przy 6 Ulicy. Siedziała na wysokim stołku ubrana w białą sukienkę. Była sama. Sączyła coś tam z wiśniami i miętą. Zamiast podejść do automatu usiadł o dwa stołki dalej i zamówił scotcha. Przyglądał jej się ukradkiem, ale przemówiła pierwsza.

- Jeżeli pan mi powie, dlaczego pan na mnie zerka, postawię panu drugiego scotcha. Nie! Niech pan nie oszukuje! Przygotowuje pan jakieś kłamstwo! No, natychmiast!

- Uważam, że pani jest... Uważam, że pani jest podobna... - bąkał Alan pożerając ją oczyma.

- Jestem podobna do...?

- Dokładnie tak!

- Już mi to mówiono. Wszyscy mi to mówią...

Znów przytknęła usta do szklanki, muskając końcem spiczastego języka kostkę tłuczonego lodu i kręcąc nią w kółko. Pięć czy sześć szklanek whisky później, z bijącym sercem i wilgotnymi dłońmi, spytał, nie ośmielając się na nią spojrzeć, czy zgodzi się zjeść z nim kolację. Obserwowała go długo wiedząc, że w ten sposób wprawia go w zakłopotanie. Wyraźnie sprawiało jej to przyjemność. W końcu wybuchnęła śmiechem:

- No, wie pan!...

Wyjęła z torebki szczoteczkę do zębów i łagodnie zaczęła mu pieścić część twarzy między kącikiem górnej wargi a nozdrzami. Prócz szczoteczki do zębów i sukienki, którą nosiła tego dnia, Marina nie miała nic.

Jej skóra była delikatna, mleczna, ciepła i elastyczna.

Prócz innych zalet, była całkowicie pozbawiona wstydu. Równie swobodnie dysponowała swoim ciałem jak dziecko w chwili narodzin.

Chodziła nago po mieszkaniu przybierając całkowicie bezmyślnie pozy mogące wywołać rumieniec wstydu u wykidajły w burdelu. Kładła się na wznak na dywanowej wykładzinie, z nogami w powietrzu, z każdą ze stóp opartą na przeciwległym krańcu stolika i tak leżała, z papierosem w zębach, jedną dłonią pieszcząc machinalnie piersi, a drugą machając w powietrzu z rozczapierzonymi palcami, by szybciej wysechł purpurowy lakier, którym malowała przesadnie długie paznokcie.

Alan dał jej klucze do swego dwupokojowego mieszkania. Pojawiała się lub znikwała zależnie od swojej woli, nie racząc nigdy podać najbliższych nawet wyjaśnień na temat swej nieobecności. Wracała ściskając w ramionach bukiety cennych kwiatów o wymyślnych nazwach. Pytała, czy jest jeszcze trochę masła; nie było, więc proponowała, że pójdzie je kupić i wracała z koszykiem grapefruitów, parasolką w krzyczącym kolorze, tranzystorem, zbłąkanym kotem lub wiązką naciowych selerów, z których układała bukiety w maszynie do kawy pod oknem. Oczarowany jej Fantazją, usatysfakcjonowany fizycznie Alan odpłacał się podarkami znacznie przekraczającymi jego możliwości; nie zwracała na nie uwagi. Tradycyjnie zapominała o swych pierścionkach, złotych łańcuszkach czy kolczykach gubionych w toaletach barów, gdzie się czasami zasiadywała. Pewnego wieczoru popełnił błąd i zapytał o coś.

- Alan, żyję z tobą, ponieważ mi się podobasz. Ale nie lubię, kiedy zadajesz pytania. A jeśli mi się nie będziesz podobał, to sobie pójdę.

- Marina!...

- Ty jesteś wolny, ja jestem wolna. Mogę żyć tylko wolna. Wybieraj.

Od tej pory przyjął jako zasadę: niech robi co chce, byle jej tylko nie stracić!

- Hej! Stop! To tutaj!

Kierowca, który prawdopodobnie zasnął, zahamował gwałtownie. Alan poleciał w przód, wkładając rękę do kieszeni, by wyjąć drobne. Rozległ się straszny hałas gniecionej blachy. Nieprzytomny z wściekłości kierowca ciężarówki - chłodni, która stuknęła ich od tyłu wyskoczył na jezdnię.

- Zwariowałeś, czy co!

Kierowca taksówki obraził się:

- Pakujesz mi się w dupę i jeszcze obrażasz?

Z kolei on wysiadł z samochodu, by stwierdzić szkody: tył pontiaca był już tylko kupą złomu.

- No nie, widział pan tego bydlaka? - powiedział do Alana biorąc go na świadka. Alan wsunął mu bilet pięciodolarowy i z fatalizmem wzruszył ramionami:

- To nie twoja wina, stary. To przeze mnie. Dzisiaj przynoszę pecha.

A kiedy kierowca domyślił się, że powinien podpisać mu zeznanie, Alan już był na osiemnastym piętrze, grzebiąc gorączkowo w zamku swego mieszkania.

Mimo klimatyzacji w przepastnym lokalu Romanos, wypełnionym tłumem średnich urzędników z dzielnicy, którzy przyszedli zjeść na chybcika kanapkę, dym można było kroić nożem. Barmani musieli torować sobie drogę w tej masie, której gęstość w godzinie szczytu musiała przekraczać pięciu czy sześciu mężczyzn na metr kwadratowy. Bannister, który miał szczęście dzielić swój stółek barowy tylko z jedną osobą, musiał zdzierać sobie płuca, by przekrzyczeć straszliwy hałas znoszących się wzajemnie rozmów.

- Hej, Tom! Zawiń mi to porządnie! To prezent!

Tom zgodził się z uśmiechem. Bardzo lubił Samuela Bannistera, który przekazywał mu czasami typy na giełdzie. Szybko owiązał paczuszkę sznurkiem i podał pakiecik.

- Jesteś aniołem, Tom... Zapisz to na mój rachunek!

Samuel ześlizgnął się z taboretu, którego zwolniona połowa natychmiast została wzięta szturmem. Ze spuszczoną głową, z rękami przy ciele, pełznął jak krab do wyjścia, mrugnięciem oka pozdrawiając większość klientów. Na ulicy było czterdzieści stopni w cieniu. Dwudziesty drugi lipca. Alan ciągle jeszcze męczył się w biurze. Ten kretyn tak cholernie się bał Murraya, że zapomniał o swoich własnych urodzinach!

Alan otworzył drzwi kopniakiem: Marina była w mieszkaniu! Ubrana mniej więcej tak jak w chwili urodzin; miała na sobie jednak rękawiczki z czarnej, kozłej skóry i słomkowy kapelusz przybrany kwiatami. Ochrciła ten strój mianem „ubrania domowego”. Oddawała się swemu ulubionemu ćwiczeniu: robieniu „pompek”. Opuszczona głowa i wygięte ciało podkreślały delikatną, krągłą linię jej lędźwi. Fala ciepła zalała Alana. Nie spuszczając z niej wzroku

zdział marynarkę, kopnął w powietrze buty i rozpiął guziki klejącej się do pleców koszuli.

- Hallo... - powiedziała nie przerywając serii ćwiczeń. - Alan, znasz Harry'ego?

- Hallo... - powiedział Harry.

Siedział na ziemi, poza zasięgiem jego wzroku. Z nogami na fotelu. Alan zauważył, że nosi stare, połatane trampki. Miał do siebie pretensję, że zbyt pośpiesznie włożył koszulę, podczas gdy to intruz - i tylko on - powinien czuć się zażenowany. Ale nie: jakby Alan nie istniał, raczył się potężną porcją jego najlepszej whisky.

- Bardzo mi miło - powiedział Alan.

- Dwadzieścia pięć! - rzuciła Marina padając na dywanową wykładzinę.

- Dwadzieścia - poprawił Harry.

- Dwadzieścia pięć! - nalegała Marina.

- Słuchajcie... - zakrzuszył się Alan.

- Alan, bądź miły! - powiedziała Marina. - Podaj mi szklanekę mleka.

Zaskoczony, skierował się jak automat do lodówki.

- Wy się znacie?

Nie wiedząc, jak się zachować, dorzucił nawet w stronę Harry'ego:

- Pan także ma ochotę?

- Wolę scotcha, mój stary. Jestem już obsłużony.

Alan odwrócił się ku Marinie.

- Mam nadzieję, że mam prawo do wyjaśnień?

- W jakiej sprawie? - zapytała prostodusznie.

Ciągle leżała na podłodze, w dodatku położyła swój śmieszny mały kapelusz na twarzy w taki sposób, że Alan miał niemiłe uczucie, że zwraca się do kapelusza.

- Ten typek, tutaj, w jakiej sprawie?

- To kolega - powiedziała spokojnie Marina.

- Mówicie o mnie? - zdziwił się Harry agresywnym tonem.

- Zamknij się! Marina, żądam odpowiedzi!

- Jestem u siebie. Tak czy nie? - zapytała Marina.

- Tak! - zachrypłym głosem wyjąkał Alan. Pstryknięciem palców wprowadziła w ruch swój kapelusz.

- A więc, nie muszę ci odpowiadać. Zapraszam kogo chcę pod swój dach.

- W tym ubraniu? - krzyknął Alan.

- Cóż za maniery! - oburzył się Harry. - Nigdy nie byłem traktowany w taki sposób!

- Wybacz mu, Harry, zawsze jest taki zdenerwowany, kiedy wraca z biura.

- Więc idę sobie - rzucił Harry.

Wyprostował się z nonszalancką miękkością, dokończył kieliszek i skinął głową Marinie.

- A jeżeli bym ci skuł mordę? - powiedział Alan na wszelki wypadek.

Czując, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli, stanął przed drzwiami, czerwony z gniewu, z zaciśniętymi pięściami. Marina podniosła się, włożyła spodnie Alana i koszulę z beżowego drelichu.

- Marina, gdzie idziesz? Wzburzyła swe włosy.

- Razem z nim.

- Jeżeli zechcę! - sprecyzował Harry.

- Słuchaj, Harry, nie bądź świnia... - poprosiła Marina.

- No to pośpiesz się! - powiedział Harry. - Nie lubię tego typka.

- Marina! - wykrzyknął Alan.

- Nudzisz mnie! - rzuciła Marina.

Drzwi zamknęły się za nimi. Ogłupiały Alan odruchowo nalał sobie kieliszek. Kopnął krzesło, które rozbiło się o ścianę.

- Gówno, gówno i jeszcze raz gówno! - klął cicho. Rozległ się dzwonek do drzwi.

Odnajdując uspokajające otoczenie swego biura, Oscar Vlinsky zatarł ręce. Po trzech tygodniach pobytu sam na sam ze swą żoną na Florydzie, miał dość wakacji na długo. Przy Annie był niczym. W biurze Burger był bogiem. Jego stanowisko inspektora księgowości dawało mu prawo wtrącania się w życie nieznanym, których los zależał od jednego jego kaprysu.

Wystarczy, aby musnął klawisz swego komputera i już widział, jak przesuwają się nazwiska klientów nadużywających zaufania banku. Abel Goldmayer złożył mu gorące gratulacje za poważne spustoszenia, które poczynił w zwartych szeregach przestępców.

- Brawo, Vlinsky! Potrzeba nam wielu takich jak pan u Burgera.

Ale Oscar wiedział, że jest jedyny. Z żarłocznym wyrazem twarzy nacisnął czerwony klawisz komputera: przestraszył się ogromnej ilości nierzetelnych klientów. Zresztą gdy tylko przyjechał z urlopu uprzedzono go, że jego zastępca, młody stażysta, złożył dymisję, przygnieciony ilością nie załatwionych akt. Nie wiedząc od czego zacząć, Vlinsky zdecydował, by położyć łapę na pierwszym nazwisku, jakie pokaże się na ekranie po przesunięciu dziesięciu kart magnetycznych.

Patrzył jak wirowały cyfry... Kiedy doliczył do dziesięciu, unieruchomił obraz. Pojawiła się suma, na którą przekroczone stan konta: 327 dolarów. Nazwisko przestępcy: Alan Pope.

Dzwonek! Marina chciała mu tylko zrobić kawał. Zmieniła zdanie, pozbyła się tego obrzydliwego typu, wraca! Nieprzytomny z radości Alan rzucił się do wejścia, cofnął się i zatrzymał przed drzwiami: przede wszystkim trzeba ukryć rozmiary władzy, jaką nad nim posiadała, dać jej odczuć swe potępienie... Starł z twarzy wyraz szczęścia, który rozświetlił jego twarz na dźwięk dzwonka, przybrał ponurą minę, ukrył jeszcze w kuchni szczątki połamanego krzesła i poszedł otworzyć.

- Dzień dobry Alan. Mogę wejść?

Na progu stała Mabel z uśmiechem na ustach. Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Ależ ty masz zielone włosy!

- No to co? - powiedziała Mabel wchodząc do mieszkania. Uważnym, czujnym okiem dokonała inspekcji.

- Widzę, że nic tutaj nie zmieniłeś... - Podniosła kilka książek i odłożyła je na miejsce. - Poza moimi zdjęciami, których nie ma już na ścianie... Zresztą dlaczego miałyby być?...

Usiadła w fotelu. Indiańska spódniczka uniosła się wysoko ukazując uda.

- Muszę iść. Czekają na mnie w biurze.

- Ciągłe tam chodzisz? - zapytała nonszalancko.

- Ty myślisz, że z czego płacę alimenty?

Mabel zaśmiała się perlistym, protekcyjnym śmiechem, który znał tak dobrze.

- Alan, Alan!... Jest 22 lipca, a ja powinnam otrzymać mój czek najpóźniej 30 ubiegłego miesiąca! To niepoważne...

Skrzyżowała nogi tak wysoko, że widział rąbek jej majtek cielistego koloru.

- Będiesz go miała!

- Kiedy?

- Miałem kłopoty. Nie zapłaciłem nawet za mieszkanie. Moje konto w banku nie ma pokrycia!

Popatrzyła na niego prowokująco.

- Ty ciągle jesteś bez pokrycia. Jak ona się nazywa?

- Kto?

- Ta, dla której straciłeś pokrycie. Zawsze byłeś ofiarą kobiet...

- No, jeśli chodzi o ciebie, to się zgadza!

Westchnęła głęboko, przyjrzała mu się z pobłażaniem, zmieniła pozycję nóg nie opuszczając jednak spódnicy.

- To głupie... Może pospieszyliśmy się zbytnio? Czasami zadaję sobie pytania. Nie było tak źle...

- Co?

Opuściła oczy jak uczennica złapana na jakimś przewinieniu.

- My...

Alan zmobilizował się natychmiast:

- Co chcesz przez to powiedzieć.

- Żyjemy każde oddzielnie, nie dzielimy już nic...

- Dzielimy! Moje pieniądze!

- Nie wyobrażaj sobie, że to jest dla mnie łatwe, zabierać ci je. Czasami czuję się zażenowana. Jestem sama, nie mam wyboru, to paskudne...

Gestem, który miał być naturalny, odsunęła brzeg bluzki i machinalnie zaczęła głaskać pierś wierzchem dłoni. Dostrzegł ciemny sutek.

- Ciepło tu u ciebie...

Opadła w fotelu z zachęcająco rozwartymi udami.

- Może moglibyśmy zacząć od nowa? Alan nie chciał zrozumieć.

- Zacząć od nowa?

- Ty i ja. Nie bylibyśmy pierwszymi rozwodnikami, którzy biorą ślub...

Zadrzał mimo straszego upału. Ich małżeństwo przetrwało zaledwie jeden sezon. Czy naprawdę chciał się z nią ożenić? Znalazł się przed urzędnikiem stanu cywilnego. Wszystko, co go pociągało u niej przed związkiem, stało się nie do zniesienia natychmiast po

skonsumowaniu małżeństwa. Mabel chciała koniecznie zasługiwać na miano istoty wyjątkowej, jaką opisują tygodniki: zachwycała się muzyką indyjską słuchając jej do piątej rano, żywiła się ostrygami z rusztu, oblepiała błotem, nosiła bieliznę wywołującą poty, polewała się wiele razy dziennie jakimiś okropnymi perfumami, uważanymi za afrodyzjaki; ich lepki odór pozostawiał po jej przejściu cuchnący ślad. Kiedy udało jej się położyć łapę na Alanie, przestała zajmować się manikiurem, obgryzaniem paznokci, dzierganiem, kretyńskimi plotkami i filozofią zen w rozumieniu pism poświęconych modzie.

Uważała się za opokę kultury, więc udzielała mu lekcji dobrego wychowania i jogi. Czasem, gdy zupełnie wyjątkowo raczyła otworzyć puszkę z makrobiotyczną zupą i odgrzać w ciepłej wodzie z ekspresu do herbaty, podawała mu łaskawie miseczkę lub dwie na śniadanie.

Pochłaniał je, a ona przypatrywała mu się z pogardą i oskarżała, że jedząc hałasuje straszliwie: „Ty nie jesz, mój biedny Alanie, ale chłepczesz”.

Noce były niewiele weselsze. Kiedy kończył się tradycyjny koncert muzyki indyjskiej jego ręka zabłąkiwała się czasami na udo Mabel: skakała jak porażona prądem elektrycznym fukając na niego. Związał się wtedy w kłębek na krańcu łóżka próbując zasnąć. Wcześniej rano zataczając się szedł do kuchni. Pierwsza kawa miała gorzki smak jarzynowej zupy z poprzedniego dnia. Już po jedenastu tygodniach rozmaitych wyrzeczeń i frustracji zaczął ją błagać, by zgodziła się na rozwód. Ku jego wielkiemu zdumieniu zgodziła się nie robiąc specjalnych historii. Pod dwoma warunkami: przyjmie na siebie winę i nieodwołanie zobowiąże się - na całe życie - przekazywać jej połowę wszystkich swoich dochodów, niezależnie od ich wysokości, o ile Mabel nie wyjdzie ponownie za mąż. Z własnej inicjatywy zaproponował, że opłaci jej adwokata, aby formalności zostały załatwione jak najszybciej...

- Co powiesz na ten temat?...

Jego spojrzenie notowało uważnie zielone rozczochrane włosy, fałszywy uśmiech, rozchełstaną bluzkę.

- Jestem spóźniony, Mabel. Muszę wychodzić.

- Tak czy nie? - nalegała zmienionym głosem.

- Nie. To była pomyłka, niewypał.

Jednym, gwałtownym gestem opuściła spódnicę i stanęła z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Przyszłam od Hartmana! Rozpoczyna postępowanie sądowe! Drogo cię to będzie kosztować!

A potem opluła go, gdyż słowa wydały jej się zbyt słabe, by wyrazić całą jej nienawiść.

Poza cienutkimi rękawiczkami z czarnej koziej skóry i słomkowym kapeluszem z kwiatami wsuniętym głęboko na oczy, Marina była jak zwykle zupełnie naga.

Wspierając się na rękach wykonywała serię „pompek”.

- Pięćdziesiąt - wysapała zadyszana.

Przewróciła się na podłogę pracowni, z rozrzuconymi nogami i rozkrzyżowanymi rękami.

- Nawet nie trzydzieści... - powiedział Harry. - Dlaczego kłamiesz?

- Nie mogę się powstrzymać - powiedziała bez cienia żenady. - Dasz mi szklanek mleka?

Harry wypuścił z otwieranej puszki farby karminowo czerwona smugę, znaczącą ślad na rzuconym na ziemię płótnie o tle ochrowo - żółtym.

- Sama sobie weź.

- Harry... Proszę...

Harry usiadł na podłodze. Prawą bosą nogą rozprowadzał barwnik pokrywający płótno.

- Bierzesz mnie chyba za kogoś innego...

Nie zmieniając pozycji Marina wbiła zęby w jabłko i popatrzyła marząco w sufit.

- Ten inny był miły - wyszeptała.

- Już go żałujesz? - ironizował Harry.

- Dobry z niego ogier. Harry parsknął śmiechem.

- Księgowy! Biedny, nędzny, śmieszny, mały księgowy! Tak jakby takie zera potrafiły porządnie pieprzyć!... Zbliź się...

Posłuszna, podniosła się i rozciągnęła całym ciałem na jeszcze mokrym płótnie.

- Obracaj się... Jeszcze się obracaj!...

- Pobrudzę rękawiczki - zaprotestowała.

Nie przestając chrupać jabłko zaczęła czyścić pupę z czerwonego lakieru.

- Poczekaj, niech tylko sprzedam to arcydzieło. Kupię ci cały sklep.

- Nikt dotychczas nie kupił żadnego twojego obrazu.

- Są za głupi, aby je zrozumieć. A jeszcze bardziej, aby je kupić. Wytrzymaj lepiej tyłek. To się nazywa „Pieczęcie"! Ej!... Gdzie ty idziesz?...

Z ciałem pokrytym farbą, w przekrzywionym kapeluszu, Marina podeszła niedbale do lodówki i wyjęła butelkę mleka, z której zaczęła popijać łykami.

- Zwariowałaś? Kolor wysycha! O czym ty myślisz?

Rzuciła się na niską sofę, którą natychmiast zabrudziła farbą. Zanim Harry zdołał zaprotestować, rzuciła nadąsanym tonem:

- O Alanie.

Rozdział 3.

Na widok wchodzącego Alana końską twarz Bannistera rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Już za kwadrans! Miałem zacząć wyrywać sobie włosy z głowy! W coś się wpakował?

- Och, w nic... Byłem w domu.

Samuel zaniepokoił się widząc jego przegraną minę.

- Coś poważnego?

- W ciągu niecałych dwu godzin miałem wypadek samochodowy, Marina puściła mnie w trąbę, bo zastałem ją z jakimś typem, a Mabel oświadczyła, że spuszcza mi na głowę adwokatów. Wszystko idzie dobrze!

Samuel nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu.

- Wygłupiasz się...

- Tak, to bardzo śmieszne.

Alan usiadł na biurku i popatrzył ponuro na zatokę. Z szorstkością kryjącą nieśmiałość Bannister podał mu paczuszkę.

- To tylko zła chwila. Weź, to dla ciebie!

- Dla mnie?

- Tak, bierz!

Alan nieufnie wyciągnął rękę.

- Co to jest? Bomba?

Nowy wybuch śmiechu Samuela.

- Otwórz, to zobaczysz! 22 lipca... Zapomniałeś?

Alan potrząsnął głową nie rozumiejąc. Samuel potrząsał nim w silnym przyjacielskim uścisku.

- Twoje urodziny, ciemniaku!

- O cholera!... - wyjąkał Alan. - Zapomniałem!

- A ja nie! 22 lipca! Otwieraj!

- Słuchaj, Sammy, jesteś kretyn... Nie trzeba było!

- A kumple do czego służą?

Alan zerwał papierowe opakowanie, wydobył pudełko i wyjął z niego ozdobną butelkę. Bannister napuszył się:

- Francuski koniak... Bardzo stary!

Wyjął z szuflady dwa kieliszki i jeden rzucił w kierunku Alana.

- Lepiej ci pójdzie, jak wypijesz kieliszek! Życie dopiero się zaczyna. Ile ty masz?... Sto dziesięć?... Sto pięćdziesiąt?...

- Tyle co twój koniak. Jestem bardzo stary.

- Żarty na bok?

- Trzydzieści.

- Chcesz mnie zniszczyć? Ja mam czterdzieści sześć, nie mam przeszłości, a granica wieku pozbawia mnie przyszłości. Twoje zdrowie!

- Twoje! - odpowiedział Alan unosząc kieliszek. Wypili jednym haustem.

- Dziękuję, że o tym pomyślałeś.

- Być może to nie jest najlepsza rzecz do picia w temperaturze 40 stopni, ale to jednak nie są siki!

Alan nalał do pełna.

- Ale jaja!... Do dna?

- Do dna!

Wybuchnęli głośnym śmiechem. Bannister znowu nalał.

- Wszystkiego najlepszego, kretynie!

- Twoje zdrowie, ośle!

- Stary ośle... - poprawił sentencjonalnie Samuel. Opróżnili kieliszki do dna.

- Sammy...

- Co?

- Wyobrażasz sobie? Marina, to wstrętne... Ona jest gotowa mnie rzucić.

- Wszystkie wracają! Czego ja nie robiłem Christel, a nigdy mi się nie udało od niej uwolnić!

- Mam wrażenie, że mi na niej zależy.

- Podaj mi kieliszek, to moja kolejka!

- Czy ty to rozumiesz, Sammy?... Zależy mi na niej!

- Jesteś za dobry dla kobiet. Pij!

- Masz rację. Do dna!

Zatrzeszczał interfon. Bannister wyrwał go ze statywu i wrzasnął:

- Nie ma mnie tutaj!

Nagle zmienił się na twarzy i powiedział tonem dziwnie bezbarwnym:

- Tak... Oczywiście... Dobrze... Natychmiast.

Odłożył słuchawkę niesłychanie delikatnie.

- Czy ci mówiłem, że Mabel plunęła mi w mordę? - zapytał Alan tłumiając czkawkę.

- Murray... - wyrzucił z siebie Samuel.

- Co Murray? - zdziwił się Alan.

- Jest trzecia. Czeka na ciebie.

Alan nalał sobie potężną porcję koniaku, pochłonał ją zbyt szybko, zakrztusił się, złapał papierową chusteczkę, otarł usta i rzucił z pogardą:

- Murray jest cholernym wałem.

Położył uroczyście obie ręce na ramionach Bannistera i przypatrzył mu się z bliska z wielką uwagą.

- Chcę ci coś powiedzieć, Sammy...

Odczekał chwilę, chcąc nadać większe znaczenie temu, co miało nastąpić:

- Nie mogę znieść Olivera Murraya. Poczciwa gęba rudzielca Samuela rozjaśniła się:

- Ja również.

- Powiem ci coś jeszcze... Jeżeli Murray wyobraża sobie, że pozwolę się szarpać w dniu moich trzydziestych urodzin, to się grubo myli.

Bannister zaakceptował to expose energicznymi ruchami głowy, ciągle spoglądając niespokojnie na zegarek.

- Bo Oliver Murray jest prawdziwym, cholernym skurwysynem!

- zakonkludował Alan.

- Tak - powiedział Bannister - tak!... Musisz tam iść, zaraz...

- No chyba!

Gwałtownie zgniótł palcami papierowy kubek. Drzwi zatrzęsęły się za nim z hukiem.

Oliver Murray był z natury nieprzyjemny. Szczycił się tym, że wykrywał czułe punkty każdego, kto ośmielał się stawić mu czoło dłużej niż piętnaście sekund. Z tym niezawodnym instynktem, który daje złośliwość każdemu słabemu wyposażonemu we władzę, uderzał prosto w najtajniejsze, najboleśniejsze miejsca. Terroryzował osiem pięter przedsiębiorstwa Hacketta, które było pod jego, kierownika personalnego, władzą. Często widziano jak myszkuje w poszczególnych pokojach, długo po godzinach zamknięcia; grzebał w aktach swych podwładnych, przeszukiwał kosze do śmieci w poszukiwaniu prywatnych listów, układając porwane kawałeczki z pieczołowitością kolekcjonera.

Po czym miłośnie wpinał te szczątki życia prywatnego do akt starannie prowadzonych na bieżąco, wzbogacając bezustannie

niepodważalne rejestry słabości innych ludzi. On sam nie pił, nigdy się nie śmiał, przychodził do biura pierwszy, wychodził ostatni. Jego istnienie było całkowicie związane z rozwojem firmy Hackett. Hackett to był on, a on był Hackettem. Jego biuro przypominało swego lokatora - ascetyczne, surowe, pozbawione jakiegokolwiek osobistej nuty. Wielki szklany stół, zza którego królował pewny swej potęgi, szafa pancerna, w której przechowywał ukochane akta (a będąc podejrzliwym deponował kopie w sejfie swego banku), zegar ścienny odmierzający sekundy i przypominający gościowi - jeżeli zaszła taka potrzeba - że czas, to pieniądz. Żadnego papierka, żadnego dokumentu, żadnego ołówka. Nic: pustka. Na ścianie ogromna fotografia Arnolda Hacketta, twórcy a zarazem przewodniczącego rady nadzorczej i dyrektora generalnego firmy. Na przeciw niego, po drugiej stronie stołu, stały trzy proste metalowe krzesła przeznaczone dla ofiar, traktowanych z sadystyczną kurtuazją: ktoś musiał płacić za jego wymuszoną cnotę.

Zapowiedziano Alana. Kiedy wszedł, Murray długo mu się przyglądał z twarzą pokerzysty. W czasie nie kończących się sekund między siedzącym Murrayem i stojącym Alanem trwał pojedynek, który przegrać miał ten, kto pierwszy złamie milczenie.

- I oto jestem - powiedział Alan.

Nie spuszczając go z oczu Murray powiedział zimnym tonem:

- Panie Pope, proszę pozwolić sobie przypomnieć, że picie alkoholu w godzinach pracy jest zabronione.

Alan drgnął, ale przyjął cios.

- To wszystko, co pan ma mi do powiedzenia? Murray pozwolił sobie na cień lodowatego uśmiechu.

- Niech pan usiądzie, proszę pana.

- Nie.

- Jak pan chce. Zanim poinformuję, dlaczego pana wezwałem, chciałbym sprawdzić kilka szczegółów... Pan pracuje w firmie od?...

- Czterech lat.

- Czterech lat, dwóch miesięcy i ośmiu dni. Czy zechciałby pan przypomnieć, ile wynoszą pana zarobki.

- Wie pan o wiele lepiej ode mnie.

- Oczywiście, panie Pope. Wszystkie pańskie dochody łącznie wynoszą 1 672 dolary miesięcznie.

Potrząsnął głową, jak gdyby chodziło o olbrzymią sumę i dodał:

- Zupełnie przyzwoicie.

- Czy to pan płaci za moje mieszkanie, ubranie, alimenty, jedzenie?...

Murray udał, że nie dostrzega zuchwalstwa.

- Pana życie prywatne zupełnie mnie nie interesuje, panie Pope.

- A więc proszę się powstrzymać od oceny wysokości moich zarobków! Może chce je pan podwyższyć?

- Niezupełnie, panie Pope - zaśmiał się Murray. - Nie chodzi o podwyżkę. Widzi pan, przemysł farmaceutyczny przechodzi kryzys związany ze zmianami w światowej koniunkturze ekonomicznej. Oczywiście, Hackett to przewycięży, ponieważ nasza firma jest dynamiczna, w ruchu, w ciągłym ruchu, panie Pope...

Alan z coraz większą trudnością utrzymywał się na nogach.

- Do rzeczy, Murray! Do rzeczy!

- Właśnie do tego dochodzę, panie Pope. Chcąc złagodzić niedobór środków, Hackett uważa za konieczne przystąpić do pewnej redukcji personelu.

Alan poczuł, że chwieje się na nogach, ale nie dał mu powodu do radości odczytania czegokolwiek z jego twarzy.

- Biorąc pod uwagę pana czteroletni staż i trzymiesięczny okres wymówienia z żalem powiadamiam pana, że otrzyma pan pobory za siedem miesięcy to znaczy 11 704 dolary.

Koniak w ustach Alana nabrał smaku metalu: wyrzucano go za drzwi. Wyciągnął gwałtownie wskazujący palec ku Oliverowi Murrayowi:

- Nie rozumiem nic z tego co pan do mnie mówi! Proszę nie krążyć wokół tematu, Murray! Proszę mówić do mnie jaśniej!

Nie mrugnawszy okiem, z cieniem pogardy w głosie, najwyższy strażnik prawa Hacketta wyrzucił z siebie:

- Niech będzie, panie Pope. Już nie ma potrzeby, aby pan wracał do swego biura. Jest pan skreślony z listy zatrudnionych.

Skurcz gardła przeszkadzał Bannisterowi w skoncentrowaniu się na aktach, które położono przed nim. Obawiał się najgorszego. Zwykle, gdy Murray kogoś wzywał, oznaczało to wyrzucenie za drzwi. Od pewnego czasu u Romanos i na korytarzach firmy krążyły plotki o zwolnieniach. Alan był wymarzoną ofiarą. Zaledwie cztery lata stażu, chętny do pomocy, szczodry, nie obmawiający nikogo, nie odpowiadający na zachęty małżonek swoich

kolegów, nie pragnący zająć czyjegokolwiek miejsca w firmie. To było podejrzané! W firmie budowało się karierę twardo, podlizując się, podkładając świnię, zapierając się siebie. Każdy kolega był automatycznie uważany za wroga. Każdy zwierzchnik reprezentował potęgę, którą należy oszczędzać, aż do dnia, w którym szef stanie się zwierzyną do odstrzału. Przeżyć w podobnym klimacie można było jedynie przy minimum hipokryzji: Alan jej nie miał, ku rozpaczy Samuela. Nie można mu było nic zarzucić na płaszczyźnie profesjonalnej, ale jasne było, że dla niego Hackett był tylko źródłem utrzymania, a nie religią. Samuela wściekało, że facet tak zdolny nie odziedziczył ani odrobiny złośliwości niezbędnej do zrobienia wielkiej kariery wykuwanej w centralach wielonarodowych firm. Podobał się kobietom, ale popełniał błędy zakochując się w nich i był na tyle niezręczny, że im o tym mówił. Wyciągały z niego niesłychane korzyści: Mabel pozbawiała go dochodów, Marina traktowała z bezceremonialnością, której sam Bannister - mimo rudych włosów, krótkowzroczności i gęby klasycznego outsidera - nigdy by nie zniósł.

Zerwał się na równe nogi: Alan przeszedł obok nie patrząc, krokiem robota.

- Alan!

- Masz jeszcze coś do golnięcia?

- Ale powiedzże coś, do cholery! Co ci powiedział?

- Nalej mi, Sammy...

Bannister rzucił się do szafy, gdzie schował butelkę. Pociągnął łyk i trzęsącymi rękami nalał kieliszek Alanowi.

- Coś dobrego?... Złego?... Powiedz!

Wstrzymując oddech Alan pochłoniął koniak aż do ostatniej kropli. Popatrzył uważnie na Samuela, jak gdyby go nigdy przedtem nie widział, kilkakrotnie otworzył spazmatycznie usta. Nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Bannister pospiesznie napełnił kieliszek. Alan wyrwał mu go z ręki i odwrócił się plecami. Głos mu się załamał:

- Jestem wywalony, Sammy. Wywalili mnie jak nędzne gównó!

- Hallo, panie Pope!...

Strażnik wyskoczył ze swojej szklanej klatki.

- Jest awantura! Odcięto u pana wodę... Przyszedł hydraulik, ale nic nie może zrobić, zanim nie zerwie podłogi, by sporządzić kosztorys...

- Nie ma wcale wody?

- Wcale.
- Prysznic?... Umywalka?...
- Odcięte!

- Cholera!... - powiedział Alan odchodząc. Odwrócił się do strażnika kierując ku niemu nikły, przepraszający uśmiech.

- Jeszcze jedna sprawa, panie Pope... Gdyby mógł mi pan uregulować czynsz za lipiec...

- Pamiętam o tym, pamiętam... - potaknął Alan.

Prawo serii. W windzie (kabel z pewnością się zerwie, to było zapisane) ogromnie zdziwił się, że jeszcze nie zgubił kluczy. W mieszkaniu ściągnął przepoconą koszulę, zwinął ją w kłębek i rzucił na łóżko. Przeszedł do łazienki, otworzył kran na pełny regulator: ponury szum nie działających przewodów. Zrzucił buty, skarpetki, spodnie, z obrzydzeniem poczłapał ku półkom bibliotecznym, gdzie postawił butelkę whisky: pusta! Wrócił do łazienki, wytarł się ręcznikiem. Sięgnął po wodę toaletową: butelka wyslizgnęła mu się z dłoni i rozbiła o kafelki. Pozostał przez chwilę kołysząc bezwładnie rękami, z nieobecny spojrzeniem, jak ogłuszony. Od najdrobniejszej rzeczy do spraw życiowych, wszystko wymykało mu się z rąk! Zniechęcony opadł na brzeg toalety, ujął twarz w obie ręce i zamknął oczy. Potem podniósł się, zrobił trzy niepewne kroki do szafy w ścianie, w której złożył swoje cztery gotowe ubrania. Przy odrobinie szczęścia znajdzie tam ostatnią paczkę papierosów... Jego palce natrafiły na szorstki drelich chlebaka.

Był podobny do wszystkich innych chlebaków, jakie nosili żołnierze, ale dla niego był czymś wyjątkowym. Jego ojciec, doktor Richard Pope, miał go na ramieniu w momencie lądowania aliantów na południu Francji. Teraz trzymał w nim wszystkie skarby z dzieciństwa, trochę zdjęć rodziców, książeczkę wojskową ojca, jego blaszkę identyfikacyjną, pukiel własnych włosów, papiery. Na jednym ze zdjęć doktor Pope z miłością obejmował w talii jego matkę. Byli piękni, opaleni, jaśniejący: jeszcze młodsi niż on dzisiaj.

Alan miał cztery lata, kiedy zmarł jego ojciec, siedemnaście kiedy umarła Clarissa, jego matka. Jeszcze przed jego urodzeniem oboje życzyli sobie, aby ich syn został lekarzem... Zrobił melancholijną minę i rozczarowany spojrział na mieszkanie, które wczoraj wydawało mu się tak przytulne. Zauważył, że jest banalne, ciasne, byle jakie, na miarę jego własnego życia, utkanego z banalnych pewników,

przelotnych spotkań, barowych przyjaźni bez jutra, pożądań skomplikowanych i niedostępnych.

Nagle strasznie zachciało mu się palić. Gorączkowo obmacał wszystkie kieszenie swoich garniturów, przestawił książki, otworzył szuflady... Zejście po papierosy nie wchodziło w rachubę. W tak wisielczym nastroju czuł, że nie zniesie ani świateł baru, ani inkwizytorskich spojrzeń przechodniów.

W kuchni wygrzebał wreszcie to, czego szukał: w kamionkowym garnku, zawierającym kiedyś mąkę, tkwił długi niedopałek Camela, zgaszony natychmiast po zapaleniu. Jeden z końców był umazany szminką.

Wąchał go długo, próbując odnaleźć poprzez zapach zwietrzałych tytoniowych liści ślady subtelnych perfum Mariny.

Rozciągnął się na tapczanie, złamał zapalając zapałkę i wreszcie wciągnął głęboki haust. Zaczął się intensywnie wpatrywać w szpary w suficie...

Potrzebował popielniczki. Wyciągnął rękę, odwrócił głowę...

I wtedy zobaczył list.

Był na wpół wsunięty pod drzwi. Jak mógł nie dostrzec go wcześniej? Marina!...

Z sercem bijącym nadzieją zerwał się na równe nogi i rzucił na podłogę. Miał go! Ogarnęły go mdłości: koperta nosiła pieczęć jego banku. Mimo licznych upomnień przekroczył stan konta u Burgera o 327 dolarów. Tym razem to już koniec, wyrzucą go! Z wahaniem rozerwał kopertę, rozłożył kartkę, którą zawierała, i przebiegł oczyma tekst po raz pierwszy. Nie zrozumiał. Przeczytał jeszcze raz. Krew zaczęła pulsować mu w skroniach.

Z wyschniętym gardłem przeczytał po raz trzeci. Dwie zupełnie zwariowane linijki:

**INFORMUJEMY PANA, ŻE PRZELEWAMY NA PAŃSKI
RACHUNEK SUMĘ 1 170 400 DOLARÓW**

Rozdział 4.

Ależ ja się spieszę, proszę pani - nalegał Bannister.

Położył formularze do podpisu na półce koło okienka. Brunetka nie sprawiała wrażenia, że go widzi czy słyszy. Z ruchu jej ramion Samuel zrozumiał, że jest zajęta tajemniczą pracą, której sens mu umykał. Uderzył pięścią.

- Za chwilę mam samolot. Wszystko, o co panią proszę, to przyłożyć pieczętę... To bardzo ważne!

Brunetka spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem, jej oczy były zniekształcone przez grube szkła okularów w ciężkiej rogowej oprawie. Nie zwalniając ruchu ramion powiedziała zmienionym głosem:

- Jestem zajęta.

- Czym? - zaprotestował Bannister opanowany obsesyjnym strachem przed spóźnieniem się na samolot.

- Przecież pan widzi: odwałam palcówki - powiedziała brunetka.

- No, niech pan wsunie głowę i sam zobaczy...

Samuel pochylił się i wsunął głowę aż do ramion w okienko. Siedziała na trzech książkach telefonicznych, położonych jedna na drugiej, z rozstawionymi nogami, z ręką przyklepioną do łechtaczki, runem łonowym koloru atramentu przedłużającym się lekką spiralą poza fałdę ud, wspinającym się do pępka na wpół ukrytego przez pasek podtrzymujący pończochy cielistego koloru.

- I co pan na to? - spytała go nie zwalniając ruchów. Samuel przyglądał się jej z wybałuszonymi oczyma i purpurową twarzą.

- Niech pan dotknie! No, dalej... Naprawdę! Niech pan położy rękę.

- Mogę? - zawahał się Bannister. - Naprawdę mogę?

- Ależ tak, tłumoku, masz, popatrz... Połóż tu palce... Samuel zanurzył swoje zeszywniałe palce tam, gdzie brunetka prosiła, aby to zrobił...

- Świnia! - warknęła czerwona z gniewu Christel.

Nieprzytomny Samuel rozbudził się wreszcie. Leżał wtulony w obfite ciało swojej małżonki, palcami grzebiąc między jej udami, w znanym i nudnym otoczeniu małżeńskiej sypialni. Byli małżeństwem od dwudziestu sześciu lat, mieli troje dorosłych dzieci; najstarszy, Henry, był na uniwersytecie. Od bardzo dawna stosunki seksualne były wykluczone z ich życia. Ostatnim razem, przed czterema czy

pięcioro laty Christel, mimo że się nań zgodziła, przerwała w środku stosunek pod pretekstem, iż uważa za obsceniczne i śmieszne, aby ludzie w ich wieku oddawali się pozorowaniu nierządu. Po wychowaniu dzieci przeniosła swe popędy na dzielnicowy kościół prezbiteriański, którego była jedną z najbardziej zasłużonych i wiernych członkiń. Samuel uważał, że sprawy zostały wyjaśnione. Ale czasami marzył...

- Musiało mi się coś śnić - usprawiedliwiał się, czerwony ze wstydu.

- Ohydne! Ohydne!...

Poderwała się gwałtownie, rozgniewana. Stara, zmechacona koszula oblepiała jej słoniowate kształty. Samuel odwrócił się, by nie patrzeć, jak odchodzi. Ukradkiem zamknął oczy, próbując powrócić do swego ulotnego snu. Ale nie zobaczył już brunetki. Była gdzieś tam, w krainie snów, pieszcząc się za okienkiem zamiast stemplować dokumenty podrózne, co pozwoliłoby mu na wyjazd Bóg wie gdzie...

Telefon zadzwonił dwa razy. Christel stanęła we framudze drzwi, obrzydliwa ze swym końskim ogonem lnianego koloru, z głową jak przyśrubowaną do zbyt ciężkiego ciała, bez żadnej przerwy na szyję między podbródkiem a zgięciem ramion.

- Alan Pope.

Obróciła się na pięcie wyniośle jak obrażona królowa. Samuel wyskoczył z łóżka. Przebiegł bosy korytarz, w którym królował zapach pieczonego chleba i świeżo zmielonej kawy. W przedpokoju złapał odłożoną słuchawkę.

- Alan?

- Muszę się z tobą zobaczyć, Sammy!

- Teraz?

- Natychmiast!

- Ależ to niemożliwe! - jęczał Bannister. - Jestem już spóźniony!

- To kiedy?

- Chcesz abyśmy zjedli obiad u Romanos?

- Nie, za dużo ludzi. Spotkaj się ze mną w grillu u Pierre'a.

Zgoda?

- Alan! Powiedz mi przynajmniej... Połączenie zostało przerwane.

- Czego on chce? - krzyknęła Christel z kuchni.

- Nie wiem.

- Chyba jest jakiś powód, dla którego przeszkadza ci w domu? Samuel usiadł na stołku.

- Chce się ze mną zobaczyć.

Christel włożyła dwie nowe kromki chleba do tosterka i wymruczała:

- To nie jest facet dla ciebie, ten Pope. Rozwodnik, leń, kobieciarz...

- To wspaniały przyjaciel - powiedział Bannister. - Przeżywa złe chwile. Wyrzucili go właśnie z pracy.

Zamyślony umoczył posmarowaną masłem grzanekę w filiżance kawy.

Alan trzykrotnie przeszedł przed bankiem, nie mając odwagi przekroczyć progu. Od chwili, gdy podniesiono stalową kratę odgradzącą wejście od podwójnych szklanych drzwi, panował tu ruch, którego nie podejrzewał o tak wczesnej porze. W ciągu zaledwie dziesięciu minut weszło i wyszło ze dwudziestu klientów. I wciąż nadciągali nowi. Wreszcie niepewnym krokiem przemierzył wraz z nimi dwa stopnie prowadzące do świątyni.

Burger był to bank kredytowy, którego zadaniem było zaopatrywanie w pieniądze wielkich firm międzynarodowych. Generals Motors miał swoje konto w banku Burger, podobnie ITT, stocznie, National Steel z Detroit, Hackett Chemical, Lloyd i liczne firmy europejskie. Wspólne ich cechy, to minimum pięćdziesiąt tysięcy urzędników i obroty roczne równe rocznym budżetom średniej wielkości państw.

Skutkiem godnej pochwały dumy Burger zrezygnował z obsługi klienteli prywatnej, ale Alan jako członek kadry kierowniczej Hackett Chemical zdołał sforsować bramy tego sezamu.

Pamiętając dokładnie o wysokości swego długu, szybko trzęsącymi się rękami wypełnił czek na okaziciela na 500 dolarów. Kasjer patrzył na niego z miłą obojętnością.

- Banknoty 100 dolarowe, panie Pope?

Alan musiał się ograniczyć do potakującego ruchu głowy; wzruszenie odebrało mu głos.

Pospiesznie wpakował pieniądze do kieszeni i podszedł do drzwi. Nikt go nie niepokoił.

Gdy tylko znalazł się na dworze, musiał siłą powstrzymać nogi zrywające się do biegu. Skręcił w zaułek i dysząc oparł się całym

ciężarem o ścianę domu. Potem przeszedł przez ulicę, wszedł do pubu i osunął się na stołek. Barman niechętnie oderwał się od gazety zawierającej tabelę wyścigów konnych.

- Gdyby ich słuchać, nikt by nigdy nie wygrał. Całe moje pieniądze na to idą! Co mogę panu podać?

- Podwójną - powiedział Alan.

- Z lodem?

- Bez lodu. I nie podwójną. Potrójną.

Barman popatrzył z dezaprobatą na zegarek: była 9.12. Nawet największe moczymordy spośród jego klientów nie tankowały do pełna przed południem.

- Od dziesięciu minut wzywa pana Oliver Murray! Żyłami Bannistera popłynął lodowaty strumień.

- Czego chce ode mnie? Patsy zrobiła niepewną minę.

- Siedzę w sprawie fluoru. Cóż za nuda! Jest 9.20, może powinien tam pan pójść?

Samuel zrobił w myślach rachunek sumienia, przypominając sobie o wszystkich sprawach wątpliwych, które można by ewentualnie zrzucić na kogoś innego. Na korytarzu otarł czoło, poprawił węzeł krawata, i skradając się pod ścianą wszedł ciężko schodami służbowymi na piętro dla wybrańców losu.

Przed biurem Murraya należało okręcić się wokół własnej osi. Nie zrobił tego, zapukał lekko dwa razy i popchnął drzwi. Murray popatrzył natychmiast na zegar, który wskazywał 9.22.

- Bardzo mi przykro - tłumaczył się Bannister - spóźniłem się trochę. Jak pan się czuje?

Brak odpowiedzi. Murray nie spuszczając z niego oczu zaczął się bawić ołówkiem.

- Rozmawiałem z Tokio - nalegał Bannister. Murray rzucił mu lodowate spojrzenie.

- Mashibutu, fluor!... Dzwonili z centrali!

Przez twarz Murraya przebiegł niebezpieczny skurcz.

- W Tokio jest 23.22.

- Naprawdę? - wybełkotał Samuel. - Czy jest pan pewien?

- Pan mnie ogromnie rozczarował, Bannister. Ile pan zarabia?

- Około 2 200.

- Ładna sumka.

- Pracuję tu od dwudziestu lat!

- To długo.

Samuel zdębiał: teraz usłyszy wyrok śmierci!

- Uprzedzam, że będzie to pana drogo kosztowało! Nie ma pan żadnego powodu! Mam adwokatów! Nie zrobi mnie pan w jajo tak łatwo jak Alana Pope'a! Co pan mi zarzuca? No proszę, słucham!

- Proszę wyjść! - powiedział sucho Murray. - Pańskie agresywne zachowanie będzie pana kosztowało naganę.

Samuel poczuł nagłą chęć, by go ucałować; groźba nagany wykluczała oczywiście zwolnienie!

- Proszę posłuchać, Murray...

- Proszę wyjść!

- Źle zacząłem dzień z moją żoną...

Spontanicznie schwycił dłoń swojego oprawcy i zaczął nią wylewnie potrząsać. Czerwony z gniewu Murray próbował się oswobodzić. Bannister puścił rękę, uśmiechnął się pojednawczo i wymknął się na czubkach palców. W korytarzu nie mógł się powstrzymać, by wykonać kilka tanecznych skoków: to jeszcze nie tym razem!

W chwili gdy stanął przed nową przeszkodą, zabrakło mu odwagi. A przecież, by zdobyć pewność, wystarczyło tylko wejść do innej filii banku - było ich ze dwanaście w Nowym Jorku - wypełnić czek na 1 000 dolarów i ze swobodną miną opuścić bank. Ale nogi nie chciały go słuchać. Tkwiąc na chodniku patrzył z niepokojem na grube mury banku Burgera przy 8 Alei. Za pierwszym razem miał szczęście. Teraz naturalnie odkryją pomyłkę, aresztują go, wtrącają do więzienia. Odmówił krótką modlitwę i zmusił się do wejścia... W hallu głównym jego panika wzrosła w dwójnasób.

Zaciskając zęby, pokryty potem, z trudem dotarł do jednego z okienek. Trzy razy zabierał się do wypełnienia czeku, widział, że kasjer nie spuszcza go z oka i miał uczucie, że za chwilę zemdleje. Wreszcie czek przeszedł z ręki do ręki.

Kasjer sprawdził uważnym spojrzeniem długą listę nazwisk. Serce Alana stanęło.

- W jakich odcinkach, panie Pope?

- Setki - zaskrzeczał nieswoim głosem.

- Osiem, dziewięć, dziesięć... proszę!

Podał mu nowe, szeleszczące banknoty. Alan opanował drżenie rąk biorąc je. Odszedł o dwa kroki...

- Panie Pope!

Przygwożdżony do ziemi Alan zebrał ostatnią rezerwę odwagi i odwrócił wolno głowę. Niemożliwe, aby ta trupia bladość umknęła uwadze kasjera.

- Tak?

- Proszę łaskawie pozwolić, panie Pope...

Wyciągnął rękę przez okienko i wcisnął mu w dłoń broszurkę.

- Wszystko jest w środku wyjaśnione. Te obligacje przynoszą 6,25 procent netto, po opłaceniu podatku. Bardzo dobra lokata. Niech pan o niej pomyśli. Oto moja wizytówka.

Alan podziękował skinieniem głowy. W końcu śmierć nie była czymś bardzo różnym od tego, przez co przeszedł.

Słońce wpadające szeroką falą do pracowni obudziło Marinę w południe.

Wpółotwarła oczy, zamknęła je, zarzuciła prześcieradło na głowę.

- Harry?

- Tak.

- Jesteś tam?

- Nie.

- Co robisz?

- Haruję.

- Która godzina?

- Późno.

- Czy zostało trochę mleka?

- Nie wiem.

- Możesz zobaczyć?

- Nie.

Marina przewróciła się na brzuch i stwierdziła, że śpi w swych rękawiczkach z czarnej, koźlej skórki. Były jej drugą skórą. Zdjęła je.

- Harry?

- Tak.

- Nie jesteś zbyt uczynny.

- Nie.

- Przyniesiesz mi mleka?

- Nie.

Marina ziewnęła, przeciągnęła się, odrzuciła prześcieradło, usiadła na łóżku i przetarła oczy. Harry przykucnął w rogu pokoju, mieszając kawałkiem patyka kolorową miksturę wylaną na talerzyk.

Wstała, chwyciła przechodząc swój kapelusz z kwiatami, wsadziła go tyłem na przód i skierowała się do łazienki. Przy uchylonym oknie widziała wprost płynące ku niej fale upału. Odkręciła kran prysznic, mocno oparła dłonie na dnie wanny, wzięła mocny zamach i stanęła na rękach z nogami na ścianie, głową w dół pod zimnym prysznicem. Utrzymała tę pozycję przez chwilę, woda lała się z palców u nóg na twarz, w otwarte usta, na opadające włosy i w półprzymknięte oczy. Wolno opadła na stopy i namydliła się; potem długo myła zęby i nie odłożyła szczotki do kubka, ale wsadziła ją wilgotną do torebki. Wytarła się, przeszła przez pracownię bez słowa, wciągnęła dzinsy, koszulkę i sandały. Zwinęła rękawiczki, wrzucając je do kapelusza.

Kapelusz spotkał się w torbie ze szczotką do zębów. Harry patrzył na nią spod oka.

- Odchodzisz?

- Tak.

Schwyciła poniewierającą się na stole połówkę jabłka i zatopiła w niej zęby.

- Wracam do Alana - powiedziała.

- Ha - mruknął Harry. Nie odwrócił się za nią, kiedy wychodziła.

Grzeczny ale stanowczy maitre d'hotel próbował zagrozić jemu drogę.

- Przyjaciel na mnie czeka - rzucił mu Bannister. - O!... Widzę już go!

Po prawej, w najodleglejszym kącie, Alan podniesioną ręką dawał mu znaki. Grill był przepełniony. Samuel prześlizgnął się między stolikami. Wylał na obrus kieliszek i przeprosił nie zatrzymując się, po czym zdyszany opadł na krzesło naprzeciw Alana i wyrabiał urywanym głosem:

- Jako świeżo upieczony bezrobotny nie odmawiasz sobie! Obrzucił wzrokiem salę.

- Zadaję sobie pytanie, skąd ci ludzie biorą forszę! No, opowiadaj! Zachnął się nagle, widząc butelkę spoczywającą w wiklinowym koszyczku.

- Co to jest? Alan nalał mu kieliszek.

- Pomerol 1961.

Samuel umoczył usta i z szacunkiem potrząsnął głową.

- Za ile?

- Czterdzieści pięć dolarów.

Bannister zakrztusił się:

- Czy ty się dobrze czujesz?

- Sammy, czy mogę ci całkowicie zaufać?

- Absolutnie nie! A teraz posłuchaj mnie... W firmie panuje panika, mam dla ciebie dwadzieścia minut i ani minuty więcej. Stękać!

- Tak czy nie, Sammy? Umiesz zachować milczenie?

- Dobrze wiesz, że nie!

Alan teatralnym gestem wyjął z kieszeni otwartą kopertę.

- Czytaj.

Bannister zauważył natychmiast stempel banku.

- Jeżeli kazałeś mi jechać przez całe miasto dla jakiejś niepokrytej wiarygodności, to dostanę ataku nerwowego!

- Czytaj!

Samuel rozwinął papier i szybko przebiegł dwie linijki:

INFORMUJEMY, ŻE PRZELALIŚMY NA PANA RACHUNEK
SUMĘ 1 170 400 DOLARÓW

Obojętnie opuścił kawałek papieru na stolik.

- Czy myślisz, że mogę tu zamówić hamburgera, nie wychodząc na chłama?

- Zabrał się za postawiony na stole talerz z surówkami, schrupał rzodkiewkę, rozsmarował ciekawą warstewkę masła na kromce ciemnego chleba, włożył ją do ust. Milczenie Alana zaniepokoiło go. Nie dokończył swego gestu.

- I co się stało? Alan spiorunował go wzrokiem.

- Hackett przekazuje mi ponad milion dolarów, a ty mnie pytasz, co się stało!

Bannister wzruszył ramionami.

- A ja jadłem wczoraj kolację z papieżem. Słuchaj stary! Obudź się... W ostatnim miesiącu otrzymałem rachunek telefoniczny na 800 000 dolarów. Czy wyobrażasz sobie, że zapłaciłem? To się codziennie zdarza, takie głupoty... Kto to bierze poważnie? 1 170 400 dolarów!... Ja bym sobie kupił harem i wlażył do basenu z whisky do końca moich dni!

- Zapominasz o jednym szczególe - wybąkał surowo Alan. - Pieniądze są naprawdę na moim koncie.

Bannister wybuchnął śmiechem.

- Zgoda. Przyślę ci opancerzoną furgonetkę!

- Oni mi je przekazali! - upierał się Alan.

Po raz pierwszy Bannister zauważył jego ściągniętą twarz i bladą cerę.

- Alan...

- Od tygodnia łamałem sobie głowę, jak zapłacić alimenty Mabel! Miałem debet na 327 dolarów! Przed chwilą udałem się do dwóch filii Burgera. W pierwszej podjąłem 500 dolarów, w drugiej 1000 dolarów. Wyplacono mi je bez mrugnięcia okiem. A więc, mądralo, jak to tłumaczysz?

- Nie tłumaczę tego - powiedział Samuel - z bardzo prostego powodu. Bo to niemożliwe.

Alan wyszarpnął gwałtownie z kieszeni zwitek banknotów:

- A to, co to jest? Pestki słonecznikowe? Mówię ci, że nie miałem grosza! Nawet nie zapłaciłem za mieszkanie!

- To niemożliwe - upierał się Samuel. - To, co opowiadasz, nie ma najmniejszego sensu.

- Co nie przeszkadza, że forsa jest na moim koncie!

- To ty tak mówisz!

- Ale ona tam jest!

- Jesteś ich klientem, znają się... Dla 1 500 dolarów nie zadali sobie trudu sprawdzić. Głupstwa!

Alan wymachiwał mu wściekle przed nosem przekazem bankowym.

- 1 170 400 dolarów to głupstwa?

- Nigdy ci ich nie przekazano, Alan. Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja cię chyba zabiję! - mruczał Alan. Bannister uśmiechnął się nieszczere.

- W końcu, może masz rację... Ale na twoim miejscu wróciłbym do Burgera i kazał sobie wypłacić 20 000 dolarów. Jeżeli ci je dadzą, to uwierzę w cuda... Widzisz, która godzina?

Podniósł się nie zauważając, że przewrócił krzesło. Odwrócił się na pięcie i znieruchomiał. Potem oparł obie dłonie na stole, popatrzył Alanowi w oczy i powiedział zmienionym głosem:

- Dałbym sobie głowę uciąć, Alan, że twoja historia to lipa. Chciałbym więc, żebyś mi wreszcie powiedział, po co cały ten teatrzyk? Bo tylko ty wiesz, po co.

Alan miał dziecięco zmieszaną minę. Przygryzł usta.

- Szczerze, Sammy, sam sobie zadaję to pytanie. - A potem podniósł głowę i rzucił twardo: - Nic z tego nie kapuję, ale jednak tak zrobię!

Rozdział 5.

Pomagając sobie palcami u nóg Marina zrzuciła sandały. Przeszła na piechotę z pracowni Harry'ego do mieszkania Alana i była spocona jak ruda mysz. Odsunęła wierzchem dłoni włosy przyklepione do czoła. Przechodząc przez pokój położyła klucze do popielniczki, rzuciła torebkę na fotel, ściągnęła bluzkę, rozpięła dzinsy, ale zajęło jej długą chwilę, by je ściągnąć, tak były wąskie. Wreszcie była naga. Pierwszy etap - kuchnia. Otworzyła drzwi lodówki i z uśmiechem rozrzewnienia obejrzała dwie butelki mleka. Alan nienawidził mleka. Mimo jej odejścia z czułością pomyślał o niej.

Otworzyła butelkę i z chciwością wypila duszkiem. Wróciła do livingu, otworzyła torbę, wyciągnęła słomkowy kapelusz, z którego wypadła para czarnych rękawiczek z kozłej skóry. Upał był zbyt obezwładniający, aby włożyć rękawiczki. Wsadziła kapelusz na głowę, otworzyła okno: powietrze na zewnątrz było jeszcze gorętsze. Przeszła do łazienki, myśląc przez chwilę, że zimna woda ochłodzi jej ciało. Otworzyła kran: nic. Udała się do kuchni, przeprowadziła tę samą czynność przy zlewozmywaku: znowu nic. Zdjęła kapelusz, zebrała rękawiczki, zwinęła je w kulę w torbie, włożyła dzinsy, bluzkę, wsunęła stopy w sandały, wzięła klucze z popielniczki. Bardzo lubiła Alana, ale namiętność do niego nie była aż taka, by pozbawiać się kąpieli, kiedy miała na nią ochotę.

Zadała sobie pytanie, u kogo złoży teraz na pewien czas swe penaty. Zastanowiła się chwilę, sprawdziła w notesie adres, podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Arnold Hackett rozsiadł się w jedwabnym szlafroku koloru fiołkoworóżowego na niskiej sofie. Był w mieszkaniu Poppie, za które płacił komorne od blisko dwóch lat. Płacił także inne rachunki Poppie, zaczynając od kosztownych studiów uniwersyteckich jej brata Petera, który chciał zostać architektem. Nie mówiąc o 2 000 dolarów, które co miesiąc przeznaczał na jej drobne wydatki. Z pewną rozbawieniem pobłażliwością pomyślał, że Poppie jakoś zawsze brakowało pieniędzy. Czasami gniewała się, że nie przychodzi częściej, aby się z nią zobaczyć. Arnold był tym rozczulony, ale interesy pozostawiały mu mało czasu.

Czy mając go więcej mnożyłby te wizyty? Przed pięciu laty przeszedł lekki zawał. Najsłynniejsi profesorowie, z którymi się

konsultował, z naciskiem kazali mu się oszczędzać. „A co z seksem?” - pytał. „Jeżeli nie będzie pan przesadzać...”

Uzbrojonemu w to przyzwolenie zdarzało się, raz czy dwa w miesiącu, relaksować z różnymi call - girls, których numery telefonów przekazywali sobie z żarłocznymi minami koledzy. Z Poppie to było coś innego, ponieważ Poppie go kochała. Było to delikatne dziecko, zaledwie dwudziestodwuletnie. W wieku Gertrudy, jego własnej córki. Ale Poppie, w przeciwieństwie do Gertrudy, twardo stąpała po ziemi. Zamiast nienawidzić pieniądze i marnować sobie życie w okolicach San Francisco z jakimiś wariatami, odbywała bardzo poważne studia taneczne w znanej szkole przy 6 Alei. Posiadała także inne zalety w oczach Arnolda: kochała go za to, czym on się raczej niepokoił: za jego siedemdziesiąt jeden lat. Nienawidziła młodych ludzi, których uważała za banalnych, bez wdzięku, pozbawionych osobowości, nic nie znaczących.

- Żebyś ty wiedział, jak ja się nudzę z tymi smarkaczami!...

Kiedy z wyrazem pogardy wygłaszała to cudowne zdanie, Arnold napuszał się, miłośnie pieścił jej włosy i rozpływał ze szczęścia. W poczuciu pewności siebie dojrzałego człowieka, któremu się udało. Oczywiście nigdy nie był przystojny, ale przez całe życie kobiety mówiły mu o „tym małym wesołym płomyczku, który płonie w jego oczach”. Wszystkie, z wyjątkiem jego żony Victorii.

Interesy Arnolda toczyły się same. Ludzkość była zagrypiona, astmatyczna, pokryta bąblami i pryszczami. Jego chemicy wymyślali lekarstwa, aby jej pomóc, a Arnold zgarniał zysk. Świat kręcił się w kółko. Po czterdziestu latach wysiłków zdołał uczynić z Hackett Chemical jedno z najbardziej kwitnących przedsiębiorstw amerykańskich: sześćdziesiąt tysięcy pracowników rozproszonych po licznych filiach, niektóre z nich w Europie. Wysokość obrotów - 459 milionów dolarów - sytuowała go w branży na liście największych, pomiędzy Sterling Drug (460) i Richardson Merell (457). Oczywiście daleko jeszcze było do miliarda dolarów rocznie, jakie osiągnęli Hoffmann - Laroche, ale miał nad swymi konkurentami przewagę, całkowicie kontrolując firmę. Jedynym ciemnym punktem na tym udanym życiu był fakt, że Victoria i on nie mieli męskiego potomka, któremu można by przekazać pochodnię. Arnold patrzył czasami na szczupłe, smukłe ciało Poppie i zaczynał marzyć o potomstwie, które

przedłużyłoby jego własne życie. Czy było to jednak rozsądne zostawać ojcem w jego wieku?

Ustawił wielkie lustro szafy ściennej i zdecydował, wypinając tors, popatrzeć na siebie obiektywnie. Szlafrok leżał miękko u jego stóp, ale on wahał się ze ściąganiem kalesonów w zielone paseczki i szukał w swym spojrzeniu słynnego „małego wesołego płomyczka”. Zmrużył powieki, ściągnął brwi, mrugnął okiem: zobaczył płomyczek, lśniący, ironiczny, rozbawiony. Naturalnie reszta była mniej wspaniała. Ktoś nie wiedzący, kim jest, mógłby dostrzec w niezyczliwym lustrze obraz niskiego i brzuchatego faceta, na cienkich nóżkach, o zbyt bujnym owłosieniu. Cała armia badaczy pracowała nad rozwiązaniem dwu wykluczających się zagadnień: całkowite zlikwidowanie włosów na ciele i ich porost na czaszce. Uruchomił dwa boczne lustra, które dostarczyły mu niewiele bardziej pocieszający widok z profilu. Gruszkowata sylwetka wybrzuszona w dole tułowia, podtrzymywana przez dwie owłosione zapalki.

- Jesteś piękny - powiedziała Poppie.

Stała w progu łazienki i podziwiała go. Wokół bioder miała omotany ręcznik. Jej małe, okrągłe piersi tworzyły kąt prosty z pionową linią jej klatki piersiowej.

- Patrzysz na mnie zakochanymi oczami - zaprotestował Arnold oprzytomniawszy.

- Kocham twoje ciało - oświadczyła. - Ciało mężczyzny. Podeszła do niego, przytuliła swój brzuch do jego brzucha i ułożyła głowę w zagłębieniu ramienia. Arnold objął ją za szyję, upojony zdrowym zapachem jej włosów, zapachem młodości.

- Chodź - powiedziała pociągając go do łóżka.

Zadawał sobie pytanie, jak umknąć przed tym przypiływem wymagającej czułości. Seans, który się odbył pół godziny wcześniej nasycił go na dwa lub trzy najbliższe tygodnie. Chwilowe wyczerpanie spowodowane tymi wyczynami zmartwiło go na chwilę, ale został wynagrodzony za swój zapal jednym z tych wspaniałych zdań na które Poppie posiadała patent: „Ty mnie zabijasz...” Wypowiedziane niskim, chrapliwym głosem, z ciepłą intonacją, tonem marzycielskim i pełnym oddania.

- Przestań, Poppie, przestań... Nie teraz... Za godzinę przewodniczę naradzie.

Delikatnie drapała końcami paznokci jego lśniąca czaszkę.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa... Nie jedź jutro!
- Czekają tam na mnie, to niemożliwe. Pojedziesz ze mną?...

Oczy Poppie zwilgotniały.

- Nie mogę zostawić mego brata samego w Nowym Jorku. Popieścił jej stopy, podniósł się i wykręcił numer telefonu.

- Hackett Chemical, słucham...

Jego własne nazwisko, powtórzone przez telefonistkę, połechtало mile jego dumę, nie znużoną czterdziestoletnią władzą.

Paznokcie Poppie zatrzymały się chytrze na jego karku.

- Proszę z Murrayem. Dziwne hałasy w telefonie. Sekretarka.

- Słucham?

- Murraya!

- Kto prosi?

- Hackett!

- Zobaczę, czy pan Murray może z panem rozmawiać. Arnold poczerwieniał z wściekłości.

- Mówię pani, że jestem Hackett. We własnej osobie! Arnold Hackett, czy pani rozumie?

- Chwileczkę, panie Hackett, już łączę!

Poppie chwyciła jego rękę i kąsała leciutko czubki palców. Arnold przesuwając swój wskazujący palec po jej wargach tam i z powrotem.

- Murray?...

- Panie Hackett!

- Jak leci, Murray?

Zdjął rękę z ust Poppie, przysłonił dłonią słuchawkę aparatu i szepnął dziewczynie:

- Głupi, złośliwy, zniechęcony, bardzo skuteczny! Napędza im strachu! Szef personelu administracyjnego oddziału Nowy Jork.

Poppie z nabożeństwem pożerała go wzrokiem.

- I co, Murray, głowy spadają?

- Oczywiście, panie Hackett!

Arnold był w dobrym humorze. Rzucił niewinny żarcik:

- A kiedy pańska spadnie, Murray? Długie milczenie na drugim końcu kabla.

- No dobrze, Murray, przecież pan widzi, że żartuję! Na jakim Pan jest etapie?

- Opracowałem pierwszą listę czterdziestu osób, panie Hackett!

- To nie wystarczy. Chcę, aby był ruch! Chcę ludzi tryskających pomysłami, entuzjazmem... Chcę młodych!... Ile pan ma lat, Murray?

- Arnold zaśmiał się pod nosem i zaszeptał Poppie do ucha: - Nie ma to jak klimat niepewności, aby podnieść wydajność! - Wrócił do swego wodzowskiego tonu. - No więc, Murray?

- Pięćdziesiąt dwa, panie Hackett.

Z kolei Arnold pozwolił sobie na niewinną satysfakcję przeciągając milczenie.

- Oczywiście... To nieważne, Murray! Ludzie niezbędni nie mają wieku! Jaki nastrój?

- Raczej agresywny.

- I pan to toleruje? Niech pan wyrzuci przywódców! Ja pana kryję!

- Chodzi zwłaszcza o tych z najdłuższym stażem. Dwadzieścia lat w firmie, w głowach im się przewraca, uważają się za nietykalnych.

- Nazwiska, Murray!

- Jest ich wielu.

- Jedno!

- Bannister.

- Co u nas robi?

- Wydział spraw spornych, kierownik.

- Wylać!

- Słucham, panie Hackett.

- W Hackett Chemical nie ma miejsca dla kulawych kacząt! Pięćdziesiąt głów, Murray, rozumie pan? Niech pan będzie bez litości!

Rozłączył ostro, wybuchnął śmiechem i przypatrzył się Poppie po ojcowsku.

- Wiem, że zraniłem twoją wrażliwość. Ale gdybym nie wywalił od czasu do czasu setki, inni by nie czuli, że nimi kieruję.

Alan kazał się wysadzić przy 6 Alei, zapłacił za taksówkę i zagłębił w upał i tłum, by wejść pewnym krokiem do filii numer 11 Burgera.

Wyzwanie Bannistera odpędziło na chwilę nędzny lęk, jaki paraliżował go w czasie poprzednich dwóch prób. Zatrzymał się przed pierwszym lepszym okienkiem, wyciągnął książeczkę czekową i wypisał dla siebie czek na 20 000 dolarów. Skierował do kasjera uśmiech zaprawiony arogancją, podpisał czek i podał mu go.

To, co robił, było do niego tak niepodobne, że chcąc nie chcąc odsuwało na dalszy plan grozę, jaką w nim budziło. Przeżywał coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Był obserwatorem samego siebie, tak pochłoniętego popełnieniem nieodwracającego aktu przestępstwa, iż zapominał, że to nie sen. A jednocześnie śnił i był głównym aktorem tego snu.

- Czy chce pan podjąć tę sumę gotówką, panie Pope?

- Naturalnie.

Kasjer miał minę zatroskaną.

- Czy może pan chwilę poczekać? Muszę pójść do skarbcza.

Opuścił okienko, w którym tkwił jak przyśrubowany przez osiem godzin dziennie. Oczywiście zaraz podniesie alarm. Alan wyjdzie z banku tylko po to, aby pójść do więzienia. Zapalił spokojnie papierosa. Po cóż uciekać? Kości zostały rzucone. Zauważył pojawienie się kasjera na swym stanowisku, jednocześnie zobaczył dwóch policjantów stających po jego bokach i usłyszał jak nieznajomy w stalowoszarym garniturze mówi do niego szeptem, ale wyraźnie:

- Nazywam się Abel Scott, wicedyrektor agencji. Czy mogę poprosić, aby pan poszedł z tymi panami?

Alan wyciągnął ulegle nadgarstki, by założono mu kajdanki.

- Kwota, którą pan podejmuje jest wysoka, panie Pope. Odprowadzą pana aż do samochodu.

- Mieliśmy w tym tygodniu napad - perorował mile wyższy z policjantów. - Lepiej być ostrożnym.

Alan stwierdził ze zmieszaniem, że instynktownie trzyma wyciągnięte ręce. Chcąc usprawiedliwić ten niecodzienny gest, niebezpiecznie przedłużony, zatarł z zażenowaniem dłoń, opuścił je wzdłuż ciała i odchrząknął.

- Nie, dziękuję, to zupełnie zbyteczne.

Abel Scott rzucił mu zatroskane spojrzenie, ale podporządkował się. Kasjer położył na parapecie opasłą papierową kopertę w kolorze beżowym.

- Czy chce pan abyśmy jeszcze raz przeliczyli, panie Pope?

- No, jazda - usłyszał Alan własny głos.

Pod okiem zahipnotyzowanych gliniarzy grube palce kasjera biegały nad banknotami z szybkością błyskawicy.

- Do widzenia, panie Pope - rzekł Abel Scott. - Będzie mi bardzo przyjemnie przyjąć pana osobiście, jeżeli pan nas odwiedzi.

Alan wymruczał nie wiążącą zgodę, zabrał niedbale kopertę wypełnioną dolarami i z nonszalancją skierował się do wyjścia. Porwała go ulica. Musiał przejść ze sto metrów, zanim trafił do baru. Wszedł, rzucił się do toalety i zwymiotował.

- No, Alan!... Co ja powiem Christel?

Samuel ukradkiem przyglądał się Patsy. Obróciła się szybko, udała że jest zajęta, symulując, że notuje w swoim bloku. W rzeczywistości słuchała, aż jej uszy rosły. Samuel przysłonił usta dłonią.

- Gdzie to?... Jak to się nazywa? Poczekaj, notuję... - Zanotował adres. - Powtórz mi numer... Zgoda. Będę.

Alan nie podał żadnych szczegółów, ale zażądał, by się spotkali na kolacji. Jego głos był dziwny, bezbarwny. To spotkanie nie urządziło Samuela. Bardzo rzadko, kiedy po dwutygodniowym uprzedzeniu zdarzało mu się spędzać wieczór poza ogniskiem domowym, Christel przeprowadzała prawdziwe śledztwo, by sprawdzić, czy zawodowe alibi jej męża trzyma się kupy. Jak ją o tym powiadomić?

- Proszę pana...

- Patsy?

- Proszę mi wybaczyć, proszę pana, ale chciałabym panu zadać pytanie, które mnie nie dotyczy... To znaczy, mało mnie dotyczy... Chciałam powiedzieć, że to nie moja sprawa...

- Murray na mnie czeka - powiedział Bannister.

- Wiem, proszę pana, ale właśnie... Ludzie w firmie zrobili się nerwowi... Krążą plotki...

- Jakie plotki?

- Mówi się o ogromnych zwolnieniach...

Bannister wzruszył ramionami.

- Jeżeli chciałoby się wierzyć wszystkim plotkom korytarzowym... Pani jest w firmie dostatecznie długo, aby wiedzieć, że papie się byle co!

- Oczywiście, proszę pana, ale nie ma nigdy dymu bez ognia.

- Pani wie, co to są wakacje. Ludzie zaczynają się niepokoić.

- A propos Alana Pope, mówią...

- No co, Patsy?

- Mówią, że został zwolniony.

- No, no! - zarżał Samuel zaskoczony, nie wiedząc czy powinien natychmiast wyjawic prawdę, którą i tak wszyscy wkrótce poznają. - Na jakim etapie jest pani z tym fluorem?

- Grzebię się w tym.

- Niech pani spróbuje się pospieszyć. Idę na górę. Rozwój wypadków był bardzo szybki.

- Niech pan wchodzi, Bannister - powiedział Murray. - Mam dla pana dobrą nowinę.

Samuel skurczył się. Dla Murraya jedyne dobre nowiny to były wiadomości o śmierci innych.

- Dzisiaj jest 23 lipca, Bannister. Mam przyjemność oznajmienia panu, że 31 grudnia otrzyma pan 28 472 dolary. - Ponieważ Samuel patrzył na niego okrągłymi oczami dorzucił. - Od 1 stycznia pan przechodzi na emeryturę z urzędu.

Młoda kobieta przeszła lekkim krokiem przez bar. Stanąwszy przed salą bilardową zderzyła się z chłopakiem, który wychodził.

- Hej, John...

- Hej, Poppie!

- On tam jest?

- Właśnie go łupią ze skóry.

Uśmiechnęła się i weszła na zadymioną salę. Jak ćmy zahipnotyzowane strumieniami światła padającego na zieleń bilardu, z dziesięciu mężczyzn obserwowało dryblas w bawełnianej koszulce przygotowującego się do zagrywki. Była nie do wykonania. Poppie zrobiła dwa kroki naprzód.

- Peter!...

Dryblas odwrócił się i rzucił jej mordercze spojrzenie.

- No, grasz? - zniecierpliwził się Maxie. - Ostro popatrzył na Poppie i dodał głośno!

- Tu jest bilard, a nie kawiarnia.

- Wybacz mi, Peter... - wybąkała Poppie. Wielu świadków zaczęło śmiać się szyderczo.

- Spieprzaj! - prychnął Peter nie otwierając ust. Poppie wyraziła zgodę gwałtownym ruchem głowy.

- Czekam obok.

Peter zgiął się w pół nad stołem, poprawił kij w prawej ręce i zastygł na dłuższą chwilę. Całkowite milczenie. Czerwona kula potoczyła się...

- Jesteś mi winien 800 dolarów - powiedział Maxie. Peter odciągnął go na bok.

- Dasz mi dziesięć minut? Muszę najpierw coś załatwić i już ci płacę.

Maxie rzucił mu inkwizytorskie spojrzenie.

- Zgoda. Dziesięć minut. Peter wyszedł z sali i zobaczył Poppie przycupniętą na barowym stołku.

- Przez ciebie przegrałem!

- Dużo!

- 1 500 dolarów. John, podwójną!

Poppie nieśmiało położyła mu rękę na ramieniu. W dalszym ciągu patrzył na stojące na półkach różnokolorowe butelki, jakby nic nie czuł.

- Masz do mnie żal?

- Wcale, składam ci gratulacje, brawo... - powiedział nie patrząc na nią.

Gdy tylko znajdowała się w jego towarzystwie, stawała się dziesięcioletnią dziewczynką. Uroda Petera czyniła ją bezbronną.

- Peter...

- Och, zamknij się!

Podziwiała jego długie nerwowe palce, delikatną linię nosa i muskulaturę ramion wysuwających się pod białą, bawełnianą koszulką.

- Spóźniłam się, Peter. Arnold do mnie przyszedł...

- Stary Hackett... - ironizował sarkastycznym tonem.

- Myślę, że mogę ci pomóc, Peter...

Znów wyciągnęła rękę i ścisnęła jego ramię. Automatycznie ściągnął biceps, ale pozwolił jej na pieszczotę.

- Wyciągnęłaś coś od tego kutwy?

- Trochę.

- Ile?

- Dwa tysiące.

- Dawaj!

Wsunęła mu zwitek banknotów, które śmiejąc się hałaśliwie wepchnął do kieszeni.

- Nigdy nie zrozumieję, że taki głupi wał może być tak bogaty! Ujdzie jeszcze, że uważa mnie za architekta, ale że ciebie bierze za moją siostrę!... Moją siostrę!... Jak bym mógł rznąć własną siostrę!...

Victoria bynajmniej nie zasługiwała na swoje imię. Wysoka, łagodna, blondynka, nieszczęśliwa, ze skórą białą jak papier i podobnymi rzęsami i brwiami: całkowicie wyblakła. Sterylna. Już była przezroczysta, kiedy Arnold ją spotkał. Można by powiedzieć, że po trzydziestu siedmiu latach małżeństwa jej nie dostrzegął. Jedyna córka zgasłego, bogatego farmaceuty, snuła się odtąd widmowa i biała po ich ogromnym mieszkaniu przy Park Avenue, nafaszerowana środkami nasennymi, otoczona pekińczykami i służbą.

- Cieszysz się, że wyjeżdżasz? - zapytał Arnold. Popatrzyła na niego, jakby mówił w obcym języku.

- Słucham?

- Pytam cię, czy jesteś zadowolona, że wyjeżdżasz?

- O tak, Arnoldzie, tak...

- Czy Richard uprzedził Gohelana o naszym przyjeździe?

- To załatwione.

- Czy mamy nasz stały apartament?

- Duży salon, taras i dwa pokoje na końcu drugiego piętra.

- Czy Richard poprosił Gohelana, by zmienił kolor obić?

- Nie wiem.

- Czy jest ładnie?

- Bardzo ładnie.

- Wspaniale.

- Gohelan powiedział Richardowi, że Korsky zaczął już przygotowania. Czeka na ciebie z niecierpliwością.

- Kto?

- Korsky. Ten z którym grywasz w trik - traka.

- Ten stary rozpustnik nie będzie miał ode mnie ani grosza w tym roku. Przerzucam się na tenis!

Victoria przyglądała mu się z wyrazem zaniepokojenia. Odpowiedział na nie zadane przez nią pytanie:

- Mam wspaniałe serce! Jakie jest morze?

- Dwadzieścia pięć stopni.

- Mamy bilety?

- Wsunęłam je do twojego portfela popołudniu, zanim pojechałeś do pracy.

Arnold Hackett instynktownie pomacał: kieszenie były puste. Popatrzył na Victorię. Nie zwracała już na niego uwagi. Pograżona znów w chmurach bawiła się z Tristasem, swym ukochanym

pekińczykiem. Arnold poczuł nagłą pewność, że jego portfel może być tylko u Poppie. Fala gorąca zalała go na wspomnienie ostatnich wyczynów seksualnych.

- Victorio?

- Arnoldzie?

- Musiałem zostawić portfel w biurze.

- Powiedz Richardowi, aby po niego pojechał.

- Nie, nie, sam tam pojedę! Nie wiedziałby, gdzie go szukać.

Zdjął słuchawkę interfonu i wydał polecenie swemu kierowcy - majordomusowi, by podstawił cadillaca pod drzwi wejściowe. Jeśli ma odrobinę szczęścia, Poppie nie poszła jeszcze do brata. Będzie mógł wziąć ją w ramiona raz jeszcze.

Żaden przedmiot nie zmienił miejsca, ale po czymś nieuchwytnym w atmosferze Alan wiedział, że ktoś u niego był. Stał, zaczął węszyć, przeszukał oczyma living i przeszedł do pokoju. Łóżko było w takim stanie, w jakim je zostawił, zgniecione, rozgrzebane, prześcieradła walały się na podłodze.

Udał się do kuchni. Myśląc o czym innym, otworzył kurek przy zlewozmywaku, który wydał z siebie ponury bulgot. Wzruszył ramionami i machinalnie pociągnął drzwi lodówki. Przeszedł przez niego prąd elektryczny: jedna z butelek mleka była prawie pusta, Marina przyszła! Wrócił do wejścia i sprawdził, że pod drzwi nie wsunięto żadnego bileciku. Przetawił bibeloty stojące tu i tam, popatrzył pod stojak telefonu, przejrzał stare rachunki z delikatesów, na odwrocie których mogła coś napisać.

Roześmiał się nerwowo: w tej gorączce, rzucił jak papierową bezwartościową ścierkę paczkę zawierającą 20 000 dolarów.

A przecież przedstawiały one sobą to wszystko, o czym marzyli mężczyźni: wolność, odzyskany czas, podróże, luksus. Samuel nigdy nie będzie tego miał. Żałował, że mu narzucił to spotkanie. Nie z powodu Christel, która czyniła jego życie nie do wytrzymania, ale z powodu Mariny, która mogła wrócić w czasie jego nieobecności. Działała w sposób który go zbijał z tropu, pojawiając się i znikając jak kot, zapominając w mgnieniu oka co obiecała, gdzie schowała swoje rękawiczki, kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, nie przychodząc nigdy, kiedy jej oczekiwano, objawiając się, kiedy nikt na nią nie liczył.

Obojętnie przyglądał się kopercie wyładowanej banknotami, walającej się na dywanie. Dałby ją z radością komukolwiek, kto by mu wskazał, gdzie znajduje się Marina w tym właśnie momencie.

Rozdział 6.

Arnold Hackett przytknął ucho do drzwi: z mieszkania dobiegała muzyka jazzowa, Poppie była w domu!

Arnold uwielbiał robić niespodzianki. Uśmiech posiadacza rozjaśnił mu twarz. Bardzo delikatnie nacisnął klamkę i wszedł...

Wzrok zarejestrował obraz, którego absolutnie nie rozumiał. Za olbrzymim niskim tapczanem (3 800 dolarów) zdawały się płynąć w powietrzu dwie boskie nogi, poruszane łagodnym i rytmicznym falowaniem. Stopy tych nóg opierały się o zabytkową konsolę (kosztowała fortunę u włoskiego antykwariusza). Skradając się jak kot obszedł łóżko; jakieś nieznane, nagie stworzenie, podparte na rękach osłoniętych aż po łokieć czarnymi rękawiczkami z koziej skóry, robiło ćwiczenia gimnastyczne. Na głowie miało dziwaczny kapelusz, przybrany liśćmi i owocami. Właścicielka kapelusza rytmicznie liczyła półgłosem:

- Dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście...

W tym położeniu nie mogła widzieć Arnolda. Stał z otwartymi ustami, skamieniały wobec tego wspaniałego ciała i wahał się, czy wyjść, by nie złapano go na niedyskrecji, czy chłonąć dalej widowisko. Ostatecznie był tu u siebie.

- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

Zachłannie wpatrywał się w sutki nieco przyciężkawych piersi, muskające wykładzinę przy każdym ugięciu. Jeżeli twarz, zakryta włosami, była godna tej linii nóg...

- Trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa...

Arnold chciałby, aby liczyła tak aż do tysiąca. Przy trzydziestu pięciu padła z rozrzuconymi nogami, przetoczyła się na plecy i zobaczyła go.

- Można zdechnąć! - powiedziała. - Kiedy jestem w formie, dochodzę do pięćdziesięciu. A pan?

Arnold zaczerwienił się gwałtownie.

- Nie wiem. Zawsze zapominam policzyć.

Podniosła się bez śladu zażenowania i złapała butelkę mleka, stojącą w nogach tapczanu.

- Chce pan?

Arnold nienawidził mleka. Odpowiedział zmieszonym głosem:

- Z przyjemnością.

Wypiła ogromny łyk i podała mu butelkę.

- Nie wiem, gdzie Poppie wetknęła szklanki. Ależ tu burdel! Oczy Arnolda krążyły nieustannie od wzgóрка łonowego osłoniętego ciemno brunatnymi włosami ku twarzy.

- To niesłychane - wybełkotał. - Pani przypomina...

- Wiem.

Chcąc nabrać kontenansu mężnie przełknął łyk mleka mimo odruchu wymiotnego.

- Mam na imię Arnold. A pani? - Marina.

- Nie wydaje mi się, aby Poppie mówiła mi o pani.

- Jeżeli pieprzy się z panem, jestem zachwycona. Mógłby pan być jej dziadkiem!

Odczuł to jak cios w brzuch, ale udało mu się przywołać ojcowski uśmiech.

- Jestem Arnold Hackett. Kątem oka czyhał na jej reakcję. Nie było żadnej.

- Zapomniałem mojego portfela. Pani pozwoli...

Przeszedł do łazienki, gdzie kłębiły się porzucone ubrania Mariny, schwycił ukradkiem jej bluzkę, zmysłowo podniósł do nozdrzy, wygrzebał portfel spod ręcznika i wrócił do salonu.

Siedząc okrakiem na krześle w stylu Ludwika XV, Marina, ciągle naga, przyglądała mu się z ciekawością.

Zaczerwienił się. Powiedziała:

- To musi być wstrętne być starym.

Żaden z sześćdziesięciu tysięcy pracowników Hacketta, mężczyzn i kobiet, nigdy nie wypowiedział czegoś równie okropnego. Co ciekawe, nie czuł z tego powodu zagniewania. Za wszelką cenę próbował zapalić w swym oku słynny „mały wesoły płomyczek”.

- Gdybym mógł wybierać, wołałbym być w pani wieku.

Nie był już dłużej młody, to prawda. Czas, jaki mu pozostał, był więcej niż cenny. Żadnej więcej straconej okazji! Brać, brać natychmiast! Był gotów na wszystko, byle tylko mieć prawo do położenia dłoni na skórze tej dziewczyny. Zaczął mówić zahipnotyzowany jej rozchylającym się wzgórkem łonowym, od którego nie mógł oderwać wzroku.

- Proszę posłuchać, Marino... Ledwo się znamy, ale mam dla pani pewną propozycję...

Tak czy nie? Powiedzieć jej, że został zwolniony? I jak jej powiedzieć, że dziś nie będzie z nią jadł kolacji?

- Christel! Christel!...

Nie było jej w przedpokoju ani w kuchni. Roztrzęsiony Samuel modlił się, by jej nie zastać także w salonie.

- Christel!

Była. Zagłębiona w fotelu, ubrana w fioletową wełnianą suknię podkreślającą każdą fałdę jej ciała. Na twarzy znany wyraz: żywy wyrzut sumienia.

- Co się stało, że tak wrzeszczysz? Wiesz, która godzina? Włóż pantofle!

- Wychodzę.

Z oczami rozszerzonymi zdumieniem patrzyła na niego, jakby popełnił coś niestosownego.

- Słucham?

- Jem kolację z Alanem Pope'em.

- Zapomnij o tym nieudaczniku i idź umyć ręce! Nie wyjdiesz!

W momencie olśnienia Bannister zdał sobie sprawę z ciężaru dwudziestu pięciu lat niewolnictwa, jego lęków u Hacketta, wymuszonych uśmiechów, strachu przed Murrayem, niepokoju, że znajdzie się bez pracy mając około pięćdziesiątki, strachu i upokorzeń mężczyzny traktowanego jak mały chłopczyk przez własną żonę...

- A jednak wyjdę!

- Ośmielasz się mi ubliżać z powodu tego obrzydliwego typa, który zadaje się wyłącznie z dziewczynkami!

Po raz pierwszy w swoim życiu Samuel postawił się.

- Te kurwy są tyle samo warte co inne! Odwrócił się na pięcie i runął do przedpokoju.

- Samuel! Gdzie idziesz?

Przepełniony dziką, nieznaną radością, rzucił jej nie odwracając się:

- Uchlać się z kurwami!

Alan przyszedł wcześniej do Man - Linga, dyskretnego Chińczyka, u którego wiele razy jadał obiady z Samuelem. Lokalik był niedrogi, spokojny i sympatyczny. Ze swego miejsca widział wszystkie stoliki nakryte papierowymi obrusami w białą - czerwoną krateczkę. Szkarłatne smoki pluły ogniem z płaskorzeźb na ściany oświetlone łagodnym blaskiem kandelabrow z kolorowych kul. Obok jego talerza leżała beżowa koperta zawierająca 20 000 dolarów. Alan

nie dotknął jej od chwili, gdy wręczono mu ją w banku. Od rana działał jak automat.

Im więcej czasu upływało, tym mniej rozumiał, co popchnęło go do podjęcia pieniędzy, które do niego nie należały, których używanie było mu wzbronione, które i tak będzie musiał zwrócić.

Kiedy zastanawiał się nad sensem swojego czynu, wszedł Bannister. Mrugając oczami, jak wszyscy krótkowidze w trudnej sytuacji, dostrzegł Alana, skierował się ku jego stolikowi i usiadł nie mówiąc ani słowa. Alan zauważył, że się pocił i był blady.

- Coś nie tak?

Samuel chwycił butelkę wina rose, nalał sobie kieliszek i wypił.

- Hej, Sammy, mówię do ciebie!

Bannister popatrzył na niego z tragiczną miną i rzucił:

- Mnie również.

- Co ciebie również?

- Wyrzucono.

- To żart...

- Murray mnie dopadł.

- Sammy, wygłupiasz się!

- Czy na to wyglądam?

- To niemożliwe! Kiedy go widziałeś? Co ci powiedział?

- Wcześniejsza emerytura od 1 stycznia. Jestem zrobiony na szaro. W moim wieku nie przyjmą mnie do pracy.

- Nie ma prawa.

- Ale je sobie przyznał.

- Christel wie?

- Jeszcze nie.

- Podał ci powody?

- Żadnych.

- Działaj! Idź do adwokata, do związków zawodowych!... Ruszaj się, broń się! Dali ci forszę?

- Zeżremy ją w kilka tygodni. Co potem?

- Znają cię! Masz stosunki, referencje! Możesz iść wszędzie, do Bayera, Squibba, Glaxo, Schering Plougha!

- Jestem za stary.

- Mając czterdzieści siedem lat?

- Nie fatyguj się, umiem liczyć.

- Gówno - powiedział Alan - gówno...

- Czy panowie wybrali? - zapytał kelner. Alan nie otworzył nawet karty.

- Krewetki z rusztu, paszteciki wiosenne, kura z migdałami, wołowina na ostro.

Kelner odszedł. Alanowi wydawało się, że na szklach okularów Samuela zobaczył coś, co przypominało parę. Serce mu się ścisnęło.

- Sammy...

Bannister odwrócił głowę. Z zażenowaniem zdjął okulary i końcem serwetki energicznie je wytarł. Nie patrzył na Alana. Następnie przetarł oczy ściśniętymi pięściami i znieruchomiał zasłaniając twarz rękami.

- Sammy... - powtórzył Alan z ciepłą niezręcznością.

Nie miał jednak nic do dodania. Rana była zbyt bolesna, żadne słowo nie mogło przynieść ukojenia. Przez dwie minuty, długie jak zmarnowane życie, trwało milczenie... Niezręczny, bezsilny Alan obserwował z niepokojem skamieniałą postać przyjaciela. Wreszcie coś drgnęło i Samuel wydawał się wychodzić ze swego okropnego odrętwienia. Zdawało się, że odkrywa Alana, utkwiał wzrok w jego oczach i wymruczał głuchym głosem:

- Chcę się zemścić.

- Tak - powiedział Alan z ulgą - tak...

- Ciebie to spotkało wczoraj, mnie dzisiaj, a jutro przyjdzie kolej na setki nam podobnych biednych typków, manipulowanych jak pionki, których się poucza, którym się grozi, których wyrzuca się na bruk. Wołów roboczych... Nie ze mną takie numery, Alan, skończone! Trzydzieści lat upokorzeń to wystarczy! Będę gryzł!

Alan zrobił aprobującą minę. Bannister chwycił jego dłoń i ścisnął ją mocno.

- Zemścić się! Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak, tak...

- Zrobić to, zniszczyć ich! Dali nam w kość, a teraz ja się odwinę. Alan wyswobodził się łagodnie.

- Są od nas silniejsi, Sammy! Stoimy na straconych pozycjach.

- Będę ich miał!

- We dwóch nie możemy rozwalić całego systemu.

- Chcę zobaczyć, jak zdychają!

- Murray?

- Murray jest tylko kółkiem w maszynie, urzędniczyną. Chcę głowy... Chcę Hacketta! - Przekonywał się sam co do nazwiska, które miał wymówić. - Tak, właśnie tak... Samego Hacketta! Chcę zrujnować Hacketta!

- Pięćset milionów dolarów rocznie, sześćdziesiąt tysięcy pracowników i urzędników rozsianych po całym świecie, wsparcie banków, błogosławieństwo rządu... Co mu można zrobić⁰

- Nie wiem, ale coś się robi! Jesteś ze mną? Alan nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu.

- To tak jakby księstwo Monako wypowiedało wojnę Związkowi Sowieckiemu!

Zamilkli. Kelner postawił na stole zamówione dania.

- Jakiś deser?

- Później - powiedział Alan. - Proszę mi przynieść drugą butelkę tego samego.

Sięgnął ręką po kieliszek. Łokciem popchnął kopertę, która spadła. Schylił się i z powrotem położył ją na obrusie. Samuel spojrzał pytającym wzrokiem.

- Forsa - powiedział Alan. Bannister wytrzeszczył oczy.

- Pieniądze od Burgera. 20 000 dolarów... Nadział krewetkę końcem widelca. Samuel z pośpiechem wypił wielki łyk wina.

- Masz w niej 20 000 dolarów?

Alan niedbale rozbebeszył kopertę końcem noża.

- Popatrz...

Ukazały się paczki zielonkawych banknotów.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Bannister. - Prawdziwe! Wyciągnął rękę, by je pochwycić, ale nie ośmielił się dokończyć gestu.

- Dotknij - powiedział Alan. Rozrzucił kilka banknotów po stole.

- Szaleństwo - wymruczał marzycielsko Samuel. - Zupełne szaleństwo!

Znów jego spojrzenie odpłynęło. Oczy wykonały tysiąc obrotów w swych orbitach. Rzucił wstydliwie serwetkę na banknoty i wykrzyknął zmienionym głosem:

- Czyli... to znaczy... to oznacza, że Hackett naprawdę ci je przelał...

- Gardło sobie zdzieram, powtarzając ci to od rana - przerwał mu Alan. - Równy 1 170 400 dolarów.

Bannister mocno uderzył pięścią w stół.

- Mamy ich!

- Słucham?

Samuel wymachiwał triumfalnie serwetką.

- To pierwsze ogniwo łańcucha!

- Zapominasz o pewnym szczególe - powiedział zimno Alan. - Być może mam milion w banku, ale nie mam ani jednego dolara. Jestem bez grosza, splukany.

Bannister gwałtownie rzucił kopertę na obrus.

- A to gówno?

- To do mnie nie należy. Nie ruszę tego nawet pincetą.

- A kopa w dupę też mam ci dać pincetą? Oszukałeś kogoś? Ukradłeś coś? Kto ci może cokolwiek zarzucić?

- To nie jest moje! - upierał się Alan. - Nie przechwalaj się! Na moim miejscu zrobiłbyś tak samo!

- Na twoim miejscu już byłbym daleko. Masz je na swoim koncie, nikogo o nic nie prosisz, wykorzystaj swoją szansę, ośle! Co ryzykujesz?

- Pójdźcie do pierdła! A tego nie chcę!

- Wiesz dlaczego jesteśmy dwa biedne głupy? Ponieważ nigdy nie mieliśmy kapitału wyjściowego! Zawsze nam brakowało jednego dolara, żeby móc zarobić dziesięć! A teraz już nie! Kapitał właśnie masz! Wymarzony milion, rozumiesz, co to znaczy? Ten pierwszy milion, który ostatni kretyń potrafi potroić w osiem dni!

Alan otworzył usta, aby zaprotestować.

- Nie, zamknij się - rozkazał Bannister. - Dosyć już się nabiedowaliśmy. Dokładnie wiem, co mamy robić! Będziesz mnie słuchał nie przerywając!

- Niczego nie będę słuchał, dopóki się nie dowiem, skąd wzięła się pomyłka, dzięki której mam tyle forsy!

Samuel zmiażdżył go spojrzeniem:

- Odwracasz kota ogonem. Nieważne, skąd się wzięła, ważne, że jest! Najważniejsze, aby używać jej dostatecznie długo, aby móc zemścić się na tych bydlakach i zbić fortunę!

Oscar Vlinsky czuł się nieswojo. Kiedy Fischmayer wpadał w złość, gmach Burgera trząsł się w posadach. Jasne było, że Abel Fischmayer jest o włos od wybuchu. Są oznaki, które nie mogą mylić. Jego cera z rumianej stała się ziemista. Wydatne wargi w jakiś czarodziejski sposób znikły tworząc twardą, bezlitosną, prostą linię.

Oscar popełnił nieostrożność i wyraził w jego obecności swe własne zdanie, zamiast ograniczyć się, jak zwykle, do odpowiedzi: „Tak, proszę pana” lub „Nie, proszę pana”. Oscar powiedział mianowicie Fischmayerowi: „Jestem zdziwiony, proszę pana, bo mój komputer nigdy się nie myli”. Fischmayer wyprostował się, by zmiażdżyć zuchwalca z wysokości swoich dwóch metrów.

- Vlinsky, pan opowiada bzdury! Czy pan chce, abym wezwał pracowników sejfów, aby pokazali nam natychmiast, i to w gotówce, depozyt naszego klienta?

- To nie jest konieczne, proszę pana.

- Wierzy mi pan na słowo?

- Oczywiście, proszę pana.

- Dziękuję, Vlinsky!

Ostatnie słowo wypluł wprost w twarz Oscarowi. Fischmayer, który był jednym z trzech plenipotentów banku Burger, wycelował w niego wskazujący palec, gruby jak serdelek:

- Jeżeli podobne pomyłki będą się powtarzały, to pana wywalę, Vlinsky! W tym banku klient jest świętością!

Vlinsky powinien był się wycofać na paluszkach do swego biura i tam się ukryć. Na nieszczęście przypomniały mu się słowa Galileusza, który omal nie stracił życia, broniąc swej racji przeciw wszystkim. Wbrew sobie, ze spuszczoną głową, szepnął bez zastanowienia:

- A jednak się kręci...

- Słucham? - zaczerwienił się Fischmayer.

- Ma pan stokrotnie rację, proszę pana. Ale chciałbym jednak w tej sprawie być ścisły...

- Pan sobie pozwala być ścisły?

- Tylko w tym punkcie, proszę pana. W chwili, gdy zasygnalizowałem naszym służbom spraw spornych debet na koncie naszego klienta... minimalny, przyznaję...

Było zbyt późno, aby włączyć wsteczny bieg mimo straszliwego wzroku Fischmayera. Oscar z trudem brnął dalej:

- Tak proszę pana, debet był naprawdę.

- Co mi pan tutaj opowiada! Mam wydruk pana Pope! Na jego koncie znajduje się ponad milion dolarów! Czy pan oszalał? Czy pan chce, aby przeniósł swój majątek do konkurencji? Odtąd proszę, aby go traktowano w sposób szczególny. Słyszysz mnie pan?... Szczególny! Dobranoc, Vlinsky!

Oscar w popłochu wycofał się na korytarz. Był pewien, że jego komputer nie popełnił żadnej pomyłki. Zresztą Abel Fischmayer nie był nieomylny. W tych okolicznościach komu wierzyć?

Niemal w tym samym momencie Samuel Bannister popatrzył na zegarek: dziewiąta rano. Ukradkiem rzucił okiem na Patsy, która robiła manicure udając, że jest pochłonięta aktami fluoru. Samuel dostał gwałtownego ataku kaszlu. Patsy ukryła lakier pod aktami.

- Czy chce pan wody?

Purpurowy na twarzy Samuel kaszlał coraz bardziej.

- Fatalnie się czuję, Patsy... Gardło, trochę gorączki... Niech pani pójdzie do apteki i przyniesie mi jakieś pigułki...

Już była na nogach.

- Jakiej firmy?

- Niech pani zapyta farmaceutę, powinien wiedzieć lepiej ode mnie...

Gdy tylko wyszła z pokoju, usiadł za jej biurkiem i wykręcił prywatny numer Arnolda Hacketta. Strawił część nocy głowiąc się, jak go zdobyć. Było to zupełnie głupie, wystarczyło, by zerknął do książki telefonicznej. Usłyszał, jak ktoś podnosi słuchawkę i odruchowo wyprostował się.

- Proszę z panem Hackettem...

- Kto mówi?

- Oliver Murray, odpowiedzialny za sprawy personalne w firmie Hackett.

- Pana nie ma.

- Jak mógłbym skontaktować się z panem Hackettem?

- Wątpię, aby pan życzył sobie, by się z nim kontaktować. Państwo właśnie wyjechali na wypoczynek za granicę.

- Jednak muszę nalegać. Pan Hackett osobiście mnie prosił, bym się z nim skontaktował w sprawie najwyższej wagi. Myślę, że pan Hackett będzie panu wdzięczny za wskazanie mi miejsca jego pobytu.

- Hotel Majestic, Cannes, Francja.

- Dziękuję bardzo - powiedział grzecznie Samuel. - Uważam to za obrzydliwe, że Arnold wystawia dupę do słońca, podczas gdy ja haruję jak wół w Nowym Jorku. Do widzenia panu.

Trzęsąc się po przeżytych emocjach nakręcił nowy numer.

- Alan, wiem, gdzie jest wróg! Jutro wyjeżdżasz!

- Dokąd?

- Do Francji! Hotel Majestic, Cannes.

Przerwał połączenie czubkiem palca i poprosił o informację międzynarodową.

- Czy możecie mi podać numer hotelu Majestic w Cannes?...
Tak... Tak... We Francji... Czekam...

Rozdział 7.

Leżąc na brzuchu na dywanie, Alan raz jeszcze przeczytał kartkę, na której Samuel zanotował, co ma zrobić w ciągu dnia. Było parę minut po dziewiątej rano. Mimo straszliwego upału Nowy Jork szumiał, pracowało już tysiące niewolników. Nie myśleć, nie poddać się, działać... Zadzwoił do maklera giełdowego.

- Arthur Dealy?... Nazywam się Pope. Alan Pope. Chciałbym kupić złoto. Czy może mi pan podać kurs otwarcia?

- 180 dolarów za uncję, panie Pope. Jaką sumę chce pan przeznaczyć?

- 200 000 dolarów.

- Doskonale. Dwieście tysięcy. Jak chce pan zapłacić?

- Czekałem imiennym Burger Trust. Otrzyma pan czek do rąk własnych za godzinę.

- Czy mam panu przysłać posłańca?

- Dziękuję, ale to niepotrzebne. Jestem w Nowym Jorku przejazdem.

- W jakim hotelu pan się zatrzymał, panie Pope?

- Jestem u przyjaciół. Czy chce pan zanotować mój numer?

- Oczywiście, panie Pope. - 399 07 33.

- Zanotowałem. Czy mogę do pana zadzwonić za pięć minut?

Wzywają mnie. Do usłyszenia.

Rozmowa została przerwana. Alan potrząsnął głową. Oczywiście Dealy wykorzysta ten czas, by sprawdzić, czy jest wypłacalny. Mimo licznych nagromadzonych dowodów on sam ciągle nie mógł w to uwierzyć. Naciągnął czystą koszulę i wślizgnął się w spodnie. Uważał za śmieszne zakładanie krawata w tak straszliwy upał, ale Samuel był stanowczy. Zawiązał krawat. Dzwonek telefonu.

- Proszę mi wybaczyć, panie Pope. Szef mnie prosił. Czekam więc na pana za godzinę, by przekazać pana polecenie. Zna pan adres?

- Znam.

Narzucił lekką marynarkę, przekonany tym razem, że chwilowo jest człowiekiem bogatym. Obrzucił spojrzeniem mieszkanie, wsunął kartkę z poleceniami Samuela do kieszeni i wyszedł. Dwadzieścia minut później wszedł do American Express.

- Dział zagraniczny?

Sale wypełniał zbity tłum. Przed okienkami, w których wypłacano pieniądze, ciągnęły się kolejki.

- Proszę pani, jutro wyjeżdżam do Francji, na Lazurowe Wybrzeże. Czy może postarać mi się pani o samochód zaraz po przyjeździe.

- To będzie trudne - powiedziała panienka obojętnie. - Jesteśmy obleżeni. Jaka marka?

- Rolls corniche z kierowcą. Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Pójdę zobaczyć... Zakrzętnęła się przy telefonie. Alan zapalił papierosa.

- Ma pan szczęście, został nam jeden samochód tej marki. 200 dolarów dziennie, wliczając ubezpieczenie.

- A kierowca? - zapytał Alan starając się z wysiłkiem przełknąć ślinę.

- Również. Oczywiście napiwki to pańska sprawa. Czy pan bierze?

- Biorę.

- Pana nazwisko?

- Alan Pope. Chciałbym również kupić czeki podróżne. Czy może to pani dla mnie załatwić?

- Na jaką sumę?

- 200 000 dolarów.

Popatrzyła na niego z szacunkiem. Alan poprosił o pióro i wypełnił czek dla American Express na sumę 200 000 dolarów. Nie mógł się powstrzymać, by nie wsadzić palca między szyję a kołnierzyk swojej koszuli: była mokruleńka. Dziewczyna z uśmiechem wyjęła mu czek z rąk.

- Przepraszam na chwileczkę.

Zniknęła w głębi sali, by przekazać polecenie w sprawie dwustu tysięcy dolarów. Wróciła po chwili ciągle się uśmiechając.

- Zgoda, panie Pope. Czy może pan wpaść za godzinę? Pana czeki będą przygotowane.

- Och, byłbym zapomniał... - powiedział Alan. - Chciałbym również wynająć jacht.

- Ilu ludzi załogi? - zapytała niespieszona.

Alan spojrzał zaskoczony.

- Ośmiu? Dziesięciu?... Co pani mi radzi?

Była mała, bardzo zgrabna, z długimi czarnymi włosami i niebieskimi oczami.

- To pan mi musi powiedzieć, panie Pope. Niestety, to nie ja się na niego zaokrętuje.

Zdanie było podparte mimiką nie pozostawiającą wątpliwości: gdzie chcesz i kiedy chcesz! Pogrzebała w katalogu, wyciągnęła wiele papierów, przejrzała i wyciągnęła jeden do Alana.

- Co by pan powiedział o tym? Dziesięciu członków załogi, dwóch kucharzy, Marokańczyk i francuski pomocnik. Piętnaście węzłów, sześć kabin, w tym kabina armatora, ozdobione dywanami i klasycznymi meblami, sto dwadzieścia pięć metrów kwadratowych żagla.

Ze ściśniętym gardłem Alan wertował niedbale broszurę.

- Wydaje mi się odpowiedni...

- Jest wspaniały. 4000 dolarów dziennie. Jedzenie nie wliczone. Na ile czasu chce go pan mieć?

- Nie wiem dokładnie - powiedział Alan czując jak włosy podnoszą mu się na głowie.

- Statek będzie wolny za trzy dni. Może pan go wypożyczyć najwyżej na dwa tygodnie. Tutaj też ma pan szczęście. Bardzo rzadko można znaleźć coś dobrego, jeżeli nie pomyśli się o tym rok czy dwa wcześniej. Niech pan popatrzy...

Podsunała mu notkę dotyczącą dat wynajmu okrętu. Od 15 maja do 30 października - komplet. Pomiedzy datami 26 lipca i 9 sierpnia szerokim ręcznym pismem napisano: „Anulowane”. Alan z przestachem zadał sobie pytanie, do jakiej wybranej grupy bogów należeli ludzie, którzy walczyli, aby wynająć statek za 4 000 dolarów dziennie!

- Klienci wycofali się dziś rano. Z pewnością Hiszpanie. Garcia to chyba hiszpańskie nazwisko?... Żona miała wypadek. To dziwne, ale to panu przyniesie szczęście!... Niech pan weźmie, 26 lipca to moje imieniny... Mam na imię Anna.

Podniosła twarz i spostrzegła, że pożera ją wzrokiem.

- Nazwa statku: Victory II. Jest zacumowany w Cannes, w... (zajrzała do fiszek) - w porcie Canto. Ale ma pan szczęście, że pan tam jedzie. Pierwszy raz?

- Nie - skłamał Alan.

- Wszystko będzie uregulowane do pana przyjazdu. Czy pan potrzebuje jeszcze czegoś?

- Myślę, że to wszystko.

- Do usług, panie Pope.
- Do zobaczenia wkrótce.
- Będę na pana czekała. Wystarczy, że pan tylko poprosi...
- Annę, wiem. Nie zapomnę.

Odwrócił się wiedząc, że nie spuszcza go z oczu. Na ulicy złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Gucciego. Samuel nalegał: „Będą cię tak samo oceniać według twoich bagaży, jak i według twojej miny!” Wskazał palcem wiele toreb podróżnych, o mało się nie udusił, kiedy mu powiedziano, ile kosztują, chciał zapłacić kartą kredytową, ale zreflektował się i wypisał czek: przynajmniej ci dzielni ludzie nie zostaną skrzywdzeni, czek - jeżeli tylko będzie zrealizowany dostatecznie wcześniej - będzie honorowany. Poprosił sprzedawcę, uważa o łagodnych oczach, by przechował zakupy aż do zamknięcia sklepu. Taksówka czekała na niego.

- Do Saksa - rzucił.

Wybrał sześć letnich różnobarwnych garniturów, w kolorach od skorupki jajka do antracytu. Niektóre wymagały pewnych poprawek. Zaproponowali wykonanie na następny dzień.

- Za późno - oświadczył Alan autorytatywnym tonem, który go zdumiał. - Dziś wieczorem albo wcale. Potrzebuję również bielizny.

Dyrektor skłonił się i poprowadził go do działu koszul.

- Wpadnę przed czwartą.

Wypisał czek na 1 759 dolarów, wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres banku. Wypłacono mu bez żadnych historii 20 000 dolarów w banknotach, które wsadził do małej teczki od Gucciego. „Na drobne wydatki...” - powiedział mu Samuel całkiem poważnie. Taksówka ruszyła w kierunku 5 Alei, gdzie znajdowały się biura Arthura Dealy.

Alan przedstawił się sekretarce. Makler przyjął go natychmiast w maleńkim gabinecie.

- Oto czek - powiedział Alan.

Dealy wziął go, ujął słuchawkę telefoniczną i wydał polecenia. Operacja trwała zaledwie dwadzieścia sekund. Odwrócił się do Alana z uśmiechem.

- Jest pan więc właścicielem 31 kilogramów i 496 gramów złota wysokiej próby, panie Pope. Wierzę, że dokonał pan dobrej lokaty. Czegokolwiek się nie dotkniemy, sytuacja nie jest pewna. Złoto może jeszcze pójść w górę. Czy długo chce je pan zatrzymać?

- Nie sędę.

- Służę panu. Gdyby pan chciał zrobić krótkoterminowy, dobry interes, proszę pozwolić sobie doradzić wyroby farmaceutyczne. Od początku wakacji prawdziwa hossa! Akcje ciągle idą w górę...

- Naprawdę? - powiedział Alan myśląc, że Hackett miał czelność zwolnić go wczoraj pod pretekstem stagnacji ekonomicznej!

- Proszę mi zaufać, panie Pope! Może pan w trzy miesiące zyskać 25%.

- Zastanowię się - powiedział Alan.

- Och!... Pańskie pokwitowanie...

Alan wsunął je do kieszeni. Było po dwunastej. Wrócił do American Express. Przyjechawszy przed budynek kierowca taksówki powiedział mu z głupia frant:

- No, stary, już trzy godziny taszczę się z tobą. Licznik bije. Jeszcze nie wrzuciłem nic na ruszt. Chciałbym wiedzieć, ile jeszcze czasu będzie pan mnie trzymał?

- Cały dzień - Alan usłyszał z osłupieniem własną odpowiedź. - Mam spotkanie o 13.00. Skorzysta pan, aby zjeść obiad.

Podał mu trzy banknoty dziesięciodolarowe i wpłynął do hallu. Anna wyraźnie go oczekiwała.

- Wszystko przygotowane, panie Pope. Przyleci pan na lotnisko w Nicei i zatelefonuje pod ten numer... Kierowca rollsa będzie w dwadzieścia minut później. Nazywa się Norbert. I tak jak zostało ustalone: Victory II...

- A co się stało z Victory I?... - zapytał Alan zatrzymując nieco zbyt długo swoje spojrzenie na piersiach Anny. - Zatonęła?

Uśmiechnęła się.

- Victory II będzie do pana dyspozycji 26, tak jak ustalono. Kapitan Le Guern oczekuje na pana rozkazy, by popłynąć tam, gdzie będzie to panu odpowiadało. Włochy, Sardynia, Korsyka, Grecja - wystarczy tylko powiedzieć. Zdaje się, że pogoda jest wspaniała. Morze jak ciepła zupa. Czy chce pan wynająć jakąś rezydencję na czas pana pobytu? Mamy wspaniałe, na okres od dwóch tygodni do wielu lat. Ze służbą.

- Zatrzymam się w hotelu.

- Majestic, Carlton, Negresco?...

- Majestic. Wykonała aprobujący ruch głową.

- Tu są pańskie czekki podróżne...

Wsadziła mu do ręki wypchaną kopertę. Podczas tej czynności jej palce musnęły dłoń Alana. Każde z nich wiedziało natychmiast, że drugie jest świadome tego przelotnego kontaktu.

- O której godzinie kończy pani pracę?

Otworzyła szeroko oczy, jak niewiniątko.

- O 17.30. Dlaczego?

Pomimo swej nieśmiałości poszedł na całego.

- Jeżeli nie ma pani nic lepszego do roboty, myślałem... Jem kolację sam... Może można by...

Zrobiła zmartwioną minę, przygryzając wargi z zażenowaniem.

- Dziś wieczorem?... To znaczy, byłam umówiona... Alan pospiesznie zaczął się wycofywać.

- Przykro mi... Zresztą, zapomniałem że... Sam mam cocktail u starych nudziarzy, zna pani ten rodzaj ludzi. Szkoda...

Przerażona na myśl, że może się wymknąć, rzuciła jednym tchem:

- Mogę odwołać! Ale przedtem muszę wstąpić do domu. Gdzie mogę się z panem spotkać?

Miała już w ręku notes i ołówek.

- Mieszkam u Pierre'a - skłamał Alan bez wahania.

- Moglibyśmy się tam spotkać?

- Doskonała myśl!

- A więc przyjdę prosto do baru. Około siódmej?

- Świetnie - rzucił Alan swobodnym tonem. - Będę tam. Ich wytrawne martini jest wspaniałe!

- Panie Pope!...

- Tak?... Obawiał się przez chwilę, że zmieniła zdanie.

- Nie przeliczył pan swoich czeków podróжных.

- Proszę się nie niepokoić... - rzucił jej z fałszywą swobodą.

Schodząc po schodach poczuł się nieswojo: nie poznawał samego siebie. Wszystko, co popełnił od rana, robił ktoś nieznamy, kto wprawdzie nosił jego nazwisko, ale czyje postępowanie tak odbiegało od normy, że absolutnie nie chciał mieć z tym obcym nic wspólnego. W ciągu kilku godzin kupił złoto, komplet garderoby, luksusowe walizki i torby, wyjął tysiące dolarów z banku, wynajął jacht, rollsa, udawał, że zna Lazurowe Wybrzeże, opowiadał, że mieszka w pałacu i zatrzymał taksówkę na cały dzień! Jeszcze wczoraj taka ilość szaleństw wydawałaby mu się niemożliwa. Samuel jest paranoikiem, a on stracony. Jak mógł być na tyle szalony, aby zachowywać się tak,

jakby pieniądze, które wyrzucał za okno naprawdę do niego należały? Czując zawrót głowy wsiadł do samochodu. Kierowca przytrzymał mu otwarte drzwi.

- A teraz, proszę pana, dokąd jedziemy?

To zdumiewające „proszę pana” podsyciło jego obawy. Wbił się w kąć i spuścił oczy, by nie spotkać jego wzroku.

- Do hotelu Pierre - wymówił ledwo słyszalnym głosem.

W kwadrans później siedział przy stole naprzeciw Bannistera w hotelowym grillu. Zmarszczył brwi rozpoznając butelkę spoczywającą w wiklinowym koszyczku.

- Kto to zamówił?

- Ja - powiedział z prostotą Samuel. Haut - Brion, 61,20 dolarów. Alan poczuł, jak krew odpływa mu z policzków.

- A kto za to zapłaci?

- Ty. Zamówiłem na początek trochę kawioru. Wódka już idzie. Odpowiada ci?

- Jesteś kompletnie stuknięty! - zbuntował się Alan. Bannister lekceważąco wzruszył ramionami.

- Trzeba umieć wydawać, aby zarobić jeszcze więcej. Zrobiłeś to wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak! - warknął Alan.

- Miałeś jakieś problemy?

- Mój problem to ty! Złoto, łachy, rolls, jacht... I ten rachunek!

- W tym punkcie, w którym jesteśmy, 400 dolarów więcej czy mniej...

- A jeżeli zostawiłbym cię tutaj razem z rachunkiem?... Musiał mówić ciszej. Piwniczny z namaszczeniem nalał nektaru do kielichów.

- Czy zechciałby pan spróbować...

Bannister przybrał minę znawcy, wachał wino przez dłuższą chwilę, podniósł do ust i trzymał dłuższą chwilę nie łykając. W postawie na bacność piwniczny oczekiwał na wyrok.

- Fantastyczne - rzucił wreszcie Samuel.

- Dziękuję panu.

Napełnił równie ostrożnie obydwie kieliszki, uklonił się i odszedł. Samuel przeciągnął się z rozkoszą.

- Oto jak rozumiem życie! Jaka szkoda, że zaczynam tak późno!

- Kpisz ze mnie?

- Pierwsze przykazanie: panować nad sobą.
- To o moją skórę toczy się gra, nie o twoją!
- Drugie przykazanie: planować. Nie mając żadnych materialnych trosk, bogaci nie mają niepokojów metafizycznych. Ich konto bankowe pozwala im wyjść cało niemal ze wszystkich delikatnych sytuacji. Bogaci nie muszą podnosić głosu, ponieważ ich się słucha. Nie spieszą się nigdy, ponieważ się na nich czeka. Jeżeli są głupi, znajduje się w nich głębię. Jeżeli nic nie mówią - coś tajemniczego. Jeżeli są rozmowni - finezję. Gdy się zaziębia, inni kaszlą. I wystarczy wyłożyć spokojnie swą opinię, by być wysłuchanym natychmiast i wszędzie.

- Jestem spłukany - rozpaczał Alan.
- Błąd. Jesteś milionerem, czego mi sam dowiodłeś.
- Ta forsa nie należy do mnie!
- Bez znaczenia. Jeżeli inni tak uważają...
- Przez ile czasu, tłumoku?
- Jeżeli nie popełnisz błędu, to przez całe życie. Pieniądz idzie do pieniądza. Nawet jeżeli będziesz bogaty przez dwa tygodnie, jest to okres wystarczający, aby zapewnić na wieki fortunę każdemu indywidualium dostatecznie zdolnemu.

- A jeżeli mi się nie uda?
- Tysiąc razy marzyłem, aby być w twojej sytuacji.
Postawiono na stole kawior w kryształowej salaterce obłożonej tłuczonym lodem. Piwniczny nalał im wódki: kieliszki natychmiast pokryły się mgiełką. Bannister podniósł swój:

- Na szczęście, Alan. - Następnie wskazując kawior dodał: - Białą! Gruboziarnisty! 100 dolarów!

Alan nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Jesteś zupełnie stuknięty!
- Pożywienie bogatych, Alan, wino królów. Zobaczysz, że mózg lepiej pracuje... Ludzie faszzerowani kartoflami mogą mieć tylko marzenia chłopów!

- Gdzieś ty się tego nauczył? - zapytał Alan rozprowadzając łyżeczką kawior na kromce razowego chleba.

- Jest się tym, co się je - zakonkludował z powagą Bannister. Alan długo mu się przyglądał.

- Zdumiewasz mnie, Sammy. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale od wczoraj nie jesteś ten sam. Nie poznaję cię.

- Kupiłeś złoto?
- Zrobione. Za 200 000 dolarów.
- Giełdę zamykają o 16.00. Musisz przekazać polecenie sprzedaży najpóźniej o 15.30. Gdy tylko ta transakcja dojdzie do skutku, poproś Dealy'ego, aby ci dał przekaz na First National. Będiesz mógł je podjąć we Francji nie zwracając na siebie uwagi służb fiskalnych. Czeki podróżne?

- Mam.

- Pieniądze w banknotach?

- Też.

- Zaraz po przyjeździe udasz się do kasyna w Palm Beach. O tej porze gra się tam bardzo wysoko. Otworzysz sobie czekiem na własne nazwisko kredyt do wysokości 500 000 dolarów. Sprawdzą stan twojego konta i dadzą ci kredyt bez problemu. Nazajutrz i przez dalsze dwa dni będziesz podejmował z kasy sztony do sumy twojego kredytu. Trochę stracisz, nie za dużo, zabaw się. Potem zwrócisz wszystkie sztony kasjerowi. Wypisze ci czek obciążający kasyno. W ten sposób uda ci się przerzucić blisko milion dolarów z jednego do drugiego kraju pod nosem celników.

- Wspaniale - zaopiniował Alan z ponurą miną. - Zapominasz tylko o pewnym szczególe. Hackett?

Bannister odwrócił oczy i podrapał się w głowę. Alan nagle skierował palec w jego kierunku.

- Nie spodziewaj się, że mnie w coś uwikłasz, Sammy, nie zrobisz mnie w konia! Jeżeli mi nie powiesz, jak mam się obcyndalać z Hackettem, rzucam wszystko! Chcę precyzyjnego i sensownego planu!

- Do cholery, przecież nie jesteś kretynem! Zobaczysz sam na miejscu! Będziecie oddychać tym samym powietrzem, pluskać się w tej samej wodzie, zjeść te same potrawy, bywać u tych samych ludzi, pieprzyć te same dziewczyny! Musisz improwizować! Jaką masz szansę, by w Nowym Jorku otrzeć się o taką grubą rybę jak Hackett?

- Żadnej. I bardzo dobrze! Nie jadę!

Bannister posłał mu spojrzenie spode łba, odczekał i zaryzykował obojętnym tonem:

- Masz dokładnie dwa tygodnie na znalezienie sposobu, jak go zaatakować. Wiem, skąd się wzięła pomyłka.

Alan podskoczył tak, jakby ukąsił go wąż. Samuel uspokoił go gestem.

- Całą noc kombinowałem nad twoim problemem. Myślę, że kapuję. W każdym razie to nie może być nic innego.

- Co? - zawył Alan.

- Komputer. Pomyłka komputera! Odpowiedz na moje pytania nie denerwując się: kiedy Murray cię wyrzucił, ile ci zaproponował jako odszkodowanie?

Alan ściągnął brwi, zawahał się...

- Cztery lata stażu i trzy miesiące wymówienia, razem siedem miesięcy.

- Ile dostawałeś miesięcznie?

- 1672 dolarów.

- Pomnożone przez 7?...

Alan wyjął ołówek, chciał nabazgrolić na obrusie. Bannister powstrzymał go.

- Nie fatyguj się: 11.704 dolary. Ile wynosi wpłata otrzymana od Burgera?

- 1.170.400 dolarów. Samuel uśmiechnął się sarkastycznie.

- No i co, mądralo, kapujesz?

- Nie.

- Nie widzisz, że to ta sama liczba plus dwa zera?

- Cholera - powiedział Alan. - Mój Boże! Zapudłuj mnie!

- Kto cię zapudłuje? Z czyjego oskarżenia? Hacketta czy Burgera? Kto zrobił to głupstwo?

- Nie wiem.

- Albo to nasz komputer zwariował, zapominając przecinka, albo komputer Burgera. W obu przypadkach to niczego nie zmienia. Mamy począwszy od jutra pełnych czternaście dni, aby go ubiec.

- Ubiec w którą stronę?!

- W przypadku, gdyby odkryli pomyłkę - a nic nie wskazuje, że zostanie odkryta - może to nastąpić dopiero 8 sierpnia. Właśnie ósmego każdego miesiąca sporządzane są u Hacketta karty płac, a potem zeruje się konta osobowe i komputer pokazuje natychmiast ogólny bilans firmy.

- A jeżeli pomyłkę zrobiono w banku?

- To samo. Hackett jest największym klientem Burgera. A Burger jedynym bankiem dysponującym kapitałem i wypłacającym

kredytowo pensje u Hacketta. Wszystkie pieniądze przechodzą przez te dwie instytucje, w tę lub tamtą stronę: 459 milionów dolarów rocznie! A ty się niepokoisz twoim napiwkami! No i co o tym powiesz?

Alan potrząsnął bezsilnie głową.

- To mnie przerasta.

- Przygotowałem wszystko ze szczegółami. Bilet odbierzesz na lotnisku, pierwsza klasa! Zamówiłem dla ciebie wspaniały apartament w Majestic, masz szczęście, bo pęka w szwach, opowiem ci dzisiaj wieczorem, jak udało mi się dokonać tego, żeby cię przyjęli...

- Dziś wieczorem? - wybełkotał Alan. - Nie mogę. Jestem zajęty!

- Żartujesz? Mamy jeszcze tysiące spraw do omówienia!

- Mówię ci, że to niemożliwe! Mam spotkanie!

- Mam gdzieś twoje randki. Są ważniejsze sprawy!

- Gdybyś ją zobaczył... Ma na imię Anna. Samuel natychmiast poczuł się w swoim żywiole.

- Blondynka?

- Brunetka.

- Skąd ją wytrzasnąłeś, łajdaku?

- Zajmowała się mną w American Express. Dałem jej do zrozumienia, że tu mieszkam. Zjawi się w barze o siódmej.

- Masz apartament?

- Oczywiście, że nie mam!

- Daj mi 20 dolarów... Maitre d'hotel!...

Samuel wsunął kelnerowi banknot, który Alan niechętnie podał mu przed chwilą pod stołem.

- Pan Pope jest przejazdem w Nowym Jorku. Zapomniał zarezerwować. Proszę z tym coś zrobić... Apartament...

- Oczywiście proszę pana. Spróbuję.

Poszybował między stolikami, nagle głuchy na wezwania klientów.

- Widziałeś, jak leciał? - zapytał Bannister. - Zawsze marzyłem, aby dawać duże napiwki. To bardzo ułatwia sprawy!

- Chciałbym, żebyś pamiętał: tu chodzi o moje pieniądze. Ile kosztuje apartament w tej norze?

- Co za pytanie! Kiedy wreszcie przestaniesz mówić ciągle o pieniądzach?

Przejęty swoją ważnością maitre d'hotel pochylił się ku Samuelowi.

- Nie było nic wolnego, ale udało mi się załatwić... Pan Pope będzie miał apartament... 325 - 326.

Przyniesiono steki.

- Naprawdę przyjedziesz do mnie, Samuelu?

- No pewnie! To sprawa trzech lub czterech dni najwyżej, słowo!

- Nie dasz się pożreć?

- Przyjrzałeś mi się?

- A Christel?

- To moja sprawa!

- Hackett?

- Wezmę sobie zwolnienie lekarskie. Jest zbyt dużo rzeczy, które chcę zrobić, zanim się na nich wypnę.

Po kawie i koniaku zdecydowali, że zdzwonią się następnego dnia rano.

- Dobrej młócki! - rzucił Bannister swawolnie mrugnawszy okiem.

Bannister wrócił do biura, Alan do taksówki. Ciekawe: kula uciskająca żołądek zniknęła. Zabrał swe zakupy od Gucciego, a kierowca załadował je do kufra. U Saksa garnitury były gotowe. Pudła ułożono na walizkach. Było po trzeciej. Przez chwilę Alan miał ochotę kazać się odwieźć do siebie, mimo że sama myśl o mieszkaniu bez wody była dla niego nie do zniesienia. Przypomniał sobie wówczas, że zajmuje apartament 325 - 326 i wybuchnął śmiechem.

- Wracamy do Pierre'a! - rzucił.

Alkohol chwilowo ciszył jego niepokoje. Był trochę zamroczony, czuł się dobrze. Wszystko było takie łatwe... Bagażowi wyładowali pakunki.

- Zanieście je do mnie.

Poprosił kierowcę, aby na niego czekał, poszedł do recepcji i poprosił o sejf. Poprowadzono go do małej, opancerzonej salki. Kiedy otwarto mu sejf, wrzucił do niego torebkę zawierającą czeki podróżne i 20 000 dolarów w banknotach. Na czas tej operacji urzędnik usunął się dyskretnie. Po czym wrócił, zamknął sejf, podał mu klucz. Alan podziękował, przeszedł przez główny hall, zamknął się w kabinie telefonicznej i nakręcił numer.

- Arthur Dealy?... Jestem Alan Pope, przypomina pan sobie?

- Oczywiście, panie Pope! Czym mogę panu służyć?

- Proszę sprzedać natychmiast po kursie zamknięcia i wypisać przekaz na First National. Będę u pana za dwadzieścia minut.

Wyłączył się, nie dając mu czasu na odpowiedź. Gdy tylko pojawił się w biurze, Dealy rzucił mu uważne spojrzenie.

- Gratulacje, panie Pope. Skąd pan to wiedział?

- Co wiedział?

- Iran.

- Iran? Arthur Dealy uśmiechnął się blado i zrobił mądrą minę.

- Oczywiście, panie Pope, proszę wybaczyć... W każdym razie, jeżeli będzie okazja, proszę o mnie nie zapominać. Bardzo chciałbym w tym uczestniczyć!

Alan wytarł nos, by nie mieć zbyt kretyńskiej miny.

- Kiedy przekazywałem rano pana polecenie złoto było po 180 dolarów za uncję. W momencie zamknięcia po 215! Zarobił pan 38 888 88 dolarów. Brawo! Czy myśli pan, że osiągnięto już pułap?

- Ze złotem... - zaryzykował Alan.

- Wszystko będzie zależało od szybów naftowych. Jeżeli zamkną szyby... Co za czasy!...

- Czy ma pan dla mnie przekaz?

- Proszę. First National, jak pan sobie życzył. 238 889 dolarów. Zaokrągliłem.

- Do widzenia, panie Dealy.

- Zawsze do usług, panie Pope. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Kiedy jechał do hotelu, Alan pograżył się w otchłaniach myśli. To, co mu się przydarzyło, przerastało go. Wystarczyło wierzyć, że się ma 200 000 dolarów, by w kilka godzin zarobić 40 000. A jeżeli Bannister ma rację?... Kiedy wszedł do swego apartamentu zobaczył zakupione rzeczy starannie ułożone w przedpokoiku. Duży salon, przylegający do sypialni wychodził na Central Park. Alan obszedł go wielokrotnie nie mogąc uwierzyć, że to właśnie on depta te dywany. Zbliżył się do okna i machinalnie wytarł zakurzone buty w ciężkie, beżowe zasłony. Zdziwiony zadał sobie pytanie o sens tego idiotycznego gestu. Może nie chciał się czuć przygnieciony tym luksusem? Rzucił się na łóżko, odbił się, podskoczył. „Chyba zwariowałem” - pomyślał. Wszedł do łazienki, bawił się przez chwilę kierując strumienie wody na marmurową obudowę natrysku. Rzucił

ubranie na ziemię, przeszedł po nim nie patrząc, udał się do baru w salonie i przygotował sobie gin z tonikiem. Spróbował go, zupełnie nagi, siedząc po turecku na wschodnim dywanie. Włączył muzykę, wykonał kilka tanecznych kroków, przyciskając do policzka szklanę, niczym twarz partnerki. Przez okno nie dobiegał najmniejszy hałas, ale widział tłumy zdyszanych urzędników kręcących się w kółko w oczekiwaniu na autobus, w morderczym upale. Ich ożywienie wydało mu się śmieszne. Tutaj wszystko było ciszą i świeżością. Wrócił do łazienki, zwinął w kłębek porzucone ubrania i zdecydowanym ruchem wyrzucił je do kosza. Wszedł pod prysznic, uruchomił kurek z zimną wodą i długo trząśł się pod lodowatym strumieniem. Wytarł się, ujął swoją opróżnioną do połowy szklanę, wypił łyk i wrócił do przedpokoju. Postanowił rozpakować pudła z garniturami. Rozłożył je na łóżku, przyjrzał im się uważnie, wybrał najciemniejszą marynarkę i narzucił na gołe ciało. Popatrzył na swoją sylwetkę w dużym lustrze, w salonie. Marynarka była wspaniała. Po kolei przymierzył pięć dalszych garniturów. Z westchnieniem satysfakcji rozłożył się na łóżku, zapalił papierosa, potem podniósł się i wielkimi krokami przespacerował się po apartamencie. Przestrzeń oszałamiała go. U niego wystarczyło zrobić trzy kroki, by przejść od jednej ściany do drugiej. Znow się położył z głową na trzech jaśkach i popatrzył w sufit. Znajdował się tak wysoko, że spokojnie można było zainstalować w pokoju obszerną antresolę. Poszedł sprawdzić, czy cenę apartamentu uwidoczniło na wewnętrznej stronie drzwi wejściowych. Poza wskazówkami, co robić w przypadku pożaru, wyeksponowanymi z pełną elegancją i dyskrecją, nie było nic. Wzruszył ramionami i przegnał cichy szept mówiący, że jest szalony, że to zbyt łatwe.

Na pięć minut przed godziną spotkania wybrał świeżą koszulę, zawiązał krawat, włożył ciemny garnitur, przyjrzał się sobie po raz ostatni i zatrzasnął drzwi.

W barze usiadł przy małym stoliku pogrążonym w półmroku. Położył klucz tak, by był dobrze widoczny. Weszła Anna, dał jej znak. Była ubrana w czarny komplecik z szerokimi spodniami ukrywającymi obcasy podwyższające ją o dobrych dziesięć centymetrów. Alan podsunął jej krzesło.

- Hej...

- Hej...

- Martini?
- Martini. Przekazał zamówienie.
- Ciężki dzień?
- Straszny! Klienci zwariowali! Wszyscy chcą wyjechać z miasta.
- Czy mi się wydaje, czy pani urosła?
- Nie wydaje się panu. Urzędniczka jest niższa od kobiety.
- Czy ta metamorfoza zdarza się codziennie?
- Niekoniecznie. Zależnie od mojego humoru.
- A jaki on jest dzisiaj?
- Wspaniały! A pana?
- Mój zależy od pani humoru.

Wybuchnęli śmiechem. O trzy martini później Alan zapytał:

- Anno, proszę posłuchać, to mój ostatni wieczór w Nowym Jorku. Czekam na telefony z Francji i Japonii. Czy mogę coś zaproponować?

- Proszę powiedzieć...

- Mój apartament znajduje się na siódmym piętrze, okna wychodzą na park. Miałem dzień podobny do pani; ludzie, ludzie i jeszcze raz ludzie, w głowie mi huczy. Chciałbym, aby było spokojnie, pani i ja, sami. Gdybyśmy zjedli w salonie?

- W salonie?

- U mnie.

Wolno obróciła w palcach kieliszek.

- Dlaczego nie? - powiedziała nie podnosząc oczu.

- Umieram z głodu! - wykrzyknął Alan.

W hallu poprosił, by na niego chwileczkę zaczekała.

- Muszę coś wyjąć z sejfu...

Odprowadziła go zamyślonym spojrzeniem z rękami zaciśniętymi na małej, wyszywanej perłami torebce.

- Jakich perfum pani używa? - zapytał Alan, kiedy byli już w windzie.

Powiedziała mu. Gdy weszła do salonu poszła prosto do okna i podziwiała drzewa w Central Parku w świetle umierającego dnia. Alan podszedł do niej. Odwróciła się do niego plecami. Zawahał się sekundę i położył ręce na jej ramionach. Pozwoliła się przyciągnąć.

- To piękne - powiedziała.

Alan objął ją delikatnie. Odpowiedziała na jego gest ujmując go za rękę. Zanurzył głowę w jej włosach. W dole, w zapadającej nocy, światła samochodów rysowały długie arabeski.

- Ann...

Z nieobecnym spojrzeniem wyszeptała do siebie:

- Noc w Central Parku... Ma pan szczęście...

Musnął jej policzek ustami, zmieszany żarem bijącym od jej skóry poprzez zwiewną tkaninę bluzki.

Odwróciła się do niego przodem, ujęła jego twarz w ręce i przytuliła mocno swe ciało do jego ciała.

- Wszystko jest takie łatwe, gdy jest się bogatym...

Rozdział 8.

Zapalił trzydziestego muratti tego dnia, przybrał pogodny wyraz twarzy i podszedł aż do balustrady tarasu starannie unikając patrzenia na to, na co miał ochotę spojrzeć. Nawet z tej odległości czuł, że jest pod obserwacją. Z siódmego piętra hotelu Majestic, gdzie znajdował się jego apartament - cztery pokoje w amfiladzie - basen był nie większy niż lśniące niebiesko - zielone ziarno fasoli. Wciągnął powietrze, napełnił płuca wygarbowane w dymie milionów papierosów i zaryzykował rzut oka w dół. Spozstrzegł dwie kobiety pijące herbatę przy jednym ze stolików otaczających basen. Emily natychmiast go dostrzegła. Ze ściśniętym sercem wykonał radosny ruch ręką, na który nie odpowiedziała. Obliczył, że korzystając z windy musi zużyć co najmniej cztery do pięciu minut, aby znaleźć się w apartamencie.

Gdy tylko zostawał sam, wyjmował z metalowej walizki stale zamkniętej na klucz komplet pism pornograficznych, których każdą stronę przeglądał szczegółowo za pomocą szkła powiększającego. Przy jego pozycji mógł tylko w marzeniach przeżywać takie ułudy erotyczne. Wiedział doskonale, że przy najmniejszym uchybieniu zostanie bez litości usunięty. Mając pięćdziesiąt pięć lat mógł znaleźć się na ulicy bez źródła utrzymania po tylu latach życia nababa. Trudno się przestawić... Pospieszył do środka i tym razem wyjął z walizeczki numer „Nice Matin”, w którym dotąd ośmielił się przeczytać tylko tytuły, sparaliżowany obecnością Emily. Był przekonany, że gdyby w jej obecności zaczął czytać ten artykuł, natychmiast zaczęłaby coś podejrzewać. Wzbudzała w nim takie przerażenie, że nawet będąc od niej o tysiące kilometrów czuł na sobie ciężkie spojrzenie, nieufne i władcze. Zaczął czytać i krew nabiegła mu do twarzy jak za pierwszym razem: OFIARA Z ZATOKI CANNES ZIDENTYFIKOWANA: ERWIN BROKER, AMERYKANIN, DWADZIEŚCIA OSIEM LAT.

Potem był odsyłacz na stronę czwartą. Przerzucił strony, nie mogąc opanować drżenia...

Komisarz Agnelli i inspektorzy Berdot i Coumoul zdołali zidentyfikować ofiarę festiwalu pirotechnicznego w Cannes. Rybacy znaleźli w swoich sieciach portfel pływający na wysokości Cap d'Antibes. Zawierał dokumenty na nazwisko Erwina Brokera, dwudziestoosmioletniego obywatela amerykańskiego,

zamieszkującego w Nowym Jorku. Pan Broker przybył do hotelu Carlton przed dwunastoma dniami. Na Lazurowym Wybrzeżu nie był znany, przybył tu po raz pierwszy.

Wydawało mu się, że słyszy jakiś hałas przy drzwiach, więc odłożył dziennik, nasłuchiwał... Nic. Skradając się przeciął hall i gwałtownie otworzył drzwi: nikogo. Korytarz był pusty. Wrócił na taras, zaryzykował spojrzenie ponad balustradą: po ułamku sekundy pochwycił spojrzenie Emily skierowane w jego stronę. Niemożliwe, aby przez cały czas trzymała twarz skierowaną ku siódmemu piętru: jakże więc intuicja podszeptała jej, że spojrzy na nią w tym właśnie momencie? Wrócił do pokoju i skonsternowany czytał dalszy ciąg.

Erwin Broker został zidentyfikowany bez żadnych wątpliwości dzięki fotografii w jego paszporcie. Dyrektor wielu przedsiębiorstw, miał jeszcze przebywać w Cannes około dziesięciu dni. W chwili obecnej wszyscy snują różne przypuszczenia na temat tej tragicznej śmierci. Komisarz Agnelli kontynuuje śledztwo w porozumieniu z Interpolem.

Spostrzegł, że niedopałek papierosa parzy mu palce. Rozgniół go w popielniczkę, zapalił następnego papierosa, zaciągnął się głęboko, złożył dziennik, wrzucił go do kosza w łazience, rozmyślił się, wyciągnął go, myśląc przez chwilę, by wyciąć artykuł, ale zrezygnował z tego. Ze swoim węchem Emily była zdolna to spostrzec. Nie umykało jej nic, co powinno być przed nią ukryte. Przetarł twarz ręką: zachowywał się idiotycznie! Emily nie znała nawet nazwiska Brokera. Przyjął go tylko raz w swoim biurze, w tłumie codziennych interesantów. Ich dalsze spotkania odbyły się w barze przy 8 Ulicy, gdzie nikt go nie znał. Tym niemniej wyszedł z pokoju nie zamykając drzwi i wsunął „Nice Matin” do skrzynki na listy apartamentu 751. Wrócił do siebie, włożył przeciwsłoneczne okulary i przeszedł na taras, gdzie opadł na leżak. Stojące w zenicie słońce paliło mu ramiona przez lekki jedwab białej koszuli. Mimo to czuł się zlodowaciały. Fale zimna płynące gdzieś z brzucha, przebiegały po całym ciele, promieniując na wszystkie kończyny. Zobaczył siebie podczas wielkiej gali w Palm Beach, przed trzema dniami... W chwili, gdy strzelił finałowy bukiet ogni sztucznych, powietrzem wstrząsnęła eksplozja tak mocna, że zaproszeni goście nie mogli się powstrzymać przed wymienieniem przelotnych spojrzeń pełnych zadziwienia i niepokoju. A później wszyscy zaczęli się śmiać

i klaskać, trochę za głośno. W tym właśnie momencie jakaś kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć, głosem mrozącym krew w żyłach. Było to w pobliżu ich stołu. Emily rzuciła mu pytające spojrzenie. Kłębł się tłum, próbując ocucić zemdloną. Kilku panów, wspomaganych przez kelnerów, podniosło ją z krzesła i wyprowadziło poza taras. Scena rozgrywała się w półmroku, gdyż boy odpowiedzialny za światła był na tyle przytomny, by ich nie zapalać natychmiast. Wielu zaproszonych oślepionych blaskiem ogni sztucznych nie słyszało nawet krzyku zagłuszonego przez gwar rozmów.

Ale po zakończeniu kolacji dowiedział się z ust samego maitre d'hotel, Louisa, któremu zostawiał ogromne napiwki w tajemnicy przed Emily. Louis miał informacje od kelnera obsługującego stolik wyprowadzonej damy: otóż zanurzając łyżeczkę w zupie z homarów znalazła w niej ludzki palec ucięty na wysokości pierwszego stawu. Tkwił na nim złoty sygnet. Przytomny kelner zawiązał błyskawicznie palec w papierową serwetkę, wetknął do kieszeni i blady z przerażenia zaniósł do Jean - Paula, dyrektora restauracji. Powstrzymując mdłości Jean - Paul przekazał go dyżurnemu inspektorowi, który wskoczył do samochodu i ruszył pełnym gazem.

Oczywiście tę sprawę spowijała zasłona milczenia: powodzenie letniego sezonu było sprawą świętą. Dzienniki ograniczyły się do wzmianki, że poszarpane ciało nieznanego osobnika wyłowiono z morza na wysokości latarni morskiej, wkrótce po niewytłumaczalnej eksplozji, która zniszczyła doszczętnie pływający ponton z wyrzutniami rakiet. Makabryczna opowieść Louisa była więc rzeczywistością. Oderwany palec był palcem Erwina Brokera. A śmierć Erwina Brokera oznaczała nie tylko ruinę planu szczegółowo opracowywanego przez całe lata, ale również jego własną śmierć, jeżeli czegoś natychmiast nie wymyśli. Na nieszczęście nie widział takiej możliwości. Był 25 lipca. Zapalnik nastawiony przed miesiącami wybuchnie dokładnie 8 sierpnia.

Nie będzie miał już czasu, aby w trzynaście dni znaleźć drugiego jelenia. Chyba że zdarzy się cud.

Rozdział 9.

Marc Gohelan kierował Imperium Majestic z małego biura na parterze, na tyłach gmachu. Dwa okna przysłonięte kępami kwitnących w zimie kamelii wychodziły na ulicę Saint - Honore, cichą i prowincjonalną, gdzie znajdowało się służbowe wejście dla dwustu pięćdziesięciu urzędników. Odwrotna strona olśniewającej fasady.

Sezon trwał praktycznie rzecz biorąc przez cały rok. Od połowy października do końca listopada przeprowadzano remont: malarze i tapicerzy obejmowali we władanie apartamenty, intendenci kupowali nową pościel, pokojówki ustępowały miejsca lakiernikom, stolarzom, hydraulikom, elektrykom, podczas gdy ogrodnicy zajmowali się pielęgnacją trawników i egzotycznych drzew otaczających basen. W samym szczycie sezonu zdarzało się Gohelanowi pracować przez osiemnaście godzin na dobę. Był mężczyzną średniego wzrostu z gębą sympatycznego pirata. Jego czarne oczy i blond włosy podobały się kobietom.

Zatwardziały kawaler, postawił sobie jako regułę nigdy nie mieszać pracy z uczuciami. Czyniące mu awanse klientki odchodziły z kwitkiem, odrzucał je z takim wdziękiem i elegancją, że żadna z nich nie mogła mieć do niego pretensji i poczuć się wzgardzoną. W Cannes, latem, kłopoty sercowe były równie lekkie i przelotne jak morska piana.

Znaleźć wielkiego pocieszyciela we właściwym momencie było aż za łatwo. Majestic przyciągał piękno i fortunę z hipnotyczną siłą. Tworzyli udane stadło. W ciągu sezonu wszystko było możliwe. Żyło się jak na okręcie, w gorączkowym rytmie wycieczki morskiej, z intensywnością wykluczającą trwałość. Liczyła się wyłącznie przyjemność, w wirze bossów przemysłu, książąt, oszustów, światowych kobiet, mieszczańskich rodzin, milionerów, międzynarodowych sław i szaleńców wszelkiej maści, o których istnieniu społeczeństwo wiedziało czasami tylko przez jedno lato. Jednym rzutem oka Gohelan oceniał ten światek, niezawodnie wyławiając oszustów, fałszywych artystów, sportowców poszukających dojrzałych kobiet, piękności uganiających się za bogaczami, traktując z taką samą dobroduszną życzliwością królów na wygnaniu, mistrzów nart wodnych, urzędujących premierów i odsuniętych chwilowo polityków.

Podczas gdy na ekranie wewnętrznej telewizji przesuwały się obrazy ukazujące fragmenty wielkiego hallu wejściowego, Gohelan przyglądał się uważnie głównemu księgowemu Albertowi Gazzoliemu.

- Goldman: ile nam jest winien?

- Przyjechał 8 lipca. Trzykrotnie posyłałem mu już rachunki tygodniowe.

- Zareagował?

- Jeszcze nie.

- Ile?

- Około 100 000.

- A w restauracji?

- Dużo. Bezustanne obiady i kolacje nad basenem. Stoły na dwadzieścia do trzydziestu osób.

- Podpisał?

- Nie.

- Cholera, Albert!

- Pan go zna, to trudne...

- A w barze, dużo?

- Dużo.

- Zapłacił?

- Nie.

- Jeżeli będzie pana próbował naciągnąć na pożyczkę, koniec! Nie ma więcej forsy dla niego!

Albert przyglądał mu się z zatroskaną miną.

- Powinien pan mi to powiedzieć wczoraj. Zabrał nam dziś rano 40 000 franków.

- Niech pan mi pokaże ten cholerny czek!

- Nie dał czeku. Poprosił, aby dołączyć to do rachunku.

- Czy pan oszalał?! Winien nam jest 100 000 franków za ubiegły rok!

Albert Gazzoli jak gdyby zapadł się w siebie.

- Są jeszcze kwiaty.

- Jakie kwiaty?... - zawył Gohelan.

- Pięćdziesiąt wiązanek czerwonych róż dla żon zaproszonych.

- Niech mi pan nie mówi, że to pan zapłacił rachunek?

- 25 000 - wybełkotał Gazzoli.

- Wypierdolił nas!

- Zdaje się, że będzie kręcił jakąś superprodukcję, z Brando, Newmanem, Redfordem, de Niro, Peckiem, Faye Dunaway...

- Według scenariusza Victora Hugo, z Leonidem Breżniewem i Jimmym Carterem grających samych siebie! Czy mówił panu cokolwiek na temat tego dupka od...

- Nagrody Leadera?

- Tak! Kto za to będzie bulił?

- W zasadzie Goldman.

Marc Gohelan uderzył gwałtownie pięścią w stół.

- Jesteśmy wypierdoleni, Albert! Wypierdoleni aż po szyję.

Młody mężczyzna w jasnym garniturze przekroczył przejście dzielące hall przylotów od hallu odlotów na lotnisku w Nicei. Raczej blady, ze ściągniętymi rysami, niósł w ręku lekką teczkę z brązowej skóry. Przyleciał z Nowego Jorku i po raz pierwszy w życiu postawił nogę we Francji. Serce ścisnęło mu się na widok dwóch policjantów w mundurach kierujących strumieniem podróżnych. Zajęci opowiadaniem sobie jakiejś historii z donośnymi wybuchami śmiechu nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

Wszyscy wydawali się być w dobrym humorze, szczęśliwi że żyją. Powietrze pachniało wakacjami, solą, słońcem. Młody człowiek zadrzał, gdy jakaś ręka spoczęła na jego ręce. W szkarłatnym mundurku, ramionami pełnymi kwiatów hostessa ofiarowała mu z uśmiechem herbacianą różę.

Alan Pope wziął różę i przesłał nieśmiały uśmiech pięknie opalonej dziewczynie. Na papierze owijającym lodygę róży przeczytał „Serdecznie witamy”. To była dobra wróżba. Cokolwiek przykrego mogło mu się później przydarzyć, przynajmniej miał tę różę i ten uśmiech. Wzdychając skierował się w kierunku kabin telefonicznych, by uprzedzić o swym przybyciu.

Księżna Armande de Saran z tajemniczym uśmieszkiem w kącikach warg marzycielsko przyglądała się swemu podbitemu oku. Ależ ten hydraulik miał cios! Był to krępy facet, o niskim czole, grubych palcach, szerokiej szyi, którego ciało wydzielало silny, zwierzęcy odór. Armande oceniała, że miał najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubóstwiała te cudowne niespodzianki, które nagle stawiały ją w obecności nieznanego, którego przyjście, nieoczekiwane i sprowokowane, budziło w niej dreszcz rozkoszy. Udała, że coś cieknie w łazience apartamentu 19 - jednego z najlepszych - i

zażądała, by Gohelan przysłał jej kogoś. Jak tylko ten brutal wszedł, wiedziała natychmiast, że to będzie on. Nie dał się długo nabierać na jej wyniosły, lodowaty wygląd jednej z dziesiątki najlepiej ubranych arystokratek na świecie. Chcąc go sprowokować gdy niedbale grzebał pod umywalką rzucała mu rozkazy wyniosłym, pogardliwym tonem, używanym wobec najniższego ze swych służących. Ciągłe znajdowała jakiś pretekst, aby go musnąć ręką szlafroka - była pod nim naga - odurzona wybuchową mieszaniną zapachów wydobywających się z toalety i silną wonią potu młodego byczka. Klęczał, obok znajdowało się metalowe, otwarte pudło, wypełnione szczypcami, obcęgi, ciężkie narzędzia ze stali stworzone, by kasać i rozdzierać.

- Pospiesz się, przyjacielu, pospiesz się! Rzucił jej wyzywające spojrzenie.

- Jeżeli pani jest niezadowolona...

- Słucham? Poskarżę się! Czy pan wie, kim ja jestem?

Jego oczy utkwiły bezwstydnie w górnych partiach jej długich ud; wymruczał przez zaciśnięte zęby:

- Straszłą kurwą.

Spoliczkowała go. Jednym skokiem był przy niej. Zadawał ciosy, szukając żarłocznie jej ust, gniotąc jej ciało obydwoma rękami.

- Mocniej! Bij! Bij!

Podniósł ją, oparł o ścianę i posiadał gwałtownymi i wściekłymi spazmami ogiera. Krwawe siniaki na plecach jeszcze ujdą, ale oko... Wpatrywała się nostalgicznie w potężne obcęgi, które zwędziła z jego torby z narzędziami. Księżna była kleptomanką.

Wstała i położyła świeży kompres na nabrzmiały krwiniak. Cóż za mężczyzna! Kochała tylko hołotę, łobuzów. Im bardziej byli brutalni, ordynarni, wulgarni, brudni, tym więcej wzbudzali w niej pożądania, jakiego nie zaznała mając do czynienia z wyrafinowanymi estetami swej kasty. Drzwi salonu otwarły się: książę Saran. Natychmiast zwęszył, co się przed chwilą wydarzyło.

- Mandy!

Zbliżył się do niej z błędnym spojrzeniem.

- Kto to był? Wzruszyła ramionami z westchnieniem satysfakcji.

- Facet.

- Opowiadaj! Zbił cię? Zrobił ci coś złego? Odpowiedz mi, Mandy, opowiedz...

- Muszę skończyć toaletę. Później.
- Nic mnie ten koktail nie obchodzi!

Głos mu się załamał i nabrał błagalnej intonacji małego chłopca:

- Proszę cię, Mandy, possij mnie...

Patrzyła na niego uważnie. Miał sześćdziesiąt lat, był niski, ale rzadkiej rasy i dystynkcji. Wiedział o wszystkim od dziesięciu lat. Opowiadała mu wszystkie najdrobniejsze szczegóły, aż do chwili, gdy ten spadkobierca jednego z najstarszych francuskich rodów pogrążył się w ekstazie.

- Nie - powiedziała - nie. Chcę pójść. Zobaczymy wieczorem...

Wyrwała różę z bukietu przysłanego jej przez Goldmana i pieściła nią delikatnie puchnące oko.

Norbert i dwóch bagażowych szybko załadowali bagaże do kufra rollsa. Samochód zaparkował w miejscu absolutnie zabronionym, ale dwaj policjanci w mundurach ani przez chwilę nie wydawali się tym zaniepokojeni. Nie wiedząc, czy powinien wsiąść, czy poczekać aż Norbert skończy, Alan zapalił papierosa i stał jak wmurowany pośród tłumu pasażerów, z marynarką zarzuconą na ramiona. Kolejny raz miał uczucie nierealności, nie uczestniczenia w wydarzeniach, których stanowił ośrodek.

- Proszę pana...

- Tak?

- Czy chce pan, żebym podniósł dach samochodu?

Alan poczuł, że zawisły na nim spojrzenia gliniarzy i przechodniów zwabionych niepokalaną bielą samochodu. Wszyscy wydawali się zafascynowani tym, na co się zdecyduje.

- Tak - powiedział, nie chcąc nikogo rozczarować.

Norbert wślizgnął się za kierownicę i nacisnął guzik. Dach podniósł się z łagodnym pomrukiem i zwinął z tyłu. Norbert zdjął czapkę i otworzył drzwi. Grupa gapiów rosła.

- Proszę pana... - powiedział Norbert.

„Kto, ja?” o mały włos nie odpowiedział Alan. Niezręcznie wcisnął stufrankowy banknot bagażowym i wskoczył do samochodu, zmieszany utkwionymi w nim spojrzeniami. Gliniarze zasalutowali machinalnie, Norbert ruszył. Rolls wystartował w absolutnej ciszy. Alan skurczył się na tylnym siedzeniu. Za ledwie ośmielał się oddychać.

Louis Goldman tylu ludziom był winien tyle pieniędzy, że stał się nietykalny. Sam ogrom jego długów chronił go od jego wierzycieli.

Żaden nie chciał wsadzając go do więzienia ponieść ryzyka zasypania źródła, z którego być może, pewnego dnia wytryśnie zwrot długów. Bo przecież zdarzało się Louisowi Goldmanowi, w trakcie jego kosmicznych oszustw i finansowych kombinacji przyprawiających o zawrót głowy, posiadać zawrotne sumy. Przeciętnie na siedem wyprodukowanych filmów, sześć było knotami rujnującymi wspólników i skazującymi ich gwiazdy na bezrobocie lub zapomnienie. Ale siódmy, z identycznym wkładem, odnosił światowy sukces pozwalający stukrotnie powiększyć zainwestowaną sumę. Jak wielkie panisko, Goldman uwalniał się wtedy od najbardziej palących długów, nie bez tego, aby dać odczuć wierzycielom wielkoduszność tego gestu. Uważał się za absolutnego geniusza i odczuwał żelazną pogardę dla swych współczesnych, niezależnie od tego, kim byli. Swoje myśli podawał jako dogmaty, nie znosił najdrobniejszego sprzeciwu i posiadał niezachwianą pewność, że wszystko mu się należy. Uważał, że uprzywilejowani dopuszczeniem do poufałości, powinni czuć się zaszczytzeni regulując za niego astronomiczne rachunki, którymi znaczył dziwaczne trasy, wiodące od pałacu do pałacu, z Paryża do Monachium, z Rzymu do Tokio, z Helsinek do Londynu, z Ziemi Ognistej na Karaiby. Wszystko, co posiadał, zapisane było na imię jego żony, Julii. Zaliczki wyrwane bankom na produkcję filmową były natychmiast dzielone i rozpisywane na wiele towarzystw, które z kolei dzieliły się na filie, holdingi, akcje lub różne towarzystwa powiernicze istniejące dzięki warunkom panującym w republikach bananowych, gdzie łapówka była królową.

Na papierze Louis Goldman nie był nawet właścicielem swojej szczoteczki do zębów. Nie miał nigdy przy sobie złamanego grosza, zapominał regularnie książeczki czekowej, choć czasami, zależnie od humoru, rachunki, które mu podsuwano wykazując maksimum złego gustu, podpisywał. Miał ogromne brzuszysko, z którego był dumny - a kiedyś był taki chudy - dużą głowę i puciołowatą twarz, w której mięsiste wargi dziecka przerzuciły się z piersi matki do butelki z mlekiem, zastąpionej z kolei, w ostatniej fazie, tradycyjnym cygarem z obrączką noszącą jego inicjały, symbolem powodzenia. Na jego twarzy malował się zazwyczaj wyraz obrzydzenia i pogardy. Przybywszy przed dwoma tygodniami do Majesticu zajął

najwspanialszy z apartamentów. Witrażowe drzwi jego salonu otwierały się na rozległy taras z mnóstwem pnących roślin, kwiatów o żywych kolorach, przez które połyskiwała powierzchnia morza. Cztery pokoje apartamentu ozdabiały wiązanki czerwonych róż, które szczególnie lubiła Julia.

Ze swych zawsze zwycięskich ust wyjął zgasłe cygaro, niczym fallusa w pełnej erekcji, podkreślonego przez obwisłe policzki, by łyknąć Dom Perignon.

Szampan był letni. Wypluł go do wiaderka, wylał w nie to, co pozostało w kieliszku, wsadził z pośpiechem cygaro w usta i nalał sobie następny kieliszek.

Za kwadrans przybędą pierwsi goście. Za ledwie setka, starannie dobrani, śmietanka towarzyska Lazurowego Wybrzeża. Od trzech lat Goldman żył na konto swej sławy. Jego ostatni międzynarodowy przebój „Parano's Blues” pozwolił mu wejść na rynek elektroniczny. Nie tyle, że dostrzegł w tym jakikolwiek interes, ale chciał uregulować osobiste porachunki z John - Johnem Newtonem, właścicielem jednej z największych prywatnych firm wyposażenia rakiet i satelitów.

Na Bahamach John - John Newton upokorzył go w czasie rozgrywek golfowych, pozwalając sobie wyśmiać go publicznie komentując przegraną partię. Louis Goldman zaprzysiął zemścić się i zainwestował w rywalizujące przedsiębiorstwo Van Velde 21 milionów dolarów. Stracił wszystko w niecały rok. Od tej katastrofy szukał nowej pokerowej zagrywki, która z powrotem posadziłaby go w siodle. Znalazł pozytywne rozwiązanie odwracając założenia produkcji filmowej. Zamiast zaczynać od scenariusza czy książki, której adaptacja poprzedziła podział ról, zdecydował się zaangażować trzydzieści najsłynniejszych gwiazd światowego kina tworząc w ten sposób solidny szkielet tego, co miało się stać największym filmem wszechczasów.

Z podobną czołówką można się było praktycznie biorąc obyć bez fabuły. Jednak skontaktował się z dziesięcioma asami od bestsellerów, którzy zabrali się za opracowanie wątków epopei science - fiction: „Noc, kiedy umarło słońce”. Goldman dostarczył idei przewodniej. Oczywiście jego murzyni mieli otrzymać należność dopiero po wejściu filmu na ekrany. Każdemu z nich obiecał taki procent od dochodów, że ostateczna należność wyniosłaby, gdyby ją

rzeczywiście wypłacono, 160% wpływów brutto. Pierwsze rezultaty były kiepskie. Ale gazety tyle już mówiły o tym projekcie, z takim bogactwem szczegółów, że najbardziej sceptycznie nastawieni ludzie z branży uważali, że sprawa zakończy się sukcesem. Pozostawało najtrudniejsze: znaleźć 50 milionów dolarów, które usprawiedliwiłyby doskonały slogan promocyjny: „Najdroższy film w dziejach kina”. Ale banki, zwykle z nim współpracujące, ciągle wahały się, a amerykańskie „rekiny” nie bardzo lubiące nowości, czekały gotowe się włączyć w chwili, gdy Goldman rzeczywiście powije swoje arcydzieło. Należało więc odkryć nowe źródła finansowania.

W takich właśnie warunkach Louis zgodził się włączyć do tego cyrku i zostać jeszcze tego samego dnia laureatem Nagrody Lidera.

Przyznawana raz na kwartał przez byłego włoskiego żigolaka, Cesare di Sogno, nagroda wyróżniała osobę lub firmę najbardziej dynamiczną w danym roku. Nikt nie dawał się nabrać na jej prawdziwą wartość, ale miała ona niesłychany wpływ na naiwniaków. A nimi Majestic był wypełniony po brzegi. Lista gości hotelowych sama w sobie stanowiła encyklopedię wielkiej finansjery, przemysłu ciężkiego, bankowości, arystokracji i wielkich pieniędzy. Louis Goldman winien zachęcić tę wybraną zwierzynę, by sypnęła pieniędzmi. Znał magiczną fascynację kinem magnatów znudzonych zarządzaniem swoimi fortunami. Miał ich tutaj wszystkich, pod ręką. Za pośrednictwem Cesare di Sogno (pozostawił mu trud czarowania) dostarczył im zaproszenia wydrukowane na połączonych kartonikach.

- Lou?...

Julia stała w drzwiach do łazienki w szkarłatnym puchatym peniuarze z jasną suknią na ramieniu.

- Podoba ci się?

- Wspaniała - warknął Louis nie patrząc.

- Nie jesteś jeszcze gotów?

- Tylko założę koszulę.

- Włóż, kochanie. Musimy być na dole za dziesięć minut. Louis Goldman ze wstrętem potrząsnął głową, wyrwał się z fotela, zapalił zgasłe cygaro, zgasił je w popielniczce i udał się do swojego pokoju.

Z nagim torsem rzucił stroskanym okiem na nazwiska nieświadomych, których pragnął uczynić swymi przyszłymi współnikami. Na czele listy znajdowali się Hamilton Price - Lynch, z rocznym obrotem 800 milionów dolarów, bardziej znany pod

przydomkiem „Ham Burger” od czasów swego małżeństwa z wdową - i jedyną spadkobierczynią - magnatą banku Francka Burgera III, wnuka założyciela Burger Trust Limited.

Na drugiej pozycji następujący mu na pięty, z 500 milionami dolarów, znajdował się geniusz przemysłu farmaceutycznego Arnold Hackett.

Samochód przejechał wzdłuż budowanych właśnie parkingów i znalazł się na autostradzie w kierunku Cannes, w powodzi innych pojazdów. Było trochę po szóstej po południu, słońce ciągle stało wysoko na niebie, powietrze pachniało mimozą, benzyną, morzem i olejkiem do opalania. Alan zaryzykował spojrzenie w lewo, w kierunku plaży rozciągającej się wzdłuż drogi. Spostrzegł, że mijający go kierowcy wpatrują się weń z ciekawością. Założył ciemne okulary.

- Czy życzy pan sobie autostradą czy wzdłuż wybrzeża?
- Wzdłuż wybrzeża.
- Oczywiście, proszę pana.

Zauważył, że od jego przyjazdu Norbert zwraca się do niego w doskonałej angielszczyźnie, bez cienia akcentu.

- Mówi pan bardzo dobrze po angielsku. Czy jest pan Anglikiem? Norbert roześmiał się, rozbawiony.

- Oczywiście nie, proszę pana. Jestem Francuzem włoskiego pochodzenia. Moje nazwisko brzmi Testore.

- Czy mówi pan również po włosku?
- Tak, proszę pana. Ale nie ma w tym żadnej mojej zasługi.
- Po jakimu jeszcze?

- Mój Boże... Trochę po rosyjsku, a teraz przerzucam się na chiński... Mimo że w naszej okolicy nie ma zbyt wielu okazji mówienia w tym języku. - Milczał przez chwilę, po czym dorzucił: - Jak na razie.

Alan zadawał sobie pytanie, co Norbert chciał przez to powiedzieć. Odwrócił głowę, by śledzić spojrzeniem dwie wspaniałe dziewczyny idące wzdłuż plaży po drugiej stronie drogi z nagimi piersiami. Z całkowitą obojętnością. Pochwycił spojrzenie Norberta przyglądającego mu się ukradkiem w bocznym lusterku i poczuł się jak złapany na gorącym uczynku.

- Co to znaczy, jak na razie?
- To straszne, ale prędzej czy później Chińczycy wylądują u nas.
- A co mieliby tutaj robić?

- To samo co my wszyscy, proszę pana. Rozkoszować się tym krajem. Moim zdaniem ten zakątek jest jednym z najpiękniejszych na świecie. Oczywiście nie należy oglądać go latem. Zbyt dużo najeźdźców.

Nadia Fischler żyła z gry, dla gry i z powodu gry miała umrzeć. Wiedziała to od dnia, kiedy jej palce musnęły po raz pierwszy karty, podane jej przez krupiera przy stoliku do bakarata w Monte Carlo. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Chcąc dać jej wykształcenie, matka zajmowała się sprzątaniami. Ojca nigdy nie знаła. Mając trzynaście lat miała pierwszego kochanka, pomocnika rzeźnika, który ukradkiem wsunął jej w papierowej torbie kawałki szynki i kiełbasy.

Zaniosła je do domu z wyjaśnieniem, że robiła zakupy dla sklepu. Doszła do wniosku, że wędliny są niesłychanie smaczne, ale z tych pierwszych i silnych uścisków zachowała wspomnienia niemiłe i zatarte. Od tego czasu otrząsnęła się z tego.

Mając czterdzieści lat czyniła swymi zdumiewającymi fiołkowymi oczami tyle samo spustoszeń. Znała ich władzę, wywierała ją z bezlitosnym cynizmem na tych, których pozostawiała bez grosza w niesłychanym tempie zaspokajając patologiczną namiętność do gry. Kpiła sobie z pieniędzy, gdy chodziło o ich wartość, było jej obojętne czy traciła, czy zyskiwała. Siedząc przy stole ruletki w przytłumionym, głuchym pomruku kasyna, szukała tylko przyjemności, która była celem samym w sobie.

Dostrzeżona ze względu na swoją piękność, raczyła przez trzy czy cztery lata odwiedzać studia filmowe, w których producenci, oszalali na jej punkcie, przygotowywali role specjalnie dla niej. Ogromne pieniądze, jakie jej przekazywali, były natychmiast trwonione na zielonym suknie. Bardziej znana była ze względu na samobójcze banco niż na olśniewający awans do konstelacji gwiazd. Bogaci i wpływowi mężczyźni próbowali ucześcić się jej ramienia, przez tydzień, dwa dni, trzy godziny, zależnie od stopnia odporności. Nikt nie wytrzymał. Piekielnego tempa, w jakim Nadia przegrywała, nikt nie mógł znieść przez dłuższy czas. Przed laty miała krótką przygodę z Lou Goldmanem. Pozostali przyjaciółmi. Przysięgła, że pokaże się na jego koktailu przed pójściem do „fabryki” (w żargonie graczy oznacza kasyno). Lou wiele razy ratował ją z opresji. Były to drobne grzeczności, praktykowane między graczami. Ci, którzy mieli

szczęście, wyciągali z topieli przegrywających. W podobnych sytuacjach Goldman nie wahał się zwracać do niej...

Włożyła czarną suknię, która stała się legendarna, wzburzyła jasno - popielate włosy i wezwała Alice, swą tahitańską pokojówkę.

- Jesteś gotowa?

- Tak, proszę pani.

- Pokaż się.

- Wstydzę się...

- Pokaż się!

Alice ukazała się kryjąc twarz w rękach. Nadia parsknęła. Alice chciała się wymknąć.

- Zostań! Pozwól przez chwilę cię podziwiać!

- Nie będę mogła...

- Jesteś cudowna! - wykrzyknęła Nadia. - Będiesz gwoździem sezonu.

I znów zaczęła skręcać się ze śmiechu.

- Bardzo chce mi się pić, Norbercie. Czy może pan się zatrzymać przed jakimś bistro?

- Z przyjemnością, proszę pana. Pozwolę sobie jednak zwrócić pana uwagę, że przegródka po pana prawej stronie, w oparciu, kryje bar. Znajdzie w nim pan wszystkie rodzaje whisky, a także duży wybór wód mineralnych. Myślę nawet, że jest tam coca - cola.

- Dziękuję. Wolałbym się jednak zatrzymać.

Wjeżdżali do Cros - de - Cagnes. Norbert spokojnie zaparkował samochód na tarasie objętym zakazem zatrzymywania się, wstał z siedzenia, otworzył drzwi i wskazał na taras z parasolami w krzyczących kolorach.

- Czy tutaj, proszę pana?

- Doskonale. Pójdzie pan ze mną?

- Z przyjemnością, proszę pana.

Dostrzeżono ich w kawiarni. Dziewczyny w kostiumach, zaledwie siedemnastolatki, bezczelnie przypatrywały się Alanowi wyciągnięte na leżakach.

- Przy okazji, Norbercie, czy nie mógłby pan zdjąć czapki? Kierowca uczynił to z uśmiechem. Usiedli przy stoliku.

- Czego się pan napije, Norbercie?

- Za pańskim pozwoleniem: pastis.

- To ja również. To smaczne?

Alan poczuł się nagle trochę głupio. Jego brązowe pantofle, czarny krawat do białej koszuli i jasny garnitur nie pasowały do rozmamłanego wyglądu większości klientów. Młodzi czy starzy, wszyscy byli prawie nadzy, w szortach i espadrilach. Klasyczny czarny mundur Norberta miał w sobie coś pogrzebowego w tym różnobarwnym pejzażu zalany słońcem. Według opowiadań Samuela wyobrażał sobie Lazurowe Wybrzeże jako wyrafinowane miejsce, w którym w sprawach stroju żadne uchybienie nie jest dopuszczalne.

Jeszcze jedno miejsce, w którym Bannister nigdy nie postawił stopy.

Victoria Hackett nie mogła oderwać oczu od ogromnego bukietu róż.

- Arnold?

- Victoria?

- Czy znasz tego pana Goldmana?

- Z nazwiska. To producent.

- Uważam, że te róże są jeszcze piękniejsze niż róże w Miami. To bardzo miło z jego strony.

- Tak. Lepiej z twoimi plecami?

- Trochę lepiej. Jeśli nie mam dekoltu...

Przyjechali wczoraj. Wystarczyło, aby Victoria przeszła z hotelu na plażę i z powrotem, co zajęło dziesięć minut, aby jej ramiona nabrały szkarłatnej barwy i pokryły się bąblami. Każdego roku powtarzała się ta sama historia, Victoria mogła stykać się ze słońcem Lazurowego Wybrzeża wyłącznie w cieniu parasola.

- Czy chcesz, abym cię posmarował kremem?

- Nie, w porządku. Chyba musimy tam iść?

- Jestem gotowy.

- Jakież szlachetne róże!

- Tak, tak... szlachetne...

- Czy mówi pan po francusku, proszę pana?

- Trochę.

- Nieczęsto będzie pan miał okazję nim się posługiwać. Tutaj wszyscy mówią, lepiej czy gorzej, po angielsku.

- Czy zna pan Majestic, Norbercie?

- Bardzo dobrze.

- Jak tam jest?

- Zupełnie przyzwoicie, proszę pana.

- No ale jeszcze? Zabawnie?...

- Bardzo zabawnie, proszę pana.

Alan poruszył się na krześle, zły na tytułowanie go panem w każdym zdaniu.

- Norbert?

- Słucham pana?

- Czy musi pan nazywać mnie panem za każdym razem?

Uśmiechnął się do kierowcy, mrugnął do niego okiem i przyjrzał mu się uważnie. Norbert musiał mieć około pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu lat. Wysoki, postawny, nosił szkła korekcyjne w metalowej oprawce. Delikatne kurze łapki w kącikach oczu wskazywały, że lubił się śmiać. Cienkie jak szczoteczka kasztanowate wąsy, pozbawiały twarz wyrazu dobroduszości.

Rzucił na Alana ostre spojrzenie.

- Jest to zawarte w wymaganiach agencji, która mnie Większości moich klientów bardzo na tym zależy.

- Mnie nie. Czy długo pan pracuje w tym fachu?

- Z dziesięć lat.

- A przedtem?

- Byłem w oświacie. Nic wspólnego.

- W jakiej dziedzinie?

- Filozofia. Byłem profesorem zwyczajnym filozofii.

Rozdział 10.

Betty Grone sprawdziła, czy dwaj hotelowi ochroniarze stoją dokładnie przed jej drzwiami, skinęła im głową, zamknęła zasuwę, zaciągnęła zasłony, zapaliła nocną lampkę i skierowała jej światło na łóżko. Ostrożnie otworzyła kuferek, po czym zamknęła oczy, uniosła wieko i zagłębiła dłoń w klejnoty, rozpoznając je natychmiast po kształcie, wadze, materiale. Złoto, szafiry, topazy, diamenty, szmaragdy, pierścionki, naszyjniki, kolczyki, broszki, wisiory. Do każdej rzeczy dokładała w myślach nazwisko ofiarodawcy.

Niektórzy rujnowali się, aby za nie płacić, inni popełniali oszustwa, jeszcze inni rzucali je w twarz z gniewem na pożegnalny podarunek. Kontakt z klejnotami wywoływał u Betty dreszcz rozkoszy o wiele intensywniejszy niż pieszczoty kochanków. Chciałaby spać z nimi, zawsze nosić na sobie, czuć je na skórze, podziwiać w czasie posiłków.

Ale były warte zbyt wiele. Najmniejsze zaniedbanie z jej strony mogło pociągnąć zerwanie kontraktu z towarzystwem ubezpieczeniowym, chroniącym ją przed kradzieżą czy utratą. Więc kiedy już nacieszy się nimi, zadzwoni na uzbrojonych mężczyzn i każe odnieść kuferek do sejfu.

Otworzyła oczy myśląc, że to jej tyłek, i tylko on, dał jej to bogactwo. Chociaż głowa również. Sztuki kupczenia własnymi wdziękami, uzyskiwania maksimum korzyści z uczuć mężczyzny nie posiadała w żadnej szkole. Nie obchodziło ją zupełnie to, że zazdrosne kobiety traktują ją jak kurwę. Za tę cenę kurewstwo stawało się jednocześnie etyką, estetyką i wielką sztuką górującą nieskończenie nad ubożuchnymi kwestiami słownikowymi. Przypomniała sobie wczorajszy triumf, w czasie wieczoru w Signorellich... Wchodząc na taras kątem oka dostrzegła znieawidzoną rywalkę, Nadie Fischler w ożywionej rozmowie z Honorem Larsenem, wielkim bossem ogromnej firmy lotniczej, którego obie pożywały. Honor przypominał ogromny worek z dolarami, na którego wyższym końcu przyczepiono ciężkie rogowe okulary. Słyszał ze swych oszałamiających prezentów ofiarowywanych tym, które dzieliły jego życie choć przez kilka dni czy kilka godzin. Nadia Fischler, jak każda dobra dziwka, chciała położyć łapę na tej chodzącej złotej żyłce, którą olśniła w kasynie. Betty czekała więc na swoją godzinę, aby przejść do ataku. Wiedziała, że Larsen będzie na przyjęciu u Signorellich. Pewna własnego uroku,

swej burzy włosów i zielonych oczu, spędziła wiele godzin utykając w pajęczynie obcisłej sukni z turkusowego jedwabiu wszystkie klejnoty. Kiedy weszła do oświetlonego salonu, rozmowy nagle ucichły, a wszystkie spojrzenia pobiegły ku niej, migocącej jak słońce niezliczonymi rozbłyskami ulotnych ogni przy każdym ruchu ciała. Larsen zareagował jak inni, bezwstydnie wlepiając w nią oczy mimo obecności Nadii Fischler w odwiecznej czarnej sukni, zmiażdżonej obecnością Betty... Tej chwili ani jedna, ani druga nie były w stanie zapomnieć. Przed chwilą Honor zadzwonił do Betty prosząc, by przyjęła zaproszenie na kolację. Powiedziała - tak. Przyjedzie po nią i zabierze z hallu hotelowego zaraz po koktailu Goldmana. Jeśli będzie mieć odrobinę szczęścia, Nadia Fischler zobaczy, jak razem odjeżdżają. Otworzyła oczy, westchnęła głęboko, z żalem zamknęła kuferek, odsunęła zasuwę i zawołała strażników. Jeden z nich wziął kuferek, a drugi ruszył przodem z prawą ręką pod marynarką. Betty nie spuszczała z nich oczu, gdy znikali w korytarzu. Według ostatnich szacunków jej kamienie były warte 6 milionów dolarów. Prawie tyle, ile Nadia Fischler straciła w trzy czy cztery sezony. Betty uśmiechnęła się na myśl, że Nadia umrze w biedzie. Usiadła przed toaletką i przypięła do koralowej sukni jedyną, wspaniałą perłę w formie gruszki, prezent od pewnego obywatela Kuwejtu. Na dole Honor Larsen powinien już na nią czekać.

Kelner przyniósł szklaneczki z pastis. Alan wyciągnął z kieszeni garść banknotów, które wymienił na lotnisku, ale okazało się, że Norbert już zapłacił.

- Za pańskim pozwoleniem... Jest w zwyczaju, że to ja płacę za nasze wydatki. Robimy rozliczenie na końcu.

Alan schował do kieszeni swoje franki. Wypili po łyku. Alan skrzywił się, Norbert uśmiechnął.

- Czy podać coś innego?

- Nie, nie, spróbuję się przyzwyczaić.

- Na przykład - ciągnął Norbert - chyba nie powinien pan zajmować się napiwkami dla bagażowych. Dał pan o wiele za dużo.

- Hm...

- Myślę o tych, którzy przyjadą po panu. Zapłacą tylko to, co się należy i narażą na uraganie. Psuje pan rynek.

- Nie zrobię tego więcej - powiedział ze śmiechem Alan. - Niech pan mi powie, Norbercie... Nie brakuje panu zbytnio tej filozofii?

- Filozofia to sposób życia. Nauczanie filozofii to inna sprawa. Byłem eksploatowany i źle opłacany. Zarabiałem o wiele więcej będąc służącym.

- Był pan służącym?

- Przez osiem lat. To wspaniały zawód. Myśl pozostaje swobodna. Czyszcząc buty ma się czas na rozmyślania. Kto w przemyśle lub handlu może się pochwalić tym, że ma czas na rozmyślania?

- To prawda - powiedział Alan z zażenowaniem.

- Właśnie tłumaczę to towarzyszom.

- W agencji?

- Nie, w partii. Działam w sekcji komunistycznej Pegomasu. Koło Vaillant - Couturier.

Z wrażenia Alan omal nie upuścił kieliszka.

- Alienacja to tylko sprawa języka. Dzisiaj słowo „służący” czy „domownik” ma w sobie coś uwłaczającego. A przecież pochodzi od „domus”. Oni się śmieją z etymologii! Żeby pan wiedział, jak się pokładali, kiedy tłumaczyłem pochodzenie słowa „minister”!

- A co to znaczy? - zapytał Alan, żałując natychmiast, że zapytał.

- Pochodzi od „minas”.

- Więc co?...

- To był ten, który wycierał tyłek królowi. W zamierzonych czasach. Minus - minister. Przepraszam pana, proszę wybaczyć...

- Ależ skąd! To pasjonujące... Człowiek tyle się uczy przy panu.

Norbert uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję panu.

Apartament Cesare di Sogno znajdował się dokładnie pod apartamentem Arnolda Hacketta, o dwa piętra niżej. Drzwi wychodziły na rozległy taras z widokiem na morze. Ciekawostką apartamentu było dwoje drzwi na korytarz: z salonu i z pokoju. To podwójne wejście zachwycało Cesare'a. Często zdarzało mu się wyprowadzać jedną dziewczynę przez salon, podczas gdy druga wchodziła do pokoju - lub odwrotnie. Opowiadał, że jest żonaty z kobietą zazdrosną, zdolną zastrzelić każdą rywalkę.

Naprawdę był żonaty tylko raz, przez sześć miesięcy, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Grzech młodości. Wspominał z odrazą dwupokojowe mieszkanie bez łazienki przy ponurej ulicy w Montrouge, gdzie wokół ciągnęły się magazyny i dudniły ciężarówki.

Przejeżdżały z warkotem pod oknami i wówczas łóżko, stary żyrandol i cieniutkie przepierzenia trzęsły się od piekielnych wibracji. Nie wytrzymała tego miłość do Colette. Nawet nie musiał pakować walizek, w dniu, w którym zdecydował się uciec od tego straszego otoczenia i od żony zaniedbującej się coraz bardziej z powodu ciąży. Nie miał walizek. Pewnego dnia po prostu nie wrócił i nigdy więcej nie dał o sobie znać. Nie miał również wiadomości od Colette. Umarła? Urodziła? Chłopca czy dziewczynkę? Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi od dwudziestu pięciu lat.

Opowiadał tę historię tylko jednemu ze swych przyjaciół, adwokatowi, który uświadomił mu, że - jeżeli nie żartuje - jest ciągle wobec prawa żonaty. Cesare trzepnął go mocno w plecy, czemu towarzyszyło szelmowskie mrugnięcie okiem i już nigdy nie ryzykował najmniejszej aluzji do swej przeszłości, na którą składały się kanapki, kawa ze śmietanką pita przy barze, hektolitry taniego czerwonego wina, pokoje w nędznych hotelikach, dojrzałe żony piekarzy, spotykane na dancingach w La Coupole albo na herbatkach tańczących w Claridge w latach pięćdziesiątych w Paryżu. Reszty dokonywała jego piękna twarz Rzymianina. Żony piekarzy zastępowały stopniowo żony przemysłowców, biznesmenów, bankierów, przywódców politycznych. Jego garderoba i jego konto bankowe stopniowo wzbogacały się; dziś Cesare miał apartament w pobliżu Champs - Elysees, kilka kilogramów więcej, trochę złudzeń mniej, a kochanek na kopy. W najbardziej luksusowych miejscach na świecie nazywano go „Monsieur di Sogno”, a on pozwalał na zadawanie sobie słodkiego gwałtu przez przypisywanie mu tytułu markiza. Czuł w sercu i w sumieniu, że bardziej na to zasługuje niż wszyscy nędzni chudopałkowie, którzy lizali mu stopy tylko z tego powodu, że wchodzili do rad nadzorczych wielkich firm pragnących zdobyć jego względy. Cesare żył odtąd z handlu wiatrem. Wiatr niósł go, napełniał, karmił, pozwalał na życie utkane z podróży, pałaców, piękna, nowych podbojów, doskonałych win, wyszukanego jedzenia, garniturów od najlepszych krawców, luksusowych samochodów. Zrozumiał, że w środowisku, gdzie najdrobniejsza z potrzeb jest zaspokajana, brak pragnień otwierał nieograniczone pole działania najtrudniejszemu do zaspokojenia pragnieniu - próżności. Zawsze było na nią zapotrzebowanie. Medale, dyplomy, nagrody, odznaczenia sprzedawały się jeszcze lepiej niż artykuły pierwszej potrzeby.

Sprzedawać wiatr, poruszać wiatr, żyć z wiatru... Reprezentując wyłącznie samego siebie, to znaczy nic. Cesare był na tyle inteligentny, aby tworzyć swoje przedsiębiorstwo w oparciu o próżność tych, którzy płacili.

Pierwszą operacją był druk papieru listowego z nadrukiem „NAGRODA LEADERA”, natychmiast też przyznał sobie tytuł „sekretarza generalnego”. Przeglądając rozmaite roczniki europejskie i amerykańskie Cesare notował wpływowe nazwiska tych, którzy tworzą świat: naukowców, filozofów, pisarzy, arystokratów o starych nazwiskach, wziętych aktorów teatralnych, miliarderów znanych na całym świecie, dyrektorów wielkich przedsiębiorstw, polityków. Do każdego wystosował następujący list:

Czy zechce pan nas zaszczyścić udziałem w pracach komitetu Nagrody Leadera, którą co roku zamierzamy wyróżniać firmę lub osobistość najbardziej zasłużoną i dynamiczną w minionym roku.

Listy wypełnione masą niepotrzebnych szczegółów uleciały na cztery strony świata, podpisane jego nazwiskiem wraz z podkreśleniem tytułu:

Cesare di Sogno, sekretarz generalny Nagrody Leadera.

Ku swemu ogromnemu zdumieniu - nawet nie przyznał sobie tytułu markiza! - Cesare otrzymał tyleż odpowiedzi pozytywnych, ile wysłał listów. Reszta była dziecinną igraszką. Wybrał dwadzieścia najsłynniejszych, najbardziej prestiżowych nazwisk i wpisał je u góry, po lewej na blankiecie owego papieru listowego:

Nagroda Leadera pod patronatem..., przyznana przez... - Sekretarz generalny - Cesare di Sogno.

I zanim ktokolwiek zdążyłby coś powiedzieć - nagrodę pomyślaną jako doroczną - przyznawano odtąd tyle razy, ile wymagały potrzeby finansowe Cesare'a. Najlepsze w tym było, że Cesare nigdy o nic nie prosił. Nagroda Leadera nie miała celu lukratywnego. Oczywiście, były wydatki na sekretariat, biura, personel, na kolacje, koktaile, podróże, hotele. Te szczegóły pozostawiono dyskrekcji i elegancji nowo przyjmowanych. Laureata zapraszano do wspaniałego biura przy Champs - Elysees. Przyjmowały go wspaniałe blondynki w surowych, granatowych mundurkach, prowadziły po dywanie z puchatej wełny, w której zapadały się stopy i wreszcie dopuszczano do wyrafinowanego

sanktuarium „Sekretarza Generalnego”, który przyjmował go z rozbijającą prostotą pod obrazem Toulousa - Lautreca.

- Drogi panie, pana firmę wyróżniło nasze międzynarodowe jury jako najgodniejszą Nagrody Leadera. Moje najserdeczniejsze gratulacje! Czy przyjmuje pan nagrodę?

Laureat, człowiek poważny, traktował sprawę jak najpoważniej. Prezes - dyrektor generalny grupy banków, towarzystwa lotniczego, konsorcjum nieruchomości czy sieci wielkich sklepów, skromnie wyrażał zgodę skinieniem głowy. Cesare serwował mu wówczas niewinnie program rozrywkowy: koktail na pięćset osób, kolację przy świecach dla elity wybranych osobistości i dziennikarzy (nigdy mniej niż dwustu) w najbardziej uczęszczanych restauracjach stolicy lub innych wyrafinowanych miejscach kuli ziemskiej. Po czym podnosił się i serdecznie podawał rękę na znak, że spotkanie jest skończone. Oszołomiony gość pozwalał się doprowadzić do drzwi, ale zanim przestępował próg, niezawodnie zadawał pytanie:

- Czy powinienem za coś zapłacić?

Odpowiedź jaką dawał Cesare di Sogno, była w jego własnym mniemaniu niezwykła:

- Płacić? Ależ drogi panie, nagroda Leadera nie ma żadnego celu lukratywnego! Ani grosza, nie. To my jesteśmy zaszczyceni.

- A jednak... Pięciuset gości u Lasserre'a... Dwustu u Maxima... specjalny Boeing do Acapulco...

- Nic!

Cesare odczekiwał, przybierając ojcowski wyraz twarzy...

- Oczywiście, nasz komitet ma wydatki...

- Czy moja firma mogłaby w nich uczestniczyć?

- Samochód przywiezie pana do Ritza szóstego o osiemnastej, proszę nie zapomnieć! Cała prasa tam będzie! Uczestniczyć?... Nie jest pan do niczego zobowiązany!

- Bardzo pana proszę! Ile?

- Drogi przyjacielu, nie mam pojęcia. Proszę w każdym razie przyjąć moje podziękowania w imieniu naszego dzieła...

- Proszę mi dać jakąś wskazówkę, jestem bardzo zakłopotany... Ile dają inni?

Nowa znudzona mina Cesare'a:

- Różnie...

Wówczas padała liczba wahająca się od 20 do 50 000 dolarów w zależności od obrotów wybranego przedsiębiorstwa.

Ciekawe, dotychczas nikt nie odmówił płacenia. I w końcu każdy dostawał wszystko to, za co zapłacił. Wyróżniona firma mogła dumnie eksponować wspaniałe dyplomy. Jakość uczestników przysparzała jej licznych komentarzy prasowych. Wszyscy byli zadowoleni.

Jedynym wyjątkiem w tej regule był Lou Goldman. Przyjął nie krygując się, wiadomość o przyznaniu nagrody, ale pozostał głuchy, gdy Cesare po licznych karesach zaczął robić aluzje na temat „kosztów ceremonii związanych z tym pięknym dziełem”. Jego instynkt rekina podpowiadał mu, że wszelkie zabiegi są beznadziejne: Goldman był jeszcze większym kanibalem niż on sam. I kto teraz zapłaci koktail? Na pewno nie on! Goldman tym bardziej. Więc kto?

Cesare odpędził niepokój. Pogoda była cudowna, spencer z białego jedwabiu leżał na nim jak rękawiczka, a pomiędzy zaproszonymi na swe przyjęcie gośćmi miał na oku co najmniej dwie ofiary: Arnolda Hacketta i Honora Larsena. Gdy miał już schodzić do hallu, Cesare cofnął się do łazienki, przez chwilę podziwiał swą sylwetkę i przesłał swemu odbiciu delikatny pocałunek.

- Jedziemy - powiedział Alan.

Norbert już stał z czapką w ręku. Przepuścił Alana i ruszył za nim, nieco z tyłu.

- Czy nie zechciałby pan dać mi chwilkę na sprzątnięcie wozu?

- Teraz? - zdziwił się Alan.

- Kiedy zatrzymuję się, a dach jest rozsunięty, zawsze znajduję pełno śmieci.

Przebyli trzydzieści metrów dzielących ich od rollsa. Na prawym przednim siedzeniu rozgnieciono trzy rożki lodów czekoladowych.

- Zajmie mi to minutę - powiedział Norbert. Wziął ścierkę i naprawił szkody.

- Komuniści - ironizował bez złośliwości Alan.

- Nie, mieszczuchy - odpowiedział Norbert tym samym tonem. Tylko mieszczuchy plują na to, czego nie mogą mieć. Jeżeli zechce pan wsiąść...

Alan usiadł z przodu, Norbert podniósł brwi.

- Tak wolę - powiedział Alan. Norbert ujął kierownicę, włączył rozrusznik.

- Jest takie piękne powiedzenie francuskiego pisarza Henri Michaux. Powiedział on:

Gdyby samochody mogły myśleć, rolls - royce byłby o wiele bardziej zaniepokojony niż 2 CV.

Wybuchnął śmiechem, włączył się do ruchu pchnięciem potężnego akceleratora i ciepło poklepał kierownicę:

- Dobra gablota... Bardzo, bardzo dobra gablota! Trochę dalej wskazał na restaurację po swojej lewej stronie.

- Tetou... Dobra, bardzo dobra bouillabaisse!

Rozciągnęła się na łóżku tworząc znak krzyża. Bawiły ją próby dotknięcia jego krańców rękami i palcami u nóg. Nawet gdy leżała, wystarczyło tylko lekko unieść głowę, by zobaczyć morze przez okno, pod którym rozciągał się ukwiecony balkon.

Słońce wymalowało białą maleńki trójkąt skóry ukrywanej przed spojrzeniami przez mikroskopijne majteczki, jakie nosiła na basenie. Jej ciało miało teraz trzy odcienie: biel koło pachwin, jasnobrązowy odcień łona zawdzięczany barwie jej włosów i ciepły ceglany kolor partii całej reszty wystawionej na olśniewające słońce śródziemnomorskie.

Zerwała się nagle, poszła powąchać dwa bukiety róż zdobiących jej pokój. Kto mógł je przysłać? Na basenie nie rozmawiała z nikim prócz kelnera, u którego zamówiła coca - colę udekorowaną plasterkiem zielonej cytryny i tłuczonym lodem. Porównała dwie wizytówki przyczepione do bukietów, ale nie знаła zarówno Louisa Goldmana, jak i Cesare'a di Sogno. Zmiała je, wrzuciła do muszli klozetowej i spuściła wodę. Porwała z misy banana, ugryzła nie zdejmując skóry, wypluła skórkę, zagłębiła zęby w czerwono - fioletowym jabłku. Z lodówki wyjęła butelkę z mlekiem i wypiła ogromny haust. Otarła usta wierzchem dłoni. Wszystko jej się podobało. Wspinając się na czubki palców przeciągnęła się z rozkoszą w otwartym oknie. Po prawej widziała ludzi pływających w basenie. Hałas ciał uderzających o powierzchnię wody dochodził do niej ułamek sekundy później w stosunku do tego, co rejestrowały oczy.

Ciągle stojąc na palcach otworzyła jedną z szuflad komody, skąd wyjęła dziwny słomkowy kapelusz z kwiatami i parę długich rękawiczek z czarnej koziej skóry.

Włożyła rękawiczki, zaczepiła nogi o krawędź łóżka, zwrócona wprzód. Podpierając się rękami rozpoczęła serię pompek, które

odliczała w rytm wyliczanki, jakiej nauczyła się w przedszkolu przed dwudziestu laty.

Sześć kilometrów za Golfe - Juan samochód znalazł się u wrót Cannes.

- Mam jechać przez Croisette czy przez ulicę Antibes?

- A jaka różnica?

- Ulica Antibes przecina centrum, Croisette biegnie nad morzem. Maestic znajduje się przy końcu. To trochę dalej.

- Croisette - powiedział Alan.

Rolls dojechał do rozwidlenia dróg. Norbert skręcił w lewo, minął światła, przejechał pod mostem kolejowym i ostro skręcił w prawo.

W przeciwnym kierunku jechały setki samochodów zderzak przy zderzaku.

- Wracają z plaży. Gorzej niż w Paryżu!

Alan czuł się o wiele lepiej od chwili, gdy Norbert zdjął swą czapkę, a on usiadł z przodu. Jedynie rolls był przedmiotem uwagi, a nie pasażerowie. Alan był oszołomiony ilością i swobodą dziewczyn. Niektóre z nich tworzyły istne grona w maciupeńkich samochodzikach, piersi ledwo przesłonięte dziesięcioma centymetrami kwadratowymi przezroczystego materiału, pupy na wierzchu. Krzyczały z radości w hałasie oszalałych klaksonów.

- Tutaj tak codziennie? - zapytał Alan.

- W dzień i w nocy - powiedział Norbert.

- Gdzie one mieszkają?

- Nie wiadomo. Gdzie mogą. Niektóre śpią na plaży, inne biwakują w namiotach albo szukają kąta u miejscowych. Radzą sobie jakoś... Pokój sześciometrowy na piętnaście osób. W lipcu ludność Cannes zwiększa się dwudziestokrotnie. Czy zna pan Saint - Tropez?

- Nie.

- Tam rośnie stukrotnie. Większość przyjeżdża bez pieniędzy.

- I jak to robią?

- Radzą sobie jakoś. Przy końcu sezonu dziewczyny używają tego, w co wyposażyła je natura, by mieć na codzienną kanapkę. Wielu chłopców zresztą też.

- Czy chce pan powiedzieć, że się prostytuują?

- Powiedzmy, że sobie dają radę. Niech się pan postawi w ich sytuacji... Zaprasza się je na trzydziestometrowe jachty, na kawior,

whisky do upojenia. To je wytrąca z równowagi. Pieniądz wszystko niszczy, proszę pana!

Rozdział 11.

I jak udała się herbatka? - wykrzyknął jowialnie.

- W porządku - odpowiedziała Emily obrzucając go pytającym spojrzeniem. - Wychodzisz?

- Idę do baru na pięć minut. Gohelan chce mnie poprosić o radę.

- Biorąc pod uwagę, ile tu zostawiamy pieniędzy, mam nadzieję, że mu za to policzysz.

Zaśmiał się kwaśno.

- Na razie. Mam poczekać na was w hallu, aby pójść na ten koktail, czy wjechać na górę?

- Oczywiście zejdziemy. Sarah, co wkładasz? Nie zależy mi, abyś miała taką samą suknię jak ja.

- Białą, od Saint - Laurenta.

- Doskonale, ja włożę zieloną od Cardina.

- Idę już - powiedział. Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Sarah dała znak matce, aby się nie ruszała. Następnie weszła do korytarzyka, otworzyła drzwi, sprawdziła, że korytarz jest pusty i wróciła do salonu.

- Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- Coś, co dotyczy twojego męża.

- Przestań wreszcie nazywać Hamiltona „moim mężem”. To jest także twój ojczym.

- Może byś chciała, abym nazywała go tatusiem? ... Kiedy zobaczysz to, co ci pokażę?...

Zajęła się małą czarną walizeczką tkwiącą w szafie pod stosem pulowerów należących do Hamiltona.

- Nigdy nie zadawałaś sobie pytania, co on tam trzyma?

- Myślę, że papiery.

- Rzeczywiście chodzi o papiery. Ale swoistego rodzaju. Wyjęła z kieszeni spodni mały płaski kluczyk.

- Sarah - zaprotestowała Emily. - Skąd wzięłaś ten kluczyk? Nie masz prawa!

- Proszę cię, mamo. Poza wszystkim warto wiedzieć, z jakiego rodzaju człowiekiem żyjesz od dwunastu lat.

- Sarah, zabraniam! Nie pozwalam ci!

- Tylko jeden rzut oka, będziesz zbudowana...

Pogrzebała w zamku, podniosła wieko walizki, a jej zawartość rozsypała na sofie: pisma pornograficzne.

- A to, wiesz co to jest? Lupa! Ogląda je przez lupę! Emily odwróciła się gwałtownie.

- Sarah, rozkazuję ci zamknąć walizkę! Jestem zgorzona twoją niedyskrecją! Hamilton jest moim mężem, ale nigdy bym sobie nie pozwoliła na grzebanie w jego rzeczach!

- To twoja sprawa, mamó. Zachowaj klapki na oczach. W każdym razie nie pozwolę, abyśmy zostały ograbione przez satyra!

- Nie mieszaj się w moje sprawy! - rzuciła Emily czerwieniejąc z gniewu.

- Zostałaś uprzedzona. - odpowiedziała Sarah.

Włożyła klucz do kieszeni i zniknęła w swoim pokoju. Emily stała przez chwilę w bezruchu, zaciskając nerwowo palce na małej torebce. Przez szklaną ścianę wychodzącą na ukwiecony taras widziała mewy, które muskały fasadę wydając wysokie, ostre krzyki. Po śmierci męża przysięgała, że nie wyjdzie ponownie za mąż. Któż mógłby sprawić, by zapomniała Francka Burgera III? W trzy lata później wyszła za Hamiltona Price - Lyncha, jednego z bliskich współpracowników Francka. Wybrała go właśnie dlatego, że nie było w nim nic szczególnego, ani fizycznie, ani moralnie. W dalszym ciągu wydawała mu rozkazy, podobnie jak to czynił Franck za życia. Trzeba przyznać, że odczuwała co do niego te same obawy na długo, zanim Sarah je wyraziła. Nie ufała słabym, ponieważ byli podstępni i niebezpieczniejsi od silnych. Ale Hamilton nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa dla niej czy jej fortuny. Gdyby chciała, mogłaby go zgnieść jak muchę. Czasami, gdy była zdenerwowana, wołała go do swego łóżka. Kochał się z nią służalczo i pośpiesznie, jak służący, który nie chce stracić miejsca i stara się zaspokoić każdy najmniejszy kaprys swego pana. Niewiele ją obchodziło z jakich ułud Hamilton czerpie siłę, by ją podniecać. Aby tylko była podniecona... Z Frankiem nie czuła nic. Miażdżył ją swą dominującą osobowością. Oddychała dla niego, w jego rytmie, naginając się do jego godzin, wymagań, kaprysów. Z Hamiltonem role zostały odwrócone. I odtąd legendarna fortuna Burgerów była jej, a pewnego dnia będzie należała do Sarah. Jej córka żywiła do niej śmiertelną urazę, że poślubiła faceta bez znaczenia, do którego odczuwała wyłącznie pogardę. Nie przepuszczała żadnej okazji aby go niszczyć. Uważała, że stanowi

niebezpieczeństwo dla klanu Burgerów, podkreślała okrutnie przydomek nadany mu przez bliskich współpracowników w banku „Ham - Burger”. Emily nie była żoną Hamiltona Price - Lyncha, tylko mówiono o nim, że jest mężem Emily, „Panem Burger”, „Ham - Burgerem”.

Tym razem Sarah przekroczyła granice. Nikt na świecie nie miał prawa szperać w osobistych rzeczach mężczyzny. Z wyjątkiem jego własnej pokoju i otworzyła za pomocą małego, płaskiego kluczyka schowanego w jej szkatułce z klejnotami. Jak czyniła to ze sto razy w ciągu tych lat, uważnie przejrzała kolekcję czasopism, którą Hamilton regularnie wzbogacał o nowe zbiory.

Z okrągłymi oczyma, zaciśniętymi wargami, przyglądała się pochwom rozprutym fallusami o nadnaturalnych rozmiarach, które w niczym nie przypominały przynajmniej tych, które widziała z bliska, należących do jej dwóch mężów: Francka Burgera III i Hamiltona Prince - Lyncha.

Rolls posuwał się wolno w ogromnym korku. Kąpielowicze w kostiumach przecinali drogę na bosaka, by napić się w barach naprzeciwko. Piłki wpadały pod koła samochodów.

- Wjeżdżamy do Cannes - powiedział Norbert.
- Więc to jest Croisette?
- Nie, jeszcze dalej, kiedy skrećimy w prawo.

Alan zobaczył przed sobą białe, rokokowe gmaszysko. Otoczone palmami wystrzeliwującymi z trawnika starało się wyglądać szlachetnie.

- Co to?
- Kasyno letnie, Palm Beach.

Natychmiast wróciły jego obawy. Tego wieczoru, za tymi murami, miał spróbować zrealizować czek na 500000 dolarów. Przedsięwzięcie rozważane w Nowym Jorku, po dobrym posiłku, wydawało mu się możliwe do zrealizowania. Było przedłużeniem snu, w którym człowiek sobie wyobraża, że działa. Ale na miejscu, w rzeczywistości - jak ośmieli się poprosić o tak olbrzymi kredyt? Przekląty Bannister.

- Jesteśmy daleko od hotelu?
- Croisette zaczyna się tutaj. To na drugim końcu. Majestic, Palm Beach; ci sami właściciele, ta sama walka. Oskubać bezbronnych miliarderów.

- Pan jest przeciw? - zapytał Alan powstrzymując uśmiech. Norbert rzucił mu zgorzzone spojrzenie.

- Żyjemy z tego wszyscy, ja pierwszy.

- A pana przekonania polityczne? - droczył się Alan. Uśmiech zmarszczył twarz Norberta.

- Jestem pełen sprzeczności.

Wyminął o włos dziecko, które wyskoczyło mu przed maskę i dodał:

- Tylko, że ja sobie z nimi radzę. - Powiedziawszy to milczał przez chwilę. Następnie wskazując ogromny tort po prawej rzucił: - Carlton.

Skierował samochód w małą uliczkę, biegnącą wzdłuż fasady zachodniej, skręcił jeszcze raz i stanął przy chodniku.

- Majestic? - spytał Alan zdziwiony. Norbert potrząsnął przecząco głową.

- Proszę posłuchać, chciałbym poprosić pana o przysługę... Zależy mi na moim miejscu, regulamin w mojej firmie jest bardzo surowy. Czy mogę poprosić pana o pozwolenie założenia z powrotem czapki? I żeby pan usiadł z tyłu, zanim pojedziemy pod hotel?

- Ależ dlaczego? Co to ma za znaczenie?

- Tak będzie lepiej - powiedział Norbert. - Goście Majestic nie wiedzieliby, który z nas dwóch jest pasażerem, a który szoferem. Czy zechce pan?

- OK. - zgodził się Alan. - I to pan sądził, że jestem zdolny rozwiązać pańskie sprzeczności!...

- Żałuję proszę pana, nie chodzi o moje sprzeczności, a o sprzeczności systemu symbolicznego, który wymaga natychmiastowej identyfikacji uczestników poprzez nadawane przez nich znaki. Proszę odwrócić to prawo, nie pozostanie nic z domniemanej hierarchii kapitalizmu. I wówczas gdzie dojdziemy?

- Proszę mi to powtórzyć, ale wolno - powiedział Alan ujmując głowę w obie ręce.

Przesiadł się do tyłu. Norbert z powagą założył czapkę i wcisnął sprzęgło.

Zatrzymując się w Majesticu John - John Newton na stałe wynajmował prócz apartamentu na szóstym piętrze, także salon i pokój na pierwszym. Zdarzyło się, że oba pomieszczenia

współdziałały w czasie spotkań, na których niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Kiedy rozmówca na to zasługiwał, John - John aranżował sytuację, w której jakieś uroczyste stworzenie nagle zaglądało do salonu przez drzwi uchylone od strony sypialni. Z zakłopotaniem, ale też z uprzedzającą grzecznością, John - John przedstawiał dziewczynę swemu potencjalnemu klientowi. Po kilku minutach konwersacji przeproszał: musi zadzwonić. Zniknął i wracał w pół godziny później gorąco przepraszając za zwłokę. Jeden rzut oka wystarczał, aby ocenić sukces operacji: w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto dziewczyny, za których usługi płaćcił zawrotne ceny agencjom call - girls, były oczarowane wdziękiem jego gości, zachwyconych z kolei okazją sprzątnięcia przyjaciółeczki komuś tak potężnemu i uwodzicielskiemu jak John - John Newton. I nawet nie wiedzieli, że stawali się skłonniejsi przez to do ustępstw w interesach.

Interesy firmy Van Velde wyrażały się milionami dolarów, więc najmniejszy procent różnicy urastał w krociowe sumy. Newton pertraktował bez żadnych pośredników z izraelskimi generałami, ministrem spraw wewnętrznych Arabii Saudyjskiej, chińskimi komisarzami ludowymi - słowem, ze wszystkimi; którzy zwracali się do jego firmy w sprawie uzbrojenia armii w wymyślne urządzenia elektroniczne. Przed dwoma laty zapragnął rozszerzyć asortyment zaopatrując się w niektórych innych gałęziach przemysłu. Zwierzył się z tego zamiaru swoim europejskim i amerykańskim bankierom prosząc ich, by sygnalizowali wszystko co wyda im się interesujące. Jeden z nich zaproponował coś wspaniałego, co jednak wymagało wyczucia i doskonałej koordynacji. Klęska lub powodzenie operacji w każdym momencie wisały na włosku. Oczywiście John - John zastanawiał się, jakie są motywy bankiera, nie miał absolutnej pewności, ale sądził, że znalazł na to odpowiedź. Zamierzał ją wykorzystać w chwili przystąpienia do akcji. W interesach bowiem najbardziej go bawiło, jak wszyscy usiłują się nawzajem wykołować. Do mety docierała garstka.

Temu, na którego czekał, nie ośmielił się dotąd podsunąć numeru z dziewczyną. Umierał z ochoty, ale przeciwnik był zbyt przebiegły i nieufny, by popaść w sidła.

Rozległo się dwukrotne stukanie do drzwi. John - John poszedł otworzyć. Niski mężczyzna w czarnym kaszmirowym blezerze

wyciągnął do niego rękę. John - John pochwycił ją i serdecznie potrząsnął.

- Proszę wejść, drogi przyjacielu... Czego się pan napije?

- Niczego, dziękuję. Wpadłem tylko na minutkę. Czekają na mnie na koktailu.

Twarz Newtona rozjaśniła się uśmiechem.

- Goldman?

- Zna go pan?

- Trochę. Dostyc, aby mnie śmiertelnie znienawidził.

- Jakaś historia z kobietą?

- Gorzej! Pokonałem go w golfa na Florydzie.

- Wysoka stawka?

- Żadna, to kwestia honoru. Dodajmy jednak, że ta partia kosztowała go 20 milionów dolarów.

- Niech pan mi opowie!...

- Obiecuję, któregoś z najbliższych dni... Uśmiech Johna - Johna zgasł nagle.

- Ma pan jakieś wiadomości? Na jakim etapie jesteśmy? Hamilton Price - Lynch złożył ręce i powiedział pogodnym tonem.

- Wszystko idzie wspaniale. Moim zdaniem sprawę mamy w kieszeni.

Zanim Alan zdążył rozeznac się w mechanizmie zamka, dwóch służących w błękitnych mundurach otworzyło przed nim drzwi. Na lotnisku w Nicei przyjmowano go uśmiechem i różą. Do Cannes wkraczał w powodzi śmiechu, którego przyczyna nie była mu znana. Przez szpalery bukszpanu i mimozy wokół basenu mógł widzieć setki nóg należących do obu płci, ale zasłaniały mu twarze. Olbrzymi rudy wesołek o ramionach tragarza ubrany w admiralski uniform wyjaśnił:

- Koktail, proszę pana. Rozdają nagrody.

Alan podziękował ruchem głowy, nie wiedząc dobrze, jak się zachować.

- Czy mogę towarzyszyć panu do recepcji?

Alan wszedł za boyem hotelowym do hallu, podczas gdy bagażowi pod okiem admirała, wspomagani przez Norberta, wyjmowali z kufrów rollsa kosztowne walizki.

Admirał nazywał się Serge. Od ćwierć wieku był w Majesticu szefem transportu i widział już niejedno. Pochylił się ku swemu siostrzeńcowi, dwudziestolatkowi, któremu wpajał podstawy zawodu.

- Nie sugeruj się nigdy bagażem. To o niczym nie świadczy. Liczy się sposób bycia, swoboda, naturalność. Łachudra pozostaje łachudrą nawet w gablocie ze szczerego złota.

Siostrzeniec wpatrywał się w niego z nabożeństwem.

- A czy to nie łachudra?

- Niekoniecznie. Ale primo - samochód wynajęty. Secundo - walizki zbyt nowe. Tertio - garnitur ze sklepu, quatro - nie wie, co zrobić z rękami. Zawsze patrz na ręce! Jeżeli nie wiedzą, gdzie je wsadzić, oznacza to, że bardziej są przyzwyczajeni do campingów niż pałaców. Jak leci, Norbert?

- Witaj, Serge.

- Popatrz, Norbercie, to mój siostrzeniec. Właśnie mu mówiłem... Twój typek, to kto?

- Pope. Alan Pope.

- Nie znam faceta! Co sprzedaje?

- Bo ja wiem? Amerykanin.

Serge odwrócił się do młodego Antoine'a Bezarda:

- Widzisz?

I nagle rzucił się naprzód w kierunku młodego człowieka o opalonej cerze, eskortowanego przez kilkanaście osób obu płci. Ukłonił się z czapką w rękę.

- Wasza wysokość...

Po czym wrócił do Norberta i Antoine'a Bezarda.

- Książę Ali, siostrzeniec króla Fajsala. Przyjechał dzisiaj rano z Londynu. Szuka jakiejś posiadłości. Agenci handlu nieruchomościami biją się o niego.

Antoine Bezard zatrzymał spojrzenie na sylwetce księcia zachwycony jego spraną koszulką, postrzępionymi dżinsami, starymi sandałami:

- Można by powiedzieć - włóczęga! - powiedział naiwnie. Serge poklepał go ojcowsko po ramieniu:

- Zapomniałeś o jednym mój mały... Klasa, Klasa!

Marc Gohelen przyglądał się z irytacją stosom kanapek z kawiozem i łososiem pokrywającym ukwiecone bufety ustawione wokół basenu przez brygadę kelnerów. Wystarczyły trzy minuty, aby nie zostało się nic. Jakby nie jedli od dwóch dni w oczekiwaniu na darmową mannę! Poprzedniego dnia Gohelen widział w telewizji dokumentalny film o szkodach wyrządzonych przez szarańczę

spadającą na jakąś krainę w Afryce i pożerającą wszystko co na drodze: teraz mógł zaobserwować coś podobnego! Z przerażeniem obserwował młodzieńców, którzy utworzyli łańcuch podających sobie z ręki do ręki butelki Dom Perignona, jak strażacy wiadra z wodą w czasie pożaru lasu. A przyjęcie dopiero się zaczynało i nic nie było w stanie ugasić tego ognia.

Z trudem przecisnął się między rozgadanyimi grupkami, chwytny za klapy, zatrzymywany wyciągającymi się ku niemu upierścienionymi palcami, ściskając lub całując trzydzieści rąk, przekazując tyleż samo komplementów na temat wyglądu, sukni, formy, wczorajszych wygranych, wspaniałego odchudzenia, doskonałości liftingu, odważnej fryzury, opalenizny, nowych oznaczeń. Ledwo umknął przerażony trzem angielskim starym pannom w trzecim wieku. Najpotężniejsza z nich, odziana w fioletową, biskupią szatę, była w nim zakochana i chciała umieścić go w testamencie w zamian za prawo wyciągnięcia się w jego łóżku. Z przekrzywionym krawatem, z kropelkami potu perlącymi się na skroniach, dotarł wreszcie do małej salki sąsiadującej z barem, zamienionej w kwaterę główną przyjęcia i rzucił się na Ettore Markovitcha, szefa restauracji.

- Ettore! Pan oszalał!

- Jeszcze niezupełnie, proszę pana, ale to niedługo nastąpi!...

Usiłując rozładować ogromny zator wymachiwał rękami, by przyspieszyć obieg półmisków, wypełnionych jedzeniem i skrzynek szampana, którego korki strzelały nieustanną kanonadą.

- Ettore! Ilu gości? Ilu?

- Stu zaproszonych...

- Na tarasie jest co najmniej pięciuset i całe masy przychodzą!
Kto za to zapłaci?!

- Pan Gazzoli powiedział mi...

- Gazzoli? Gdzie jest Gazzoli?

Gohelen zauważył łysą czaszkę swego głównego kasjera wynurzającą się z ludzkiego morza.

- Albert! Albert!...

Czaszka to ukazywała się, to nikła niczym źdźbło słomy na wysokiej fali. Gohelen nabrał potężny haust powietrza, wziął rozpęd i dał nura w tłum.

W pobliżu trampoliny Lou Goldman, którego zwycięstwo miało zostać ogłoszone za trzy kwadranse, zdołał na chwilę dopaść księcia Hadada.

- Te historie między Żydami i Arabami, to bez znaczenia, jego Wysokość? To już przeszłość! Wszystkich zjednoczy mój projekt. Jest coś szczególnie smakowitego w tym, że Izraelita, w tym przypadku ja, wpadł na genialny pomysł nakręcenia filmu, który stanie się klasycznym dziełem wszechczasów chwającym islam: „Życie Mahometa”.

Księżę ze szklanką wody Perrier w rękę, łagodnie skinął głową. Miał straszliwego kaca spowodowanego przez whisky pochłanianą od wczoraj aż do siódmej rano w towarzystwie trójki swoich przyjaciół. We czwórkę uhonorowali osiemnaście dziewczyn, które zmieniały się jedna po drugiej, w trzech falach, w dwóch przylegających do siebie apartamentach na trzecim piętrze, specjalnie wynajętych na ich nocne igraszki. W sezonie agencje wynajmujące call - girls stawały na uszach: Arabowie byli niesłychanie rozrzutni, ale nie żartowali w sprawach jakości towaru. Wymagali dużych, pięknych, rasowych klaczy, które lubiły swój zawód i czerpały z niego prawdziwą przyjemność. Żadnych symulacji! Gdy byli zadowoleni, nie wahali się rzucać brylantami.

Na nieszczęście, nawet jeżeli ten wir powtarzał się każdej nocy przez miesiąc, nie chcieli pańienek już raz używanych. Trzeba im było co noc nowych, wyłącznie nowych, widzianych za każdym razem po raz pierwszy.

Louis Goldman zauważył, że Hadad miał nabiegłe zółcią oczy faceta, który wyszedł z potwornej popijawy. Księżęta naftowi pili oficjalnie wyłącznie wodę, ale Goldman wiedział, niemal co do jednej minuty, co robią w samotności. Znał liczbę przewijających się call - girls, ilość opróżnianych butelek. W hotelowym pałacu dyskrecji nie udawało się zachować bardziej niż w pierwszej lepszej wiosce. Nocni kelnerzy kursujący między apartamentami aż do świtu, pokojówki, boye i barmani byli milczącymi świadkami, w teorii ślepyimi, wszystkich wydarzeń. Czasami któryś nie mógł się oprzeć satysfakcji opowiedzenia o tym i owym, a plotki czyniły resztę.

- Z produkcją nie ma problemów. Za 50 milionów dolarów mamy tę sprawę w rękę!

Goldman wiedział, jak wszyscy, że dzienny dochód księcia Hadada wynosi 3 miliony dolarów. Sam procent od tego dochodu, umiejętnie inwestowany, przyniósłby każdego dnia milion franków. Przy takich sumach nikt nie potrafił mu się oprzeć. Boy pracujący na piętrze dostawał 5 tysięcy franków napiwku za przyniesienie jogurtu. Tyle samo masażysta lub instruktor pływacki. Kelner mógł otrzymać więcej za przyniesienie krzesła w kasynie.

Tu już nie chodziło o liczby, to była czysta i prosta poezja! Najbardziej ekstrawaganckie pragnienia natychmiast przekształcały się w rzeczywistość.

- Co o tym myśli Wasza Wysokość?

Hadad umoczył delikatnie wargi w szklance wody mineralnej Perrier.

- Pański pomysł jest bardzo interesujący.

- Żywot Mahometa!... Życie proroka godzina po godzinie... Najlepsi scenarzyści świata, tysiące statystów, pustynia... Nasze wydatki zamortyzują się zaledwie w sześć miesięcy, a mówię tylko o świecie arabskim... tyle filmów zrealizowano o tym Żydzie, Chrystusie, a żadnego o Mahomecie. Cóż za niesprawiedliwość! Czy Wasza Wysokość chciałby w tym uczestniczyć?

Szofer w uniformie podszedł do Lou Goldmana, który odwrócił się do niego plecami.

- Przepraszam, proszę pana, telefon... Los Angeles...

- Widzi pan, jaki jestem zajęty! - puszył się Goldman.

Jego kierowca miał polecenie, by niepokoić go co kwadrans anonsując rzekomą rozmowę telefoniczną z drugiej strony ziemskiego globu. Rzadko miał okazję prowadzić ogromnego mercedesa 600, którego szef wynajmował na cały sezon. Tak naprawdę to był opłacany za to, by nim pomiatano, ale bardzo dobrze przystosował się do niewdzięcznej roli popychadła do wszystkiego. Był lokajem, prywatnym sekretarzem, kierowcą lub majordomusem, miał swoje doświadczenia w Hollywood, dzięki znaczeniu swego pana był otoczony szczególnymi względami tych wszystkich, które chciały zrobić karierę filmową. Poza wszystkim bez Goldmana, Leon Trocki - naprawdę tak się nazywał - byłby nadal monterem w jednej z fabryk w Pantin.

Zasalutował, trzymając z szacunkiem czapkę w rękę, odwrócił się na pięcie patrząc na zegarek: za piętnaście minut będą dzwonili do Louisa Goldmana z Australii...

- Ach! Oto nasz laureat! - wykrzyknął Cesare di Sogno poklepując przyjacielsko Goldmana jedną ręką, a drugą ściskając ramię niskiego mężczyzny o twarzy niepozornej i twardej.

- Później, stary, później... - zamruczał Goldman, który widział już, jak jego arabski książę objawia dyskretne oznaki zniecierpliwienia.

- Louis - nalegał Cesare - mam nadzieję, że znasz Arnolda Hacketta?

- Ależ! - wykrzyknął Goldman... - Drogi przyjacielu, byłem tak zajęty rozmową, że nie spostrzegłem pana! Właśnie przed chwilą pana szukałem!... Wasza Wysokość, czy mogę przedstawić Arnolda Hacketta, z Hackett Chemical... Jego Wysokość, książę Haded... Cesare di Sogno, organizator Nagrody Leadera.

Cesare mrugnął okiem do księcia i poklepał go poufale po ramieniu.

- Jak leci, Had?...

Umysł Goldmana natychmiast zarejestrował ten gest. Przed laty Sogno dostarczał księciu luksusowych prostytutek. Między kolegami z frontu, dzielącymi setki razy te same ciała, protokół nie obowiązywał. Zwłaszcza, że Cesare był nie od tego, by zademonstrować Hackettowi bliskie związki, które utrzymywał z możliwymi tego świata.

- Hadad, pilnuj go! On potrafi zniknąć, a przecież to jego odznaczamy!

Rozdział 12.

Na siódmym piętrze otworzyły się drzwi od windy. Ubrany na czarno portier odsunął się, by przepuścić Alana, a potem poszedł przed nim aż do drzwi apartamentu 758, które otworzył swym uniwersalnym kluczem.

- Zechce pan łaskawie wejść?...

Przedsiomek tonął w mroku. Mężczyzna w czerni przechodząc zapalił światło w łazience i udał się w głąb pokoju. Alan rzucił okiem na posadzkę i ściany z czarnego marmuru.

I nagle do salonu wpłynęło szeroką falą łagodne światło wieczoru. Za ogromną, szklaną ścianą Alan zobaczył niebo, po którym zdawały się pływać mewy.

Zrobił kilka kroków, uderzony pięknem pejzażu. Po prawej stronie, na zachodzie, słońce tonęło w olśniewającej złotej mgłę. Na wprost było morze usiane żaglówkami, wracającymi do portu. Podeszedł do balustrady. Poniżej rozpościerał się błękitny basen otoczony parasolami; jaskrawe pasy materiału kontrastowały z ciemnym zarysem palm, z czarną wysmukłością cyprysów, szarością oliwek, krwistymi plamami klombów tulipanowych i kępami oleandrów. Basen otaczał gwarny tłum gości na jakimś koktailu.

- Zaraz rozsune pozostałe story...

Alan nie słyszał tego zafascynowany zgiełkiem na Croisette, długą plażą w tonacji ciepłego brązu, która zakreślała półkolem ku wschodowi, domami koloru ochry, szturmującymi zbocze wzgórzami, portowymi restauracjami, w których kolejno zapalały się światła. W górze, zagubiony w błękicie, odbijając purpurowo blaski ostatnich promieni słońca leciał samolot, pozostawiając za sobą długą, niebieskawą smugę.

Alan westchnął głęboko i nieśmiało przysiadł na leżaku. Kiedy wrócił do salonu recepcjonisty już nie było. Na konsoli stał wazon z bukietem róż. Zanurzył w nich twarz i wdychał zapach.

Pomagając sobie piętą zrzucił pantofle, ściągnął koszulę, rozpiął spodnie.

Wszedł do łazienki, nałożył biały szlafrok i otworzył drzwi.

- Pańskie bagaże, sir. Czy chce pan, abym przysłał pokojówkę, aby je rozpakowała?

- Nie, dziękuję, to niepotrzebne... Chwileczkę...

Wyjął z kieszeni marynarki plik francuskich banknotów próbując obliczyć, ile są warte w dolarach. Nie udało mu się. Bagażowy pochłonięty był przyglądaniem się wiszącej na ścianie grawiurze, przedstawiającej „Amora i Psyche”. Niezdecydowany Alan zmiął w garści dwa banknoty stufrankowe, ale przypomniał sobie uwagę Norberta i podał tylko jeden. Nie należało rozpuszczać ludzi.

Cesare położył dłoń na ramieniu Arnolda Hacketta i pociągnął go za sobą. Na trawnikach otaczających basen z podgrzewaną wodą morską rosły oliwki, drzewa pomarańczowe i cytrynowe, krzewy mimozy, palmy, cyprysy, ogromne kaktusy, stuletnie aloesy. Powietrze było łagodne i suche.

- Nasze spotkanie jest nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności! Nie dalej jak tydzień temu międzynarodowy komitet w Londynie wybrał pana spośród pięciu osobistości jako szefa najbardziej dynamicznej firmy Stanów Zjednoczonych. Czy mogę zadać niedyskretne pytanie, zaznaczając oczywiście, że nie musi pan na nie odpowiadać?... Jakie są roczne obroty Hacketta? Nie, proszę nie odpowiadać, tylko powiedziec mi, czy się pomyliłem... Podałem sumę 300 milionów dolarów .

- Dokładnie - napuszył się Arnold. Cesare patrzył na niego z głębokim podziwem.

- Co za sukces! Gdzie tkwi sekret, panie Hackett? Arnold koncentrował się przez chwilę, by lepiej sformułować odpowiedź, wreszcie wyrzucił:

- Entuzjazm. Surowe zarządzanie. Wyobraźnia. Odwaga.

- Wspaniale... Dziś Louis Goldman, przedtem koncern Mercedesa... Czy zgodzi się pan być naszym następnym laureatem? .

Hackett zagryzł usta.

- Mój Boże...

Cesare z wysiłkiem powstrzymywał się od zacierania dłoni: stary małpiszon kupił!

- Będę musiał przedstawić sprawę radzie administracyjnej...

- Ależ naturalnie! Oto jak wyobrażam sobie przebieg ceremonii. Przede wszystkim miejsce: atrakcyjne, ciepłe, egzotyczne... Acapulco!

Dwa Boeingi 747, aby dowieźć zaproszonych gości ze wszystkich zakątków globu. Pierwszy z Europy: Londyn, Monachium, Paryż... Drugi ze Stanów Zjednoczonych.

Dostrzegł, że Hackett się zachnął, więc przerwał. Uważał, by nie posuwać się za daleko i za szybko. Tak wielką fortunę mógł zbudować tylko tak zatwardziały kutwa jak Hackett. Nie chciał go przestraszyć, nie mógł też pozwolić na stawianie pytań...

- Kiedy pan dysponuje czasem, Mister Hackett?

- Czy waszej nagrody nie przyznaje się tylko raz w roku?

- Arnold...

- Victoria! Chciałbym ci przedstawić pana Cesare di Sogno...

Pani Hackett, moja żona...

Cesare zgiął się w pół nad pożątkłą dłonią, jednocześnie szacując brylant tkwiący na palcu. Jej opatrnościowe pojawienie się zwalniało go od odpowiedzi na niewygodne pytania. Z trudem wyznałby Hackettowi, że ilość przyznawanych nagród zależała jedynie od ilości frajerów, którzy byli gotowi je przyjąć. Wylewnie uściśnął rękę Arnolda:

- Może moglibyśmy kontynuować naszą rozmowę przy obiedzie?

Gdzie pan zamierzał być jutro?

Hackett spytał wzrokiem Victorię.

- W Palm Beach...

- Doskonale! Będziecie moimi gośćmi!

W Palm Beach, gdzie mógł podpisywać rachunki, nikt dotąd nie ośmielił się wypomnieć Cesare, że ich nie płaci lub, że robi to z ociąganiem. Wnioskował z tego, że są zachwyceni goszcząc go tam.

- Proszę nie mieć mi za złe, że państwa opuszczam, ale za dziesięć minut rozdaję nagrody i dziennikarze pewno mnie już szukają. Do jutra! Pani...

Nowy pocałunek dłoni, porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Arnolda, w tył zwrot...

- Cesare!

- Betty!

Betty Grone uczepona ramienia olbrzyma w wielkich okularach w rogowej oprawie, podkreślała swą urodę koralową kolia, w której lśnił jeden, ale za to pięćdziesięciokaratowy błękitnawy brylant. Cesare ocenił, że mężczyzna ważył ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Betty władczo podniosła jedną z łap olbrzyma i umieściła ją w dłoni Cesare.

- Honor, przedstawiam pana Cesare di Sogno... Honor Larsen... Podkreśliła nazwisko „Larsen” znaczącym mrugnięciem oka.

- Bardzo mi miło! Naprawdę bardzo miło - powiedział Cesare, próbując podstępem oswobodzić dłoń, która wydawała się drobna jak orzeszek w kleszczach kolosa. Przed laty Cesare i Betty przespali się ze sobą parę razy, po koleżeńsku, ponieważ nie mieli nic innego do roboty. Żadne nie zachowało wspomnień, ale rozumieli się bez słów. Cesare przekazywał czasami swoich laureatów Betty zaopatrując ją w dane z ich życiorysów, wiadomości o stanie finansów i pożyciu małżeńskim; powyżej pewnej granicy dochodów żaden mężczyzna po trzydziestce nie był kawalerem. Ze swej strony Betty nigdy nie omieszkała zwabić interesujących kochanków w sieci de Sogno. Wzajemne usługi, które nazwali żartem „stowarzyszenie złoczyńców”.

- Powiadają, że wczoraj wieczorem u Signorellich byłaś wspaniała. Wszyscy o tym mówią!

- Naprawdę? - udawała zdziwienie Betty.

Trzepotaniem rzęs dała mu do zrozumienia, że w obecności Larsena nie powinien poruszać tego tematu. Jasne, że oplotła go już swoją pajęczyną, ale ofiara mogła się jeszcze wymknąć. Trzeba było poczekać na wieczór w kasynie, aby dowiedzieć się, co w nim naprawdę tkwi i czy jest tak szczodry, jak głosiła fama. Jego wyczyny w łóżku były jej całkowicie obojętne. Była dostatecznie wprawna, aby każdy mężczyzna dzielący z nią łóżko był przekonany, że jest supermenem, Adoniszem, Casanovą i autorem „Kamasutry” jednocześnie. Kochankowie upajali się masą jej rudych włosów, a Betty w tym samym czasie potrafiła rozdzierająco jęcząc, przeliczać wartość ich prezentów na bony lokacyjne, akcje klejnoty czy stado krów. Zresztą gdy razem z Cesare siedzieli o czwartej nad ranem w barze kasyna gry w Palm Beach, otwarcie wyznała:

- Kiedy są zupełnie nieatrakcyjni liczę krowy, jakie mi przyniesie ta noc. To pozwala zabić czas.

Uważała, że Honor Larsen przypomina porcelanowe prosię tuczone hormonami, ale wyrwała go Nadii Fishler i przez to samo miał w jej oczach wszystkie możliwe walory. Od lat obydwie polowały na tych samych łowiskach: Cannes, Kenia, Monte Carlo, Portofino, Las Vegas, Los Angeles. Magiczne miejsca, w których, zależnie od sezonu, mogły upolować grubego zwierza z książeczką czekową. Nieuchronnie musiały się w nich spotkać i nieuchronnie udawały, że się nie dostrzegają. Betty pogardzała żądzą gry Nadii, która lewą ręką zwracała kasynom to, co prawą zyskała oskubując

frajerów. Nadia ze swej strony powtarzała każdemu, kto zechciał jej słuchać, że Betty „używa dupy dla interesów w skali nędznego sklepiku z nabiałem”. Dziś nędzna sklepikarka ośmieszy gracza! Nadia Fischler szybko się nie pozbiera po wczorajszym upadku! Betty przebiegł namiętny dreszcz na wspomnienie pełnego podziwu milczenia, jaki powitało jej pojawienie się w salonach Signorellich.

Nawet najbardziej zblazowani nie co dzień widywali biżuterię za 6 milionów dolarów rozrzuconą na wspaniałej obcisłej sukni ze szmaragdowego jedwabiu.

- Panie Larsen - powiedział Cesare - czy pan wie, że dopiero co dyskutowaliśmy o panu w Monachium przez trzy godziny?

Betty trąciła olbrzymia łokciem:

- Cesare di Sogno jest pomysłodawcą nagrody Leadera...

- Ach, wspaniale - powiedział Honor Larsen.

- Zważywszy dynamizm pana stowarzyszenia uważamy, że będzie to sprawiedliwe, jeżeli pan otrzyma nagrodę.

- Poważnie? - zdziwiła się Betty z zachwytem.

- Oj, Betty!... Nie wiesz, z kim masz do czynienia! Czy pan Larsen nie powiedział ci, że jest jednym z królów przemysłu lotniczego w skali światowej?!

- Ale skąd!...

Cesare wykształcony został przez matkę sprzątaczkę. Jediną rzeczą, jaką zapamiętał z jej nauk, był aforyzm: „Głupca nigdy nie przechwalisz”. Sprawdziło się. Potęga finansowa, jaką dysponowali manipulowani przez niego naiwniacy, pozbawiała ich zmysłu krytycznego. Cesare był czasami zażenowany przesadą, jaką im aplikował. Ale oni - nigdy! Istnieli tylko w superlatywach. Opinie bliźnich, nawet najbardziej pochlebne, były zawsze poniżej wyobrażenia, jakie mieli o sobie.

- A Marcel Dassault? Zapomniał pan? - powiedział Honor Larsen.

Cesary mrugnął rozbawiony do Betty:

- Przystojny facet, sławny, skromny. Doskonały! Betty, kiedy mi go przyprowadzisz?

- Panie di Sogno! Wszyscy na pana czekają! - szepnął zdyszany maitre d'hotel.

- Już idę - odpowiedział Cesare. - Napijemy się po moim przemówieniu? Mój Boże, gdzie się podziewa ten Goldman?

Był po drugiej stronie basenu, przygniatając swoją masą maleńkiego człowieczka w niebieskim blezerze o złotych guzikach: Hamiltona Price - Lyncha! Cesare odetchnął głęboko i zanurzył się w tłum kłębiący się wokół spustoszonych bufetów.

Alan przespacerował się na bosaka po tarasie wspólnym dla dwóch apartamentów. Przez tych kilkanaście minut światło się zmieniło. Słońce zginęło za wzgórzami, nadając morzu ciemną i surową barwę. Powinien wziąć prysznic... Rozmyślił się: miał coś pilniejszego do zrobienia. Rzucił się na łóżko, ujął telefon i podał telefonistce numer.

- Zadzwoń do pana.

Zapalił papierosa błędząc wzrokiem po niebie. Ogarnęła go przemożna i słodka ochota, by się zdrzemnąć. Na dźwięk dzwonka u drzwi aż podskoczył.

Otulił się szczelnie płaszczem kąpielowym, poszedł otworzyć i stanął twarzą w twarz z ubraną na błękitno pokojówką.

- Proszę mi wybaczyć, proszę pana, czy chce pan abym pościeliła łóżko?

- Pościeliła łóżko?

- Uporządkowała pokój, bagaże... - wyliczała z uśmiechem. Oczy Alana stanęły w słup: ponad ramieniem pokojówki zobaczył zbliżającego się korytarzem małego człowieczka noszącego ekstrawagancki krwistoczerwony blezer. W Nowym Jorku w biurach Hacketta dziesiątki razy oglądał fotografie tego żywego boga: Arnold Hackett we własnej osobie! W dziwacznym odruchu chciał zamknąć drzwi, przerażony nagle widokiem tego, który był dotąd wyłącznie mitem.

- Później - rzucił pokojówce, która nie rozumiała co się dzieje. - Później!

- Dobrze, proszę pana.

Zgrzytnął zatrzask w zamku. Oparł się o framugę, ogłuszony. Zaświergotał telefon: Bannister!

- Chcemy urozmaicić źródła naszych kapitałów i otworzyć przemysł filmowy na inne gałęzie działalności ekonomicznej - mówił Goldman do Price - Lyncha. - „Noc, kiedy umarło słońce” jest największym biznesem od czasów „Przeminęło z wiatrem”. Praktycznie biorąc film już na początku pomnoży zyski. Kiedy mówię „pomnoży”, chcę powiedzieć w najgorszym przypadku.

- Ham - Burger potrząsnął głową z przekonaniem.

- Nie jestem człowiekiem upajającym się cyframi, panie Prince - Lynch. Jeżeli mogę skoczyć metr, nie ustawiam poprzeczki na wysokości metr pięćdziesiąt. Jest możliwe, że udziały, o których mówimy, wzrosną stukrotnie!

- Proszę mi wybaczyć, proszę pana, ale ma pan telefon z Ameryki Południowej...

Goldman spiorunował wzrokiem szofera:

- Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Przepraszam pana... - usprawiedliwiał się Leon Trocki.

- Ależ proszę - wtrącił się Hamilton Price - Lynch - proszę się mną nie kępować...

- Zadręczają mnie ci z Beers. Chcą wejść w interes. Za późno, nie mam wobec nich żadnych zobowiązań.

- Louis! Szukam pana wszędzie! - rzucił Cesare. Nasza kolej! Udawał, że dopiero teraz dostrzegł Ham - Burgera.

- Niech się pan nie gniewa, że go panu porywam... - Wyciągnął rękę w spontanicznym geście: - Cesare di Sogno, bardzo mi miło.

- Hamilton Price - Lynch - powiedział Ham - Burger.

- Lou, zlinczują nas - westchnął Cesare. - Tędy! Zrobiono im przejście wśród krzyków, podnieconego gdakania, oklasków. Popychając się wzajemnie dotarli przed małą estradę zbudowaną na tę okazję przez dekoratorów hotelu Majestic. Cesare wskoczył na nią, pomocnicy podsunęli mu pośpiesznie pergaminowy dyplom, który miał wręczyć. Wytarł czoło, odchrząknął, ujął mikrofon, postukał w niego a echo, powtórzone przez głośniki, nabrało mocy grzmotu. Wyszczierzając zęby - drogo go kosztowały! - Cesare wybuchnął śmiechem.

- Panie, panowie... bardzo proszę... Zgiełk przycichł.

- Bardzo proszę - nalegał Cesare z ramieniem uniesionym jak u rzymskiego wodza przygotowującego uroczystą przemowę do swych legionów. - Moi drodzy przyjaciele... Drodzy przyjaciele, bardzo proszę o ciszę...

Zaproszeni goście mogli usłyszeć najpierw szmer ciepłego wodospadu, wpadającego do basenu, potem świergot jaskółek przecinających niebo.

- Dziękuję - powiedział Cesare - dziękuję...

I nagle stał się świadkiem dziwnego zjawiska. Wszystkie głowy odwróciły się zgodnym ruchem w stronę punktu usytuowanego za nim, który powinien odpowiadać trzem stopniom prowadzącym na taras baru.

- Panie, panowie...

Rzucił przelotnie okiem na oczekującego u stóp estrady Lou Goldmana: on również miał wzrok utkwiony w tym samym kierunku. Cesare powstrzymał się przez chwilę, ale wobec osłupienia, jakie czytał w oczach wszystkich stojących twarzą do niego, nie wytrzymał dłużej. Wolno obrócił głowę. „Wolno, dlaczego wolno? - zadał sobie pytanie. - Nikt już nie zwraca na mnie uwagi, jakbym nie istniał... Klęska...”

Gdy zrozumiał, o co chodzi, wśród zebranych rozchodziły się już pierwsze szepty, a tu i tam wybuchały nerwowo powstrzymywane śmiechy. Zobaczył najpierw Nadię Fischler, ubraną w prostą, czarną sukienkę bez żadnych ozdób, idącą spokojnie pomiędzy zgromadzonymi i udającą, że nie dostrzega, iż jest ośrodkiem uwagi. O dwa kroki za nią szła ze spuszczoną głową, z włosami pomalowanymi na rudo, jej murzyńska pokojówka Alice, wystrojona w jedwabny szmaragdowy płaszcz, do którego doczepiono mnóstwo fantastycznie lśniących klejnotów. Karykatura Betty Grone! Ruchoma choinka, lśniaca jak pochodnia szafirami, rubinami, brylantami, szmaragdami, diamentami, a mimo to przyćmionymi blaskiem potrójnego diademu ze szmaragdów, małych i wielkich diamentów oprawnych w złoto.

Twarze zwróciły się automatycznie ku Betty Grone, która nawet nie drgnęła, jakby to wydarzenie zupełnie jej nie dotyczyło. Poblądła nagle, ale zdołała zatrzymać na ustach lekki uśmiech. Wsunęła rękę pod ramię Honora Larsena, który zrobił zdziwioną minę z powodu siły uścisku i przez zęby wyszeptała mu na ucho:

- Lipne...

Oceniono na 10 milionów dolarów wartość klejnotów, którymi obsypane było tłuste i gąbczaste ciało służącej.

- Uczeń prześcignął mistrza - wyszeptała marzycielsko księżna de Saran.

- Porachunki dwóch kurewek - skomentował jej książęcy małżonek. - Ale ma fantazję. Betty Grone ich nie ukradła.

- To chyba pierwsza rzecz, której nie ukradła - dodała księżna. - Co do pańskiej uwagi, Hubercie, uważam, że jest słuszna, ale w złym guście. Są kurwami to pewne, ale pan nie powinien o tym mówić. Spał pan z obydwoma.

- Mandy - szepnął jej do ucha książę, nie przestając się uśmiechać. - Widziałem! Proszę odłożyć ten widelec na stół... no już... Proszę go zwrócić!

Księżna wyjęła widelec z torebki wysadzanej diamentami i odłożyła dyskretnie.

- Nie zwróciłam uwagi...

- Ma ich pani pełne szuflady w naszym apartamencie.

- Panie, Panowie! - krztusił się Cesare, daremnie próbując odzyskać kontrolę nad biegiem wydarzeń.

Za późno. Śmiechy dobiegały ze wszystkich stron wzbierając jak przyływ, a Alice na wysokich obcasach kończyła triumfalny obchód.

- Alan, gdzie jesteś?... Dojechałeś? Alan?!

Wzruszony Alan wyobraził sobie Bannistera tkwiącego gdzieś o miliony kilometrów, w małym dusznym biurze, w którym spędził całe lata, marząc o czymś innym...

- Słuchaj mnie uważnie, Sammy! Słuchaj...

- Skąd dzwonisz?

- Z Cannes... Słyszysz mnie?

- Słyszę cię...

- Sammy... Właśnie go widziałem!

- Kogo?

- Hacketta!

- Widziałeś Hacketta? Naprawdę?!

- Przed sekundą. W czerwonym blezerze, na korytarzu!

- W czerwonym blezerze? Jesteś pewien, że to był on?

- Kpisz ze mnie?... No więc, co mam teraz robić?

- Obserwować.

Alan tak mocno ścisnął słuchawkę, jakby chciał ją zgnieść i zawył:

- Co obserwować?! Myślisz, że będę go obserwował przez dziesięć lat?!

- Spokojnie... Spokojnie... Jaką masz godzinę w tym twoim pieprzonym kraju?

- Dochodzi dziewiąta wieczorem.

- Dobra. Pierwsza sprawa: kasyno. Czy rozumiesz, o co chodzi?
 - Tak, tak...
 - Wymieniasz! Przede wszystkim, wymieniasz! Kapujesz?
 - A potem?
 - Posłuchaj mnie, Alan... Podziękuj niebu!... Tu atmosfera jest obrzydliwa. Jest druga po południu, wszyscy się trzęsą ze strachu, jest cholernie gorąco, pływam we własnym pocie i mam mnóstwo kłopotów! Więc nie narzekaj! Zamknij się i wymieniaj! Słyszysz mnie?! Wymieniaj!
 - Zjem coś i idę tam.
 - Będziesz jadł później!
 - Nie jadłem nic od wyjazdu z Nowego Jorku! Ty zjadłeś obiad, nie?
 - Dobrze, zgoda, zgoda... I jak?
 - Co, jak?
 - Wszystko! Całość...
- Alan obrzucił spojrzeniem swój luksusowy pokój, ale nie znalazł słów, którymi mógłby określić to, co odczuwał.
- Inne - powiedział - zupełnie inne...
 - Zdziwiasz mnie, stary draniu - rzędził Bannister. - Wszystko jest lepsze niż ta szcurza nora, w której zdycham
 - Rozmawiałeś z Christel?
 - Są dupy?
 - Pytam, czy rozmawiałeś z Christel?
 - Tak, tak, zrobię to... Czy są dupy?
 - Pełno! Wszystkie na nagusa!
 - Cholerny kłamczuch!
 - Słowo! Gały wyleżą ci na wierzch!
 - Patsy zaraz wróci, muszę kończyć... Słuchaj, Alan...
 - Tak.
 - Żadnych głupstw, zgoda?
 - Co chcesz przez to powiedzieć? Długie milczenie.
 - Nic. Żadnych głupstw. To wszystko.
 - Nie kapuję.
 - Nie zapomnij, po co tam jesteś... Oszczędzaj nerwy, nie pękaj!
 - Spróbuję.
 - Dobra! Jutro ja zadzwonię do ciebie o tej samej porze... Poza tym to nie moja forsa tylko firmy.

- A twoim zdaniem skąd pochodzi moja?

- Bardzo zabawne. Hej, Alan!

- Co?

- Gównno!

Połączenie zostało przerwane, Alan uśmiechnął się. Głos Samuela... Zdał sobie sprawę, że umiera z głodu. Zadzwoił na kelnera.

- Wstydzę się, proszę pani, tak strasznie się wstydzę!

Przybita Alice osunęła się na krzesło, chowając twarz w dłonie. Na łóżku leżały garście klejnotów, które Nadia zdjęła z sukni swej pokojówki, jakby ją oskubując.

- Byłaś wspaniała! Ta Grone zdechnie! Masz moje serce?

- Tak. Tak... W lodówce.

- Dobrze. Uspokój się. Zrobię ci prezent...

Przebiegła oczyma stos rozłożonych klejnotów, wyszukała wspaniały pierścień z turkusem.

- Masz, popatrz... To dla ciebie.

- Nie chcę go! - krzyknęła Alice, kryjąc twarz.

- Masz tu patrzeć albo skręcę ci kark! Wiesz, ile to jest warte?!

Wygrałam go od hurtownika z Rungis!

Pociągając nosem Alice podniosła oczy na pierścień.

- Nigdy nie będę mogła go włożyć. Jest dla mnie za piękny.

- A kto ci mówi, że masz go wkładać? Sprzedaj! Sprzedaj! W ten sposób mi go nie zabiorą.

- Może wieczorem coś wygramy? - powiedziała Alice.

Identyfikowała się do tego stopnia z Nadią Fischler, że zdarzało się jej używać liczby mnogiej, gdy mówiła o swojej pani. Mówiła na przykład myśląc o pewnym libańskim promotorze: „Więc jak, decydujemy się przespać z tym czymś?” Albo: „Boli nas głowa”. Lub też: „Aż tyle przegrałyśmy tego wieczoru...”

Już bardzo dawno temu zrezygnowała z bezpiecznych, ustalonych zarobków. Nadia płaciła, kiedy miała pieniądze i kiedy sobie o tym przypomniwała. Alice nie traciła na tej zamianie. W szczęśliwe noce zdarzało się, że Nadia budziła się o 5 rano i wtykała w rękę zwitek zwiniętych banknotów wartości dziesięciu tysięcy. W momentach biedy nie wahała się pożyczać od służącej tego, co jej dała przed dwoma dniami. „Byle się odegrać...” Razem włóczyły się z pałacu do pałacu wiodąc luksusowe życie, którego ośrodkiem był zawsze

kwadrat zielonego sukna. Wieczorem milionerka, o świcie zadłużona żebraczka, Nadia była zawsze gotowa wszystko sprzedać - suknie, biżuterię, futra, swoją duszę i ciało - nie przywiązując wagi do niczego, istniejąc tylko dzięki kulce z kości słoniowej rysującej w przestrzeni nie kończącą się spiralę, w którą wpisano chaotyczne kręgi jej przeznaczenia.

- Czy pani wierzy, że zobaczymy jeszcze tego grubego Szweda?

- Larsena? Kto to może wiedzieć... Jest tak głupi, że być może niczego nie zrozumiał.

- Proszę pani, proszę mi wytłumaczyć, jak można być tak głupim i tak bogatym?

Nadia machinalnie przesunęła rękę po odbarwionych włosach Alice. Powiedziała marząco:

- Nie wiem. Możliwe, że to idzie w parze. Idź po moje serce, chcę je zobaczyć.

Alicja bez sprzeciwu skierowała się w kierunku drzwi salonu.

- Hej!

- Słucham panią?

- Twój pierścionek!

Rzuciła go, a Alice wsunęła klejnot w wycięcie stanika i wzruszyła ramionami:

- Jeżeli nie dopisze nam szczęście tego wieczoru, to będziemy zadowolone mając go jeszcze jutro rano...

- Przygotuj mój czarny kostiumik.

- Wszystkie są czarne. Przyniosę pani serce.

W chwilę później wróciła i podała Nadii kryształową salaterkę do podawania kawioru. Wewnątrz leżał jakiś mały, krwawy przedmiot, poczerniały po brzegach.

- Jakie było zwierzę? - zapytała Nadia.

- Piękne. Dorodne. O szarej sierści.

- Weź pieniądze z szuflady.

Alice przyniosła jej kilka zwitków banknotów. Nadia po kolei potarła je o tę rzecz w naczyniu i skończywszy całą operację powiedziała do Alice:

- Odnieś je do lodówki. Poproś telefonistkę, aby nie łączyła. Niech notują, kto i po co dzwonił. Idą odpocząć. Obudź mnie o północy.

Ten sam ceremoniał obowiązywał codziennie. Nadia odczuwała obsesyjną konieczność dotknięcia pieniędzmi, które miała tego dnia postawić, serce królika. Każdego ranka Alice eskortowała lokaja z Majesticu w drodze do sąsiedniej masarni. Jej obecność u boku lokaja była częścią rytuału. Miała sprawdzić, czy królik jest dorodny i kontrolować rzeźnika, aby nie zamienił serca w ostatniej chwili. Za swe cierpienia lokaj otrzymywał 100 lub 200 franków, zależnie od dnia. Serce czekało w lodówce, aż Nadia przytuli je do swego i owinięte w papierowe chusteczki włoży do torebki idąc do kasyna.

Nigdy nie zaryzykowałyby wyjść bez swego talizmanu. Serce musiało być świeże, z tego samego dnia, z białego lub szarego królika i leżeć w torebce. Jedno przyniosło jej takie szczęście, że nawet chciała je zabalsamować, ale zapytana o zdanie Alice powiedziała stanowczo, że moc działać tylko może raz. Nadia z żalem wyrzuciła serce do morza.

Zdjęła suknię, przeszła do łazienki, wzięła ciepły prysznic i wyciągnęła się w łóżku przed wielką wieczorną próbą. Zasnęła jak dziecko.

- Czy ma pan kartę?

- Proszę bardzo. Zechce pan zamówić zaraz? Mięso? Rybę? Mamy świeżego łososia w czerwonym winie burgundzkim, karkówkę z wołów charolais, kaczkę marynowaną na sposób landyjski.

Alan przerzucił listę dań, wybrał koktail z krewetek i doradę po królewsku z pieca.

- A co z win? Oto karta. Alan odsunął ją.

- Co pan mi radzi?

- Chce pan zostać przy tym samym winie? Niech więc pan weźmie Saran, blanc - de - blanc z Szampanii.

Alan nie miał pojęcia co oznacza blanc - de - blanc, ale słowo Szampania było mu znane.

- Zgoda - powiedział.

- Czy podać obiad na tarasie?

- Proszę. Czy może pan mi przynieść schotcha?

- Bar jest w salonie, proszę pana.

Kelner odszedł. Alan zrzucił szlafrok, odkręcił na pełny regulator kurek natrysku, obejrzał zawartość barku i nalał sobie pełną szklankę whisky. Wypił łyk i wszedł pod prysznic ze szklanką w rękę. Rozśmieszył go widok strumieni zimnej wody wpadającej do whisky.

Stał parszkając pod strumieniem, nagle wyzwolony ze zmęczenia i swoich napięć. Osuszył się, otworzył jedną ze swoich walizek i nałożył koszulkę i płóciennie spodnie. Znów wyszedł na taras. W dole dostrzegł swego rollsa, zaparkowanego przy murku. Doliczył się jeszcze trzech innych, otwartych tak jak i jego. Wszystkie stoliki w barze na tarasie były zajęte, podobnie w restauracji po lewej. Basen był teraz oświetlony od wewnątrz. Zniknął tłum, który się tam kłębił przed godziną. Alan zaaplikował sobie nową whisky, rozciągnął na leżaku i patrzył na wschodnią fasadę hotelu, w której większość okien była oświetlona. Chcąc nie chcąc wtargnął nagle w intymność wielu pokoi, których goście nie raczyli zaciągnąć firanek; widocznie zupełnie im to nie przeszkadzało. Zdumiony i jednocześnie zawstydzony, pożerany przez ciekawość, prznosił wzrok z jednego okna na drugie. O tej porze goście przebierali się: wprawdzie bez przerwy było święto, ale rytuał wymagał od uczestników coraz to różnych kostiumów.

Zupełnie naga, młoda dziewczyna pomagała drugiej zapiąć suknię. Dwa piętra wyżej, w tym samym pionie jakiś mężczyzna siedział na poręczy fotela podsuwając do masowania ramiona kobiecie mającej za całe ubranie czarny staniczek. Po lewej wychodziła z łazienki starsza pani - uchylony peniuar nie oszczędzał niczego z jej anatomii. Alan szybko odwrócił oczy i utkwiał je w nieskończonej masie wygwieżdzonego nieba. Nie mógł się jednak powstrzymać i wrócił wzrokiem na fasadę zerkając z ukosa i pragnąc wrócić na własny taras. Po głowie chodził mu ten krwistoczerwony kolor. Wrócił do okna na szóstym piętrze: właśnie tam błysnął czerwony blezer Arnolda Hacketta! Podniósł się z leżaka, by lepiej widzieć: Hackett stał w nogach łóżka i było jasne, że zwracał się do kogoś leżącego. Alan mógł dostrzec jedynie parę nagich stóp. Mężczyzna, kobieta? Nie można było określić. Dzwonek do drzwi. Wszedł kelner pchając przed sobą wózek na kółkach pokryty mnóstwem akcesoriów niepotrzebnych ale prawdopodobnie niezbędnym bogatym ludziom. Nie brakowało nawet bukietu róż. Półmiski były przykryte srebrnymi przykrywkami.

- Czy spróbuje pan wina, proszę pana?

Butelka została odkorkowana, Alan ujął podany mu kieliszek i podniósł do ust. Wino było świeże i znakomite. Podniósł pokrywę, powąchał doradę po królewsku, umoczył koniec palca w sosie i

oblizwał. Na wszelki wypadek dał kelnerowi banknot stufrankowy, który został porwany ruchem, którego szybkość przypominała iguanę łowiącą muchę.

- Dziękuję panu.

- Pański napiwek ile wynosi w dolarach?

- Około 23 dolarów - odpowiedział kelner

- Doskonale... - wymruczał Alan.

Za 23 dolary Bannister i on mogliby sobie kupić w Nowym Jorku dwie koszule. Wrócił na taras. Firanki pokoju, w którym dostrzegł Arnolda Hacketta, były zasunięte.

Rozdział 13.

Czy mogę zaciągnąć firanki? - zapytał Arnold Hackett.

- Po co? - odparła obojętnie Marina.

Leżała na łóżku ubrana wyjątkowo w majteczki kąpielowe, ale bez stanika.

- Mogą panią dostrzec z innych okien.

- I co z tego? Pan mnie chyba dobrze widzi.

Arnold odkaszlnął. Nie sądził, że finansując jej podróż do Francji, zdobywa wyłączne prawa do jej osoby. W rzeczywistości nie mógł powiedzieć Marinie nic. Była z innej, obcej planety, gdzie nie obowiązywał język Hacketta. Zgodziła się przyjechać na Lazurowe Wybrzeże, ale choćby nawet tego nie wyraziła Arnold czuł, że nie ma jak jej kontrolować.

- Czy pani jest zadowolona, Marino?

- Ph!...

Patrzyła mu prosto w oczy i jak zawsze czuł się tym spojrzeniem zmieszany. Odczuwał wobec swoich partnerek potrzebę pewności, chciał się spotykać z zachętą. Minęły czasy, kiedy rzucał się na wszystko, co nosiło spódniczkę. Trzeba było mu pomagać, wspierać go: tak to robiła Poppie! A Marina była równie twarda jak betonowy mur. Jej oczy rozpraszały go: nie mógł w nich nic wyczytać.

Nieporadnie skierował się ku oknu i ostrym ruchem zasunął firanki. Sprowadzenie Mariny do tego samego hotelu, w którym rezydował ze swoją żoną, uważał za pomysł pikantny. Przez dwa dni zdołał jednak zaledwie dwa razy wymknąć się i złożyć jej wizytę. Wprawdzie nie pokazała mu drzwi, ale zachowywała się tak, jak gdyby go nie było. Przechadzała się pod jego nosem nagusieńka, wykonując różne intymne czynności, na przykład spryskując się pod pachami dezodorantem.

- Jaka szkoda, że nie mogę dziś wieczorem zabrać pani do kasyna, chciałem powiedzieć, oficjalnie.

Marina przekreśliła się wokół osi i wyciągnęła na brzuchu.

- Co to ma za znaczenie?

- Bardzo bym chciał... A pani nie?

- Phh!...

- Co pani będzie robić dziś wieczorem?

- Bo ja wiem...

- Gdzie pani zje kolację?

Korzystając, że była odwrócona plecami, sycił się widokiem łuku jej bioder.

- Później pójde się przejść - powiedziała.

Odważył się usiąść obok niej na brzegu łóżka. Nie wyraziła niezadowolenia, więc wyciągnął rękę i trzymał ją chwilę nad biodrami. Wbrew niemu palce poruszyły się muskając skórę. Tylko odchyliła głowę, dokładnie na tyle, by się spotkały ich spojrzenia.

Tego wystarczyło, by Arnold wstał. Przyjrzał się uważnie wiązance róż w kryształowym wazonie, ale nie ośmielił się spytać, kto je przysłał.

- Byłem na tym koktailu... - Ze strony Mariny nie było żadnej zachęty, więc zmuszony był skończyć monologiem: - ... wręczano nagrodę producentowi. Louis Goldman. Zna go pani?

- Nie.

- Ważny człowiek, proponował mi spółkę przy swoim najnowszym filmie. Czy panią interesuje kino?

- Nie.

- Nie chciałaby pani zostać aktorką?

- Nie.

- Zrobiłbym z pani gwiazdę!

- Phi!...

Gorączkowo szukał w myślach, co jej powiedzieć. Kiedy rozmawiał z Poppie, przejawiała niesłychane zainteresowanie, a on mógł opowiadać godzinami, mając pewność, że jest rozumiany i podziwiany. A tu...

- Może przyjdzie pani później do kasyna? Brak odpowiedzi.

- A jutro, czy pójdzie pani popływać?

Wymamrotała „tak”, co miało dla niego wartość cennego podarku.

- Do Beach?

- Bo ja wiem?

- Czy mogę jutro przyjść do pani? Czy mogę panią jutro zobaczyć?

- Phi!...

- Och Marino, Marino!!! Mam wobec pani tyle projektów!

Podniosła się, przeciągnęła, wzięła z szafy stary słomkowy kapelusz i rękawiczki z kozłej skóry. Ruchami bioder sprawiła, że majteczki zsunęły się z ud. Nie wiedząc, czy jest to zachęta,

rozgorączkowany Arnold zrobił w jej kierunku krok z wyciągniętymi ramionami.

- Chcę tylko zrobić kilka pompek.

- Mam pewną myśl, Marino!... Dziś wieczorem, późno, właściwie nocą... Mogę wpaść?

- Nie.

- Nie? ...Dlaczego nie?

- Być może nie będę sama?

- Jak to - nie sama? Z kim?

- Z pierwszym, który mi się spodoba. To niezdrowo żyć bez chłopca. Muszę od czasu do czasu popieprzyć.

„No jasne... - myślał Alan. - Ktoś, kto mnie nie zna... kto nie widziałby tego lęku paraliżującego mi nogi...” Jego uniform człowieka sukcesu prezentował się wspaniale. Jasny garnitur, czarny krawat i biała koszula, harmonizowały wspaniale z luksusowym wystrojem apartamentu. Tak jak w hotelu Pierre w Nowym Jorku oczyścił fałdą zasłony czubki pantofli. Być może był to rodzaj egzorcyzmu, którego celem było zaznaczenie swojej dominacji nad przytłaczającym otoczeniem.

Teraz trzeba było stawić czoło inkwizytorskim spojrzeniom gości kasyna, zachowywać się tak, jakby to było naturalne przyjechać do Palm Beach białym rollsem i zażądać od kasjera 500 tysięcy dolarów, dając do zrozumienia, że będą przegrane w ruletkę. Porzucił lustro w łazience dla baru w salonie. Kieliszek alkoholu doda mu odwagi...

Sprawdził po raz ostatni węzeł krawata i pogasił wszystkie światła w apartamencie. „Odruch biedaka - pomyślał. Samuel nie byłby zadowolony?”

Zatrzasnął drzwi i skierował się ku windom.

W podziemnym garażu hotelu Majestic stało w sezonie ze dwadzieścia rollсів. Nie mówiąc o wozach marki Ferrari, Maserati, Porsche, Lamborghini, Cadillac czy Jaguar. Ale Serge nie widział dotąd nigdy trzech białych sportowych rollсів corniche, absolutnie identycznych. Wybuchnął śmiechem.

- Cześć, chłopaki!

Z kolei trzech kierowców wybuchnęło śmiechem. Serge dokonał prezentacji.

- Norbert, to jest Richard. Pracuje u pana Hacketta...

- Bardzo mi miło - powiedział Richard, wyciągając rękę do Norberta.

- To Angelo, kierowca Hamiltona Price - Lyncha. Price - Lynch to bank. Burger... znasz?

- Popatrz, to zabawne - powiedział Norbert. - Mój szefunio jest waszym klientem.

- Jak się nazywa? - zapytał Angelo.

- Pope. Alan Pope. Zapłacił w mojej agencji waszym czekiem. Burger, Nowy Jork.

- Możliwe - powiedział Angelo. - Pracujesz na swoim?

- Nie mam środków - przyznał Norbert. - Zarabiam być może trochę mniej, ale nie mam tylu kłopotów.

- Mam nadzieję, że twój stary nie jest taką sknerą jak mój! - wmieszał się Richard. - Spróbuj zmusić go do zmiany ogumienia! A benzyna! Sam sprawdza wskaźnik po każdym przebiegu!

- Straszny jest - zgodził się Serge. - Pewnego dnia widziałem go na czworakach w samochodzie, który właśnie wyszedł z myjni. Chciał sprawdzić, czy nie ma kurzu! Wyobrażasz sobie Norbert, na kogo wyszedłem?

- Uwaga! - powiedział Angelo.

Rzucił się, aby otworzyć drzwi przed Emily i Hamiltonem Price - Lynch. Tuż za nimi szła spadkobierczyni Sarah Burger.

- Dobry wieczór - rzucił im Serge, zginając się w głębokim ukłonie.

Jednocześnie ukazał się Alan Pope. Szybko wsiadł do rollsa. Robert wśliznął się za kierownicę. Serge zarejestrował przy okazji zjadliwe spojrzenie, jakie szczep Burgerów rzucił w kierunku bliźniaczych rollsów. Wrócił do Richarda,

- Założę się z tobą, jeżeli jutro Emily nie każe przemaalować wozu, mogą mi obciąć jaja!

- Angelo, kim jest ten młody człowiek, który właśnie wsiadł do tego białego rollsa? - zapytała Emily Price - Lynch swego kierowcę, który właśnie ruszał.

- Amerykaninem, proszę pani. Nazywa się Alan Pope. Być może małżonek go zna? Dowiedziałem się właśnie, że jest klientem Burgera w Nowym Jorku.

Hamilton zadrzał, nie skomentował tego, ale starannie zarejestrował informację.

Norbert niechętnie przyjął fakt, że Alan usiadł obok niego. W odwecie, mimo nalegań, odmówił prowadzenia bez czapki.

- Znają mnie tutaj. Jeżeli jakiś zawistnik doniesie dyrektorowi, że pozbywam się zewnętrznych atrybutów mojego stanowiska podczas godzin pracy, będzie to poczytane za błąd zawodowy.

Rolls miękko toczył się bulwarem Croisette w powodzi innych samochodów. Już widać było Palm Beach, który świecił wszystkimi neonami, gdy nagle ruch został zablokowany.

- Wypadek? - zapytał Alan.

- Nie, proszę pana. Wszyscy jadą w tym samym kierunku co my. Samochodów jest pięć czy sześć; stoimy w kolejce.

Alan miał ochotę wysiąść i przebyć ostatnie metry pieszo, ale przypomniał sobie, że jego ekwipaż jest integralną częścią planu. Ogarnęło go przerażenie, gdy stwierdził, że w rytuale wysiadania z samochodu uczestniczy podwójny szpaler gapiów. Specjalny pracownik kasyna otwierał drzwi, pomagając wysiąść klientom, których brał pod opiekę kamerdyner, podczas gdy inny pracownik siadał za kierownicą i natychmiast odjeżdżał, by zrobić wolne miejsce następnemu samochodowi. Oczywiście każdy starał się zatrzymać dokładnie na linii drzwi wejściowych. Rolls stanął. Alan mocno wcisnął głowę w ramiona, by nie czuć ciężaru wycelowanych w siebie spojrzeń, nie słyszeć na wpół szyderczych, na wpół zazdrosnych komentarzy. Nie lubił ściągać na siebie uwagi. Zwykle dwukrotnie próbował wejść do restauracji.

Galopem, nie bacząc na nikogo, przemierzył hall wejściowy, skręcił w lewo i w końcu stanął przed ladą recepcji, gdzie zgromadziła się grupa funkcjonariuszy w brązowych uniformach.

- Czy pan jest u nas po raz pierwszy, sir?

- Tak.

- Czy mogę obejrzeć pański dowód osobisty?

Alan wyciągnął z kieszeni paszport i podał go. Urzędnik nabazgrał w swoim bloku szereg numerów.

- Dziękuję panu. Życzę miłego wieczoru.

Fizjonomista obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. Alan wszedł do sali.

- Kto cię zastępuje przy kasie?

- Collard - powiedział Ferrero.

Gil Houdin nalał sobie ogromną szklanę whisky i wypił jednym haustem. Ferrero pozwolił sobie na dyskretny uśmiech. Wiedział dobrze, że szef nigdy nie pije w czasie sezonu. Nie chcąc urazić klientów proszących go ze sto razy w ciągu nocy, by wypił z nimi, Gil Houdin znalazł fortel: napełniał mrożoną herbatą butelki po whisky z etykietką „Johnny Black”. W ten sposób miał dwa zajęcia za jednym strzałem - i pił ze wszystkimi i zachowywał trzeźwą głowę!

- Masz dla mnie sekundę?

- Oczywiście, szefie!

Houdin miał przed sobą rodzaj klawiatury łączącej go ze wszystkimi newralgicznymi ośrodkami jego królestwa. Palm Beach zatrudniał około czterystu pięćdziesięciu osób, reprezentujących wszystkie specjalności: elektryków, stolarzy, robotników do wszystkiego, ogrodników, instruktorów pływackich, kierowników artystycznych, muzyków, administratorów, barmanów, sekretarki, kucharzy, kelnerów, nurków, dozorców basenu, instruktorów żeglarskich, dekoratorów, malarzy, krupierów, kasjerów, księgowych, prywatnych policjantów, kierowników stołów prowadzących grę, fizjonomistów, kamerdynerów, pikolaków, gońców, a nawet dwóch erudytów odpowiedzialnych za program rozrywkowy.

Houdin znał ich wszystkich po nazwisku i wiedział, jak pobudzić ich energię. W lipcu i sierpniu maszyna wibrowała całą mocą wymagając od wszystkich całkowitej dyspozycyjności. Zdarzało się, że partie rozpoczęte poprzedniego dnia o północy przedłużały się aż do następnego ranka, a gracze nawet nie podnosili się z krzesel. Posiłki i napoje trzeba im było podawać bezpośrednio do stołów gry. Oczywiście, nie było mowy o godzinach pracy personelu. Każdy musiał trwać na swoim miejscu. Napiwki były takie, że nikt nie narzekał: czy ktoś słyszał, jak sięgnąć pamięcią, o strajkującym krupierze?

Houdin nacisnął klawisz.

- Paul, gdzie jesteśmy?

- Przy deserze, szefie.

- Jaki był łosoś?

- Zbierałem wyłącznie komplementy.

- Dobrze. Następny przycisk.

- Jacques, wszystko gotowe?

- Tak, szefie.

- Ile czasu zajmą twoje ognie sztuczne?
- Dziewięć minut.
- Doskonale.

Grał w ten sposób na klawiaturze nawiązując bezpośredni kontakt z barem, restauracją, salą gier, kuchniami, swoim własnym sekretariatem. Od sali gier aż po najdalsze rejony włości, nic nie umknęło jego uwadze.

- Za nasze zdrowie, Giovanni! Słucham cię...

Giovanni Ferrero, od sześciu lat szef kasjerów, podał mu kartkę papieru. Houdin popatrzył uważnie. Ferrero pochylił się nad jego ramieniem. Za każdym razem kiedy Houdin mówił „nie”, podkreślał na czerwono nazwisko na liście.

- Książę Ali? Kto to jest?
- Siostrzeniec Fajsala.
- Skąd to wiesz? Ma ich trzystu.
- Sprawdziłem w Majesticu.
- Gohelan widział jego dokumenty?
- Ma kartę American Express na swoje nazwisko.
- Ile chce?
- Sto tysięcy. Na początek.
- Stop! Pięćdziesiąt wystarczy.
- Dobrze, szefie.
- Zażądaj czeku. Żadnych własnych czeków. Niech się zgłosi!
- Dobrze, szefie. A Signorelli?
- Wypłać mu.
- Chce miliona.
- Wypłać. Przegra. On zawsze przegrywa.
- Czek gotówkowy?
- Czy jest nam coś winien?
- Nie. Zawsze płacił, co do centa.
- Ile zwykle bierze?
- Maksimum pół miliona.
- Niech podpisze swój czek. Kto to jest Pastorelli?
- Mały staruszek między trzydziestką a czterdziestką.
- Siwy?
- Tak.
- Oszalał! Ile?
- 500 franków.

- Dojdź do tysiąca, o ile o to poprosi. Chyba coś oblewa.
- Jest dopiero jedenasta trzydzieści - powiedział Ferrero sprawdzając swój zegarek.
- Tak... tak... Co jeszcze?
- To wszystko, szefie.
- OK, leć szybko, Collard oszaleje!
- Do zobaczenia później, szefie!

Ferrero wyszedł. Gil Houdin zadał sobie pytanie, dlaczego ma tak ziemistą cerę? Może wątroba? Houdina nigdy nic nie bolało. Mając sześćdziesiąt lat mógł spać dwie godziny i być w formie. Był średniego wzrostu, silnie zbudowany. Szczotka krótko obciętych, szpakowatych włosów nadawała mu na pierwszy rzut oka wygląd technokraty. Ale gdy tylko się uśmiechnął, ludzie wokół niego topnieli. Gil Houdin poza sobą znał tylko jednego człowieka, który miał tę uspokajającą siłę. Zresztą nie było żadnej różnicy między kierowaniem szpitalem psychiatrycznym i kasynem.

Stoły do gry - wszystkie stoły - były obleżone kilkoma rzędami stłoczonych ludzi, próbujących rozmieścić swoje stawki wśród hałasu komunikatów, okrzyków, szczeru żetonów, ostrzeżeniami krupierów. Alan połknął ślinę, odetchnął głęboko i skierował się ku kasie czując w sercu takie samo uczucie, jakie przeszywało go w Nowym Jorku w czasie trzech wizyt w banku. Musiał poczekać, aż dwie osoby zmienią swoje sztony, a potem znalazł się przed mężczyzną o ziemistej cerze.

- Czy może mi pan zrealizować czek?
- O jaki bank chodzi?
- Burger, w Nowym Jorku.
- Czy ma pan paszport? Znów Alan podał swój paszport. Czując czyjąś obecność po lewej stronie, odwrócił się i natychmiast poczuł falę perfum. Zobaczył parę fiołkowych oczu, nadzwyczaj fiołkowych, których głębia nie pozwalała mu odwrócić spojrzenia.

- Czy mogę zobaczyć pana książeczkę czekową?

Twarz kobiety odznaczała się wysoko umieszczonymi kośćmi policzkowymi, ładnie zarysowanymi ustami i malutkim prostym noskiem o doskonałej linii. Była ubrana w prostą czarną sukienkę, wspaniale skrojoną, której wycięcie pozwalało dostrzec nieco piersi. Przypięty do sukni klips skrzył się jednym olbrzymim brylantem.

- Proszę pana, pańska książeczka czekowa, bardzo proszę... - nalegał Giovanni Ferrero.

- Przepraszam - wyjąkał Alan, wyrwany ze stanu zachwycenia. Położył na ladzie książeczkę czekową i natychmiast przeniósł oczy na nieznajomą, zafascynowany jej wyglądem i pięknnością. Nie mogła być artystką. A jednocześnie nie mógł zrozumieć dlaczego z takim wyglądem nią nie była. Spozrzegł, że nerwowo pociera małą czarną torebkę, wyszywaną złotą nitką.

- Czek na jaką sumę, proszę pana?

Poza tym niekontrolowanym gestem, pozostawała całkowicie nieruchoma, ze spojrzeniem utkwionym przed siebie. Zdawała się nie dostrzegać Alana.

- Proszę pana!

- Sorry... - przeprosił Alan.

- Pytam jakiej kwoty pan potrzebuje? - powtórzył kasjer.

- Pięćset tysięcy dolarów - powiedział Alan jednym tchem. Ziemistą twarz Ferrero przebiegł dreszcz.

- Naturalnie we frankach francuskich - dodał Alan. - Jaki jest kurs?

Ferrero wykonał szybki rachunek pamięciowy:

- Dwa miliony sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Zechce pan z łaski swojej zaczekać chwileczkę? Collard! - proszę mnie zastąpić, zaraz wracam.

Wziął książeczkę czekową, paszport i wstał.

- Giovanni! - zwróciła się do niego nieznajoma. - Możesz mi poświęcić chwileczkę?

- Collard, proszę się zająć panią Fischler.

- Nie! Ty, Giovanni!

Alan zanotował, że jej głos pasował do reszty: niski, chrapliwy, zmysłowy. W mgnieniu oka jej twarz zmieniła się, rozświetlona uśmiechem. Jakby Ferrero był Bogiem.

- Dobrze - powiedział Ferrero. - Wracam za chwilę. Otworzył drzwi w głębi pokoju i znikł.

- Najbardziej poszukiwany człowiek w Palm Beach - powiedziała Nadia podnosząc papierosa do ust.

Alan rozejrzał się wokół nie wierząc, że zdanie to było skierowane do niego. A jednak stali przed kasą tylko we dwoje. Pośpiesznie wyciągnął zapalniczkę i podał jej ogień. Wciągnęła policzki zaciągając się pierwszym haustem. Wypuściła dym i utkwiała fiołkowe oczy w źrenicach Alana, mówiąc ironicznie:

- Nie dlatego, że taki pociągający, ale to on rozdziela mannę. Niezdolny wymówić słowa, Alan potwierdził energicznym ruchem głowy i nerwowo zapalił papierosa...

- Amerykanin?

- Tak.

- Na wakacjach?

- Tak.

- Pani Fischler - wmieszał się Collard - czym mogę służyć?

- Potrzebuję dziesięciu baniek!

Wybuchnęła śmiechem zwracając się w kierunku Alana.

- Robią o wiele mniej ceregieli, kiedy chcą nas oskubać. Ale gdy chodzi o zadatek! Za to, co zostawiłam u nich przez ostatnie sezony, mogłabym dziesięć razy kupić tę pieprzoną budę!

- Przegrała pani? - zapytał Alan. Wzruszyła niedbale ramionami.

- Raz jest, raz nie ma... Wieczór źle się zaczął, ale noc dopiero przed nami. A pan?

- Właśnie przyjechałem - powiedział Alan.

- Był pan tu kiedyś?

- Jestem tu pierwszy raz.

- To przyniesie panu szczęście.

- Panie Pope...

Giovanni Ferrero był znów na swoim miejscu.

- Zanim wypłacimy tę kwotę, musimy dokonać drobnych formalności. Bardzo proszę, niech pan zechce poczęstować się czymś w barze na nasz koszt i kilka minut poczeka. Każę pana zaprowadzić.

Zanim Alan miał czas odpowiedzieć, Ferrero pstryknął palcami. Jakimś cudownym sposobem wyrósł przed nimi boy.

- Proszę zaprowadzić pana Pope do baru. Przewyciężając nieśmiałość Alan schwytał byka za rogi.

- Pozwoli pani się zaprosić? - zapytał Nadie Fischler. Potrząsnęła głową, jej kasztanowe jedwabiste włosy zatańczyły wokół twarzy o doskonałym profilu.

- Nigdy podczas akcji, dziękuję. Alan uklonił się...

- Może później?

- Może.

Alan odwrócił się i z żalem odszedł. Nadia całą uwagę skierowała na kasjera...

- Giovanni, kim jest ten nadziany piękniś?

Ferrero wzruszył ramionami.

- Ile chcesz?

- Dziesięć - rzuciła lekkim tonem.

- Dziesięć?! Bądźmy poważni, Nadia. Gil Houdin określił twój pułap na pięć, a już w tej chwili masz dwadzieścia!

- No i co z tego? Twoje pieniądze?

- Na nieszczęście nie, ale to mnie będą bili po łapach!

W Palm Beach Giovanni Ferrero był ostatnim bastionem kasyna zbudowanym, by powstrzymać szaleństwo graczy. Z Nadią potykał się od lat. Każde używało własnej broni. On lodowatej odmowy i kalkulowanego ryzyka, ona - wdzięku, udawanego gniewu, prawdziwej pokory, sprytu.

- Do cholery Giovanni!

- Czy mam ci pokazać, ile już nam jesteś winna?

- Za godzinę mogłabym to wszystko zwrócić! No, dawaj!...

- Nie. Nie!

- Giovanni!

Jej fiołkowe tęczęwki zaczęły rozplýwać się w dziecięcym błaganu.

- Szef mnie wyrzuci!

- Pospiesz się, czuję, że mi szczęście dopisze!

Wzruszył ramionami, napisał jakąś liczbę na kawałku różowego papieru, wyłożył na ladę pięć grubych sztonów. - Podpisz.

- Ile? - zirytowała się Nadia.

- Pięć. I powiedz, że jestem miły!

Nadia zręcznie chwyciła sztony, podpisała kwit, odeszła na trzy kroki i odwróciła rzucając Giovanniemu Ferrero królewsko pogardliwe:

- Skapiradło!

Gil Houdin był zwolennikiem metody rozmiękczenia graczy dręczących go o dodatkowy kredyt. Znał z grubsza ich dochody i pułap, którego nie powinni przekraczać pod groźbą zachwiania finansami kasyna. Giovanni Ferrero miał na ten temat ściśle polecenia. Wszystkim okazywanym mu pokusom przeciwstawiał marmurową twarz.

W pechowe dni niepożądani klienci gotowi byli na każde upokorzenie, byle tylko przedłużyć termin spłaty długu. Nadia Fischler nie należała wprawdzie do tej kategorii, ale codziennie

przysparzała Houdinowi kłopotów. Jej pasja hazardu i międzynarodowy rozgłos same w sobie były atrakcjami, których klienci byli spragnieni. Biorąc jednak pod uwagę jej zawrotne wygrane uważał, że trochę zanadto traktuje Palm Beach jako swój prywatny bank. Houdin musiał doraźnie rozwiązywać te problemy, wykazując wiele finezji. Nie chciał jej stracić, nie chciał, by pieniądze wyłudzone od amantów zaczęły zasilać kasyno w Monte Carlo. Nie można było jednak zostawiać jej zbyt wiele swobody i pozwalać, by długi zbytnio się kumulowały. Powiedział więc do Giovanniego Ferrero:

- Poprosi cię o dziesięć. Bądź głuchy jak pień. Potem daj jej pięć...

- A co mam zrobić jeżeli przegra?

- Przyjdź do mnie.

Uważnie obejrzał paszport i czek Alana Pope przekazany przez Ferrero. Nie były fałszywe. Kim był ten nieznajomy zdolny bez mrugnięcia okiem żądać kredytu w wysokości pół miliona dolarów? Poprosił telefonistkę o połączenie się z Nowym Jorkiem. W Cannes była północ, w Nowym Jorku piąta po południu. Banki zamykano dla klientów o 16.00 ale personel pozostawał jeszcze przez dwie godziny.

- Urger?... Proszę z panem Abelem Fischmayerem... Mówi Gil Houdin.

Fischmayer, jeden z trzech prokurentów banku, był jego starym znajomym. Nie ma mowy, by go denerwować dając do zrozumienia, że informacja dotyczy bezpośrednio Beach.

- Abel?... jak leci?... Tu Gil!... tak, tak, wspaniale!... Woda ma dwadzieścia pięć stopni! Na co czekacie?... Ja również, bardzo bym chciał... Tak... Tak... Tak... Powiedz mi, Abel, mam poufną sprawę, chcę się dowiedzieć dla bliskich przyjaciół, agentów handlu nieruchomościami... W jakim stopniu jest wypłacalny jeden z waszych klientów... Pope, Alan Pope...

Houdin nalał sobie kielich herbaty z butelki „Johnny Black”.

Bankierzy nienawidzą klientów, którzy grają. Sami przez cały dzień prowadzą grę na wielką skalę pieniędzmi swych klientów, ale w blasku pełnej legalności i z pozorami moralności. W tym tkwiła różnica!

- Tak, Abel, słyszę cię... Ach, tak... Dobrze... Doskonale... Jeszcze nic pewnego, rozumie pan... Chcą po prostu wiedzieć, z kim

mają do czynienia... Tak... Tak... Zwykła rutyna... Powiedz mi, Abel, chodzi w końcu o poważną sumę... Pół miliona dolarów...

Przycisnął ucho do słuchawki.

- Naprawdę? Cieszę się, że się o tym dowiedziałem!... Dziękuję Abel, dziękuję!... Tym lepiej! przekażę to przyjaciołom... I nie zapomnij, Abel, wyrwijcie się! Wszyscy kiedyś umrzemy!... Trzeba korzystać teraz! Tak, tak... Do zobaczenia wkrótce, przyjeżdżajcie szybko, dziękuję!

Skończył rozmowę, nacisnął przycisk swojej klawiatury łącząc się z kasą.

- Ferrero... Co do tego Alana Pope'a: zgoda. Kredyt zaakceptowany!

Rozdział 14.

Od kwadransa Nadia Fischler przyciągała oczy wszystkich. Stół do ruletki, przy którym zajęła miejsce, był obleżony przez pragnących na własne oczy obejrzeć podobny fenomen szczęścia w grze. Zmieniając numery zależnie od natchnienia, obstawiając końcówki 6, 7 lub 9, od chwili przyjścia inkasowała same wygrane.

- Rien ne va plus - powiedział krupier.

Ścisnął kulkę z kości słoniowej między kciukiem a wskazującym palcem prawej ręki, podczas gdy lewą uruchamiał ruletkę. Kulka ruszyła w kierunku przeciwnym obrotu tarczy. Dwieście par zafascynowanych oczu śledziło jej kapryśny bieg. Kiedy zaczęła zmieniać kierunek w stronę osi obrotu, Nadia krzyknęła:

- Kończówki 9 i wszystko na 29: carres, chevaux!

Większość patologicznych graczy czekała do ostatniej chwili, aby wskazać wybrane numery. Nakładało się na siebie wiele głosów jednocześnie wydając polecenia krupierom, którzy reagowali na znaki dawane palcem czy wzrokiem przez szefów stołów siedzących na wysokich krzesłach i kierujących delikatną operacją umieszczania stawek. Sukno było zasłane sztonami.

- Rien ne va plus! - krzyczał krupier, kiedy nowy deszcz sztonów padał na stół wśród tumultu mieszanych okrzyków. - Panowie!... Koniec!

Odepchnął z gniewem szton wartości 10000 franków rzucony na czerwone przez grubego mężczyznę w zielonym smokingu, nie racząc nawet zareagować na jego protesty. Wyciągnął ręce chroniąc stół przed stawkami ostatniej chwili.

Magiczną przestrzeń oświetloną reflektorem nagle ogarnęła cisza. Kulka odbiła się wielokrotnie od miedzianej bandy, przeskoczyła przez kilka numerów, wahała się chwilę między 7 a 18 i wreszcie wpadła do przegródki między tymi dwiema cyframi.

- 29! - oświadczył krupier. - Czarne, nieparzyste, passe. Długi okrzyk tych, którzy towarzyszyli grze w roli obserwatorów:

Nadia Fischler znowu wygrała! Grabki krupierów spadły jak drapieżne ptaki na sukno porywając przegrane. Nawet tych, którzy nie uczestniczyli w grze, fascynowała szybkość z jaką olbrzymie sumy zmieniały właścicieli dosłownie w ułamku sekundy. W życiu intensywny przepływ bogactwa wymagał czasu, inwestycji, pomysłów, pracy, cierpienia i przede wszystkim cierpliwości. Gra -

nie! Wykluczono z niej wszelką trwałość. Pozostawały tylko: intensywność, brutalna emocja, prosta alternatywa - TAK lub NIE - uświęcająca czyste szczęście. Ci, którym sprzyjało, mogli wierzyć, że są wybrańcami Boga, a przedmioty, którym rozkazują, nie tylko są im posłuszne, ale ich kochają. I to w piekielnym rytmie sześćdziesiąt razy na godzinę.

Z miejsca, w którym się uplasował, Alan wpatrywał się intensywnie w twarz Nadii, widoczną w trzech czwartych spoza morza głów.

W jej ustach i oczach było coś czułego, niecierpliwego i okrutnego zarazem. Coś, co przypominało zmysłową rozkosz. Pożądał jej tak namiętnie, jak być może nie pożądał dotąd żadnej kobiety. Przyciskał do siebie dziesięć sztonów po 10000 franków, które wręczył mu Ferrero dodając, że dysponuje ponadto kredytem na sumę wypisaną na jego czeku. Dotychczas Bannister popełnił tylko jedną pomyłkę, beztrąsko każąc mu wierzyć, że po dwóch lub trzech dniach, markując grę, będzie mógł zainkasować całą sumę. Prawdopodobnie Samuel nigdy nie postawił nogi w kasynie. Sztony były ciężkie. A jeśli będzie trzeba podjąć dwieście? Jak nimi manipulować?

Na stole pozostała teraz tylko stawka Nadii. Końcem grabek wolniutko, krupier posunął w jej kierunku ogromny stos sztonów, to były krocie.

- 304 500 franków - syknęła z zazdrością chuda blondynka swojemu towarzyszowi.

- Mnie to się nigdy nie zdarzyło.

Nadia wetknęła w usta papierosa. Natychmiast zapłonęło dziesięć zapalniczek. Zaciągnęła się dymem nie dziękując nikomu. Fiołkowe oczy były utkwione w stos sztonów, które zbliżały się ku niej posuwane grabkami krupiera. Jak kazał zwyczaj przy wygranej na numer jej zasadnicza stawka została na zielonym suknie: 29 plein, carres et chevaux du 29.

- Faites vos jeux! - rzucił prowadzący grę. - Panowie proszę obstawiać.

I znów sztony zawirowały na stole wśród rosnącego zgietku anonsów.

- Rien ne va plus! - powiedział krupier puszczając kulkę. Ręce Nadii leżały płasko na stole. Pożerający ją wzrokiem Alan, stwierdził ze zdziwieniem, że nie obstawia nic innego poza maksimum,

umieszczonym na 29. Podziwiał jej twarz gwiazdy zauważając leciutki tik: mrugała okiem, gdy muskała ją niebieskawa mgiełka dymu z papierosa. - Panowie, koniec! - powiedział krupier.

- Koniec! - powtórzył stentorowym głosem kierownik stołu. W ten sposób przekazywali wiele komunikatów, mających na celu przyspieszenia obstawiania stawek. Już w tej chwili sukna prawie nie było widać spod sztonów.

- Rien ne va plus! - obwieścił krupier rzucając kulę.

Ręce Nadii lekko drgnęły. Alan z całego serca życzył jej nowej wygranej. I usłyszał, niczym przyniesione echem, słowa krupiera:

- Dwadzieścia dziewięć, czarne, nieparzyste, passe! Wybuchła wrzawa. Ludzie porzucali stoliki, chcąc zobaczyć co się dzieje. Po kasynie rozniosła się wieść, że Nadia Fischler wygrała dwa razy pod rząd stawiając na numer. Przyjęła ten nowy uśmiech fortuny nie zdradzając żadnych uczuć, nieczuła na namiętą ciekawość, którą wywoływała, jak i na pełną szacunku ciszę wokół stołu.

- Panowie, faites vos jeux!

- Czy mogę zagrać z panią? - zapytał Nadię mężczyzna w zielonym smokingu.

Alan stwierdził z zadowoleniem, że nie obdarzyła go nawet spojrzeniem. Zielony smoking rzucił na numer 29 żeton wartości 10000 franków.

- 29, plein!

- Niemożliwe - powiedział szef stołu. - Maksymalna stawka na pełny numer wynosi 1500 franków.

Dał znak krupierowi, który odsunął żeton końcem grabek.

- Więc nie chcecie moich pieniędzy? - oburzył się grubas.

- Na numer można postawić tylko 1500 franków, proszę pana.

- To skandal!

- Proszę obstawiać, panowie, proszę obstawiać - powtórzył krupier.

Gracze często naśladowali tych, których fortuna stawiała im w polu widzenia. Ale nikt nie był na tyle szalony, by stawiać na numer, który już dwa razy wyszedł. Sztony Nadii leżały samotnie na kwadracie oznaczonym numerem 29.

- Koniec, panowie, koniec!...

Gardło Alana ścisnęło się, jakby chodziło o jego własne pieniądze. Dłonie zacisnął na sztonach. Poza kilkoma partyjkami

pokera z biurowymi kolegami nigdy dotąd nie grał, nigdy nie uczestniczył w poważnej grze, nie wyzwał szczęścia. Jednak wiedział dostatecznie dużo, aby zdawać sobie sprawę, że cud zdarza się tylko raz. Kulka ruszyła...

Wszyscy powstrzymali oddech. Zwijająca się spirala ruchu doprowadziła ją do centrum. Przeskoczyła z przegródki do przegródki. Wśród śmiertelnej ciszy krupier zaanonsował:

- Dwadzieścia dziewięć, czarny, nieparzysty, passe!

Dziwne: cisza trwała jeszcze kilka sekund. A potem wydając uszczęśliwione pomruki widzowie zaczęli rozpraszać się po sali jak chmara wróbli, niosąc dobrą, nieprawdopodobną nowinę.

Nadia dyskretnie skinęła na kelnera. Nie czekając na wypłatę podniosła się ze swego krzesła i opuściła stół porzucając stos sztonów, które się tam nagromadziły. Skamieniały Alan zobaczył, że kieruje się do grill - baru. Niestety, musiała przejść przed nim. Widział, jak się zbliża, i odruchowo uczynił krok sprowadzający go na jej orbitę. Jej oczy, które zdawały się nie dostrzegać nikogo, zatrzymały się na nim. Wskazała z uśmiechem na trzymane przez niego w ręce sztony.

- Mam nadzieję, że brał pan ze mnie przykład...

Alan bardzo chciał odpowiedzieć czymś błyskotliwym, ale nie był do tego zdolny. Zrobił skruszoną minę.

- Jestem głodna - powiedziała. - Będzie mi pan towarzyszył. Ruszyła dalej nie czekając na odpowiedź. Szedł za nią krok w krok z bijącym sercem. Ludzie rozsuwali się szepcząc, robiąc jej przejście. Odwróciła się ku niemu z olśniewającym uśmiechem:

- Zawsze kiedy wygrywam, jestem głodna. A pan? Alan znów nie wiedział co odpowiedzieć.

- A może pan już jadł kolację?

- Nie! Nie - rzucił pospiesznie.

Nadia weszła po dwu stopniach do grillu przylegającego do sali gry. Trzech maitres d'hotel błyskawicznie do niej podbiegło.

- Stolik, pani Fischler?... Tędy!

Ledwo zdążyli usiąść, a już piwniczny otwierał butelkę Dom Perignon. Nadia nawet nie otworzyła ust.

Utkwiła swoje spojrzenie w oczach Alana i przyglądała mu się długo z grymasem na twarzy.

- Jak się pan nazywa?

- Pope - powiedział z wyschniętym gardłem - Alan Pope.

- Alan Pope... - powtórzyła marząco. - Ja jestem Nadia. Nadia Fischler. Czy Nadia Fischler może wiedzieć, co Alan Pope robi w Palm Beach, w Cannes, w nocy z 25 na 26 lipca? Alan nie mógł się zdecydować.

- Patrzę na panią.

- I żeby móc na mnie patrzeć, przybył pan z ...?

- Nowego Jorku.

- A kiedy już mnie pan zobaczył ...? - nalegała nie spuszczać go z oka.

Alan nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć w myślach: „chcę wziąć panią w ramiona”.

Obserwując go intensywnie rzuciła:

- Naprawdę? Ja również.

I wybuchnęła śmiechem. Alan przyłączył się do niej. Po raz pierwszy od początku dialogu, lekko odprężył się, nadal zmieszany jej perfumami, obecnością, głosem, spojrzeniem, a być może i tym, że zgadywała jego najskrytsze myśli.

- Cóż by panu sprawiło przyjemność? Czy jest pan tak głodny jak ja? Zapraszam pana!

- O nie! - powiedział Alan kładąc swoje sztony na stole. Znowż ironicznym uśmiechem.

- Pan Pope czułby się zhańbiony, gdyby przyjął zaproszenie kobiety. O to chodzi?...

- Nie, nie..., ale...

- Kawior? Langusta z rusztu? Kanapka z szynką? Tartinka z masłem? Kawa ze śmietanką? Proszę wybierać!

- Wezmę to samo co pani.

- Zgoda. Mario, spaghetti!

- Dobrze, pani Fischler, natychmiast zamawiam. Jak zwykle, z dobrze wysmażonymi skwareczkami?

- Czy lubi pan dobrze wysmażone skwareczki?

- Wszystko lubię.

- Jest wspaniały - szepnęła Nadia do Maria - Ze skwareczkami! Pan Pope ubóstwia skwareczki!

Ruchem podbródka wskazała sztony.

- Czy chce pan je oprawić w ramki? Alan spojrzał nie rozumiejąc.

- Nie widziałam, aby pan grał - podjęła. - Nie lubi pan grać?

- Nigdy dotąd nie grałem - wyznał szczerze Alan.

- Nie? - wykrzyknęła z oczyma zaokrąglonymi ze zdumienia. -
Więc po co te sztony?

- Chciałem spróbować - powiedział Alan łykając ślinę.

- Na co chce je pan przepuścić?

Poczuł, że wpadł w pułapkę. Stała przed nim.

- Chodźmy - powiedziała chwytając go za rękę. Nie wypuszczając jej pociągnęła go w przeciwny róg sali, weszła do strefy zarezerwowanej dla gry w chemin de fer. Specyficzna cisza, taka jaka towarzyszy walkom w wadze ciężkiej, pozwalała sądzić, że właśnie tam dzieją się rzeczy poważne. Alan spróbował nieznacznie się oswobodzić. Nadia wzmocniła chwyt i uzbrojona w autorytet swych sztonów szepnęła mu do ucha:

- Pół na pół.

- Pięćdziesiąt tysięcy w banku - odezwał się jakiś głos. -
Pięćdziesiąt tysięcy.

- Banco! - powiedziała Nadia.

Alan poczuł, że ma wilgotne dłonie. Podniósł oczy i spojrzał na trzymającego bank. Zadrzał gwałtownie i zmobilizował wszystkie siły, by nie uciec: Arnold Hackett! Powstrzymał drzenie nóg, podczas gdy Nadia odwracała ze zde gustowaną miną podane jej karty: dwa króle. Z przebiegłym uśmiechem na swej twardej twarzy Hackett odkrył czwórkę trefl i dwójkę pik.

Alan dostał mdłości widząc jak umyka pięć jego cennych żetonów. Popchnięte grabkami krupiera przecięły stół i wylądowały przed Hackettem, który natychmiast położył na nich swe małe pokryte plamami, zwycięskie dłonie. To była krzycząca niesprawiedliwość: kaprysem przypadku Hackett odzyskał w Cannes część tego, co Burger pomyłkowo przekazał Alanowi w Nowym Jorku.

Nowe rozdanie.

- Sto tysięcy w banku - rzucił Hackett

- Sto tysięcy... - Nadia ścisnęła mocno rękę Alana.

- Teraz pan!

- Co mam robić? - wybełkotał Alan po cichu.

- Niech pan powie „banco!” Alan odetchnął głęboko i usłyszał swój głos.

- Banco. Powiedział to tak cicho, że krupier musiał zapytać:

- Kto powiedział „banco”?

Niezdolny do wypowiedzenia raz jeszcze tych dwóch sylab, Alan ograniczył się do podniesienia palca. Siedzący na lewo od niego Arnold Hackett z żetonami starannie ułożonymi przed sobą wykonał nieznaczny, kurtuazyjny ruch głową i podał mu dwie karty. Nadia zmusiła Alana, aby je schował w dłoni. Odchyliła tylko rozek z obojętnym spojrzeniem. Hackett odwrócił swoje karty.

- Osiem w banku - zaanonsował krupier.

- Stary krab się zawiedzie - szepnęła Nadia. - Niech pan odkrywa swoje!

Alan wyłożył na suknie piątkę karo i czwórkę trefl.

- Dziewięć na stole - powiedział krupier.

Dwa sztony po pięćdziesiąt tysięcy franków powędrowały w przeciwnym kierunku i wylądowały przed Alanem.

- Zmiana... - uprzedził krupier. Przesunął pudełko przed Alana.

- Niech pan przejmie bank! - szepnęła Nadia. Rzucił jej przerażone spojrzenie.

- Niech pan bierze!

Rozłożyła na stole cały swój kapitał: dwa zetony 50000 i pięć po 10000 franków.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy w banku - oznajmił krupier. - Panowie, faites vos jeux!

- Banco - powtórzył jak echo Hackett.

- Dwie karty dla niego, dwie dla pana - szeptała Nadia. Alan podał je niezręcznie, ale krupier pochwycił karty na koniec łopatkki i położył przed Hackettem.

- Karta! - powiedział Hackett.

Alan podał trzecią. Hackett przyjrzał się jej nieufnie, zanim sprawdził co los mu przeznaczył. W końcu odkrył ją.

- Siedem...

- Dziewięć! - Nadia nie posiadała się z radości.

- Dziewięć w banku - powiedział krupier.

Wsunęła dwa sztony w ręce Alana, jeden wartości sto, drugi pięćdziesiąt tysięcy. Alan odruchowo schował je w dłoni. Nadia wyrwała mu je i chłodno popchnęła na sukno dodając trzy inne, które wygrała.

- Trzysta tysięcy w banku - powiedział krupier.

Alan policzył w myślach, że stawia za jednym razem około 70000 dolarów. Pot zrosił mu czoło.

- Postraszymy ich! - szepnęła Nadia. Odniósł wrażenie, że świetnie się bawi. Alan miał trudności z przetykaniem. Po jego lewej stronie Arnold Hackett z nagą czaszką koloru cegły wystającą z krwistoczerwonego blezeru, zdawał się wahać.

- Trzysta tysięcy w banku - nalegał krupier. - Panowie, trzysta tysięcy!

- Banco! - rzucił Hackett z determinacją.

- Banco przyjęte - powiedział krupier.

- Osiem dla banku! - triumfowała Nadia.

Krupier przysunął Alanowi trzy sztony po 100000 franków; dodane do pozostałych podnosiło sumę do 600000 franków. Około 140000 dolarów!

Pomyślał, że dla zarobienia takiej sumy musiałby przepracować u Hacketta sześć lat. Nagle odczuł ogromną chęć znalezienia się gdzie indziej.

- Zaczynają pękać! - cieszyła się Nadia.

Alan o mało co nie powiedział, że źle się czuje. Ogłupiały patrzył, jak porywa wszystkie jego sztony i rzuca je do gry.

- Sześćset tysięcy franków w banku, sześćset tysięcy! Panowie, sześćset tysięcy!

Hackett pochylił się ku Hamiltonowi Price - Lynchowi i szepnął mu coś na ucho. Ham - Burger przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi, który według szofera był jednym z jego klientów.

- Banco - powiedział

- Banco suivi! - odezwał się echem krupier. - Karty ... przyjęte. Wilgotne dłonie Alana podały dwie karty Price - Lynchowi i dwie sobie.

- Karta - powiedział Price - Lynch.

Alan podał mu ją. Nadia ukradkiem przyglądała się grze. Alan zapytał ją oczyma. Posłała mu dyskretny uśmiech. Price - Lynch odsłonił dziesiątkę karo i szóstkę trefl.

- Sześć na stole - oznajmił krupier.

- Siedem! - wybuchnęła Nadia.

- Siedem w banku - powiedział krupier.

Zagarnął sześć sztonów po 100000 ze stosu Ham - Burgera i ułożył nonszalancko przed Alanem.

- Czy pani chce tu jeszcze zostać? - wybąkał zamierającym głosem pod adresem Nadii.

- Z takim szczęściem?

Pękając ze śmiechu demonstracyjnie popchnęła na sukno wszystkie sztony.

- Zobaczymy, czy mają jaja!

- Milion dwieście tysięcy w banku, panowie! Milion dwieście... Alan odwrócił oczy modląc się w duchu, aby nie znalazł się nikt na tyle szalony, by przebić. Dostrzegł, że stół otacza ogromny tłum skupiony za ochraniającym ich sznurem.

- Panowie, milion dwieście - powtórzył krupier obojętnym tonem. Arnold Hackett i Ham - Burger udawali zaabsorbowanych rozmową.

- Jedno pytanie, Nadiu - zagadnął Lou Goldman. - Ty grasz, czy ten pan?

Alan miał ochotę zniknąć pod stołem.

- Wspólna kasa, kochanie - rzuciła słodkim głosem. - Czy masz ochotę przebić?

Lou Goldman wybuchnął śmiechem. Miał przed sobą zaledwie trzy sztony po 50000 franków. Wyjął z kieszeni książeczkę czekową, nabazgrał na niej liczbę i podał kelnerowi, który rzucił się do kasy, wrócił równie szybko i wymamrotał kilka słów do ucha kierownikowi gry. Natychmiast pojawili się za nim dwaj kelnerzy, którzy położyli przed Goldmanem sztony za 1500000 franków. Upuścił zapalone cygaro na dywan i obciął sobie nowe, wypiwszy łyk szampana. Świadom, że wszystkie oczy skierowane były na niego, popatrzył kolejno na Nadię i Alana, zagulgotał ironicznie i rzucił:

- Banco!

Drżąc, by nie zdradziły go dłonie, Alan położył przed sobą karty wyjęte z pudełka. Krupier podał Goldmanowi jego karty.

- Karta - wymamrotał obejrzawszy je.

Roztrzęsiony Alan podsunął mu następną kartę i rzucił bojaźliwe spojrzenie na swoje. W duchu zaczął błogosławić bogów.

- Dziewięć - powiedział Goldman.

Twarz Alana poszarzała. Głośny szmer przebiegł po tłumie widzów.

- Dziewięć na stole - poinformował krupier. Alan odwrócił karty.

- Dziewięć w banku. Remis.

- Ostatnie rozdanie! - poinformował krupier.

Alan otarł czoło wierzchem dłoni. Umierał z pragnienia, by opuścić ten przeklęty stół.

- Jeszcze raz to samo? - zapytała grzecznie Nadia Lou Goldmana. Zanim miał czas odpowiedzieć, rozległ się słodki głos:

- Panie Goldman, czy zechciałby pan mi pozwolić...

Alan miał wrażenie, że serce pęknie mu w piersiach. Mówił mężczyzna o delikatnej twarzy ozdobionej krótkim czarnym wąsikiem. Goldman wykonał gest ręką.

- Ależ proszę, książę...

Podwójny triumf: zuchwałą zagrywką zagarnął z kasy Palm Beach 1500000 franków i publicznie okazał wobec księcia Hadada, że jest dżentelmenem.

- Dziękuję - powiedział książę.

Stracił zainteresowanie Goldmanem wpatrując się w Nadię z bezczelną ironią. Alan miał ochotę go zabić.

- Banco - powiedział nie spuszczając jej z oka.

- Proszę podać... - szepnęła Nadia Alanowi.

Wyciągnął karty z pudełka. Krupier przesunął je ku Hadadowi. Ruchem dłoni dał znak, że nie chce następnej. Przerażony Alan ledwo ośmielił się spojrzeć na swoje. Ogarnęła go fala nadziei.

- Osiem - powiedział krupier. - Osiem w banku! Książę niedbale rzucił swoje.

- Siedem - dodał krupier.

Musiał dwukrotnie sięgnąć grabkami, by przesunąć ku Alanowi należne mu dwanaście żetonów po sto tysięcy franków.

- Panowie, partia skończona!

Wszyscy wstali. Hadad obszedł stół, uklonił się przed Nadią i powiedział tonem ugrzecznionym, ale uśmiechając się zabójczo.

- Pani, moje gratulacje! Mam nadzieję, że udzieli mi pani rewanżu.

- Kiedy tylko pan zechce - odparowała zimno Nadia. Nawet przez moment nie raczył zainteresować się Alanem. Nadia wzięła go pod ramię.

- Chodźmy.

Alan odruchowo chciał zabrać żetony poustawiane w stosiki na suknie. Uśmiechnęła się do niego.

- Wrócimy po nie. Partia zaczyna się za kwadrans. Pociągnęła go w kierunku grill - baru.

Trzy białe rollsy ustawiły się obok siebie na piaszczystym parkingu Palm Beach w pobliżu morza.

- Jak to pachnie, ta twoja służba w agencji? - zapytał Angelo La Stresa.

Trzej kierowcy pozdejmowali czapki, porozpinali kurtki, pozdejmowali krawaty. Kelner z kasyna przyniósł im stolik na kółkach zastawiony szampanem, wędzonym łososiem, serami i waniliowymi lodami.

- Muszę być w każdej chwili do dyspozycji klienta - powiedział Norbert wbijając delikatnie widelec w kawałek łososa i pomagając sobie czubkiem noża do ryb.

- Nie masz godzin pracy?

- W zasadzie nie. Muszę być stale gotów. A ty od jak dawna pracujesz dla Price - Lyncha?

- Ham - Burgera? Od pięciu lat.

- Fajny?

- Fałszywiec! Dolejesz mi trochę szampana?... Dziękuję... To taki facet, który potrafi uśmiechać się do ciebie, a jednocześnie wypruwać ci powoli flaki brzytwą.

- Koszmarny - skomentował Norbert.

- Mój jest jeszcze gorszy - powiedział Richard Heavens. - Hackett nigdy się nie uśmiecha, ani jednego miłego słowa, podziękowania, uśmiechu. Nic. Jakbym był koniem.

- A jego żona? - wypytywał Angelo.

- Nieszkodliwa. Buja w obłokach. Mówisz do niej, a ona każe ci powtarzać dwa razy. Nie pieprzą się chyba od trzydziestu lat. A przecież to straszny babiarz!

- W jego wieku?

- Jeszcze jak! Ileż to razy odwoziłem go niby do biura, podczas gdy on przelatywał panienkę!

- Należycie w Stanach do związków zawodowych? - zapytał Norbert. - Mam na myśli ludzi z firmy?

Angelo przyjrzał się Richardowi unosząc brwi:

- A ty należysz?

- Nawet nie wiem, czy jest jakiś związek. Związek dla kogo? Aby co robić? Jeżeli tylko chcesz harować dla obcych, w Ameryce wystarczy pstryknąć palcami i masz każdą posadę, jaką chcesz!

- To prawda - zgodził się Angelo. - W naszym fachu nie ma strachu. Nie ciebie zatrudniają, ty ich wybierasz.

- To samo przy podwyżkach. Nie trzeba prosić dwa razy, dostajesz od razu.

- Zwracałeś się do Hacketta?

- Tak.

- To nie u mnie. Ona nosi spodnie i ona decyduje. Chcę wam tylko powiedzieć, że Ham - Burger składa się jak scyzoryk przed swoją żonusią! To nie cukierek, mamuśka Emily! A skąpa!! Uważa, że wszyscy dybią na jej forszę. To samo córeczka, Sarah. Kiedy facet robi do niej słodkie oczy, jest przekonana, że to z powodu jej szmalu.

Norbert podniósł się z krzesła.

- Nie uważacie, że to zabawne? Krzesła w stylu Ludwika XV pośrodku parkingu...

- Skoro nie mieli nic innego? - powiedział Angelo. - Jeżeli tylko można gdzie posadzić tyłek...

- Dokąd idziesz? - zapytał Richard.

- Chcę wam dać popróbować wspaniałego armaniaka. Mam go w samochodzie.

- Skoro już stoisz... czy możesz z mojego wziąć trochę lodu?

- OK - powiedział Norbert.

Poszperał w barku i znalazł szacowną butelkę. Angelo puknął się w głowę.

- Ojej, a kawa?

- To prawda, przecież ją zamawialiśmy! - zniecierpliwił się Richard.

- Ależ się grzebią w tym baraku! Zadzwoń...

Angelo udał się do „swojego” rollsa i trzy razy zatrafił. W dwie minuty później pojawił się kelner ze srebrną tacą pod pachą.

- Nie spieszysz się specjalnie! - wypomniał Richard.

- Proszę mi wybaczyć, proszę pana... Jesteśmy wykończeni.

- Wykończeni, wykończeni... - gderał Angelo.

Zobaczył, że Richard kładzie rękę do kieszeni. Błyskawicznie zareagował:

- Nie, stary, nie! Zostaw! To moja sprawa!

Z elegancką dyskrecją wsunął kelnerowi hojny duży napiwek.

- Słuchaj, mały, uprzątnij stół - powiedział Richard. Popatrzył kolejno na Angelo i Norberta.

- W dalszym ciągu macie ochotę na pokerka?
- Mario!
- Pani Fischler?
- Mogę coś panu powiedzieć w sekrecie?
- Ależ oczywiście, pani Fischler!

Nadia zmęczonym ruchem wbiła widelec w spaghetti w sosie pomidorowym.

- Wasze spaghetti są ohydne.
- Ależ pani Fischler... Natychmiast zmienię!

Mario nigdy nie próbował zrozumieć, dlaczego niektórzy klienci bywali czasami niezadowoleni. Nie miało to żadnego związku z jego kuchnią, ale z ich humorami, z wygranymi, przegranymi, i ich zmęczeniem, formą. Wszyscy gracze byli ofiarami, przelotnych egzaltacji, kaprysów nagłych zniechęceń. Nie należało analizować tego, nawet doświadczony psychiatra wyłuskałby ze zmartwienia. Należało poddać się, nigdy nie sprzeciwiać temu, co twierdzili, choćby to było najbardziej szalone, nie sprzeciwiać się w niczym.

- Mario!
- Pani Fischler!
- Są zimne.
- Absolutnie ma pani rację. Czy podać pani trochę kawioru, podczas gdy będziemy przygotowywać drugą porcję?
- Nic nie chcę, Mario. Dziękuję, dziękuję...

Królewskim i dyskretnym gestem Mario usunął brygadę kelnerów otaczających stół, po czym ukłonił się i odszedł. Nadia utkwiała wzrok w oczach Alana, który nie otwierał ust.

- Czy ciągle ma pan ochotę na spaghetti?
- Ja, no wie pani... naprawdę... - zaryzykował.
- Tak czy nie?
- Jak pani sobie życzy... Podniosła się, rzuciła serwetkę na stół.
- Zmieniamy bar mleczny. Znam trattorię, gdzie spaghetti jest doskonale!
- W Cannes? - zapytał Alan chcąc cokolwiek powiedzieć.
- W Rzymie - odpowiedziała.

Myśląc, że żartuje uśmiechnął się grzecznie.

- Mario!
- Pani Fischler?

Wsunęła mu do ręki zwitek banknotów, które schował z godnością i pośpiechem.

- Proszę zatelefonować natychmiast do Alberto, ulica Livorno w Rzymie. Proszę mu powiedzieć, że będę tam za niecałe dwie godziny. Stolik na dwie osoby. Mają być fettucini.

- Dobrze, pani Fischler.

- Proszę zadzwonić do Locajet w Nicei.

Mario popatrzył ukradkiem na zegarek. Jego gest nie umknął uwadze Nadii.

- Gównu mnie to obchodzi! Obudź ich!

- Oczywiście, proszę pani.

- Chcę Falcona 10, tam i z powrotem. Proszę pozbierać moje sztony z ruletki i chemin de fer. Proszę potrącić z tego pieniądze. Mario!

- Słucham panią?

- Samolot ma być gotów do startu najpóźniej za trzydzieści minut.

Odwróciła się do Alana.

- Pan ma samochód?

Popatrzył na nią okrągłymi oczyma, osłupiały.

- Tak.

- Doskonale! Jedziemy!

Wsunęła mu dłoń pod ramię i pociągnęła ku wyjściu. Przeszli wolno przez cały hall.

- Zadowolony z wygranej?

- Tak, tak...

- Jeszcze niczego pan nie widział! Kiedy jestem w formie, mogę wysadzić w powietrze ten ich pieprzony bank! Już to robiłam! Gdzie jest pańska gablota?

Przeprowadzający samochody rzucił się ku podestowi i powiedział do mikrofonu:

- 127 ... Białe rolls.

- 127 ... Dobra liczba, powiedziała Nadia wesoło... Jak pan ją rozbija? 1 i 27 czy 12 i 7?

Rolls zajechał z wizgiem opon i zatrzymał się przed schodami wzięwszy zakręt w stylu Grand Prix. Dwaj lokaje otworzyli drzwi, zanim Norbert zdążył opuścić siedzenie. Nadia umościła się w poduszkach.

- Proszę podnieść dach, nie lubię wiatru. Na lotnisko w Nicei. Galopem!

- Dobrze, proszę pani - powiedział Norbert podnosząc dach. Ruszyli.

- Autostradą, czy wzdłuż wybrzeża?

- Wzdłuż wybrzeża - rzuciła Nadia. - O tej porze... Znow ujęła Alana pod ramię i oparła się o niego.

- Teraz naprawdę jestem głodna. Zna pan Alberto?

- Nie.

- A Rzym?

- Też nie.

Parsknęła śmiechem i mocniej przytuliła się do niego.

- Co pan robi w Nowym Yorku?

- Interesy... - zaczął ostrożnie Alan.

- Nieruchomości? Giełda? Przemysł? Finanse?

- Trochę tego, trochę tego...

- Wygląda pan smutno. Zmęczony?

- Nie, nie... Zresztą... Dzisiaj przyjechałem. Nie spałem od dwudziestu godzin...

- Czy wie pan, ile mogą wytrzymać bez snu?

- Ile?

- Mój rekord wynosi siedemdziesiąt dwie godziny. Tutaj, w Palm Beach. Co za partia!

- Wygrała pani?

- Wszystko przegrałam! Zostałam zrujnowana! Czy zna pan ludzi, których oskubaliśmy dziś wieczorem przy naszym stole?

- Nie.

- Dwóch skapców w pierwszym banco: Arnold Hackett i Hamilton Price - Lynch.

- Hackett? - zapytał niewinnie Alan.

- Hackett, z Hackett Chemical Investment. Pół miliarda dolarów obrotów. Prawie siedemdziesiąt pięć lat. A ten drugi, wyglądający jak kun... Grali przeciwko nam. Hamilton Price - Lynch, przydomek Ham - Burger. Poślubił Emily Burger, wdowę po Francku Burgerze III.

Dach samochodu był wysoko, ale Alan miał wrażenie, że włosy na głowie dotykają miękkiej wykładziny.

- Burger?... Bank? - zapytał łapiąc się instynktownie za puls, by policzyć uderzenia.

- Tak. Burger Trust Limited. Złodzieje!
- Była pani jednym z ich klientów?
- Byłem, jestem lub będę prędzej czy później, klientem każdego banku na ziemi. Przez moich kochanków!

Wybuchnęła śmiechem, pochyliła mu się do ucha i wskazując na kark Norberta spytała:

- Jak on się nazywa, twój giermek?
- Norbert.

Uderzyła go lekko po ramieniu.

- Hej, Norbercie, z nerwem, szybciej! Spaghetti wystygnie! Samochód skoczył do przodu. Alan opadł na siedzenie nie mogąc uwierzyć, że jego dwaj pechowi przeciwnicy przy grze w chemin de fer to jego główny szef i właściciel jego banku.

- Potem ten gruby, z cygarem Lou Goldman, producent filmowy. Ostatniego też pan nie zna? Tego Araba?... Książę Hadad. Gdyby go to bawiło, mógłby kupić kasyno, miasto Cannes, Lazurowe Wybrzeże i całą Francję. Obliczano, że jego dochody wynoszą 10000 dolarów na minutę! Wie pan ile jest minut w ciągu dnia? 1440. Niech pan policzy! Czternaście i pół miliona dolarów dziennie! Co by pan zrobił z czternastoma milionami dolarów dziennie?

- Nie wiem - powiedział Alan.

Nadia pochyliła się ku niemu i musnęła jego czoło pocałunkiem.

- Powiem panu. Dokładnie to samo co pan robi w tej chwili. Zaprosiłby pan do Rzymu piękną kobietę na porcję fettucini!

Po prawej było morze. Stłumiony szum przyboju docierał do Alana pomimo szybkości. Po lewej ciągnęły się bary, kawiarnie, restauracje skąd dochodziły dźwięki muzyki. Trochę dalej Norbert wjechał na drogę prowadzącą do lotniska. Czekał tam na nich mężczyzna w niebieskim mundurze i czapce z literami linii Locajet.

Przywitał Nadie i Alana.

- Maszyna gotowa.
- Czy mam na pana czekać? - zapytał Norbert.
- Nie, dziękuję - powiedział Alan.
- Ależ oczywiście, że tak! - przerwała Nadia. - Za niecałe trzy godziny będziemy z powrotem. Niech pan sobie utnie drzemkę w samochodzie!

Eskortowani przez funkcjonariusza lotniska przeszli przez pusty hall wejściowy i wsiedli do samolotu, który zawiózł ich na koniec

pasa. Alan zobaczył samolot, imponujący odrzutowiec. Nadia wsiadła ze śmiechem, wspomagana przez faceta, który przedstawił się jako radiomechanik. Wspinając się za nią po stopniach Alan podziwiał smukłość jej kostek. Odczuwał piekielną ochotę, by je zamknąć w kółku utworzonym przez kciuk i palec wskazujący.

Radiomechanik zarygłował drzwi.

- Zaraz startujemy. Proszę zapiąć pasy...

Uśmiechnął się do nich i zniknął w kabinie pilota. W ich kabinie mieściło się pięć szerokich siedzeń. Nadia siadła przy oknie, opuściła oparcie fotela przed nią i wyciągnęła nogi. Alan postąpił tak samo, był zmieszany tym sam na sam. Wyciągnęła rękę i zgasiła górne światło. Przez kilka chwil Alan czuł tylko jej perfumy. Później jego oczy przyzwyczały się i mimo ciemności dostrzegał jej doskonały profil w niewyraźnej aureoli światła dobiegającego z okienka. Wzięła go za rękę.

- Dobrze tak?

Delikatnie uścisnął jej końce palców.

- Dobrze - powiedział z westchnieniem. Silniki samolotu zaczęły mruzczeć.

Rozdział 15.

Arnoldzie, pan przegrał! wykrzyknęła Emily Price - Lynch ze śmiechem, w którym nie było cienia wesołości.

- To prawda, trochę. Nie cierpię tego... - wyznał Hackett. Emily uporczywie przyglądała się mężowi, nie rozstając się ze swym uśmiechem.

- Też grałeś, kochanie?

Ham - Burger skurczył się na krześle i rzucił żartobliwym tonem:

- Tylko kilka partyjek. Aby dotrzymać towarzystwa Arnoldowi. Emily nie cierpiała, gdy zbliżał się do zielonego stolika. Nie mogąc mu zabronić wstępu do kasyna, prowadziła perwersyjną wojnę, chcąc powstrzymać go od gry.

- Co nazywasz małą partyjką?

Hamilton kazał Hackettowi obiecać, że nie powie nic o ich fatalnym „banco” przeciwko Nadii Fischler.

- Partyjkę bez znaczenia - powiedział dobrodusznie. - Kilka sztonów...

- Byłam tam - powiedziała Sarah nie podnosząc nosa znad kieliszka.

Ubóstwiała stawiać ojczyzna w kłopotliwych sytuacjach. Hamilton wiedział, że donosiła Emily o jego najdrobniejszym ruchu.

- Chciałabym wiedzieć - dodała lekkim tonem - kim jest ten żigolak, który grał przeciwko wam z Nadią Fischler?

- Żigolak? Żigolaki nie mają tu prawa wstępu! - wtrącił się z uśmiechem Gil Houdin.

Ucałował wytwornie dłonie Victorii Hackett i Emily Price - Lynch, poklepał przyjaźnie Sarah po policzku i pstryknął palcami, by zwrócić uwagę Maria.

- Szampana!

- Proszę siadać, Gil, proszę siadać... - powiedział Hackett. Houdin usiadł.

- A teraz, Sarah, proszę opowiedzieć mi wszystko!

- Mówiłam o tym typie koło Nadii. We dwoje oskubali biednego Hamiltona i nieszczęsnego Arnolda!

- Kto nie ma szczęścia w kartach... - powiedział Arnold, który nie miał ani jednego, ani drugiego.

Sarah dostrzegła Alana od pierwszej chwili. Pociągała ją jego blada cera i widoczny brak pewności siebie. Czuła się dobrze tylko w

obecności mężczyzn, nad którymi - sądziła - potrafi zapanować. Innych starała się za wszelką cenę złamać, idąc w tym śladami mamusi.

- Chciałabym wiedzieć, co musi robić ta kurwa, by móc grać za pieniądze innych... - rzuciła Emily z krwiożerczym uśmiechem.

Victoria Hackett parsknęła śmiechem. Wiele by dała, by móc sformułować tak błyskotliwe pytanie. Houdin wiedział, że Emily była poinformowana o przyjacielskich uczuciach, jakie łączyły go z Nadią. Być może nawet wiedziała, że kiedyś sypiali ze sobą? Któż jednak nie sypiał z Nadią? To nie była tylko złośliwość: Emily po prostu chciała go zranić. Ale ograniczył się tylko do uszczypliwego:

- Ona się po prostu podoba, kochana Emily. Posiada zwierzęcą cechę wabienia mężczyzn.

- Powiedzmy: mężczyzn pewnego typu - ucięła Emily, zaciskając mimowolnie usta.

- Arnoldzie, czy to prawda - zapytała Victoria z niewzruszoną powagą - że mężczyzn pociągają kobiety łatwe?

- Ależ skąd! - odpowiedział z powagą Gil. - Tylko cnota pociąga naprawdę, droga Victorio.

Pochwyił ostre spojrzenie, jakie rzuciła mu Emily Price - Lynch. Wiedział, że ją dotknął.

Przejechali przez uśpiony Rzym samochodem, który Alberto posłał im na Fiumicino. Via Livorno była zupełnie pusta. Ani światła, ani przechodnia. Migotały tylko szyldy restauracji. Alberto czekał w progach:

- Nadia! jak leci? Rzuciła mu się w ramiona.

- Alberto, ty stary draniu! Brakowało mi ciebie!

- Mnie ciebie też, Nadia! Zjesz najlepsze fettucini, jakich kiedykolwiek próbowałaś!

- Alberto" Alan Pope. Alberto...

Alberto uściskał dłoń Alana, jakby był jego najlepszym przyjacielem. Obrzucili wzrokiem pustą restaurację. W rogu stał stolik nakryty białym obrusem, przybrany bukietem róż i oświetlony trzema świecami. Dwóch kelnerów rzuciło się, by przysunąć krzesła.

- Kazałem ich obudzić dla pani! - powiedział Alberto. Odwrócił się do Alana:

- W Rzymie każdy jest gotów zerwać się w nocy dla Nadii. Ma pan szczęście, signor!

Nalał do kieliszków lekkiego zimnego wina. Dał się słyszeć śpiew, skandowany dźwiękami gitary. Ze zdumieniem Alan dostrzegł muzyka.

- To Enrico - powiedział Alberto do Nadii. - Kazałem go sprowadzić dla ciebie. Wiem, że ubóstwiasz jego piosenki!

Pochwycił dłoń Nadii, ucałował ją z zapałem.

- Nadia! Cara mia!... Natychmiast wam podaję!

Rzucił się do kuchni. Osłupiały Alan przyglądał się Nadii. Ujęła go łagodnie za rękę.

- Głodny?

- Już nie wiem...

W czasie podróży radiomechanik przyniósł butelkę szampana. Wypili za Cannes, za Rzym, za Amerykę, za kasyno. Alan przeklinał go, chciał być z nią sam na sam. Może w drodze powrotnej?

- Dobrze pan się czuje? - zapytała Nadia.

- Bardzo.

- To miejsce mi się podoba, czuję się jak w domu. Co pan lubi w życiu?

- Życie.

- A co poza tym?

- Być wolnym.

- A jest pan?

- Nie. Parsknęła śmiechem.

- Wygląda pan jak mały chłopczyk, który obrabował bank. Czy naprawdę pan obrabował jakiś bank?

- Jestem zbyt niezręczny. Już by mnie złapali.

- Żonaty?

- Byłem.

- Ja też. Wiele razy.

- Morał?

- Nie można żyć samotnie i nie można żyć we dwoje.

- Konkluzja?

- Zmieniać partnerów tak, jak zmienia się szczotki do zębów. To zapobiega samotności i nie ma czasu, aby się nudzić.

- Fettucini! - zaśpiewał Alberto osobiście niosąc danie i pokrzykując na kelnerów.

- Ciepłe talerze! Szybko! Subito! A kieliszki? Puste?! Na co czekacie?!

Kręcił się we wszystkich kierunkach, mistrz ceremonii dziwnego święta, które Alan uważał za całkowicie nierealne. Podniósł kieliszek w kierunku Nadii i wypił duży łyk wina: przynajmniej raz w życiu robił coś szalonego.

- Jedzcie, błagam was, będzie zimne! Costa! Następną butelkę! Nadia, smakuje ci?

- Och!... - powiedziała Nadia z pełnymi ustami.

- Signor?

Alan potwierdził gwałtownie potakując głową. Nie był głodny. Obecność Nadii podcinała mu nogi i pozbawiała apetytu.

- Proszę mi opowiedzieć, Alan, o tym banku? - wtrąciła między dwoma kęsami.

Jego widelec zastygł w połowie drogi między stołem a ustami. Zamarł.

- Jakim banku?...

- Dobrze pan wie... O tym, który pan obrabował!

Między stanowiskiem fizjonomisty a kontuarem, za którym królowała dama z telefonem, Hamilton Price - Lynch odwrócił się dwa razy: Emily i Sarah doskonale mogły pójść za nim i szpiegować. Poprosił Emily o pozwolenie na „umycie rąk”.

- Proszę pani, ile czasu muszę czekać na Nowy Jork?

- Chwileczkę, proszę pana, mamy automatyczne połączenie.

Nabazgrał swój numer na kawałku papieru.

- Która kabina?

- Pierwsza. Usłyszysz pan dzwonek.

Ham - Burger nie chcąc kłaniać się ewentualnym znajomym udawał, że pochłania go kontemplowanie witryn z kolekcjami największych jubilerów. Hall wypełniał tłum, we wszystkich przejściach i drzwiach tłoczyli się wychodzący - przeważnie przegrani - i wchodzący - pełni nadziei, naładowani sztonami i złudzeniami, ruszający do ataku na kasyno, jakby ruszali na podbój Fortu Knox. Noc potrafiła rozpoznać swoich...

- Proszę pana, Nowy Jork dla pana!

Hamilton rzucił się do kabiny i podniósł słuchawkę.

- Hamilton Price - Lynch przy aparacie - rzucił suchym i autorytatywnym głosem bankiera. - Z kim mówię?

- Z telefonistką, proszę pana. Popatrzył na zegarek: pierwsza po północy.

- Czy Abel Fischmayer jest jeszcze w swoim biurze?

- Sprawdzę proszę pana.

Jakieś trzaski... Gruby głos Fischmayera.

- Z kim mówię? Kto tam?

- Dzień dobry, Abel. Tu Hamilton!

- Pan Price - Lynch! Skąd pan dzwoni?

- Abel, chcę o coś zapytać... Czy naszym klientem jest niejaki Alan Pope?

- Alan Pope? To naprawdę zdumiewający zbieg okoliczności, panie Price - Lynch! Przed godziną dzwonił do mnie Gil Houdin z Cannes, chce się dowiedzieć, czy on jest wypłacalny! Wczoraj rano rozmawiałem o nim z Vlinskym!

- Dlaczego, Abel? Czy jest coś szczególnego?

- Ten głupi Vilnsky strzelił głupstwo! Umieścił go na liście nie mających pokrycia!

- A tak nie jest?

- Zdeponował u nas półtora miliona dolarów... w każdym razie coś koło tego...

- Naprawdę?

- Naprawdę. Przypominam sobie doskonale.

- A kiedy to było, Abel?

- Czy chce pan, abym to sprawdził?

- Bardzo proszę, Abel.

- Czy coś jest nie tak, panie Price - Lynch?

- Nie nie... Potrzebna mi poufna informacja dla przyjaciela.

- Już idę!

- Jeszcze chwilę, Abel! Jem kolację z przyjaciółmi i muszę kończyć. Proszę przejrzeć te akta i wynotować wszystko: stan konta, wpływy, operacje... Nie pogniewa się pan, że proszę, aby pan poczekał aż zadzwonię?

- Ależ skąd! - gruchał serdecznie Fischmayer. - Wcale nie, panie Price - Lynch!

- W ciągu godziny, dobrze?

- Doskonale! Doskonale!

- Jeszcze raz dziękuję, Abel. I proszę mi wybaczyć. Dobrze zanotował pan nazwisko?

- Pope! Alan Pope!

- W porządku, Abel. Za chwilę...

- Za chwilę, panie Price - Lynch!

Zmieszany Ham - Burger wyszedł z kabiny, nie mieściło mu się w głowie, by nie znał nazwiska klienta za milion dolarów. Czyżby już gonił w piętke?...

Samolot wystartował z wyciem, nabrał wysokości, zawinał pętlę w prawo i osiągnął wysokość rejsową. Alan widział przez okienko migotanie świateł Rzymu. Zagłębił się w swoim siedzeniu, odsuwając od siebie dręczące pytania bez odpowiedzi i niepokój w niczym nie zmieniający biegu wydarzeń. Opuszczając restaurację Nadia wetknęła garść banknotów w rękę Alberta. W Palm Beach takim samym gestem uhonorowała szefa grill - baru.

- Nadia?

- Tak?

Kabina pogrążona była w mroku. Nadia zapowiedziała radiomechanikowi, że ma ich zostawić w spokoju.

- Czy pani zawsze tyk żyje!

- Jak?

- W tempie stu kilometrów na godzinę?

- Zawsze.

- Niczego się pani nie boi?

- Czego?

Nie usłyszał odpowiedzi. Nigdy nie spotkał równie pięknej kobiety. Ani równie zwariowanej. Sprawy materialne zdawały jej się kompletnie umykać, pieniądze nie miały wartości, normy nie istniały. Żyła w nadmiarze, jak inni w mierności. Wewnętrzny głos mówił mu, że jej nadzwyczajne szczęście w kasynie nie ma jutra. Jeszcze ma możliwość cofnięcia biegu wydarzeń. Może uprzedzić bank o pomyłce, zwrócić pieniądze bezprawnie pobrane, może wsiąść w pierwszy samolot do Nowego Jorku zaopatrzonej w połowę wygranej w bakarze: blisko trzysta tysięcy dolarów tylko dla niego.

Trzy dni wcześniej nawet nie ośmieliłby się marzyć o takiej fortune. Wszystko było jasne: po powrocie do Cannes idzie do kasyna, odbiera swój czek, zgarnia kapitał, opuszcza ten kraj niebezpiecznych szaleńców i cofa licznik na zero. Wydał westchnienie ulgi.

Nadia gwałtownym ruchem wsunęła rękę w wycięcie jego koszuli.

- Wiesz, dlaczego mi się podobasz?

Miał uczucie, jakby do jego ciała podłączono przewód wysokiego napięcia. Przysunęła się i wyszeptała mu w usta:

- Pod płaszczkiem nieśmiałego play - boya jesteś chłopcem. Lubię chłopców. Ja także jestem chłopką. Podobam ci się?

- Bardzo - wydobył z siebie całkowicie sparaliżowany Alan. Samolot ślizgał się po niebie koloru atramentu na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Nieskończenie daleko, na ziemi, rozsypany był świetlisty pył, a tu, bardzo blisko, perfumy Nadii, jej ochryply głos. Miał ochotę podziękować komuś czy czemuś za ten moment doskonałości. Przepętniony czułością, łagodnością, chciał ją wziąć w ramiona. Zatrzymała go w tym odruchu i zapytała zdyszczanym głosem:

- Masz na mnie ochotę?

- Straszna, Nadia, straszna...

- To na co czekasz, aby mnie zerznąć?

Zaskoczony zobaczył jak podwija suknię i odwrócił oczy od błysku jej białych ud.

- Chodź, zobacz!

Rozsunęła staniczek i wyswobodziła krągłości swych piersi.

- Pieprz mnie, bydlaku, pieprz mnie!

Trwał znieruchomiał, jakby w jego żyłach płynął ołów, zimny ołów. Wsunęła głowę między jego nogi, rozpięła mu pasek, spodnie, opuściła je na uda, chwyciła w usta jego członka ssąc go gwałtownie, a jednocześnie pieszcząc się sama. Nie wyobrażał sobie, że to ma się odbyć w taki sposób. Zrobił ogromny wysiłek, aby nie myśleć, aby przegnać to zimno. Z gniewem wyswobodził się nagle na siedzeniu, ukląkł między jej udami i wszedł w nią dziko. W momencie wytrysku obserwował twarz oświetloną promieniem księżyca. Była ściągnięta, zatwardziała, stwardniała, z jakąś desperacją w kącikach warg. Oczy szeroko otwarte utkwione w jakimś wyimaginowanym punkcie w przestrzeni, który zawsze pozostanie niedostępny. Aż do ostatniej chwili świadomości śledził ją intensywnie, chcąc zobaczyć jak rodzi się błysk rozkoszy, który przemieniał ją, kiedy grała. Ale nie dostrzegł nic takiego. Zrozumiał wówczas, że Nadia Fischler zna tylko jeden rodzaj rozkoszy: hazard!

Hamilton Price - Lynch był słaby, więc niebezpieczny. Abel Fischmayer wiedział, że całkowicie rządzi nim strach, jaki wzbudzała w nim żona. Niewiele znaczył z nią, ale bez niej nie znaczył nic. Abel marzył czasami, że przypiera go do muru. Wystarczyło mieć w rękę

parę atutów, aby go zdyskredytować wobec niej: jakaś smaczna historia zdrady, kompromitujące fotografie, adresy, daty, dowody. I wówczas on, Abel Fischmayer, kierowałby losem banku: Emily, podobnie jak jej córka Sarah, nie znała się zupełnie na finansach.

- Czy Vlinsky jeszcze jest?

- Sprawdzę, proszę pana.

Fischmayer nieustannie obawiał się, że w chwili roztargnienia nazwie go Ham - Burgerem. Skąd to nagłe zainteresowanie Alanem Pope'em?

- Oscar?... Fischmayer! Mówił pan o pewnym kliencie, przed dwoma dniami... Pope, Alan Pope... Proszę wziąć jego akta i przyjść do mojego biura. Tak, natychmiast. Dziękuję.

Kiedy Vlinsky wszedł do gabinetu, Abel z wysiłkiem ukrył pogardę, którą budziła w nim ta nędzna kreatura. Spodnie miał za krótkie, krawat przypominał sznurek, żółtoprażkowane oczy krótkowidza przypominały źle usmażone jajka, w których żółtko rozlało się na białko.

- Proszę usiąść, Vlinsky... Więc Alan Pope?...

Wyjął mu z ręki akta i szybko przebiegł oczyma kilka kartek...

- Dobrze... Dobrze... U nas od czterech lat... Pracuje u Hacketta... Doskonale... Regularne zarobki... Żadnego innego źródła utrzymania poza pensją... Średni personel...

Oskar Vlinsky podniósł z szacunkiem palec.

- Wielokrotnie nie miał pokrycia, panie Fischmayer... Abel obrzucił go lodowatym spojrzeniem i dalej mruczał.

- Zarobki miesięczne netto: tysiąc sześćset siedemdziesiąt dwa dolary... Wyплаты... Wyплаты... Przelew...

Zatrzymał się na słowie „przelew”, jak pies gończy.

- Przelew na 1170400 dolarów - milion sto siedemdziesiąt tysięcy czterysta dolarów? Vlinsky!

- Panie Fischmayer?

- Proszę się zamknąć! Te pieniądze zostały przelane na rachunek klienta 22 lipca rano... przez kogo, Vlinsky?

- Nie wiem, proszę pana.

- Jak to pan nie wie!?

Oskar zdawał się rozplęwać w swoim obcisłym ubraniu.

- Ograniczyłem się do zasygnalizowania księgowości, że klient nie ma pokrycia. Mój komputer...

- Vlinsky! Proszę mi natychmiast znaleźć ten czek!

- Ale gdzie, proszę pana?

- A skąd pan chce, abym wiedział? Znajdź go, to wszystko! Czy to burdel, czy bank?!

- Już idę, proszę pana. Ale proszę pozwolić sobie przypomnieć, że sygnalizowałem panu brak pokrycia, który wynosił...

- Proszę wyjść!

Wrócił w kilka minut później, przezroczysty, niemal trupio blady. Nie mogąc wypowiedzieć ani słowa podał maleńki, papierowy prostokąt trzęsąc głową z rozpaczą. Abel wyrwał mu czek, rozwinął go i wsunął pod światło lampy.

- Wystawiony przez nasz własny bank!...

Wypłacony z konta Hacketta... Podpisany przez Olivera Murraya... Vlinsky słabo poruszył ręką, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- O co chodzi, Vlinsky? O co chodzi?

- O kwotę, panie Fischmayer... proszę popatrzeć na tę liczbę... - wyszeptał zamierającym głosem.

Abel przeczytał: „1170400 dolarów”. Prawem tajemniczej osmozy krew, która zniknęła z twarzy urzędnika, objawiła się nagle na jego policzkach, zaczerwienionych na kolor ceglasty. Vlinsky wił się przed nim:

- Byłem pewny, że to pomyłka! Kiedy to panu sygnalizowałem, kazał mi pan zastosować „specjalne traktowanie”... - wyjęczał Vlinsky.

- Ja?! Nigdy! To niemożliwe!...

- To straszne, proszę pana... O dwa zera za dużo...

- Ale kto?... Kto?... - grzmiał Fischmayer. Oscar Vlinsky zrobił zrozpaczoną minę:

- Widzę tylko jedną możliwość, proszę pana. Oszukał nas wielki komputer!...

Alan myślał z goryczą: posiadałem tylko cień. Nie kochał się z Nadią. Kochał Nadię, kochał ciało poddające się wszystkim możliwym życzeniom, ale nie oddające się nigdy. W tej szczególnej rozgrywce przeciwstawiły się sobie dwa szalone ciała i każde starało się poprzez swe własne fantazje, znaleźć w drugim źródło własnej rozkoszy. Nie miłość dwojga, ale miłość jednego przeciw drugiemu. A jednak Nadia wydawała się szczęśliwa i zaspokojona. Odpoczywała

na ramieniu Alana z przymkniętymi oczami, z uśmiechem odprężenia na wargach. Nie ośmielał się ruszyć, by jej nie obudzić.

Zamigotało małe, białe światełko nakazujące zapiąć pasy. Falcon okrążył lotnisko. Alan dostrzegł pas wytyczony światłami, biegnący wzdłuż morza. Strzępy piany fosforyzowały gdy fale zamierały na plaży. Chciałby pozostać tak zawieszony między niebem i ziemią do końca swoich dni, nie nawiązując kontaktu z rzeczywistością i jej groźbami. Koła maszyny dotknęły ziemi.

- Przylecieliśmy? - zapytała Nadia.

Zapaliła górne światło, wyjęła lusterko z torby i sprawdziła makijaż.

- Jesteś wspaniała - powiedział Alan.

Nie dodał, że na jej gładkiej twarzy nie można było wyczytać niczego, co się między nimi zdarzyło. Zresztą, czy rzeczywiście coś się zdarzyło? Patrzył ukradkiem na jej wysokie kości policzkowe, zmysłową linię ust, łuk brwi. Wszystko było w tak doskonałym porządku na tej pięknej twarzy. Tylko, z tajemniczych powodów, urok już nie działał. Alan poczuł się wyzuty z wszelkiego uczucia, wszelkiego pożądanego.

Schodząc po trzech stopniach trapu, Nadia wykonała swój zwykły gest: w rękę pilota, który przyszedł się pożegnać, wetknęła zwitek banknotów.

Norbert spał w rollsie, a jego chrapanie mieszało się z muzyką pop płynącą z radia, które pozostawił włączone. Była piąta rano. Na wschodzie nieba pojawił się szeroki jasny pas.

Norbert podskoczył na trzaśnięcie drzwi, przechodząc natychmiast ze stanu uśpienia do zachowania w stylu doskonałego kierowcy.

- Do hotelu! Proszę pana?

- Do Beach - powiedziała Nadia.

- Pani chce wrócić do Palm Beach? Teraz? - wtrącił się Alan.

- To dobry moment. Zaczynają być nerwowi, zmęczeni, popełniają omyłki. Zobaczysz! Orzniemy ich na jakichś kilkanaście dalszych milionów dolarów!...

Pogrzebała w torebce, wyciągnęła z niej kłęb papierowych serwetek, które odwinęła z niesłychaną starannością.

- Popatrz Alan...

Rozróżnił jakąś czarniawą masę, która poplamiała papier na brunatno.

- Mój fetysz - rzuciła Nadia z przymrużeniem oka. - Z tym mogę się niczego nie obawiać!

Była zupełnie szalona. Pojedzie do Beach, zabierze swoje sztony, odbierze czek i zmyje się jak najszybciej. Zrozumiał to po tym, jak się kochali, nie zamieniwszy w samolocie ani słowa: nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

- Świeże serce szarego królika - wyjaśniła Nadia.

Alan odwrócił się, aby ukryć grymas wstrętu. Na wschodzie przezroczysty pas powiększał się coraz bardziej na tle ciemnego, czarnego nieba. Niedługo wstanie dzień. Kurtyna: dla niego święto się skończyło.

- Postawię dziesięć przeciw jednemu, że Hadad czeka na nas. Wie, że wrócę. Nikt dotąd nie rzucił mi wyzwania, którego bym nie podjęła!

Mów dalej, interesujesz mnie... Za pół godziny Alan będzie tkwił w swoim łóżku. To było dla niego zbyt skomplikowane, już miał swoją radochę! I do cholery z Bannisterem!

Rozdział 16.

Co takiego? Proszę powtórzyć?... Kabina nie miała wentylacji. Price - Lynch rozpedził ręką wypełniającą ją dym ze swego muratti. Poprzez szybę widział procesję sukni wieczorowych, smokingów, krostowatych twarzy spalonych przez słońce. Emily patrzyła na niego podejrzliwie, kiedy po raz drugi w ciągu godziny poprosił o pozwolenie umycia rąk. Abela Fischmayera słyszeć było źle, jego głos zagłuszały szумы i trzaski.

- Alan Pope jest tylko małym urzędniczyzną - panie Price - Lynch.
- Udzieliliśmy mu kredytu tylko przez pomyłkę! 1170400 dolarów!
- Jaką omyłkę, Abel!

Ham - Burger zobaczył ponownie Amerykanina rzucającego swe sztopy na sukno. To była prawdziwa odpowiedź na pytanie postawione swemu plenipotentowi. Ten mały bydlak grał przeciwko niemu pieniędzmi banku Burger. A więc jego pieniędzmi!

- Przelew został dokonany przez Hacketta. Pomyłka komputera. Dwa zera umieszczone za przecinkiem zostały przeniesione przed przecinek. Powinien otrzymać 11704 dolary. Nie mogłem dotychczas połączyć się z ludźmi Hacketta, aby dowiedzieć się, co to za suma. Biura są zamknięte...

Hamilton poczuł nagle czyjaś obecność i odwrócił głowę. Zza szyby przyglądała mu się uważnie Emily, spojrzeniem twardym i lodowatym. Była wściekle zazdrosna, nie dlatego, że go kochała, tylko dlatego, że nie znosiła, by ktoś będący nominalnie jej własnością mógł cokolwiek robić poza nią.

- Sekundę, Abel... Proszę się nie rozłączać!... Już była w kabinie, zanim ją poprosił by weszła.

- Z kim tym rozmawiasz?
- Fischmayer - powiedział Hamilton, przykrywając słuchawkę ręką.

- Naprawdę? Daj mi go, chcę mu coś powiedzieć...

Wyjęła mu słuchawkę z rąk, piorunując oczyma. Hamilton pozwolił sobie zadrwić z niej, przybierając minę winnego.

- Hallo!..

Po jej rozzłoszczonej minie wiedział, że rozpoznała głos jego plenipotenty.

- Jak leci, Abel?... Tak, tak...

Dusząc się dymem dostała gwałtownie ataku kaszlu. Otworzył drzwi kabiny. Wykonała gwałtowny gest nie pozwalając ich zamknąć.

- Tak, Abel, tak... Bardzo się cieszę, że pana słyszałam! Oddaję panu męża...

Wsadziła mu słuchawkę w rękę.

- Chcę wracać. Pośpiesz się, czekam! Prowadził ją wzrokiem, gdy nikła w tłumie.

- Czy pan tam ciągle jest, panie Price - Lynch?

- Tak, Abel.

- Natychmiast powiadamiam policję! Ham - Burger wzdrygnął się:

- Po co policję? Czy pan oszalał?!

- Ależ, proszę pana, trzeba wnieść skargę! Przelew jest rzeczywiście zarejestrowany! Niech pan pomyśli, że on może zacząć realizować czeki!

- Niech pan je wypłaca!

- Panie Price - Lynch, nie rozumiem? Chodzi o nasze pieniądze!

- Jeżeli ktoś jest za to odpowiedzialny, to właśnie pan, a nie on! Woli pan, aby sprawa nabrała rozgłosu? Aby opowiadano wszędzie, że Burger to burdel?!

- Ale 1170400 dolarów!

- To moja sprawa! Jeżeli zaczną spływać czeki, proszę płacić! Proszę powiedzieć Vlinsky'emu, aby zamknął konto i proszę nie ruszać palcem! Czekać na moje instrukcje, zrozumiano?!

- Dobrze, panie Price - Lynch.

- Ani słowa nikomu, słyszy pan?

- Dobrze, proszę pana.

- Doskonale, Abel, zadzwonię do pana jutro.

Twardo położył słuchawkę, wytarł czoło, zapalił od niedopałka następnego muratti. Przez chwilę stał nieruchomo w kabinie, powstrzymując chęć wydania okrzyku radości. Następnie wyszedł nie zamykając drzwi i skierował się do sali gry, gdzie oczekiwali inni. Dostrzegł możliwość wywinięcia się od klęski, przy odrobinie szczęścia...

Gdy kiwał głową na fizjonomistę, jego plan w ogólnych zarysach był gotów.

Rolls zatrzymał się przed podestem schodów.

- Palm Beach, proszę pana... - powiedział Norbert.

Było wpół do szóstej rano. A jednak chłopak od parkingu natychmiast pojawił się, by otworzyć drzwi po stronie Nadii. Wsiadła, przeciągnęła się i zwróciła twarz ku pierwszym promieniom słońca.

- Jestem jedną z nielicznych osób na świecie oglądających codziennie wschód i zachód słońca. - Ujęła z roztargnieniem rękę Alana: - Oczywiście śpię, kiedy inni pracują. Idziesz?

Noc nie wyrządziła jej żadnej szkody, żaden cień nie mącił jej przezroczystych fiołkowych oczu.

- Chcę wracać do hotelu - usprawiedliwiał się Alan. Norbert oddalił się na kilka kroków, by stłumić dyskretne ziewanie.

Jak wszyscy na Lazurowym Wybrzeżu znał Nadię Fischler i żałował, że położyła łapę na jego chwilowym pryncypale. Ten Pope był raczej sympatyczny, ze swymi pozami osoby niepoinformowanej. Bardzo często klienci popisywali się pretensjami nie do przyjęcia, wyniosłością, tak jakby płacąc za prawo sadzania swojej dupy w rollsie nabywali prawa do chamstwa. Niestety przez tą Fischler Pope obudzi się w samych kalesonach, oskubany do nitki.

- Alan? Żartujesz?! - wykrzyknęła Nadia.

- Jestem wykończony - powiedział Alan.

- Nie zostawisz mnie, kiedy sprawy przybrały tak pasjonujący obrót! Norbert!

- Słucham panią?

- Proszę odstawić samochód. Wracamy!

Wsadziła mu do ręki resztę pieniędzy, które miała w torebce. Norbert schował je.

- Doskonale, proszę pani.

Schwyciła za ramię Alana i pociągnęła do hallu kasyna.

- Gramy trzy razy! Stawiamy wszystko na jedną kartę! Banco! trzeba wykorzystać szansę!

Przeszli przed brygadą kontrolerów i fizjonomistów: czy ci ludzie nigdy nie sypiali?

Sala była ciągle oświetlona a giorno, mimo że wszystkie stoły były już zakryte z wyjątkiem jednego, na lewo w głębi, przy którym każde krzesło było zajęte przez gracza. Zgodnie z instrukcjami Houdina zasłony były zapuszczone, dopóki nie wyszedł ostatni klient, nawet jeżeli było to południe. W ten sposób przedłużono sztucznie noc, najlepszą porę dla marzeń, dla poetów i szaleńców. Nadia

pociągnęła Alana aż do kasy. Bledszy niż zwykle Giovanni Ferrero podniósł pytająco brwi:

- To jest napad, Giovanni! Forsa na stół - rzuciła z humorem.

- Wszystko?

- No jasne! Rozwalę ten twój cholerny bank! Ożywiona nagle, wesoła, uwodzicielska, pełna żaru z płonącymi policzkami i błyszczącymi oczyma, zapytała: - Alan, chcesz kawy?

Ferrero popchnął w ich kierunku okazały stos sztonów.

- Pobrałem należność za samolot: 70000 franków. Czy możecie oboje podpisać mi czek?

- Ja podpisuję! - rzuciła Nadia, podpisując prostokąt różowego papieru.

Ferrero oddalił się w głąb biura w niejasnych interesach. Wiedział, że ten biedny typek już się od niej nie uwolni. Będzie grać i wszystko przegra. Ferrero czuł się chory za niego. Jeżeli dobra wróżka jemu dałaby szansę w postaci kapitału 1200 tysięcy franków strzeliłby po prostu Nadii w łeb bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Chodź!

Z rękami pełnymi sztonów ruszyła do stołu chemin de fer. Jeszcze do niego nie doszła, nie wiedziała nawet o jaką sumę chodzi, a już z rozdętymi nozdrzami krzyczała:

- Banco! - Banco przyjęte! - rzucił krupier jak echo... - Panowie, dwa miliony franków w banku! Alan poczuł, jakby ktoś go wyrzwał w splot słoneczny. Jak rażony gromem stał między kasą a stołem. Nadia już odrzucała karty podane przez krupiera.

- Szóstka na stole!

Księżę Hadad wolno odsłonił swoje karty.

Od piątej po południu bar Romano's pustoszał. O siódmej na miejscu pozostawało już tylko kilku zapóźnionych pijaków. O ósmej Tom zamykał. Teraz obserwował ukradkiem Samuela Bannistera i jakiegoś typka, którego nie znał. Siedzieli na ławeczce przy stole w głębi sali. Facet był solidnie zbudowany, z gębą pastora, stalowymi szarymi włosami i okularami bez oprawki. Nazywał się Cornelius Grant, był adwokatem z zawodu i kiedyś wycierał portki w tej samej szkole co Bannister, który zawsze konsultował z nim dyskretnie rozmaite zawodowe zagwozдки. Teraz jednak chodziło bardziej o sprawę sumienia.

- Nie twierdzę, Cornelius, że taki przypadek zaistniał, proszę cię tylko, abyś o tym pomyślał tak, jakby...

- Przedstaw jeszcze raz ten pasztet.

- Proszę. Załóżmy, że wskutek jakiejś pomyłki facet, który o nic nie prosił, dostaje czek z dużego banku...

- Na przykład od Hacketta? - zasugerował Grant, nie dając po sobie poznać, że coś kapuje.

Samuel szybko podniósł na niego wzrok: Cornelius nawet na niego nie patrzył.

- Załóżmy, jeżeli chcesz, że Hackett...

- Czek na ile?

- Dużo. Coś koło miliona dolarów albo więcej.

- Z jakiego powodu?

- Mówię, że bez powodu, przez pomyłkę! Grant przyjrzał mu się podekscytowany.

- A gdybyś przestał się bawić w kotka i myszkę, Sammy? Nie posyła się czeku za nic!

- Dobrze, zgoda. Załóż na przykład, że kogoś wylano z pracy. Wypłaca mu się odprawę. Są mu winni 10 dolarów, a on dostaje 100. Ktoś rąbnął się o dwa zera. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Bardzo dobrze. No i co?

- Facet ma ten czek w ręku. Co powinien zrobić?

- Nie dotykać go nawet w rękawiczkach. Zwrócić go!

- Nie może go zrealizować?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo ryzykuje poważne kłopoty.

- Tom, jeszcze dwa - rzucił Bannister, opróżniając resztki z kieliszka.

Przygryzał wargi przygnębiony. Od telefonu Alana gryzły go wyrzuty sumienia i zadawał sobie pytanie, czy to nie przez swą własną niechęć wpędził przyjaciela w sytuację bez wyjścia. Po kilkunastu godzinach jego plan wydał mu się nędzny i niespójny.

- Krótko mówiąc - podjął Cornelius - pytasz mnie, czy jest oszustwem wykorzystywanie pomyłki, której się nie sprowokowało?

- Dokładnie tak!

Tom postawił na stole dwa kieliszki patrząc ostentacyjnie na zegarek.

- Sammy, mówiąc między nami - powiedział Cornelius - to ty dostałeś ten czek?

- Nie.

- To już lepiej.

- Ale gdzie tkwi błąd? Przecież to nie ten facet popełnił pomyłkę!

- Być może, ale wiedział, że to pomyłka. Wystękał wreszcie: komu to się zdarzyło?!

- Koledze - wyrzucił z siebie Samuel z głębokim westchnieniem.

- Podjął pieniądze!?

- Nie musiał się nawet facygować. Otrzymał ze swego banku polecenie przelewu! Forsa znalazła się na jego koncie, kapujesz?!

- Podjął coś?

Bannister wiercił się coraz bardziej zaniepokojony.

- Tak.

- Oj, wiesz, co bym mu powiedział, gdyby to był mój kolega? Zwróc forszę!

- A jeżeli on już ją przepuścił?

- To jeszcze najmniejsze zło. Mógłby tłumaczyć się roztargnieniem... Nie rób sobie złudzeń, Sammy, wcześniej czy później skarga wpłynie. Nawet za milion dolarów nie poszedłbym na takie ryzyko.

Tom gwałtownie postawił kilka stołków. Bannister rzucił na stół pomięte dziesięć dolarów. Grant i on byli przyjaciółmi od dzieciństwa, a jednak nie miał odwagi wyznać, że to on był inspiratorem całej operacji. Corelius podniósł się, uderzył go po ramieniu.

- Nie łam sobie za bardzo głowy. Nic nie wskazuje, że z prawnego punktu widzenia mam rację. Poza wszystkim, ten ktoś popełnia pomyłkę, ponosi konsekwencje.

Ale Samuel nie słuchał go: jedyną myślą było natychmiast uprzedzić Alana. Niech rzuca wszystko w diabły!

Alan musiał usiąść, tak trzęsły się pod nim nogi. Złoczone krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem. Był oddalony o około dziesięć metrów od stołu chemin de fer. Za blisko, by nie słyszeć okrzyków, za daleko by obserwować mimikę. Nadia właśnie straciła dwa miliony franków na rzecz księcia Hadada. Wbrew sobie samemu podniósł się porażony horrorem, którego był świadkiem zarazem i ofiarą. W końcu zbliżył się do stołu, wokół którego wyczuwało się niemal prądy

elektryczne. Z lekkim uśmiechem rozbawienia na ustach Hadad postawił wygrane u Nadii dwa miliony.

Patrzył na nią drapieżnym okiem kota czatującego na mysz. Nie mrugnęła nawet.

- Dwa miliony w banku - powiedział krupier. Panowie, faites vos jeux!

Cisza niemal kościelna... A później napięty i chłodny głos Nadii:

- Banco!

Krupier obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem i oznajmił:

- Banco przyjęte! Proszę o karty...

Ale książę siedział z dłońmi płasko ułożonymi na padolku. Nie zrobił najmniejszego gestu, aby je podać...

- Pani... - przyglądał się uważnie Nadii.

Doskonale wiedziała, że musiano go „oświecić”, uzmysławiając wysokość sumy stawianej w grze. A przecież ona miała przed sobą zaledwie 400 tysięcy franków.

- Chwileczkę - powiedziała.

Utkwiła swoje fioletowe oczy w oczach Alana i rzuciła mu głuchym i niskim głosem:

- Nie pozwól, żeby ten typ mnie upokarzał! Wiem, że masz kredyt w kasie na pół miliona dolarów! Idź po pieniądze!

Niezdolny do wydania najmniejszego dźwięku Alan potrząsnął głową od prawej do lewej. Dostrzegł z przerażeniem, że wszystkie spojrzenia były wycelowane w niego w ciszy, którą można było kroić nożem.

- Idź! - powtórzyła Nadia.

Książę bębnił niecierpliwie palcami po suknie tak, aby widziano to ze wszystkich stron stołu.

- Zwrócę ci je zaraz! Nic nie ryzykujesz! Idź! Odwróciła się do księcia arogancko mierząc go wzrokiem.

- Sekundę...

Wbiła palce w ramię Alana i popchnęła go do kasy.

- Giovanni! Dawaj wszystko, co on ma! Ferrero rzucił na Alana pytające spojrzenie.

- Rób, co ci mówię! - rozkazała Nadia. - On się zgadza! Następne nieme pytanie kasjera.

- Dziękuję! - powiedziała Nadia do Alana, który stał nieruchomo z otwartymi ustami. - Giovanni!

Ferrero westchnął i rozłożył sztony na kontuarze. Nadia złapała je nie zwracając już uwagi na Alana i drobnymi twardymi krokami wróciła do stołu. Ferrero odwrócił się tyłem do Alana, który podszedł do najbliższego krzesła i ciężko usiadł. Na próżno łapał powietrze. Dusił się. Przeklinał swoją słabość. Przez szarą watę usłyszał wypowiedziane głośno słowa: „Karty"! Sparaliżowany niepokojem, zamknął oczy i pod adresem nieba zanosił milczące modły. Odepchnął od siebie nacierający na niego obraz Bannistera: jeżeli nieszczęsny Sammy uczestniczyłby w tym, co się zdarzyło, padłby trupem na miejscu.

Księżna de Saran wystawiała się na słońce wyłącznie rano i to z ciałem chronionym przez przezroczyste woale. Od otwarcia Palm Beach kierowca zostawiał ją przed wejściem na basen z widokiem na morze. Na sezon rezerwowała jedną z prywatnych kabin - było ich najwyżej dwadzieścia - które unosiły się nad plażą i chroniła zajmujących je przed niedyskretnymi spojrzeniami innych plażowiczów. W kabinach można było robić wszystko: jeść, pić, chodzić kompletnie nago, brać prysznic, kochać się lub odbywać sjęstę.

Jej małżonek, książę de Saran, zwykle przyłączał się do niej dopiero koło południa. Wcześniej rano pomieszczenie to należało niepodzielnie do niej. Ratownicy rozstawiali polowe łóżka, które w kilka godzin później klienci będą sobie wrywać wysokimi napiwkami. Mandy wypróbowała kilku takich atletów. Ich wyczyny nie były na miarę atletycznej muskulatury. Na jej gust byli zbyt zdrowi, opaleni i silni, zbyt prości i silni w swych uściskach, pozbawieni wyobraźni.

Machając torbą plażową, z twarzą ocienioną ogromnym kapeluszem z czarnej słomki, z oczyma ukrytymi za czarnymi okularami, z białymi woalami opływającymi jej szczupłe ciało pokryte delikatną skórą, wyłoniła się z podziemnego przejścia i przeszła wzdłuż baru, udając się do swojej kabiny.

Wtedy właśnie zobaczyła młodego człowieka wychodzącego z pustej restauracji dzielącej basen od sali gry. Miał zmęczoną twarz, widoczny zarost, mrugał oczyma w zbyt ostrym świetle stojącego już wysoko słońca. Zatrzymała się zafascynowana. Facet wprost cuchnął nocą. Prawdopodobnie jakiś wariat, wyłaniający się z zakamarków bezsenności. Wyglądał na wykończonego. Twarz miał szarą.

- Proszę pana...

Alan rozejrzał się, chcąc zobaczyć czy ktoś rzeczywiście się zwraca do niego. Zataczał się ze zmęczenia, rozpaczliwie próbując uświadomić sobie, w jaki sposób Nadia nie tylko zdołała stracić pieniądze wygrane poprzedniego dnia, ale co ważniejsze - przekonać go, by pożyczył jej 200 tysięcy dolarów w czekach podróźnych, złożonych w skarbcu Majesticu. Nie mówiąc już o jego półmilionowym kredycie, który ulotnił się w czasie jednego banco. Powiedziała prawdę tylko w jednym: „Zagram trzy partyjki, tylko trzy partyjki” Trzy przegrane partie skazały ją na śmierć.

- Czy może pan mi oddać przysługę?

Patrzył na nią nie odpowiadając. Kołysał rękami, skrecony z niepokoju, oślepiiony słońcem. Wewnątrz kasyna partia trwała nadal. Nadia nawet nie zauważyła, gdy wychodził. Przechodząc przez hall dostrzegł poprzez na wpół uchyloną zasłonę lśnienie zielonej i połyskującej wody. Wyśliznął się przez szparę balkonowych drzwi, przeciął olbrzymią salę, gdzie odbywały się przyjęcia w dni deszczowe lub kiedy wiał mistral. Po jego prawej znajdowała się duża estrada, na której spoczywały instrumenty muzyczne. Po lewej skąpana w słońcu sala wypełniona stołami i setkami krzeseł. Przed nim znajdował się basen. Dalej morze i niebo pionowo poprzecinane masztami statków. I ta duża, blada kobieta bez twarzy, spowita w przezroczyste woale.

- Proszę iść za mną, to niedaleko.

Szedł jej śladem ogłupiały ze zmęczenia, niezdolny myśleć. Jedyne czego pragnął, to pogrążyć się w świeżej wodzie, ukryć się w niej, dać się ponieść w nieskończoność, obmyć się w niej, zatopić. Machinalnie obserwował taneczny, lekki krok nieznajomej.

- To tutaj...

Wszedł do kabiny bez dachu o ścianach ze słomianych mat. Dwa składane łóżka, stół, dwa krzesła, prysznic, parasol. Mandy postawiła plażową torbę na ziemi, przykucnęła i wyjęła buteleczkę z olejkim do opalania. Alan obserwował, co robiła, niejasno zaintrygowany. Widział, jak zrzuca przez głowę swoje woale i dostrzegł ze zdumieniem, że jej ciało pokryte jest błękitnymi siniakami. Podchwyciła jego spojrzenie, ale nie uznała za stosowane, aby wytłumaczyć mu, że chodzi o pamiątki pozostawione na jej ciele przez ślusarza. Podała mu flakon. Wziął go. Położyła się na brzuchu

na łóżku, rozpięła staniczek i zsunęła slipy wzdłuż ud, nie zdejmując ani kapelusza, ani okularów. Nie znał jej imienia. Dotąd nawet nie otworzył ust. Ograniczył się do stwierdzenia, że jest naga. Nie myślał o niczym więcej.

- Proszę poleć mi plecy oliwą.

Otworzył flakon, pochylając go tak niezręcznie, że połowa rozlała się w zagłębieniach łędźwi.

- Proszę mnie pomasować...

Zaczął ugniatać jej skórę czubkami palców, by rozprowadzić oliwę.

- Mocniej.

Lepkimi rękami spróbował odruchowo poluzować węzeł krawata. Koszula natychmiast nasiąkała tłuszczem.

- Mocniej! Niech pan się nie boi, że mi zrobi krzywdę! Unosiła się teraz, skręcała, czepiała oparcia łóżka wydając głuchy, przeciągły jęk, jak wycie zwierzęcia. Z głębi swojego zmęczenia Alan czuł jak narasta w nim wrzący strumień. Ręce ślizgały mu się wzdłuż jej pośladków lepkich od brunatnego oleju. Odwróciła się nagle, usiadła z rozsuniętymi nogami, wciągając brzuch, wyjęła mu z rąk flakonik i wylała resztę oleju w wycięcie jego koszuli. Przycisnęła mu mocno głowę do brzucha i zaczęła odslaniać jego ciało. Długa dłoń o nerwowych palcach wędrowała tam i z powrotem po najbardziej intymnych zakamarkach jego skóry.

Alan wlepił spojrzenie prosto w słońce. Nagle wszystko pociemniało. Dysząc opadł na łóżko, bez cienia myśli. Zdjął z haka suszące się majteczki kąpielowe, zerwał ubranie całkowicie poplamione olejkiem, założył slipy i nie patrząc na nią wybiegł z kabiny. Biegł jak szalony w dół, po drewnianych schodach. Przebiegł wzdłuż boisk koszykówki, rozkoszując się zwierzęcym uczuciem jakiego dostarczał mu kontakt jego bosych stóp z palącym piaskiem. Wpadł do morza jak bomba i zniknął.

Rozdział 17.

Samuel Bannister nie mógł spać. O trzeciej nad ranem wciąż siedział załamany w fotelu, dręczony wyrzutami sumienia i niepewnością. Po spotkaniu z Corneliusem Grantem był pewien, że sprawy skończą się źle. Uraza, jaką miał do Hacketta, spowodowała, że posłał na szafot swego przyjaciela. Nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky - już piątą - wciąż próbując w myślach odpowiedzieć sobie na to samo pytanie: jak zρέcznie wycofać się z tego szamba? Jak cofnąć bieg czasu? Może pożyczając pieniądze mógłby ograniczyć szkody? Pokryć wydatki już poniesione? Pójść do Murraya próbując go namówić, by nie wnosił skargi?

- Samuel...

Bannister drgnął tak, że wylał połowę whisky na kolana. Głos Christel był tak słodki... Alarm: Od tego wieczoru, kiedy ją posłał do diabła, nie zamienili nawet dwóch zdań:

On:

- Odchodzę od ciebie. Ona:

- Idź do diabła!

Spał w gościnnym pokoju pozostawiając jej małżeńskie łóże. Nie próbowała nawet zadać mu najprostszego pytania. Jedli wspólne kolacje nie otwierając ust w innym celu niż spożywanie przygotowanych przez nią dań.

Usiadła z wahaniem w fotelu stojącym naprzeciw fotela męża. W innych okolicznościach wściekłaby się nie widząc go w łózkę o trzeciej nad ranem. Teraz ograniczyła się do powtarzania jego imienia.

- Samuel...

- Tak?

- Od ilu lat jesteśmy małżeństwem?

- Już nie wiem... Dwadzieścia pięć?... Dwadzieścia sześć?...

- Dwadzieścia pięć. Chciałam ci powiedzieć... - Zagryzła wargi i wymamrotała nie patrząc na niego: - Przykro mi bardzo za ten wieczór... bardzo mi przykro... Martwiłeś się Alanem... byłam zdenerwowana...

Rzucił jej ostre spojrzenie chcąc zgadnąć, czy ten niezwykły ton kryje w sobie pułapki, nie prowadzi znów do kłótni.

- Och, to nieważne...

- Ależ tak, tak, myliłam się! Powinnam ci pomóc, podtrzymać cię!... zamiast tego...

- Nieważne, Christel, nie mówmy o tym więcej... Teraz on zaczynał topnieć.

- Nie chce ci się spać?

- Nie. Rozmyślałam.

- Ciągłe chcesz odejść?

- Tak.

Przysiągł Alanowi, że do niego dołączy. Nie tylko tego nie uczyni, ale będzie się starał ściągnąć go z powrotem. Mogliby sobie wyobrazić, że ta ich niesłychana przygoda miała miejsce tylko w wyobraźni.

- Wylano go, rozumiesz...

- Rozumiem.

I wówczas, w najnaturalniejszy sposób na ziemi usłyszał siebie mówiącego coś, czego nigdy nie chciał jej powiedzieć:

- Musisz wiedzieć, Christel, że mnie też Hackett wyrzucił na bruk...

Alan wyszedł z wody, zrobił kilka kroków po piasku, pociągnął za łańcuszek uruchamiający prysznic. Ostry, lodowaty strumień odebrał mu oddech. Zmusi się, by pozostać pod nim przez długie minuty. Popłynął w morze bardzo daleko, woda wygnała z niego miazmaty nocy. Na nieszczęście miał teraz dostatecznie jasny umysł, aby zrozumieć w jakie tarapaty się wpakował.

Jak oznajmić o tej kłęsce Bannisterowi? Zadrżał, dostrzegł chłopca kąpielowego i poprosił o kabinę.

- To niemożliwe, proszę pana, wszystkie są zajęte. Alan popatrzył na niego nieufnie.

- Jest dopiero dziesiąta. Klientów jeszcze nie ma - tłumaczył boy.

- Rezerwują je z roku na rok. Czy chce pan, abym ustawił panu łóżko przy basenie?

Nie chciał wracać do hotelu. Sztuczna noc jego pokoju zbyt przypominałaby mu ostatnie przeżyte godziny. Najpierw trochę podrzemie na słońcu, później rozważy, czy powinien iść na policję. Wobec różnicy czasu nie mógł skontaktować się z Sammym przed czwartą po południu. Zdecydował przyznać sobie tych parę godzin odroczenia. Dokuczały mu oczy zaczerwienione od bezsenności i soli. Zagłębił się w podziemiach kryjących szatnie.

W kasie, gdzie królowała młoda blondynka, wybrał z gabloty parę ciemnych okularów i jasnogranatowe spodenki kąpielowe.

- Jaki jest numer pańskiej kabiny?

- Nie mam kabiny.

Wyglądała na zakłopotaną:

- To nic, zapłaci mi pan wychodząc: 280 franków.

- Proszę posłuchać... - zaczął, chcąc ukryć zmieszanie; tyle stracił w kasynie, że podświadomie nie chciał płacić za swoje okulary! - Nazywam się Alan Pope. Mój kierowca przyjdzie uregulować.

Wyszedł ponownie na światło słoneczne. W kieszeni spodni pozostało mu kilka banknotów, jednak wraz z resztą ubrania, poplamionego olejkiem, wciąż leżały w kabinie histeryczki, która go przed chwilą zgwałciła. Wolał raczej zrezygnować z pieniędzy, niż spotkać się z nią jeszcze raz. Ale uczciwość nakazywała mu zwrócić pożyczone spodenki kąpielowe. Wrócił do szatni, zdjął mokre, włożył świeżo kupione i wrócił nad basen.

- Pańskie łóżko, proszę pana.

Chłopak podał mu ręcznik.

- Czy mam ustawić parasol?

- Nie, dziękuję, nie... Chwileczkę, na parkingu stoi samochód. Czy może pan powiedzieć szoferowi, aby do mnie przyszedł?

- Oczywiście! Jaka marka!

- Białe rolls z podnoszonym dachem - powiedział z zażenowaniem. - Szofer nazywa się Norbert.

- Już idę!

- Czy mogę poprosić o mocną kawę i coś do zjedzenia?

- Oczywiście! Na co miałby pan ochotę?

- Jajka, szynka, trochę czerwonego wina...

- Już się robi!

Wziął mokre spodenki i skierował się w kierunku kabin: wszystkie były podobne do siebie. Pamiętał, że nad każdą wznosił się maszt, na którym powiewały sztandary różnych narodów. O ile dobrze pamiętał, nad jej kabiną powiewał biały krzyż na czerwonym tle, flaga Szwajcarii. Podszedł po cichutku, rzucił spodenki ponad ogrodzeniem z siatki i wrócił biegiem na swoje łóżko.

Książę Hadad wynajmował przez cały rok w Majesticu trzy apartamenty, zaś w sezonie osiemnaście, rozsianych po wszystkich piętrach w taki sposób, ażeby nie kontaktowali się ze sobą przedstawiciele różnych grup społecznych, których stawiały mu na drodze interesy lub własna fantazja. To była delikatna robota jego

prywatnego sekretarza Khalila. Był już w życiu naganiaczem w burdelu, osobistym doradcą, ambasadorem nadzwyczajnym, ale jego głównym obowiązkiem było zawsze odgadywanie życzeń swego pana, zanim ten zdołał je wyrazić. Należało je przewidzieć i tak pokierować biegiem spraw, by przewidywania materializowały się zgodnie z kaprysem księcia. Pięć apartamentów na czwartym piętrze zarezerwowano dla przelotnych gości. Nazywając rzecz po imieniu były to luksusowe prostytutki, cenione niemal na wagę złota. Swoją klasą, wszechstronnym wykształceniem i dyskrecją mogłyby wiele nauczyć każdą małżonkę pełnomocnego ministra. Płacono im wyłącznie za to, by przebywały w apartamentach i czekały. Hadad, który czasami aż do południa zasiadywał się w kasynie, miewał przed snem nagłe zachcianki.

Piąte piętro było zarezerwowane dla ostatniej z jego legalnych żon, trójki dzieci oraz stada nianiek i nauczycieli. Na siódmym były apartamenty księcia, Khalila i jego prywatnego fryzjera Gonzalesa. Gonzales tkwił na posterunku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyrafinowany smakosz miał prawo podpisywać rachunki nieograniczonej wysokości. Spędzał dni na opalaniu się, jedzeniu, delektowaniu się najlepszymi winami, oglądaniu telewizji, czesaniu księżniczki Aiszy, rozśmieszaniu dzieci małżonki księcia, polerowaniu paznokci Khalilowi lub czesaniu którejś z prostytutek, jeżeli była dla niego szczególnie sympatyczna. Hadad był leniem i obawiał się przykrych doświadczeń, więc często prosił Khalila, by je wypróbował; sekretarz nigdy sobie tego nie odmawiał.

Wszystkie przywileje, z których korzystał Khalil, miały swoje strony negatywne. Książę nie tolerował, by którykolwiek z jego ludzi nie był do jego dyspozycji w momencie powrotu z kasyna. Khalil popatrzył na zegarek: dziewiąta rano. Stłumił ziewanie i zwrócił się do czterech dziwek drzemających na tapczanie:

- Byłoby lepiej, abyście były gotowe. Książę wkrótce może nadejść.

Przyznał już punkty trzem spośród nich: Finka - 12, Niemka - 13, Francuzka - 14. Był obowiązkowy, ale nie przetestował czwartej. Jakiej była narodowości? Nie mógł odgadnąć, zmieszało się w niej bowiem tyle różnych ras. Nazywała się Karina.

- Karina!... Wstawaj! Słyszałaś, co powiedziałem? Była bardzo wysoką blondynką, szczupłą, ubraną w nadzwyczajny

kostium z białego lnu. Uśmiechnęła się do niego i przeciągnęła leniwie, obnażając tym gestem czubki piersi. Khalil przyglądał się jej z zainteresowaniem.

- Padasz na pysk?

- Trochę.

- Masz... Rzucił jej zwitek banknotów. Schyliła się, pozbiierała je, oblizwała wargi i zrobiła taką minę, jakby chciała je zjeść.

- Mmm... smaczne!

- Zjadłabyś je?

- Jeszcze jak?... - powiedziała Karina.

- Zakład? - rzucił jej Khalil.

- Zakład: ale o co?

- Co o tym myślicie? - zapytał Khalil inne dziewczyny.

- Za każdy, który zje dasz jej drugi! - zaproponowała Francuzka.

- Ale tylko duże banknoty - wtrąciła się Niemka.

- Po 500 franków - przerwała Karina. Khalil wyjął okazały pakiet z kieszeni; podobnie jak dla Hadadanie miały one dla niego żadnego znaczenia. Dobrze udeptując można było wydawanymi każdego dnia wypełnić basen o rozmiarach olimpijskich.

- Zaczynamy!

- Zgoda - powiedziała Karina - jestem gotowa. Finka klasnęła w dłonie: fantastyczna gra!

- Wsuwaj! - rozkazał Khalil, podając pierwszy banknot. Karina śmiejąc się złapała go, zwinęła w kulkę i pochłonęła.

- I już!

- Dobrze?

- Wspaniale! jeszcze!...

Otworzyła szeroko torebkę, by zmieścić jak najwięcej owoców swojej pracy. Przy dziesiątym banknocie Karina lekko zmodyfikowała swoją technikę: zaczęła przeżuwać. Przy piętnastym jej twarz zzieleniała, ale zebrała się i przełknęła. Teraz każdy pochłonięty banknot popijała łykiem szampana. Czoło jej pokryło się potem.

- Dwadzieścia! - wykrzyknęła Niemka. Z błyskiem dumy w oku Karina zwinęła banknot, napełniła usta szampanem i odchylając głowę włożyła kulkę.

- Dwadzieścia jeden!

Przy dwudziestym piątym z zaciśniętymi wargami pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Khalil wzruszył ramionami.

- Kiedy mówię, że pieniądze nie przynoszą szczęścia, nikt mi nie chce wierzyć.

- Pan mnie wzywał, proszę pana?

- Tak, Norbercie - powiedział Alan otwierając oczy. - Mam pewne kłopoty z ubraniem... Jakiś facet oblał mnie keczupem...

- Czy mam pójść do hotelu i przynieść coś do przebrania?

- To bardzo miło z twojej strony... Spodnie, koszulę, buty...

Wystarczy otworzyć szafę.

- Coś jeszcze, proszę pana?

- Wyszedłem bez pieniędzy. Może pan poprosi o trochę gotówki w recepcji. Na rachunek.

- Ile proszę pana?

- Tysiąc franków.

Norbert wyjął z kieszeni dwa banknoty pięćsetfrankowe.

- Jeżeli pan pozwoli...

Zdumiony Alan zawahał się z ich przyjęciem.

- Może potrzeba panu więcej? - zapytał Norbert nieznacznie sięgając do kieszeni.

- Nie, nie, dziękuję, to wystarczy!

- Doskonale, proszę pana. Będę za chwilę.

Uśmiechnął się, nałożył czapkę i odwrócił. Poprzedniego dnia, późnym wieczorem, od szoferów dwóch pozostałych rollsów wygrał 3 tysiące franków.

I w przeciwieństwie do swego chlebodawcy nie był na tyle stuknięty, by dać się oskubać przez Nadię Fischler.

Alan patrzył za nim zamyślony. Zostało mu wszystkiego dwadzieścia tysięcy dolarów; Sammy zmusił go, by zabrał je „na drobne wydatki”. Gdzie indziej i w innych czasach byłyby to ogromne pieniądze. W Cannes ledwie wystarczyło na całodzienne napiwki!

Ustawiony na czatach kuchcik wbiegł do kuchni:

- Wychodzi!

Na wpół uśpiona brygada zerwała się na nogi. Mario poprawił muszkę i pośpieszył do sali gry. Była dziesiąta rano. Z daleka dostrzegł księcia, który skinął mu ręką. Po każdej zakończonej partii powtarzał się ten sam rytuał: Hadad był głodny, ale przez dziwny kaprys jadał wyłącznie dania przygotowane w Palm Beach. Co noc czterech ludzi zostawało w kuchni, by je przygotowywać. Bezsenne noce zupełnie się nie liczyły. Sezon trwał tylko trzy miesiące, rok

liczy ich dwanaście, a napiwkami, które pozostawiał Hadad, spędzali je wygodnie.

- Książę?

- Co pan proponuje?

- Ryba czy mięso?

- Ryba. Z rusztu, po prostu ryba z rusztu. I naleśniki.

Mario pogratulował sobie w myślach: książę nie miał ochoty na suflet.

- Owoce?

- Może być. Chciałbym za kwadrans zasiąść do stołu.

- Oczywiście!

Mario przebiegł przez pustą salę, wpadł do kuchni i wydał polecenie. Wszyscy wzięli się do pracy. Przed wejściem dla służby już czekała furgonetka, do której za chwilę załadowano posiłek i gorący przewożono do Majesticu. Oczywiście Gil Houdin nie wystawiał rachunku. Dla najważniejszych klientów wszystko było za darmo. Żądać tysiąca franków od człowieka, który zaczynał w lipcu sezon z czterema milionami dolarów - jakież to małosłowne!

Hadad nie interesował się zresztą tego rodzaju szczegółami. Mario, który przynosił mu posiłek do apartamentu regularnie otrzymywał po 10 tysięcy franków. Maitre d'hotel dzielił się nimi skrupulatnie ze swymi współpracownikami, według skomplikowanej tabeli, biorąc pod uwagę hierarchię i wysługę lat każdego z pracowników. Mario, podobnie jak sam książę, nigdy nie wiedział, ilu gości czekało na ten powrót, więc posiłek przygotowywano na dwanaście osób...

Hadad był w dobrym humorze. W trzech „banco” rozprawił się z Nadią Fischler do ostatniego grosza. Ubiegłego roku Khalil został wysłany do niej z propozycją, by raczyła przespać się z księciem, ale ku ogromnemu zdumieniu obydwu odmówiła! Książę wiedział jednak, że ochota kobiety zależy tylko od wysokości sumy. Urażony przysiągł sobie, że zdobędzie ją inaczej. Zajrzał na basen. Nic nie sprawiało mu większej radości niż widok baraszkujących w czystej wodzie trójki dzieci jego ostatniej małżonki. Dzieciaki dostrzegły go i przybiegły wydając okrzyki radości.

- Tato - powiedział najstarszy - zrób nam okręciki!

Hadad z uśmiechem poszperał w kieszeniach. W ciągu tych dziesięciu minut nic dla niego nie było słodsze niż uszczęśliwić swoją progeniturę. Później będzie odpoczywać, kochać się, jeść...

Alan stopniowo opróżniając płuca pozwalał ciału bezwładnie opadać na dno basenu. Mając trzy metry wody nad głową, położył się na dnie z błękitnej ceramiki i starał się wytrzymać tak długo, jak to było tylko możliwe.

Potem dyszał gwałtownie trzymając się brzegu basenu. Z zamkniętymi oczami, słysząc obok siebie dziecinne śmiechy, poczuł kawałki papieru ocierające się nieprzyjemnie o jego twarz. Odsunął je ręką. Śmiechy wzmogły się, więc otworzył oczy. Powierzchnia basenu pokryta była papierowymi okręcikami, które trójka dzieci - najstarsze miało zaledwie dziesięć lat - starała się zatopić wywołując fale. Wokół basenu zgromadziło się kilka nianiek i księżę Hadad. Jeden z małych okręcików trącił Alana w nos. Alan odepchnął go, rzucił odruchowo wzrokiem i zauważył dopiero wówczas, że podobnie jak reszta flotylli był wykonany z banknotu 500 - frankowego!

- Ahmed! - powiedział głośno księżę Hadad. - Przepróż pana. Bardzo mi przykro!

Alan z trudem wspiął się na brzeg basenu, potrząsnął głową i pośliznął się. Hadad złapał go najpierw za rękę, potem za ramiona. Ta scena w oczach widzów wyglądała na długi, serdeczny uścisk.

- Brawa dla pana za zwycięskie banco!... - powiedział księżę rozpoznając Alana.

Ciągle nie wypuszczał jego ręki.

- Niestety - udawał, że jest mu przykro - wygrałem drugą rundę. Odebrałem wszystko pańskiej partnerce.

- To tylko gra - powiedział Alan, jakby był starym wyjadaczem zielonego sukna.

- Nazywam się Hadad. Księżę Hadad.

- Alan Pope.

- Bardzo mi miło. Będę szczęśliwy proponując panu rewanż. Alan przypomniał sobie zdanie Samuela: „Zachowuj się zawsze tak, jakbyś był bogaczem”.

- Dziękuję - powiedział. - Czemu nie?!

Jeszcze raz uściśnieli sobie ręce. Alan skierował się do swego łóżka nie patrząc nawet na sąsiadującą zaledwie o parę metrów dalej blondynkę, odpychającą czubkiem dużego palca u nogi na głęboką

wodę okręciak - banknot, który wiatr pchnął w jego kierunku. Książę Hadad zerknął na opływową linię jej białych nóg. Siedziała na brzegu basenu mącąc stopami wodę. Twarz podniosła ku słońcu ofiarowując samą siebie. Hadad doznał szoku: Marylin! Oglądał jej wszystkie filmy po dziesięć razy, kazał je sobie wyświetlać w sali, w której rolę ekranu pełnił sufit, a gospodarz i jego goście leżeli na łożu o wymiarach cztery metry na cztery. Marylin wypełniała jego noce. Była tu! Książę nigdy bezpośrednio nie przemówił do kobiety. Jeżeli chciał jakąś poznać, posyłał do niej ambasadora Khalila. Khalil czekał na niego w Majesticu z dziwkami - pigułkami nasennymi, fryzjerem Gonzalesem i posiłkiem, który Mario musiał trzymać na ogniu w swojej małej furgonetce, przekształconej w ruchomą kuchnię.

Po raz pierwszy w życiu Hadad złamał jedną ze swych zasad. Zbliżył się do nieznanym, która odwróciła się do niego plecami, pochylił się nad jej karkiem i szepnął po angielsku:

- Jestem książę Hadad. Czy podobają się pani moje okręciaki?

Może zbudził go zły sen, może cień, który padł na niego.

- Hallo!

Sylwetka mężczyzny, która zasłoniła Alanowi słońce, była widoczna tylko w ogólnym zarysie, nie można było rozróżnić szczegółów. Na małym metalowym stoliku stała taca z zamówionym posiłkiem. Podniósł pokrywkę, umoczył palec w jajecznicę: Była ciepła. Wywnioskował stąd, że spał zaledwie przez chwilę.

- Czy pan mnie poznaje? - zapytał głos. - Graliśmy przeciwko sobie.

Mężczyzna przesunął się i stanął w pełnym blasku. Jeszcze oślepiony Alan rozpoznał sprane niebieskawe bermudy i koszulkę tenisową. Sponad kołnierza wyłaniała się chuda, indycza szyja dźwigająca głowę Hamiltona Price - Lyncha. Alan zerwał się jednym susem.

- Niech pan nie wstaje, drogi przyjacielu! Proszę jeść, bardzo proszę, jajecznicę wystygnie!... Hamilton Price - Lynch, bardzo mi miło!

- Pope... Alan Pope...

- Amerykanin?

- Tak.

- Wschodnie Wybrzeże?

- Ja także! Proszę jeść, proszę jeść...

Alan rzucił się na jajka. Połykał je tak, jakby to było niedogotowane mięso: nie chciała przechodzić mu przez gardło.

- Na wakacjach?

- Tak... - wybełkotał przelykając.

- Jaki to piękny kraj, nieprawdaż?... Przyjeżdżam tu od dziesięciu lat z moją żoną. Gdzie się pan zatrzymał?

- W Majesticu.

- My także!

- Kiedy pan przyjechał?

- Wczoraj.

Możliwe, że gdzieś w cienistym zaułku oczekiwali gliniarze.

- Pan z jakiej branży, panie Pope? Alan wskazał mu butelką wina.

- Z przyjemnością się napiję - powiedział Prince - Lynch. - Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam?

Powstrzymując drżenie rąk Alan nalał wina. Nienawidził Bannistera, który nawet nie przewidział tego rodzaju pytań.

- Ależ nie - bełkotał. Ham - Burger umoczył usta w kieliszku.

- Bardzo dobre. Znakomite... Jakimi dziedzinami pan się zajmuje, panie Pope?

Alan udawał, że jest zajęty smarowaniem tartinki.

- Interesy...

Hamilton rzucił mu spojrzenie pełne uznania:

- Pasjonujące! Odczekał i rzucił niedbale:

- Ja robię w bankowości. Może pan słyszał? ... Burger. Alan zakrztusił się, wino nabrało nagle smaku octu.

- Mamy trzydzieści filii.

Alan skoncentrował się nad talerzem, na którym wynurzyły się z tłuszczu resztki jajecznicy. Uparcie próbował je zjeść pomagając sobie kawałkiem chleba nadzianego na widelec. Nie ośmielał się podnieść oczu na Price - Lyncha.

- Pan zapewne lubi jajka?

Po co kontynuować tę idiotyczną grę? W jego głosie uformowało się zdanie: „OK panie Price - Lynch, skończmy tę kretyńską grę, zakujcie mnie w kajdanki i zapudłujcie!”

- Wczoraj wieczorem pana partnerka miała niezły apetyt. To cholerna odwaga towarzyszyć jej przy stole, moje gratulacje! Mówią,

że to samobójczyni! Kocha przegrywać. Czy pan lubi przegrywać, panie Pope?

A gdy Alan nie odpowiadał, dorzucił:

- Ja nie. Ubóstwiam wygrywać! Wyprostował się, skinął głową.

- Pańskie wino było wyborne, panie Pope. Do zobaczenia wkrótce, z pewnością znów się zobaczymy. Jestem zachwycony, że pana poznałem.

Przesunął się między łózkami, z których większość była już teraz zajęta. Słońce przypiekało mocno. Alan owinął się ręcznikiem. Było mu zimno.

- Widziałeś gazety? - zapytał Cesare di Sogno.

Z dumą pokazał Goldmanowi Nice - Matin. Na stronie czwartej, na trzech kolumnach rozpościerało się zdjęcie ukazujące ich obu na estradzie hotelu Majestic. Podpis głosił: „Cesare di Sogno wręcza Nagrodę Leadera Louisowi Goldmanowi”.

- To dopiero początek - powiedział Cesare. - Zaczekajmy na dzienniki paryskie i tygodniki!

Miał pecha, Marc Gohelan dopadł go, kiedy wychodził z Majesticu. Mimo że było to tylne wyjście.

Gohelan zapytał bardzo uprzejmie, czy rachunek za przyjęcie obciąży jego konto czy konto producenta.

- Goldman! - rzucił Cesare w odpowiedzi.

Drżał na myśl o chwili, kiedy zapytany w ten sam sposób Goldman, odpowie: „Di Sogno!”

- To triumf, Lou!... Triumf!... Czy ma pan stolik na dziś wieczór?

- A pan?

- Jestem zapraszany na prawo i lewo, to straszne! Nie chciałbym nikogo urazić. Kto będzie przy pańskim stole?

- Mnóstwo osób... - odparł Goldman, nie odkrywając kart.

- A może zrobilibyśmy wspólny stół?

- Z kim?

- Z Hackettami, z Price - Lynchami, księciem i księżną de Saran...

- Zna pan księcia? - zdziwił się Goldman.

- To mój bardzo dawny przyjaciel! Mandy jest moją koleżanką! - Chcąc zakończyć sprawę, Cesare zaryzykował: - Niech więc pan dołączy do nas z żoną i pańskimi przyjaciółmi... Oczywiście jesteście moimi gośćmi!

- O tym nie ma mowy! - stwierdził Goldman, któremu nie udało się zdobyć stołu. - Mogę się zgodzić, ale pod warunkiem, że to ja będę zapraszającym!

Nieoczekiwana okazja do schwytania przemysłowca i bankiera na Wędkę „Nocy, kiedy umarło słońce”.

- Moi przyjaciele nie wybaczą mi tego! - protestował Cesare. - Ale zgoda, zajmę się wszystkim!

Skierował się do baru ubrany na biało, z tenisowym ręcznikiem zwisającym niedbale z karku. Pech chciał, że nikt go dotąd nie zaprosił.

Alan pędził na zielonym suknie, przesadzał tuziny, omijał nieparzyste, skakał z czerwonych na czarne, rozpaczliwie umykając przed grabkami krupiera, który chciał go zagarnąć i rzucić na stos grubych, różowych sztonów. Ale było za późno. Znieruchomiał na zerze, swojej ulubionej cyfrze i czekał aż go zagarną...

- Hallo!...

Z wysiłkiem usiłował wyrwać się z oparów koszmaru.

- Przechodzi pan na czerwone?

Głos był całkiem przyjemny i wypowiadał się po angielsku. Nie wiedząc, do kogo należy, Alan był mu wdzięczny, że wyciągnął go ze snu. Dłonią przysłonił oczy: blask był nie do wytrzymania.

- Nazywam się Sarah, Sarah Burger. Zesztywniał.

- Proszę wstawać! - powiedziała Sarah. - Przychodzę w charakterze ambasadora.

Alanowi udało się usiąść na brzegu polowego łóżka.

- Pope... Alan Pope. Usiadła obok niego.

- Wiem. Obie rodziny upoważniły mnie do zaproszenia pana na dziś wieczór na uroczystość dobroczynną.

- Jakie rodziny? - wybąkał Alan.

- Burgerowie i Hackettowie. Czyli Kapuleti i Monteki.

Nie była ani piękna, ani brzydka, ale gdzieś tam doszło do dysharmonii. Rozpatrywane oddzielnie poszczególne partie jej ciała były wręcz doskonałe. Niczego nie można było zarzucić nogom, wielkim piwnym oczom, kasztanowatym włosom, ironicznym ustom, dłoniom, linii ramion. Ale całość nie składała się, małżeństwo tylu doskonałości okazało się niemożliwe.

- A więc... tak?

Wyobraził sobie z przerażeniem, że siedzi na honorowym miejscu między dwoma mężczyznami, dzięki którym znalazł się tutaj - Arnoldem Hackettem i Hamiltonem Price - Lynchem.

- Muszę pani wyznać, że podobne uroczystości działają na mnie usypiająco, a dobroczynność mnie rani.

- Baby z pieseczkami nie są moją mocną stroną. Czy lubi pan psy?

- Duże - powiedział Alan.

- A baby?

- Mało je znam.

- Źle pan robi. Przejawiają wyrafinowane okrucieństwo, którego nie rozumiemy. Cudza młodość przyprawia je o chorobę. Bywają wspaniałe w prawieniu złośliwości. Lubie złośliwości, przynajmniej wiadomo, co jest grane. Pan mi się wydaje sympatyczny. I raczej nieszkodliwy. Hamilton mówi o panu jako o groźnym pośredniku interesów saudyjskich. Nie wierzę ani w jedno słowo, choć swoją drogą wydaje się, że księżę Hadad pana ubóstwia. Nikogo tak nie ścisnął w ramionach jak pana!

Alan szeroko otworzył oczy zza przydymionymi szklami okularów.

- Zna pan Hamiltona? - zagadnęła.

- Nie.

- Ależ co pan mówi?! Oskubał go pan wczoraj wieczorem przy partii chemin de fer. I gawędził pan z nim zaledwie przed dziesięcioma minutami. Mały człowieczek... To miniaturowy pudełek mojej mamuski, która miała taki kaprys, żeby go poślubić. Kobieta z żelaza w pluszowym opakowaniu. Co on panu opowiadał?

Alan potrząsnął głową na znak, że nie wie.

- Przecież musiał panu coś mówić. Nie zwróci się słowem do nikogo, jeżeli nie spodziewa się, że coś zyska. Niech pan mi wytłumaczy, panie Pope... Jakiego rodzaju korzyści może się spodziewać po panu Ham - Burger?

- Nie wiem.

- To łajdak. Najgorszy z łajdaków, jakiego kiedykolwiek wydała ziemia!

Alan zmienił pozycję, bo było mu niewygodnie.

- Niech pan zdejmie na chwilę okulary, chcę zobaczyć pańskie oczy. Niech pan je zdejmie!

Alan wykonał polecenie mrugając powiekami w palącym świetle.

- Ma pan takie niewinne spojrzenie! Czy chce pan rady? Cokolwiek mój ojczym panu zaproponuje, niech mu pan odmówi! Dziś wieczorem będę pana trzymała za rękę i nie pozwolę pana pożreć!

Alan zdjął okulary.

- Jestem zajęty.

- Kłamczuch! Proszę być o dziewiątej w hallu Majesticu. Pojedziemy razem. Dziękuję, że się pan zgodził i proszę się nie spóźnić.

Oddaliła się pewnym krokiem. Osłupiały Alan powlókł się w kierunku basenu i zanurzył w wodzie.

Rozdział 18.

Vlinsky, pan jest osłem!

- Tak, panie Fischmayer.

- Popęłnił pan niesłychanie poważny błąd zawodowy!

- Ja?

- Pan! Z tą chwilą zgłaszam wszelkie zastrzeżenia, co do możliwości kontynuowania przez pana dalszej kariery w naszej firmie!

- Ależ panie Fischmayer...

- Proszę milczeć! Lekkomyślnie przelewamy klientowi 1 700 400 dolarów, a pan nawet tego nie zauważa? Od czego pan tu jest?

- Proszę o wybaczenie, panie Fischmayer, ale sygnalizowałem panu brak pokrycia!

- Nigdy pan mi o niczym nie mówił! Nigdy! Takie nasilenie złej woli dodało Vlinsky'emu odwagi:

- 0 327 dolarów, panie Fischmayer! Właśnie tutaj, w pana biurze!

- Ile?! - zarżał Fischmayer. - Co pan chce abym zrobił z 327 dolarami?

Telefon zadzwonił we właściwym momencie. Porwał słuchawkę z widełek, wygrażając jednocześnie palcem Vlinsky'emu.

- Nie ma mnie! - zawył odkładając słuchawkę nie spuszczać z oczu swego urzędnika. - Pan ma czelność mówić o 327 dolarach, kiedy ponad milion uciekł panu sprzed nosa?! Jakiś nieznany Pope! Pan się nawet tym nie zaniepokoił!

Nowy dzwonek telefonu...

- Mówiłem już... - zawył Fischmayer.

Vlinsky zobaczył, jak jego pryncypał sztywnieje, zaczyna słuchać uważnie, podczas gdy oczy wychodzą mu z orbit. Przykrył słuchawkę dłonią:

- Vlinsky, proszę wyjść!

- Jeszcze słowo, panie Fischmayer...

- Won!

Był purpurowy na twarzy. Vlinsky zdał sobie sprawę, że chwila nie sprzyja dialogowi. Na czubkach palców rozpoczął odwrót, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

- Jak się pan czuje, panie Price - Lynch? - powiedział Fischmayer zmienionym tonem.

- Dobrze, Abel, dobrze... Czy rozmawiał pan z Vlinsky'm?

- Właśnie w tej chwili, panie Price - Lynch.
- Czy możemy liczyć na jego dyskrecję?
- Oczywiście!
- Czy otrzymał pan czeki podpisane przez Alana Pope'a?
- Jeszcze nie, proszę pana.
- Jeżeli to nastąpi, to wie pan, co robić?
- Tak panie Price - Lynch. Wypłacam.
- Doskonale, Abel. Teraz proszę mnie posłuchać uważnie... mam do przekazania panu inne, pilne instrukcje dotyczące tego klienta...

Abel Fischmayer uważnie nadstawił uszu. Ze zdumienia opadła mu szczeka.

W porze obiadu wszystkie stoliki były zarezerwowane. Kierownicy sali popychali już wózki zastawione przekąskami. Starsze panie brodziły po płytce wodzie. Atleci nabierali rozpędu na wielkiej trampolinie. Teoretycznie nie wolno było prezentować nagich piersi wokół basenu. Praktycznie robiły to wszystkie kobiety od szesnastu do pięćdziesięciu lat i więcej. Niektóre świeżo po remoncie, utrzymywały zuchwały kąt dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do tułowia, niezależnie od tego w jakiej pozycji znajdowała się właścicielka. Kiedy leżały ich piersi wznosiły się ku niebu jak rakiety. Gdy stały zdawały się zaprzeczać prawu ciężenia. Wejście na basen w Palm Beach prowadziło przez szatnię, skąd wstępowało się na zalany słońcem taras. Nie wolno było zmarnować tego wejścia! Dziesiątki par oczu śledziły nowych przybyszów. Nieśmiało otulały się peniuarami, które zdejmowały dopiero po dojściu do swego miejsca. Inne, dumne ze swych ciał lub też kompletnie lekceważące swój wygląd, stąpały po ceramicznych płytkach z taką pewnością siebie, jakby były ubrane od stóp do głowy.

Topografia czułości była niesłychanie zmienna. Życie toczyło się w przyśpieszonym tempie. Spotkania następowały wieczorem, rozstania czasami tej samej nocy. Namietności były przelotne, miłosne zmartwienia nie istniały, kazań nie prawiono.

Wejście Norberta Testore w czarnym uniformie nie mogło przejść nie zauważone: wraz z maitre d'hotel był jedynym mężczyzną, który tu nosił krawat.

Majestatycznie obszedł basen, absolutnie nie reagując na kpiące spojrzenia nagusów.

- Proszę pana...

Pochylił się nad swym klientem i dostrzegł, że śpi.

- Panie Pope - nalegał zdejmując kaszkiet...

- Tak? - powiedział Alan, niemrawo poruszając głową.

- Wszystko załatwione. Zostawiłem pana ubranie w szatni.

Pozwoliłem sobie uregulować rachunek za pańskie zakupy.

- Dziękuję, Norbercie... Dziękuję!

- Moim zdaniem nie powinien pan spać na słońcu. Czemu nie miałby pan wrócić do hotelu na sjęstę?

- Która godzina?

- Jedenasta.

- Pozwoli mi pan na ostatnią kąpiel? Norbert uśmiechnął się grzecznie.

- Czekam na pana za bramą.

Z niezmienną godnością rozpoczął marsz w odwrotnym kierunku.

- Hallo, panie Pope! Już w dobrej formie po ostatnich przejściach?

Alan dostrzegł jowialnego grubasa, który nosił swój ogromny kałdun z tą samą arogancją, z jaką ssał ogromne, zgasłe cygaro.

- Louis Goldman!

Chwycił rękę Alana i serdecznie nią potrząsnął.

- Dał mi pan wczoraj popalić... Jak skończyła się noc?

- Raczej źle - powiedział Alan.

- Pozwoli pan?

Goldman nie krępując się usiadł na jego łóżku.

- Nadia jest kopnięta! Od dawna ją pan zna? Gdyby tylko zechciała!... Tarzaliśmy się u jej stóp, aby tylko zgodziła się grać! Rozminęła się z wielką karierą!

Przywołał boya.

- Czy macie zimną langustę?... Chce mi się jeść - powiedział do Alana. - Spróbuje pan? Proszę też przynieść dobrze schłodzoną butelkę Perignon!

Alan znał oczywiście to nazwisko. Ale jakim sposobem Goldman znał jego?

- Pan już na nogach, czy jeszcze się pan nie kładł?

- Jeszcze się nie kładłem.

- To bardzo źle, mój stary. Jeżeli ma pan jeszcze coś do przepuszczenia wieczorem, trzeba się przespać! W grze, tak samo jak

na ringu! Ani alkohol, ani kobiet. Wypoczynek i kultura fizyczna! W czym pan robi?

- Interesy.

- Wygląda na to, że jest pan w świetnych stosunkach z Hadadem. Mówią, że jest bardzo twardy. Negocjował pan z nim?

- Nie - powiedział Alan.

Goldman w dalszym ciągu zadawał niewinne pytania, opowiadał ploteczki o przemyśle filmowym, a zwłaszcza o swoich planach.

- Z tupetem, którego pan dowiedział wczoraj wieczorem, byłby pan dobrym producentem! Bawiłoby to pana? Ach! Proszę postawić tutaj!

Kelner otworzył butelkę szampana i postawił tacę z langustą na małym stoliku. Goldman pochłonął ją w kilku kęsach. Wyciągnął kieliszek szampana w kierunku Alana.

- Czy ma pan dobry stolik na tę uroczystość dobroczynną?

- Nie pójdę tam. Od przylotu ze Stanów Zjednoczonych nie zmrużyłem nawet oka.

Ciągle trzymał w ręku pełny kieliszek. W butelce była już tylko połowa. Czyżby Goldman mógł pić tak szybko?

- Niech pan się prześpi trochę popołudniu i przyłączy do nas dziś wieczorem! Moja żona będzie zachwycona poznaniem pana. Mam ogromny stół. Będzie pan moim gościem!

- Dziękuję - powiedział Alan - ale nie sądzę... Goldman zafundował sobie ostatni kieliszek i podniósł się:

- Będzie pan oczekiwanym gościem! Mój kierowca przyjedzie po pana.

Pozdrowił go dyskretnym gestem ręki i odszedł. Wokół basenu wszystkie łóżka były już zajęte. Szemrała fontanna. Alan miał ochotę zanurzyć się w chłodnej wodzie, zanim odnajdzie Norberta. Zrobił dwa kroki i omal nie zderzył się z kelnerem, który podawał Goldmanowi.

- Proszę pana, langustą i Dom Perignon dla pana Goldmana pozwoliłem sobie obciążyć pański rachunek.

Księżna Armada de Saran nie zadała sobie trudu, aby wyrzucić poplamione oliwą ubranie, które ów Alan - nazwiska nawet nie знаła - porzucił w jej kabinie. Leżała całkowicie otulona woalem, z wyjątkiem wzgórek łonowego, który ofiarowywała słońcu. Dwa razy w tygodniu brała „kąpiel łonową”, wyczytawszy w jakimś magazynie kobiecym, że wystawianie na promienie ultrafioletowe strefy

genitalnej przyspiesza obieg krwi, a także korzystnie wpływa na pamięć.

Miała pamięć raczej mizerną, jeżeli chodzi o twarze i nazwiska. Natomiast jak czuła płyta rejestrowała i odtwarzała wspomnienia otrzymanych ciosów. Najwspanialsze baty spuszczone jej w Paryżu, w jej pałacyku w Lasku Bulońskim. Dokonało tego dwóch łobuzów, którzy przywiązali ją kablem elektrycznym bidetu w łazience. Złamane ramię to drobnostka. Trochę kłopotów miała ze skradzioną biżuterią wartości 2 milionów dolarów. Ludzie od ubezpieczeń wietrzyli jakąś podejrzaną aferę, grożąc jej niezwykle dokładnym śledztwem, jeżeli będzie trwała przy roszczeniach. W porozumieniu z mężem, księciem Hubertem, księżna wolała nie wnosić skargi i nie wywoływać skandalu. Chcąc jednak zaznaczyć niezadowolenie z ludzi tak źle wychowanych, wynajęła innych policjantów w konkurencyjnej firmie ubezpieczeniowej.

Od tej pory nosiła już tylko kopie skradzionych klejnotów, które poleciła wykonać w dwóch egzemplarzach. Gdy wiadomość ta się rozeszła, jej narcystyczne ego doznało upokorzenia, zyskała jednak na poczuciu bezpieczeństwa. Nikt nie ryzykowałby dla imitacji. Tylko ona i książę wiedzieli, że fałszywe klejnoty były prawdziwymi.

W przeciwieństwie do innych kobiet - i to wcale znaczących, które krążyły po Lazurowym Wybrzeżu - ona jedna mogła teraz obnosić klejnoty ogromnej wartości, udając, że są fałszywe.

- Armando...

- Hubercie... - wymruczała nie czyniąc żadnego ruchu, by zmienić pozycję. - Przyszedł pan zbyt wcześnie...

- Do kogo należą te ubrania?

W odpowiedzi zaśmiała się gardłowo.

- Mandy, proszę, odpowiedz!

Za każdym razem, kiedy zwęszył, że jego małżonka zaliczyła nowe doświadczenie, metabolizm księcia doznawał natychmiastowego i głębokiego zaburzenia.

- Kto to był, Mandy?

- Ktoś. Nie wiem. Niech pan się uspokoi!

- Mandy, proszę... Possij mnie zaraz!

- Oto jedyne piękne kobiety na basenie nie w toples!

Z olśniewającym uśmiechem na ustach Cesare przesłał czubkami palców lekki pocałunek Sarze i jej matce. Następnie uściśnął dłoń Arnolda i Hamiltona, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

- Czy panie posiadły jakąś tajemnicę, aby tak szczupło wyglądać? Kupuję! Panie nie jedzą? Uprawiają sporty?

Ucałował dłoń Victorii Hackett, jedynej, która nie rozebrała się do kostiumu kąpielowego.

- Pani Hackett, ma pani wspaniałego męża! Wszyscy go pani zazdroszczą!

- Kieliszek? - zapytał Ham - Burger.

- Nigdy przed obiadem! Przypuszczam, że macie już stolik na dziś wieczór! Doskonale! A więc możecie zrezygnować! Wszyscy będziecie moimi gośćmi!

- Panie di Sogno! - zaprotestowała Victoria.

- Si, si, si! Chcę przy jednym stole zgromadzić wszystkie sympatyczne osoby w Cannes! Czy znacie moich przyjaciół, księcia i księżną de Saran? Będą zachwyceni mając was za współbiedniaków!

- To znaczy... - wahał się Hackett, pytając wzrokiem Emily Price - Lynch. - Zarezerwowaliśmy już stolik na sześć osób... Mamy jeszcze jednego zaproszonego...

- Im ciaśniej, tym weselej! - wykrzyknął Cesare z humorem!

- Będzie nam bardzo miło przyłączyć się do was - wtrącił Ham - Burger - ale nie widzę powodu, byśmy mieli być waszymi gośćmi!

- Niech pan nie będzie tak niedostępny, panie Price - Lynch! Zrobi mi pan ogromną przyjemność zgadzając się!

- Jestem tego samego zdania co Hamilton - powiedział Hackett. - Zgoda na wspólny stół, ale pod warunkiem, że pan i pańscy przyjaciele będziecie naszymi gośćmi!

- Będzie też mój przyjaciel Goldman i jego żona Julie! Jest urocza! Zgoda?... Biegnę zanieść dobrą wiadomość księżnej i księciu!

Wielkimi krokami ruszył w kierunku kabin.

- Nie znoszę go! - powiedziała Sarah.

- Ja też - dodała jej matka.

- Dlaczego? - zapytała Victoria, machinalnie, pocierając wierzch dłoni muśniętej wargami Cesare. - Jest pociągający. Wspaniale wychowany!

- Zachowuje się jak zigołak! - sprecyzowała Sarah, spoglądając z ukosa na swego ojczyma.

- Sarah! - uniosła się Emily.

- On tu wszystkich zna - powiedział Ham - Burger do Hacketta lekceważąc spojrzenia Sarah.

- Jego Nagroda Lidera ma ogromny rozgłos - powiedział Arnold.

- Chcę wam coś wyznać - oświadczyła szczerze Victoria. - Nie jestem niezadowolona, że się zgodziliśmy. Po raz pierwszy w swoim życiu zobaczę z bliska prawdziwego księcia i księżną.

- Przypomina pan każdego, tylko nie Araba.

- Ach tak!? - powiedział książę. - A dlaczego?

- Pan ma niebieskie oczy - odpowiedziała Marina.

Hadad parsknął z radości. Nie tylko była sobowtórem Marilyn ale wypowiadała absolutnie szczerze opinie. Dusza dziecka w ciele kobiety. Hadad posiadał tyle dziecięcych ciał, których dusze były stare i zużyte...

Cadillac sunął miękko po Croisette. Marina ścisnęła w dłoniach jeden z małych okręcików zrobionych z banknotów 500 - frankowych.

- Pani jest sama w Cannes?

- Tak.

- Co pani zwykle robi?

- Nic. Nic nie umiem. A pan?

- Podobnie jak pani: nic. Przyjechała pani z przyjaciółmi?

- Nie. Jakiś staruch mnie zaprosił. Zapłacił za moją podróż.

- Staruch?... Jak stary? - zapytał nieufnie książę; w końcu była tylko małą kurewką, podobnie jak inne.

- Siedemdziesiąt?... Osiemdziesiąt? Obrzydła morda! Rozpustny. Utrzymuje Poppie, moją koleżankę.

- A wyjechał z panią?

- Tak. To tak się jakoś stało, w pięć minut. Poppie pożyczała mi swego mieszkania.

- A pani mieszkanie?

- Nie mam.

- To gdzie pani mieszka?

- Wszędzie po trochu. To zależy od chłopaków, z którymi żyję. Pokłóciłam się z Alanem. Odeszłam z Harrym. Pokłóciłam się z Harrym. Wróciłam do Alana. Nie było wody. Poszłam do Poppie. Spotkałam starucha. Przesłał mi bilet.

- Jak to?

- A tak to.
 - Dlaczego mówi pani, że jest rozpustny?
 - Lubi mi się przyglądać, kiedy uprawiam sport.
 - Tenis, golf?
 - Pompki. Lubię robić pompki.
 - A on gdzie jest, ten staruch?
 - Tu, w Majesticu. Ze swoją żoną.
 - Mam nadzieję, że to on zapłacił pani rachunek?
 - Ja na pewno nie! - roześmiała się Marina. - Nie mam pieniędzy.
 - Jeszcze się nie kładłem Marino. Zaraz będę jeść kolację z przyjaciółmi. Czy zechce pani dzielić mój posiłek?
 - Nie. Chcę po prostu wziąć kapelusz. Zostawiłam go w pokoju.
 - Dziś wieczorem jest uroczystość dobroczynna. Czy zgodzi się pani być moim gościem?
 - Jak trzeba się ubrać?
 - Stroje wieczorowe. Długie suknie.
 - No to kłapa. Ma tylko spódnicę i dżinsy.
 - Nie ma sprawy - powiedział Hadad. - Mój kierowca i mój sekretarz będą pani towarzyszyć. Proszę kupić, na co pani będzie mieć ochotę i nie przejmować się niczym!
 - Naprawdę?
 - Naprawdę! Czy ma pani biżuterię?
 - Po co? - Marina wybuchnęła śmiechem.
 - Nie lubi pani klejnotów?
 - Pieprzę je. To takie babsztylowate.
 - Niech pani wybierze najpiękniejsze, jakie pani znajdzie. Van Cleef, Gerard, Cartier, Boucheron... będzie trudny wybór. Chciałbym, aby była pani piękniejsza od królowej.
- Pochwycił końce jej palców i ucałował.
- To dziwne, pani jest podobna do Marilyn Monroe. Marina gwałtownie wyrwała rękę.
 - Ach! Pan także? Mam tego dosyć! Oni wszyscy mi to mówią.
- Cesare zapukał delikatnie do chatki.
- Mandy?... Cesare di Sogno! Jesteście całkiem nago? Czy mogę wejść?
 - Jestem całkiem nago. Niech pan wejdzie...
 - Chwileczkę! - odezwał się Hubert.

Pośpiesznie przykrył ciało żony szkarłatnym peniuarem. Mandy wzruszyła ramionami.

- Cesare zna moje ciało lepiej niż pan...

- To jeszcze nie powód - zdenerwował się Hubert. - Proszę wejść!

- Najpiękniejsza para na Lazurowym Wybrzeżu! Szanowny książę, znam pana od dziesięciu lat. Co roku ma pan mniej o dwa lata! O Mandy już nawet nie mówmy... - Przyjacielsko uszczypnął ją w karczek: - Zdziwiłabyś się wiedząc, ile kobiet ci zazdrości tylko dlatego, że jesteś piękna! Najpiękniejsza!

- Naprawdę? Kto, Cesare, kto?

- Opowiem ci wieczorem. Idziecie na tę uroczystość?

- Mamy stół z Signorellimi.

- Nie Hubercie! Zanudzicie się na śmierć! Oni są usypiający!

- A co nam możesz zaproponować? - zapytała Mandy.

- Jeszcze się pytasz? Skomponowałem stół z najbardziej zabawnych ludzi!

- Kogo?

- Goldman, producent...

- On jest Żydem? - zaniepokoił się książę.

- Nikt nie jest doskonały - powiedział Cesare. - To nie jest zaraźliwe. I jest geniuszem! W końcu należy do białej rasy! Mam również Hackettów, Price - Lyncha i magnata przemysłu lotniczego, Honora Larsena...

- Już za późno, aby się usprawiedliwić przed Signorellimi...

- Hubercie! - powiedziała Mandy. - Widzimy ich przez cały rok! Chciałabym zmienić twarz!

„Kutasy” - sprostował w myślach Cesare.

- Powiedz, że mam migrenę.

- Przecież będą twoimi sąsiadami przy stole!

- Życie jest krótkie, jest lato, nie przejmujmy się! - przekonywał di Sogno. - Hubercie, czy chce pan, abym się zajął rozwiązaniem tego problemu? Wytlumaczę im, że byliście już od dawna przeze mnie zaproszeni. Oni to rozumieją!

- Proszę posłuchać, Cesare - powiedział książę. - Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem: wszyscy będziecie moimi gośćmi!

- Nigdy w życiu! Sądzę, że wolałbym się pozbawić przyjemności goszczenia was przy moim stole!

- Jaki ty jesteś staromodny, Hubercie! Co to ma za znaczenie, kto płaci? Najważniejsze to być razem i dobrze się bawić!

- Księżna ma rację - powiedział Cesare. - Daje mi pan zielone światło co do Signorellich?

- Tak, tak, tak! - rzuciła Mandy.

Wstała i poszła pod prysznic. Naga. Pragnąc być delikatnym wobec księcia Cesare odwrócił oczy.

- Zgoda - skłonił się Hubert de Saran. I zniżając głos powiedział:

- Proszę mi dać słowo, że mnie pan pozostawi rachunek!

- Proszę.

- Nie dam żadnego słowa - odpowiedział Cesare śmiejąc się.

- Cesare, obietnica stoi?

- Dziś wieczorem o wpół do dziesiątej! Będę czekał w hallu przy wejściu. Bye, bye, Mandy!

Wyszedł nie odwracając się. Nie była w jego typie. Za każdym razem, gdy się kochali, czuł się pozbawiony swoich przywilejów samca. Poza tym bicie kobiety go męczyło. Wolał słodycz, pożądanie, swobodę. Przeszedł na trampolinę, pozdrowił gestem dłoni mnóstwo ludzi, których znał, przeciął taras baru i dopadł stołu, przy którym jedli obiad Betty Grone i olbrzymi Honor Larsen.

- Wilk morski z rusztu, z Morza Śródziemnego. Pochodzi z Dieppe. To znaczy przepływa przez Dieppe, ale przybywa prosto z Dakaru w statkach - chłodniach. Jak się macie?

Pocałował Betty w czoło, skubnął oliwkę, wypił swój kielich szampana i wyciągnął rękę do Larsena.

- Przysięgam, że wszystko, co wam powiem, jest fałszywe. Zresztą tutaj wszystko jest fałszywe. W niektóre dni zdarza mi się pytać samego siebie, czy aby ja sam jestem prawdziwy! Betty! Oczywiście, dziś wieczorem zasiądziesz przy moim stole! Nawet nie dyskutuj! Pozostali goście zgodzili się przyjść tylko dlatego, że wiedzieli, że będziesz razem z Honorem! Księżę i księżna Saran, Lou Goldman, Arnold Hackett, Hamilton Price - Lynch, ich żony i tutti quanti!... Jak się czujesz, kochanie?

Betty szybko wymieniła po angielsku kilka słów z Larsenem.

- On bardzo chce przyjść - powiedziała do Cesare - pod warunkiem, że będzie płacić! Zaprasza nas wszystkich.

- Nawet nie ma mowy, to moja sprawa! Posłała mu spojrzenie podparte dąsem:

- Nie przesadzaj, Cesare...
- Ależ wcale nie! Powiedz mu, że...
- Przestań! Spotykamy się tutaj!
- W hallu Beach o wpół do dziesiątej! Zgoda?
- Ostatnia sprawa, Cesare... - powiedziała lodowato. - Gdyby ta Fishler ośmieliła się pokazać dziś wieczorem, uprzedzam cię, że zrobię skandal!

- Ja także! - zgodził się żywo.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie: wszyscy chcieli płacić! Ostatnia oliwka, kawałek ryby nadziewanej na widelec z talerza Betty:

- Do wieczora!

- Bardzo, bardzo sympatyczny... - powiedział Honor do Betty, gdy tylko Cesare się odwrócił. - To pani przyjaciel?

- Odwiedzamy te same miejsca. Nie zawsze tych samych ludzi. Bawi mnie.

- Czy myśli pani, że powinienem przyjąć jego nagrodę?

- To zaszczytna reklama, Honor!

Przed godziną widziała, jak księżę Hadad ścisnął faceta, którego Nadia poderwała poprzedniego dnia w kasynie.

- Honor, czy widzi pan tego chłopaka, wyciągniętego na łóżku... Pójdzie go pan zaprosić do naszego stołu na wieczór.

- Pani go zna? - zdziwił się Larsen.

- Wcale. Jest bliskim przyjacielem księcia Hadada. Negocjuje ogromne interesy z Bliskim Wschodem. Myślę o panu, Honor.

Larsen złożył serwetkę - w jego rękach wyglądała jak chusteczka do nosa - wyprostował swój ogromny korpus i ucałował czubki palców Betty.

- Betty, pani myśli o wszystkim! Idę.

Pływanie zrobiło mu dobrze, ale Alan poczuł się przytłoczony niesłychanym zmęczeniem. Jeżeli zostanie w Beach jeszcze minutę dłużej - zaśnie i obudzi się dopiero za tydzień. Usiadł z trudem, złożył ręcznik i właśnie miał udać się do szatni, gdzie czekało na niego ubranie przyniesione przez Norberta, gdy jakiś olbrzymi cień zasłonił mu słońce.

- Honor Larsen - powiedział, ściskając mu rękę.

- Alan Pope - odparł machinalnie. Usiłował wyswobodzić dłoń, ale na próżno.

- Mamy wspólnego przyjaciela, Hadada. Czy wieczorem będzie pan uczestniczył w tej uroczystości?

- Nie. Muszę się położyć.

- Ależ, panie Pope, na Lazurowym Wybrzeżu nikt nie kładzie się spać! Umieramy na stojąco! A jeżeli już się kładziemy, to po to, by się kochać!

Zachwycony własnym dowcipem, wybuchnął gromkim śmiechem.

- Czy zechce pan mi zrobić przyjemność i być moim gościem?

- Honor, bardzo proszę mnie przedstawić...

Alan odkrył ze zdumieniem wspaniałe rude zjawisko.

- Alan Pope - powiedział Honor. - Panna Betty Grone. Była ubrana w jasnofiołkowe sari obciskające wspaniałe kształty.

Nie wiedział, do czego by porównać jej ogromne zielone oczy. Może do fiołkowych oczu Nadii?

- Bardzo mi zależy, aby pan był razem z nami - powiedziała patrząc na niego uporczywie.

- Chciałbym... Niestety...

- Będziemy z niesłychanie zabawnymi przyjaciółmi. Niech mi pan nie odmawia tej przyjemności! Będą piękne kobiety, zobaczy pan. Gdzie pan mieszka?

- Majestic.

- Czy chce pan, aby mój kierowca pana zabrał?

- Nie, nie...

- A więc, powiedzmy, w hallu Palm Beach, około wpół do dziesiątej. Czy mogę na pana liczyć?

- Właśnie mówiłem... panu... - bełkotał Alan...

- Umowa stoi, panie Pope. Spotkamy się tutaj. Honor i ja będziemy zachwyceni mogąc mieć pana wśród naszych gości. Idziesz, Honor?

Zataczając się Alan zadawał sobie pytanie, czy ci wszyscy ludzie poszaleli: w Nowym Jorku zostałby przez nich wyrzucony za drzwi. W Cannes bili się, aby był ich gościem!

Marina bawiła się jak dziecko. Pokazywała palcem jakiś przedmiot, a sprzedawcy rzucali się do pakowania, po czym dwaj goryle, na skinienie Khalila, nieśli pakunek kierowcy, który zamykał go w kufrze czarnego cadillaca. Prawdziwa baśń z tysiąca i jednej nocy! Marinie absolutnie nie zależało na posiadaniu sukien czy

czegokolwiek. Ale była olśniona tym, że jest przedmiotem zainteresowania. Za każdym razem, kiedy już wybrała jakąś sukienkę, Khalil radził, by zamówiła kilkanaście. Nie potrzebowała ich, nigdy ich nie włożyła, ale było wspaniałe, że jej to ofiarowano. Wszyscy wielcy krawcy z Croisette traktowali ją jak królową Anglii.

Teraz siedziała u Van Cleefa i nie wiedziała, co wybrać. Dyrektor kazał pokazywać jej szkatułki z klejnotami, których ani przeznaczenia, ani ceny nie знаła.

- Proszę popatrzeć na piękno tej brylantowej kolii, proszę pani... na czystość tych kamieni! Do tego kolczyki...

Marina nadała się. Siedziała w foteliku w stylu Ludwika XV, obitym aksamitem w kolorze zgaszonego turkusu - prawie takim samym jak jej usiane łatami dzinsy. Ciągle nie chciała się rozstać ze swym starym, słomkowym kapeluszem z kwiatkami.

Wokół niej gwałcił się w lansadach kierownik sklepu, skupiony, uprzejmy, reagujący na każde mrugnięcie.

- Nie macie czegoś bardziej dracznego?

- Dracznego? Co pani rozumie przez „dracznego”, proszę pani?

- Wiem! - wykrzyknął jeden ze sprzedawców w służbowym garniturze z czarnej alpaki.

Pochylił się nad dyrektorem i szepnął mu coś do ucha bijąc w dłoń z radości i niecierpliwości. Dyrektor zgodził się:

- Niech przyniesie! To ostatnie z naszych dzieł, proszę pani. Myślę, że się pani spodoba.

Sprzedawca wrócił z puzderkiem, które położył na stoliczku.

- Ależ to jest... - wykrzyknęła Marina z zachwytem.

- Oczywiście, proszę pani! Obroża dla psa. Składa się z 21 brylantów na platynowej kryzie. Czy pani pozwoli?

Założył ją na szyję Mariny. Trzech sprzedawców natychmiast podsunęło lustro.

- Biore! Jest wspaniała!

- Doskonale, proszę pani. A teraz pokażemy nasze pierścienie... Khali dyskretnie odciągnął na bok dyrektora.

- Jego Wysokości spodoba się ta obroża. Czy mógłby mi pan sprzedać również smycz?

Wróciwszy do pokoju Alan zwałił się na łóżko jak martwy i zasnął. Obudził go telefon dzwoniący natarczywie. Ujął po omacku

słuchawkę i popatrzył na zegarek. Czwarta. Rano? Po południu? Nie miał pojęcia.

- Hallo... - wybełkotał bezbarwnym głosem.

- Alan?... Sammy!

- Sammy! Która godzina?

- Dziewiąta rano w Nowym Jorku. Spisz, czy jesteś pijany? Posłuchaj uważnie, Alan, to bardzo ważne! Namyśliłem się! Zostawiamy ten bajzel!

Upłynęło trochę czasu, zanim słowa wypowiedziane przez Bannistere nabrały właściwego sensu. Ale ciągle jeszcze nie rozumiał, co tamten chciał powiedzieć.

- Co zostawiamy?

- Radziłem się adwokata, kumpla! Zbłązniliśmy się, Alan! Lepiej zastopujmy wydatki! Jakoś sobie poradzimy, aby zwrócić to, co dotychczas wydałeś! Słyszysz mnie?

Alan poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

- Jeżeli zwróci się szmal do banku, oni przymkną oko! Nie mają nic przeciwko tobie! Zasygnalizujesz pomyłkę, wszystko wraca do normy! Znajdzie ci się jakąś przyjemną prackę i po kłopotach! Zaczynamy od początku!

- Zapominasz o pewnym drobiazgu, Sammy... - powiedział Alan stłumionym głosem. Chwilę odczekał i dorzucił:

- Nie mam już szmalu.

- Jak to?

- Nie mam już szmalu! - zawył Alan. - Nic nie mogę zwracać! Kapujesz?!

- Nie - wybełkotał Bannister.

- Skończone, co do grosza, splukany! Chciałeś, abym wymienił? Stało się! Zabrali mi wszystko!

- Alan, to wygłupy?... Chcesz mnie przestraszyć?

- Nie mam ani gronia!

- Nie wierzę ci! Alan, przysięgnij!...

- Gówno!

- Alan, wsiadam w pierwszy samolot! - Wypchaj się!

Nieprzytomny z wściekłości przerwał rozmowę. Dzwonek do drzwi. Wyskoczył z łóżka nieprzytomny z gniewu na Sammy'ego, Nadię, a przede wszystkim samego siebie. Gwałtownie otworzył drzwi.

- Dzień dobry.

Na progu stała Betty Grone. Zmieniła swoje fioletowe sari na czarne spodnie i białą bluzkę.

- Mogę wejść?

Alan odsunął się, aby ją przepuścić i poczuł delikatną falę jej perfum.

- Wygląda pan na człowieka, który właśnie otrzymał złe wiadomości. Czy się mylę?

Alan zamknął drzwi. Natychmiast ogarnęła ich grzeszna ciemność pokoju. Ciemność i jej perfumy...

- Powiedziałam Honorowi, że idę do fryzjera. Usiadła skulona na łóżku i otoczyła kolanami ramiona.

- Proszę usiąść obok mnie. Lubię pana. Czy panu przeszkadzam? Mieszkam piętro niżej. Honor zaraz wróci. Dostyc mi się śpieszy.

Opadła na plecy, przeciągnęła się i rozprostowała nogi. Alan patrzył z osłupieniem jak zwija się ściągając spodnie.

- Pomożesz mi?

Niezręcznie wziął udział w akcji. W pewnym momencie ich twarze otarły się o siebie. Betty gwałtownie przytuliła się do niego, szukając żarłocznie jego ust. Jednocześnie ujęła dłoń Alana i położyła ją między swymi udami.

Rozdział 19.

Abel Fischmayer nie żywił szczególnego szacunku do Olivera Murraya. Murray był niski, on wysoki; Murray był skąpy, Abel uważał się za hojnego. W nielicznych przypadkach, kiedy ze względu na stosunki zawodowe jedli razem lunch, Fischmayer musiał ukrywać zażenowanie wobec całkowitego braku manier szefa wydziału spraw spornych u Hacketta. Na nieszczęście firma Hacketta była najpoważniejszym klientem Burgera. Każdego ósmego dnia miesiąca bank zajmował się przelewami zarobków sześćdziesięciu tysięcy pracowników firmy farmaceutycznej. Z konta na konto przepływało wówczas około 120 milionów dolarów, pod kontrolą Abła, ze strony Burgera i Murraya, ze strony firmy Hackett. Teraz Fischmayer poczuł się zobowiązany, by znów uścisnąć dłoń Murraya. Z pewną odrazą wykręcił numer:

- Oliver! Jak leci! Abel Fischmayer. Tak, tak... Chciałbym jakiś cynk na temat wyciągu z konta, które nie jest w całkowitym porządku... Czy macie u siebie faceta, który nazywa się Alan Pope?

Krzykliwy głos Murraya sprawił, że zazgrzytał zębami.

- Nie mamy, panie Fischmayer. Mieliśmy.

Nie tylko miał duszę perweniusza, ale upierał się dorzucać słowo „pan”, by zachować dystans.

- Miał pan?

- Ten pracownik został usunięty z kadry kierowniczej Hacketta cztery dni temu, dokładnie 22 lipca.

- Naprawdę? I z jakiego powodu, panie Oliver?

- Redukcja personelu. Był tylko pierwszym na długiej liście. Czy mogę zapytać o powody tych pytań, panie Fischmayer?

- Rutyna, Oliverze, rutyna... Jak się czuje, pani Murray?

- Bardzo dobrze, dziękuję panu.

- Co on u was robił, ten Pope?

- Zastępca kierownika biura naszych służb finansowych. Mam właśnie przed oczami wyciąg z jego konta bankowego. Zadaję sobie pytanie, dlaczego przelaliście mu nagle 11 704 dolary?

- Chodzi o jego odszkodowanie za zwolnienie, cztery lata wysługi, trzy miesiące wymówienia, w sumie siedmiomiesięczne zarobki.

- No to dziękuję panu, mój drogi Oliverze. Wszystko w porządku?

- Wszystko w porządku, panie Fischmayer.

- Doskonale, doskonale, Oliverze! Do zobaczenia wkrótce i jeszcze raz dziękuję!

Położył słuchawkę i poprosił centralę, by połączono go z hotelem Majestic w Cannes: Hamilton Price - Lynch dowie się, on z kolei, jakiemu to facetowi bez znaczenia przypadły pieniądze Burgera.

Alan zawsze kochał kobiety. Czasami z wzajemnością. Ale nawet kiedy pierwsze czyniły mu awanse, nigdy nie miał uczucia, że jest przedmiotem w ich rękach. Za to trzy przygody, jakie mu się wydarzyły od przyjazdu do Cannes, pozostawiały gorzki smak w ustach. Nadia Fischler, Betty Grone i nieznajoma z plażowego domku w Palm Beach sprowokowały go do szczególnej walki, w której stawiali naprzeciwko mężczyzna i kobieta roszcząca sobie prawo do przywilejów samca, wybierania, posiadania, odrzucania, bez zapamiętania się i bez czułości.

Rzucił okiem na spustoszone łóżko, w którym czuło się uporczywy zapach perfum Betty. Prześcieradła wały się po podłodze, materace ogołoczone, poduszki rozrzucone na wszystkie strony. Jęki Betty musiały zaalarmować hotelową służbę bezpieczeństwa, a zanim ją zaspokoił, musiał przebyć tor przeszkód na trzech fotelach!

Śmiertelnie wykończony, podrapany, pogryziony, z ustami we krwi, Alan zwał się jakby po przejściu tajfunu. Ale ciekawe: nie chciało mu się spać! Przeszedł do łazienki, wziął długi prysznic, wrócił do pokoju, znów się położył, na próżno próbując zamknąć oczy. Zapalił papierosa i zastanowił się nad sytuacją. Nie miał już żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Tylko dać się im porwać. W najlepszym przypadku zaaresztują go za kilka godzin. Powodów do zatrzymania nie brakowało: oszustwo, czeki bez pokrycia (oczywiście Burger swoje oprotestuje), niepłacenie rachunków. Niech będzie, co ma być. Aresztowany tu, czy tam - co za różnica? Więc lepiej oczekiwać na gliny tu.

Wstał, przekręcił gałkę otwierając okiennice i wyszedł na taras. Była piąta popołudniu, słońce stało jeszcze wysoko. Podziwiał w jego świetle pejzaż, w którym spędzi ostatnie chwile na wolności. Wszystko było piękne, harmonijne, nawet zapach życia był taki jak powinien.

Bez końca ciągnęły się plaże wypełnione zgiełkiem kąpiących się, przechodnie poruszali się ospale po Croisette, dzieci śmiały się w basenie, skąd słońce rzucało w oczy refleksy maleńkich fal, rozstępujących się pod ciałami nurkujących. Żagle rysowały się na morzu koloru indygo ozdobionego białą pianą.

Wskoczył do pokoju, włożył spodnie i koszulę, nakręcił numer 165.

- Szeft garażu? Tu Alan Pope, apartament 751. Czy zechce pan wyprowadzić mój samochód?

Jeszcze choć przez godzinę korzystać z rollsa, zanim znajdzie się w więziennej karetki! Norbert poszedł spać, wyczerpany, śniąc prawdopodobnie o Nietschzem i o Kancie. Hotelowy holl był wypełniony pięknymi kobietami, psami, starcami w żeglarskich ubraniach, młodymi ludźmi w dżinsach, w stylu rozmamłanej elegancji.

- Jestem Serge, panie Pope, do pańskich usług. Czy chce pan, abym wezwał kierowcę?

Alan włożył ciemne okulary i zasiadł za kierownicą.

- Nie ma potrzeby, dziękuję.

- Panie Pope!

Alan przyjrzał się uważnie mężczyźnie, który wołał do niego.

- Jestem Marc Gohelan, dyrektor hotelu. Nie miałem jeszcze przyjemności powitać pana w naszym gronie.

Wzrost średni, gęba uwodzicielskiego pirata, ciemne oczy i blond włosy.

- Jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebował, proszę się nie krępować. Chciałbym, aby miał pan tu udany pobyt.

Alan podziękował ruchem głowy, uśmiechnął się i delikatnie ruszył. Przeciął jezdnię, skręcił w lewo i włączył się w ruch Croisette zaskoczony zwierzęcą wprost radością kierowania bezszelestną maszyną. Jak można było odczuwać tak płóche uczucie wobec wszystkich kłopotów, jakie go czekały? Przejechał przez Palm Beach, potem wzdłuż morza i skręcił w prawo przed drogowym skrzyżowaniem: Juan - les - Pins. Opalone dziewczyny, młode, na wpół nagie, odwracały się, gdy przejeżdżał. Gdyby wiedziały!...

Pomimo upału przytłaczającego Nowy Jork, facet był w przepisowym szarym mundurze. Wyłogi jego marynarki zdobiła litera „B”.

- Co to znaczy „B”? - zapytał portier.
- „B” jak Burger. Bank. Poślaniec podał list.
- Do rąk własnych pana Pope'a.
- O.K. Gdy tylko go zobaczę.

Goniec skłonił się i wskoczył za kierownicę samochodu, który zaparkował na chodniku przed budynkiem.

Był 26 lipca. Pope dotąd nie opłacił komornego i od trzech dni nie pojawił się w mieszkaniu. Niepokojące... Może zmył się po cichu? Portier nieufnie zważył w rękę list i zdecydował, że jego obowiązkiem jest zapoznanie się z treścią. Przeszedł do kuchni, gdzie w garnku gotowała się woda na herbatę, którą następnie miał zamiar ochłodzić w lodówce. Potrzymał kopertę nad parą przez czas niezbędny do odklejenia górnej warstwy za pomocą żyłki. Następnie rozprostował złożoną w czworo kartkę papieru, niemal pewny tego, co przeczyta. Przeczytał po raz pierwszy. Nic nie zrozumiał. Przeczytał po raz drugi. I ciężko oparł się o stół, jakby otrzymał uderzenie w brzuch...

Było ich dziesięcioro, rozłożonych przy ławce stojącej w cieniu wielkich parasolowatych pinii. Jeden z nich, olbrzymi rudzielec, z czołem przewiązanym czerwonym fularem, szarpał struny gitary. Inny leżał na ziemi i podkreślał rytm melodii uderzając dłonią w pusty baniak, leżący na jego brzuchu. Kilka dziewcząt podśpiewywało. Wszyscy mieli od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Czasami przechodnie przystawali, by posłuchać ich muzyki. Lazurowe Wybrzeże było nabite studentami, którzy przybyli ze wszystkich zakątków Europy, by opalać się na złocisto. Chleb był niedrogi, owoce i pomidory też; spało się pod gołym niebem, widoki i dziewczyny były za darmo, a morza i nieba starczało dla każdego.

- To prowokacja! - powiedział leniwie Holender wskazując na zaparkowanego nie opodal białego rollsa.

- Nowobogacki... - ziewnęła jego towarzyszka.
- Handlarz bydła.
- Nie miałbyś cykora, aby wozić dupę w czymś podobnym?
- Przyjrzałeś mi się?
- W czterdziestej wiosnie życia będziesz lizał dupę dyrektora naczelnego, by zdobyć taki sam.
- Lepiej zdechnąć od razu!
- Hans, masz swój rozpylacz?
- W chlebaku.

- Nie wygłupiajcie się chłopaki! Co nam przeszkadza?
- Piękny gest!
- Cholera, żyliśmy sobie spokojnie...
- Hans, idź po niego!

Hans wyjął z torby walec podobny do tuby z kremem do golema.

- Co mam napisać?
- Kapitalisto, go home!
- Idioto! On jest u siebie. To za długo. Jestem zbyt leniwy.
- Bogata świnia?... To niezłe!

Hans przykucnął koło rollsa. Czarna farba trysnęła z tuby na nieposzlakowaną karoserię. Nikt z bandy nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Dołączyli się do chóru przechodnie, tłocząc się wokół grupy.

Hans był specjalistą. Nocą chadzał by mazać buchające zemstą napisy na gmachach publicznych, piętnował kolejno partie polityczne, zatrucie środowiska, energię atomową i oficjalną władzę.

- Jestem byłym pułkownikiem i protestuję! - powiedział jeden z widzów.

- Samochód jest nasz - oburzył się gitarzysta. - Jakim prawem chce mi pan zakazać malować, pułkowniku?

Śmiechy podwoiły się. Hans był przy literze „T” w słowie „bogata”. Wyciągnął spray w kierunku wysokiej dziewczyny o blondpopielatych włosach.

- Leć dalej, Terry, ja jestem wykończony...

Wysuwając język Terry skończyła pisać słowo. Zagrzmiały oklaski, zarówno od strony aktorów, jak i widzów. Jeden z widzów złapał spray, obszedł rollsa i na jeszcze nie tkniętym skrzydle napisał słowo „PIG”. Hans stanął przed nim, zsalutował i pasował na rycerza. Wśród triumfalnych wiwatów facet uwolnił się, zwrócił Terry farbę, otworzył drzwiczki samochodu, wsunął się za kierownicę, włożył kluczyki w stacyjkę, zapuścił motor i ruszył. Śmiechy zamarły. Na placu słychać było tylko świergotanie wróbli, przytłumione okrzyki grających w bile, hałas pobliskiego miasta huczącego muzyką i gwarem tłumów opuszczających plażę.

- Cholera! - wrzasnął Hans, wracając do równowagi.

O dwadzieścia metrów od nich rolls przyhamował, cofnął się i stanął na ich wysokości. Oszołomiona Terry, ciągle ze sprayem w ręku, została przywołana przez kierowcę.

- Proszę wsiadać.

Zapytała wzrokiem przyjaciół, ale nikt się nie odezwał. Alan otworzył drzwiczki:

- Pani się boi?

Zmieszana tym wezwaniem usiadła obok niego.

- O raju! Ten bydlak ją porwał! - zirytował się Hans instynktownie notując w pamięci numery rejestracyjne wozu.

Rolls już odjechał biorąc wiraż ze zgrzytem opon.

- Jak się pani nazywa? - zapytał Alan.

- Terry.

- Angielka?

- Czy to cokolwiek zmienia?

- Nic.

Mówił bezbarwnym, monotonnym głosem. Spojrzała na niego ukradkiem, ale nie widziała jego oczu ukrytych za ciemnymi okularami.

- Dokąd jedziemy?

- Nie wiem?

Przejechał przez Juan - les - Pins i wpadł na główną szosę. Skręcił w prawo.

- Uważa się pan za zabawnego? - zapytała Terry. Milczenie.

- Chcę wysiąść!

- Kto pani przeszkadza?

Przyśpieszył. Wzruszyła ramionami wtulając się mocno w skórzaną poduszkę.

- Pan nie jest zabawny.

Ostro skręcił w lewo kierując się w podrzędną drogę, wspinającą się na zbocze wzgórza.

- Co pani ma przeciwko mojemu samochodowi?

- Jest ostentacyjny. Obrzydliwy! A przecież nie jest pan taki stary...

Drogę wytyczały bukiety oleandrów. Od czasu do czasu pojawiały się w dole dachy willi, koloru ochry, przysłonięte kępami kwiatów.

- Daleko jeszcze jedziemy?

Wsadził kasetę do stereofonicznego odtwarzacza.

- Proszę posłuchać - wybuchnęła - mam dosyć pańskich numerów! Zapaskudziliśmy panu gablotę, to fakt! Nie ma co robić z

tego historii! Jak ma się forszę na rollsa, to ma się forszę na odmalowanie! Proszę się zatrzymać!

Allan zahamował, ustawił się na poboczu i wyłączył silnik. Terry wyskoczyła z wozu. Nie zrobił ani jednego ruchu, by ją zatrzymać. Zaczęła zbiegać stromą dróżką w odwrotnym kierunku. Zapуścił silnik, wykręcił, wyprzedził ją o pięćdziesiąt metrów, zatrzymał się i wysiadł. Stał oparty o kamienny murek, za którym rosły kępy mimozy. Powietrze było przezroczyście. Morze połyskiwało daleko w dole za pagórkami, które zdawały się zbiegać ku niemu łagodnymi, obłymi kaskadami, prześwietlone całą gamą szarości, fioletów i zieleni. Przechodząc przed nim odwróciła głowę. Dwoma susami był przy niej i schwycił za rękę.

- A jeżeli teraz przyłożę pani porządnego klapsa?

- Niech pan spróbuje!

Potrząsnął nią gwałtownie, choć nie odczuwał żadnego gniewu.

- Kto mi zapłaci za straty? Rzuciła mu jadowite spojrzenie.

- Będzie pan miał swoje zasrane pieniądze, będzie pan je miał!

- Kiedy?

Nagle zaczęła się bać. A może ma do czynienia z szaleńcem? Alfonsem? Gangsterem?...

- Proszę mnie puścić!

Rozluźnił uścisk, zdjął okulary, przetarł oczy zmęczonym gestem, odwrócił się do niej plecami i oparł o mur.

Roztarta nadgarstek i zastygła osłupiała. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Zobaczyła, że wyjmuje papierosa ze świeżej paczki i zapala. Wciąż na nią patrzył.

- No?...

Nie odwrócił się.

- Niech pan posłucha, naprawdę mi przykro... W naszym odczuciu to nie miało być złośliwe. Prosty kawał.

Wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem.

- Ma pan do mnie żal?

- Cóż za pomysł? - rzucił z kwaśnym, półuśmiechem. Patrzyła na niego uważnie.

- Mam wrażenie, że po tym, co się wydarzyło, nie ma pan ochoty, by mnie odwiedzić?

- Rzeczywiście, nie mam.

- Dobra. Idę na piechotę. Przeszła z nogi na nogę.

- Jak się pan nazywa?

- Alan.

- To dziwne... - zaczęła.

Usiadła na balustradzie i popatrzyła w tym samym kierunku.

- Pan nie pasuje do tego samochodu. W pana wieku taka fura, to kretyństwo!

Zachował milczenie.

- No nie? - dodała. - Jest pan Amerykaninem?

- Tak.

- Co pan robi?

- Takie tam. Kombinuję.

- A ja studiuję.

- Co?

- Życie.

- To było w programie na ten rok?

Odwrócił głowę w jej kierunku. Była ubrana w dzinsy i męską koszulę koloru khaki, o wiele dla niej za dużą. Popielatoblond włosy miały ten sam odcień co szare oczy. Dłonie miała maleńkie i delikatne, ręce dziecka.

- Poczęstuje mnie pan papierosem?

- Nie noszę przy sobie „Maryśki”.

- Dlaczego pan to mówi?

- Z powodu pani hippisowskich koleżków.

- Są w pańskim wieku, ale są młodszy.

Brodą wskazała na rollsa. Rzucił na nią spojrzenie, zapalił papierosa od swojego i podał. Gdy brała go w palce ich spojrzenia się skrzyżowały. Zobaczył w jej oczach odbicie własnej twarzy. Odwrócił wzrok.

- Jedziemy! Otworzył drzwiczki. Usiadła.

- Co pani będzie robić, jak już będzie duża?

- Zostanę dzieckiem. A pan? Wrzucił jedynekę i ruszył płynnie w dół zbocza.

- Spróbuję zostać starym.

- Jest pan na dobrej drodze. Przypuszczam, że ma pan kierowcę?

- To się rozumie samo przez się.

- I zajmuje pan przepastny apartament w jakimś pałacu?

- Naturalnie.

- A wieczorem wiąże pan krawat i chodzi na kolacje z nudziarzami?

- Oczywiście w smokingu.

- To pana bawi?

- Śmiertelnie. Wybuchnęła śmiechem.

- To dlaczego pan to robi?

- Czy pani robi zawsze to, co chce?

- Zawsze.

- To ma pani szczęście - westchnął i skrzywił się.

- Nie tyle szczęście, co odwagę, aby wykorzystać szansę.

Różnica!

- Więc szczęście posiadania odwagi.

- A pan jej nie ma?

- Zwykle bardzo mało.

- A teraz?

- Ani trochę.

Uderzyła dłonią o tablicę rozdzielczą.

- Zhandluj tę gablotę, ciśnij swoich wapniaków do morza i rób coś innego!

Alan wjechał w ostry zakręt.

- Gdzie pan mieszka?

- Golf - Juan. Wynajęłam pokój. Z przyjaciółką.

- Metr dziewięćdziesiąt, broda...

- Pięćdziesiąt pięć kilo, dziewięćdziesiąt w biuście. Pana utrzymuje jakaś starucha?

- Sto trzy lata. Bardzo zazdrosna. Zaczynałem od wyprowadzania piesków.

Kiedy wjechali do Golf - Juan spostrzegł ze zdumieniem, że dzięki niej w ciągu godziny zapomniał o swojej niepewnej sytuacji. Czas zużyty na przejażdżkę był jak kąpiel w świeżym źródle, obmywająca ze wszystkich lęków. Złapał się nawet na tym, że wielokrotnie wybuchnął śmiechem.

- Ma pani telefon?

Rzuciła mu spojrzenie pełne litości.

- A dlaczego nie łazienkę z marmuru? Jest kran z zimną wodą na korytarzu. Działa, kiedy chce. Chce pan zobaczyć?

- Chętnie...

Zaparkował na małej, spokojnej uliczce. Dzieciaki grające w piłkę skręcały się ze śmiechu, odczytując napisy plamiące błotniki rollsa. Terry udawała, że tego nie słyszy. Alan z roztargnieniem patrzył w innym kierunku.

- To tutaj - powiedziała.

Przeszedł przez hall sąsiadujący z małą restauracją Chez Tony.

- Menu 27 franków. Świeże sardynki z rusztu, sałata po nicejsku, sery i owoce.

Rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

- Czego żąda lud? To na czwartym piętrze. Ma pan siłę, aby się wczłgać?

- Spróbuję - powiedział Alan.

Szła przed nim po kręconych schodach. Jej stopy dotykały stopni lekko i miał wrażenie, że nie stąpa po nich, ale fruwa nad nimi, tańcząc.

- Jestem bardzo zmartwiony, Wasza Wysokość. Mój rząd chce, abym podał datę odbioru przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Władze nie chcą trzymać zbyt długo przesyłki na terenie wojskowym.

- Co wchodzi w skład tej partii? - zapytał Hadad.

- Sto maszyn: 40 Drakenów, 35 Viggerów, 25 sto piętek - powiedział Honor Larsen. - Nie można w nieskończoność trzymać w hangarze ośmiuset milionów dolarów.

- A nie mógł pan dokonać transakcji przez jedną ze swoich spółek?

- Nie, Wasza Wysokość. Jesteśmy bardzo pilnowani i to nie tylko przez Szwedów!

Spotkanie miało miejsce na czwartym piętrze hotelu Majestic, w jednym z licznych apartamentów zarezerwowanych dla księcia. Hadad i Honor Larsen znali się od dawna, ale nigdy nie okazywali tego publicznie. Ten rodzaj interesów wymagał absolutnej dyskrecji. Polityka i ekonomia są ze sobą tak ściśle związane, że nie można ubić interesu w normalnych warunkach. Ze względu na dawne układy handlowe, zawarte z amerykańską administracją, Hadad mógł dokonywać zakupu broni dla swojej armii wyłącznie w Stanach Zjednoczonych. Na nieszczęście Stany podtrzymujące Izrael, z wielką niechęcią dostarczały broń jednemu z emiratów arabskich. Hadad zwrócił się więc do Francji, Szwecji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Ale

tu też pojawił się problem: międzynarodowe konwencje pełne wzniosłych zasad zabraniały sprzedawania emiratowi, na które czele stał Hadad, tego, co odmawiały Stany Zjednoczone. Transakcji nie można więc było dokonać oficjalnie, między dwoma państwami. Kłopoty takie rozwiązywano kierując sprawę na kręte drogi, wymagające aktywnego udziału pośrednika, który załatwiał je w swoim imieniu. W ten sposób sprawy toczyły się swoim biegiem, a opinia była uratowana. Dotychczas dostawy sprzętu lotniczego między Szwecją a arabskim emiratem dokonywano za pośrednictwem Erwina Brokera.

- Naprawdę nie rozumiem, co mogło mu się przydarzyć - oświadczył ponuro Larsen.

- Eksplodował - odrzekł książę bez cienia uśmiechu...

- Tak, ale dlaczego? Komu zależało, aby przywiązać go do pontonu z ogniami sztucznymi, z ładunkiem dynamitu na brzuchu?

- Ile wynosiła jego prowizja?

Honor Larsen rzucił mu ostre spojrzenie:

- Dwa procent.

- A więc 16 milionów dolarów - westchnął książę.

Larsen powstrzymał się przed przypomnieniem, że prowizja księcia przy wszystkich umowach zawieranych z jego emiratem wynosiła osiem procent. Czyli, bagatelka: - 64 miliony dolarów za bieżący kontrakt. Olbrzym był niezgrabny i dziecinny tylko z kobietami. W interesach wydawał się podłączony do specjalnego akumulatora wysokiego napięcia, przekształcającego jego mózg w precyzyjny komputer.

- Obawiam się, Wasza Wysokość, że się zablokujemy w tej sytuacji. Śmierć Brokera wytworzyła impas. Czy pan ma kogoś innego pod ręką?

- Nie. A pan?

- Ja również nie.

Każdy pograżył się we własnych myślach. Nie było pod ręką figuranta na tyle poważnego, by mógł przystąpić do akcji w ciągu dwóch dni. I to jeszcze przy nieprawdopodobnym ryzyku transakcji na taką skalę.

- Wasza Wysokość, czy utrzymuje pan stosunki z osobami, które skontaktowały pana z nieodżałowanej pamięci Erwinem?

- Żadnych - skłamał książę.

Nie chciał, aby Cesare di Sogno był zamieszany w ten czy inny sposób w jego sprawy. Był zbyt ostentacyjny, za dużo się o nim mówiło, on sam dużo opowiadał o innych. Przedstawiając mu przed czterema laty Erwina Brokera, miał być może szczęśliwą rękę. Ale Broker został zamordowany, a intuicja Hadada mówiła mu, że Cesare jest postacią niepewną. Ujdzie jeszcze przy rekrutowaniu dziwek, ale w poważnych sprawach - nigdy więcej!

- Szkoda - westchnął Larsen. - Czy będzie pan dziś na tym galowym wieczorze? - dorzucił ni stąd ni zowąd.

- Chodzi o dobroczynność - dodał cnotliwym tonem książę.

- Przy moim stole będzie jeden z pańskich przyjaciół - powiedział Honor.

- Któż to taki? - zdziwił się Hadad, który miał zbyt wiele pieniędzy, by móc sobie wyobrazić jeszcze jakiegoś przyjaciela.

- Alan Pope. Hadad podniósł brwi.

- Powiedziano mi, że jesteście ze sobą bardzo blisko - uzupełnił Larsen. - Widziano dzisiaj rano, jak składał mu pan gratulacje na brzegu basenu.

Książę wysilił pamięć. Przypomniawszy sobie wówczas swój nieszczęsny odruch, by nie pozwolić jakiemuś facetowi, potrąconemu przez okręcik syna, na ześlizgnięcie się do basenu. Temu samemu który poprzedniego dnia wspólnie z Nadią Fischler zaryzykował przeciwko niemu kilka banco.

- Nie znam go - powiedział. - Do czego pan prowadzi, panie Larsen?

Honor był bardzo rozczarowany.

- Do niczego, Wasza Wysokość. Po prostu. Szukam, jeżeli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie znajdziemy rozwiązania, interes za 800 milionów dolarów może nam przejść koło nosa.

- Uwaga na belkę, proszę schylić głowę!

Alan pochylił się. Terry zamknęła za nim drzwi. Ponad dachami najeżonymi telewizyjnymi antenami wzrok sięgał maleńkiego skrawka morza, połyskującego w obramowaniu okiennic, poprzez purpurowe kwiaty dwóch doniczek geranium. Na pobielonej ścianie wisiał plakat przedstawiający Davida Bowie. W porcelanowej misie leżały banan, dwa jabłka, grejpfrut i trzy pomarańcze.

- Które z nich jest pani? - zapytał Alan wskazując na dwa łóżka, przykryte patchworkami.

- Lewe. Lucy śpi na drugim. Zrobić panu kawy?
- A ma pani?
- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko nesce...
- Wydawało mi się, że nie ma wody?

Teatralnym gestem Terry odsunęła intensywnie niebieską zasłonę odkrywając maciupieńkie pomieszczenie, w którym znajdował się prysznic z małym pojemnikiem na wodę, umywalka i prymitywna kuchenka gazowa.

- Uwierzył mi pan?
- To przypomina Matisse'a.
- Co?
- Pani pokój. Te kolory. Otwarte okno. Udała ogromne zdziwienie.

- Słyszał pan o Matisse'ie? Bogaty i wykształcony, to wspaniałe?
- Wyglądam na aż tak nierozgarniętego?
- Z założenia pieniądze zastępuje kulturę, urok osobisty, kurtuazję, dowcip. Niech pan tak nie stoi, bo mnie to denerwuje.

- Gdzie mogę usiąść?
- Na moim łóżku - powiedziała bardzo naturalnym tonem.
- Jeżeli usiądę, to się położę.
- Kto panu przeszkadza?
- Nie spałem od wieków!
- Niech pan zrzuci buty. Proszę się czuć swobodnie!

Przez chwilę obawiał się, aby nie powtórzyła się scena, którą przeżył z Nadią, Betty czy histeryczką z Palm Beach.

- Bierze pan udział w targach?
- Ubiegłej nocy byłem w Rzymie.
- Interesy.
- Spaghetti - odpowiedział szczerze.

Wsypała dwie łyżeczki nescafe do filiżanki i podstawiła je pod kurek z ciepłą wodą.

- Cukier?
- Proszę. Jedną kostkę. Pani nie pije?
- Nie cierpię neski. Lucy ją lubi... Ja wypiję swoje espresso w barze na rogu.

Przyniosła mu filiżankę, przypatrzyła mu się uważnie i parsknęła śmiechem.

- Z kogo się pani śmieje?

- Z pana. Przypomina pan przyskrzynionego licealistę. Ciagle pana martwi ten rolls?

Przyglądał jej się, jak się porusza podlewając geranium wodą ze szklanki do zębów. Była młoda, giętka, zdrowa, naturalna. Piękna. Miał uczucie, że spotkał coś rzadkiego, cennego, czego nigdy nie miał okazji poznać lepiej, ponieważ nie panował nad ciosami, jakich nie szczędził mu los.

Wyjęła z szafki kubek jogurtu, umyła łyżeczkę po nesce i usiadła na łóżku Lucy.

- Dlaczego mi się pan tak przygląda?

Ich spojrzenia spotkały się, wpatrywali się w siebie. Alan nie mógł odwrócić oczu. Ona trwała z łyżeczką jogurtu zawieszoną w przestrzeni, w połowie drogi między ustami a kolanami, na których ustawiła kubek. Ich milczenie podkreślały krzyki dzieci bawiących się na ulicy, muzyka z dziesięciu różnych tranzystorów dochodzących z bloku naprzeciwko. Panowała cisza, gdyż wielkie słowa mogące ją zburzyć, jedynie potwierdziłyby to, co już sobie powiedzieli oczami, obydwójce zdumieni tym, że sprawy mogą biec tak szybko i bez ich zgody.

- Terry?...

- Tak?

Zawieszona w próżni życie powróciło do normy, wypełniła się luka w biegu czasu, która nie była trwaniem lecz samą intensywnością. Alan umierał z ochoty zapytania jej, czy czuła to samo co on. Odwróciła oczy.

- Chciałbym po panią jutro przyjechać. Może byśmy wspólnie popływali?

Na pewno odpowie, że nie. A nawet jeżeli się zgodzi, to on i tak nie będzie mógł po nią przyjechać. Moment swobody może się skończyć w każdej chwili.

- O której? - zapytała.

- O dziesiątej.

- Zgoda.

- Tutaj?

- Tutaj.

Nie tylko ona umiała fruwać. Zbiegając po schodach czuł, że leci nad stopniami. Z rozczuleniem oczyścił siedzenie z plamy po lodach czekoladowych rozgniecionych przez dzieci. Na tylnym siedzeniu

kochane maleństwa położyły nawet, obok oliwek, pizzę z pomidorami i anchois. Z pomazanymi drzwiami samochód przypominał bardziej śmietnik niż rollsa.

Rozdział 20.

Lucy pędziła przeskakując po kilka stopni. Wetknęła klucz w zamek i gwałtownie popchnęła drzwi:

- Jesteś! To wspaniale! Tak się bałam, że cię nie zastanę! Terry przesłała jej lekki uśmiech. Leżała na łóżku, z ramionami pod głową, papierosem w ustach, nogami opartymi o stos bielizny.

- Przygotuj się! Za minutę wyjeżdżamy!

Wrzuciła do dużego rafiowego kosza szczoteczkę do zębów, jabłko, pastę do zębów, motek czerwonej wełny, kostium kąpielowy bawełnianą bluzkę.

- Zobaczysz najpiękniejszy dom w twoim życiu! Wspaniały basen, wokół oliwki i cyprysy, pokoje o wymyślnych sklepieniach, pokój muzyczny i instalację stereo. I kuchnia!... Jedziesz? Samochód czeka na bulwarze!

Spostrzegła, że Terry ani drgnęła.

- Hej! Słyszysz? Pośpiesz się! Spędzimy noc u MacDermonttów! Nad Saint - Paul, mówiłam ci! Czekają na nas! Terry!... Co z tobą?... Jesteś chora?

- Nie mogę jechać - powiedziała Terry. - Mam randkę. Jutro rano. Tutaj.

- Z kim?

Wciągnęła duży haust dymu.

- Z mężczyzną - rzuciła patrząc w bok. - Z jakim mężczyzną?

- Z Alanem.

- Znam go?

- Nie.

I jakby chcąc tym bardziej przekonać się do wymagowanego imienia, powtórzyła słabiutkim głosem: „Alan...”

- Dobrze, Terry, zgoda. Masz tutaj jutro spotkanie z Alanem... Opowiesz mi o tym w samochodzie, ale teraz chodź!

- Jest wspaniały!... - podśpiewywała Terry nie słuchając jej. - Przyjedzie po mnie o dziesiątej.

- Cudownie! To w niczym nie przeszkadza! Zjemy kolację i przenocujemy u MacDermonttów, a oni odwiozą nas jutro rano! Wszyscy chcą cię poznać! Przyjechałam po ciebie to zaledwie o godzinę stąd! Piękne!... Takie piękne! Poczekaj, jak zobaczysz obrazy! Klee, Mondrian, Miro, Chagall. I szkice Giacomettiego! Chodź!

Wskoczyła na łóżko i potrząsnęła nią. Terry leżała obojętnie nie protestując.

- Lucy, nie mam ochoty. Jedź sama!

- Nigdy! Przysięgam ci na moją głowę, że wrócisz jutro rano! Chodź! Terry! Chodź!

Podbiegła do małej wnęki, w której ukryty był prysznic i wrzuciła przybory toaletowe Terry do własnej torby.

- No już, hop! Opowiesz mi wszystko w czasie jazdy!

Popchnęła przyjaciółkę na schody i trzasnęła drzwiami nie zamykając ich na klucz. Jakież to miało znaczenie? Jedynej cennej rzeczy - młodości, nikt nie mógł im ukraść.

Norbert był pierwszą osobą, jaką Alan spostrzegł zatrzymując rollsa przed podjazdem Majesticu. Widział, jak stoi skamieniały ze zdumienia i nie rozumiał powodu jego zdziwienia.

- Ależ, proszę pana... - wyjąkał szofer otwierając drzwiczki. - Czy pan widział samochód?

- A co mu się stało? - zapytał w roztargnieniu Alan.

Z kolei zbliżył się Sergio ze ściśniętym sercem czytając pałające zemstą napisy pokrywające burty rollsa.

- Cóż za bydlaki! - powiedział. - Wsadzić by ich do pudła!

- Teraz dostanę po łapach - powiedział Norbert.

- To zdarzyło się w Juan - les - Pins - ubolewał Alan. Na chwilę wszedłem do sklepiku, aby kupić papierosy...

Norbert nie ośmielił się powiedzieć swemu chlebodawcy, że kontrakt z agencją nakazywał, by tylko szofer prowadził rollsa. Powierzenie go klientowi uważano za poważny błąd zawodowy. Z jednym zastrzeżeniem: Alan Pope nie pytał o pozwolenie, kiedy go zabrał.

- Nie może pan nim jeździć, proszę pana. Pojadę na stację obsługi, aby naprawić szkody.

- Biorę to na siebie - powiedział Alan rozdarty między poczuciem winy a ochotą pójścia do pokoju. Chciał przed zaśnięciem pomarzyć o Terry.

- Jesteśmy ubezpieczeni, proszę pana. Obawiam się tylko, że będziemy musieli trochę poczekać, zanim go odmalują.

- Farba olejna! - zirytował się Serge drapiąc napisy czubkiem paznokcia. - Myśli pan, że oni by używali gwaszu? Co za czasy!

- Co mam zrobić, proszę pana, jeżeli agencja nie będzie miała do dyspozycji takiego samego pojazdu?

- Zadzwoń do nich - powiedział Serge oddalając się w kierunku telefonu umieszczonego na ścianie.

- Przykro mi, Norbercie - usprawiedliwiał się Alan.

- Proszę się nie martwić, proszę pana, zdarzają się gorsze rzeczy. Słowa te pasowały doskonale do sytuacji Alana, żyjącego w stałym zagrożeniu. W każdej chwili mógł zostać zdemaskowany i aresztowany. Chciał tylko jednego: żeby się to stało po jutrzejszym spotkaniu z Terry. Jeżeli choć raz weźmie ją w ramiona, świat może się zawalić! Poklepał przyjaźnie po ramieniu Norberta i przeszedł przez hall aż do wind, by wrócić do swego apartamentu.

Hans chodził zawsze w uniformie kontestatora: dzinsy nieokreślonej barwy, bawełniana koszulka ongiś niebieska, postrzępiona bluza, także dzinsowa, wysokie buty na podwyższonych obcasach. W chlebaku nosił farbę w aerozolu i parę skarpetek na zmianę. Miał dwadzieścia dwa lata i był wybitnym studentem wyższej szkoły architektury w Hadze. Martwiło go, że swój talent miał oddać w służbie społeczeństwu, które uważał za dekadentkie i zepsute. Po cóż studiować włoski Renesans, sztukę egipską czy grecką, by w końcu budować betonowe klatki na króliki za pieniądze tych grubych, bezdusznych świń? Wolałby wznosić promieniejące szczęściem miasta, w których ludzie wreszcie równi, mogliby rozwijać się z dala od degradującego przymusu pracy fabrycznej. Marzył o piramidach, wiszących ogrodach babilońskich, salach muzyki przestrzennej, braterskich stosunkach, wolności. Przeczuwał, że właśnie chwyta się go w pułapkę. Po otrzymaniu dyplomu będzie musiał walczyć o nędzne zlecenia na projekt willi „Mój sen” albo funkcjonalny biurowy budynek. Albo, póki czas, skończyć z całym tym gównem. Nie miał już wiele czasu, zanim go zgarną. Więc kiedy tylko mógł, starał się być z takimi, którzy nie mieli do niego pretensji o to, jaki jest. Wyżywał się w pełnych gróźb napisach, w aktach wandalizmu, wygłupach, bójkach, manifestacjach i prowokacjach pod adresem burżuazji. Dzięki temu wyzwał się z gniewu, że urodził się w epoce tak gnuśnej i głupiej. Zaprzyjaźniony z jego przyjaciółmi psycholog powiedział mu, że jego zachowanie „kryje w rzeczywistości ogromną potrzebę miłości”. Głupi wał! Hans uważał, że przepelnia go jedynie

uczucie nienawiści do wszystkich, do których - wiedział to - upodobni się pewnego dnia.

A później zjawiała się Terry. Przybyła pewnego dnia z grupą, która głośno wyznawała pogardę do uczuć i własności, w tym również seksualnej. Oczarowały go jej szare oczy. Pozwoliła mu ująć się za rękę, skłoniła głowę na jego ramieniu przy szorstkim zachowaniu pozorów stosunku czysto przyjacielskiego, a nawet pewnego wieczoru, pocałować. Hans chciał objąć jej biodra. Odepchnęła go uprzejmie, ale zupełnie jednoznacznie. Więc widząc, że pozwoliła się porwać temu wałowi w idiotycznym rollsie. Hans czuł cios noża w serce: wszystko czym w najwyższym stopniu pogardzał! Triumfujące i nieprzyzwoite popisywanie się bogactwem, pretensjonalność. Ten facet albo był bogatym skurwysynem, albo alfonsem.

Wspiął się na czwarte piętro i zapukał. Już po odgłosie swych palców w drewno zorientował się, że nie ma nikogo. Zmieszany przypomniał sobie: przed dwoma godzinami Lucy powiedziała mu, że razem z Terry wyjeżdżają do swych przyjaciół w okolice Saint - Paul. Zżerany zazdrością usiadł na stopniu, pogrążył w głęboką zadumę. Postanowił, że bez względu na to, co się zdarzy, nie ruszy się z tego stopnia, dopóki Terry nie wróci.

„Dlaczego? - zadawał sobie pytanie Alan. - Dlaczego nie poprosiłem, aby dziś wieczór została ze mną?" Miał pewność, że godziny są policzone, że zmarnował właśnie jedyną okazję zobaczenia jej ponownie. Z zapuchniętymi z bezsenności powiekami wyszedł do łazienki i długo się wycierał. Ogromne niskie łóżko ciągnęło go jak magnes. Opadł na nie, zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie każdy szczegół twarzy Terry. Ukazała mu się z taką wyrazistością, że natychmiast wygnał z pamięci twarze kobiet, które znał dotychczas. Ledwo się pojawiła, a już odczuł do jakiego stopnia jego życia było puste i niepotrzebne, jak idiotyczne były sny o wielkości, podsuwane przez Bannistera. Przyszła jak gwałtowny powiew, ustawiając na właściwym miejscu. Podniósł się, podszedł do baru i przygotował sobie whisky, którą pił małutkimi łyčzkami, siedząc na brzegu łóżka. Popatrzył na zegarek. Ósma. Hotel zdawał się wibrować przygotowaniami gości do dobroczynnej gali. Wszystko, co wcześniej było realnością, wydało mu się teraz niepewne. Czy rzeczywiście jeździł do Rzymu? Czy na pewno istnieją ludzie, którzy go zapraszali? Za każdym razem, kiedy tego rodzaju myśl stawała się natarczywa,

pojawiały się szare oczy Terry i przeganiały ją; pozostawała tylko jej twarz. Szklanka wypadła mu z dłoni, zaczął drzemać. Zadzwoił telefon.

- Tu recepcja, proszę pana. Ktoś chce się z panem skontaktować. Czy przyjmie pan rozmowę?

- Kto tam? - zapytał Alan na wpół śpiący.

Ten ktoś chyba tego nie dosłyszał. W słuchawce słyhać było nowy głos, szorstki i ciepły, mówiący okropną angielszczyzną.

- Pan Pope? Nazywam się kapitan Le Guern. Pański jacht czeka.

- Jacht? Jaki jacht? - zachrypiał Alan.

- Victory II. Pan go wynajął od 26 lipca. Jest właśnie 26 lipca. Jestem na pańskie rozkazy. Możemy podnieść kotwicę.

Oślupiały Alan nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wir, w jaki wpadł od chwili przybycia do Cannes, zupełnie wymazał mu z pamięci myśl, że wynajął jacht!

- Czy pan mnie słyszy, panie Pope?

- Tak, kapitanie.

- Wszystko jest gotowe na pana przyjęcie. Czy mam posłać marynarzy po pańskie rzeczy i zainstalować pana na pokładzie? Pozwoliłem sobie polecić szefowi, by przygotował kolację.

Alan omal mu nie wrzasnął: „Tak”. Wypłynąć w morze, odjechać, zapomnieć... Zadawał sobie pytanie, czy w Nowym Jorku płacił za wynajęcie jachtu, ale nie mógł sobie tego przypomnieć.

- Gdzie pan zacumował, kapitanie?

- W starym porcie, dokładnie naprzeciwko zimowego kasyna. Na końcu mola. Victory II. Mam samochód. Natychmiast pana tam zawiozę.

- Proszę posłuchać, kapitanie... - powiedział z wahaniem Alan. Zdanie pozostało w zawieszeniu. Nie wiedział jak wytłumaczyć, że nie spał od bardzo, bardzo dawna. A jednak... Jacht! Jacht wyłącznie dla niego! Palił się z ochoty, aby go zobaczyć.

- Już schodzę, kapitanie.

- Będę czekać w hallu.

Zataczając się lekko, ale dziwnie podniecony, Alan ponownie wciągnął spodnie.

- Dzień dobry - powiedział Bannister. - Pan mnie zna, jestem przyjacielem Alana Pope'a

Administrator przyglądał mu się podejrzliwie.

- Przyszedłem zabrać jego pocztę.
- Dlaczego? Wyjechał? Nic mi nie mówił.
- Wyjechał służbowo... - zaryzykował Samuel w straszliwym napadzie kaszlu. - Nie miał czasu, żeby pana uprzedzić...
- Długo go nie będzie?
- Kilkanaście dni... Jest jakaś poczta?
- Pan jest jego przyjacielem, więc czy mógłby pan uregulować czynsz za lipiec?
- Zapomniał? Naprawdę?
- Naprawdę. Jest już 26 lipca. Nie chodzi o to, że nie mam zaufania, rozumie pan... raczej chodzi o wyprostowanie sytuacji. 285 dolarów.

Pańskim gestem Samuel wyjął książeczkę czekową.

- Natychmiast płacę.

Przy kłopotach, w jakich pogrążył Alana, to była naprawdę drobnostka. Z jednym zastrzeżeniem; nie był pewien, czy aby ma taką sumę na koncie. Christel starannie je opróżniła, nie pozostawiając mu na kieszonkowe nic poza niezbędne minimum.

- Dzięki temu nie będziesz pił! - powtarzała z macierzyńskim okrucieństwem.

Podczas gdy wypełniał czek, administrator przyglądał mu się uważnie. Starannie sprawdził sumę, złożył czek na pół i wsunął do portfela.

- Mam jakiś list - powiedział pół żartem, pół serio. - Kazano mi oddać do rąk własnych. Z jego banku.

Bannisterowi krew uderzyła do skroni. Pochwycił beżową kopertę, skinął głową i wyszedł z budynku. Poszedł aż do końca przecznicy, wszedł w cień bramy. Trzęsącymi rękami, przygnieciony winą otworzył kopertę. Przeczytał dwie linijki i musiał oprzeć się o mur, by nie upaść.

- Czy pan już wybrał trasę?

Le Guern nie mógł wiedzieć, że rejs nie może dojść do skutku, ale Alan postanowił wziąć udział w tej grze.

- Jeszcze nie, a co pan mi radzi?

- Moglibyśmy zostać na Morzu Śródziemnym: Korsyka, Sardynia i Włochy. Portofino, Rapallo, Santa Margherita... Albo Capri, jeżeli pan woli. Albo Elba. Wielu ma pan gości?

Alan popatrzył na niego z ukosa.

- Eee... nie. Na razie.

Kapitan był właśnie taki, jak powinien wyglądać prawdziwy wilk morski, niebieskie oczy, szpakowate włosy, głębokie zmarszczki, opalona cera. Samochód wjechał na bulwar Saint - Pierre.

- Skąd pan przyплыnął, kapitanie?

- Z Korsyki. Bardzo dużo nurkowaliśmy.

- Łowiliście ryby?

- Pan Almeida praktycznie rzecz biorąc żywił swoich gości i załogę tym, co złowiliśmy... Dojechaliśmy...

Zaparkował samochód przed trapem prowadzącym na pokład.

- Dziś wieczorem chciałem tylko odbyć mały rekonesans - powiedział Alan, usiłując nie spojrzeć na jacht.

Przeżywał jedną z tych rzadkich chwil, kiedy człowiek staje wobec spełnienia swoich marzeń. Podświadomie obawiał się rozczarowania. Nabrał powietrza i podniósł wzrok: statek był wspaniały! Biały, jednocześnie wysmukły i masywny. Jeszcze piękniejszy niż sobie wyobrażał! Dwóch marynarzy salutowało przy trapie. Uścisnął im dłonie i wszedł na pokład.

Spacerowicze włączający się po bulwarze długo podziwiali jacht z pełnym nostalgia uwielbieniem. Alan zrozumiał, co dzieliło uprzywilejowanych od motłochu, bogactwo od przeciętności, realność od obłudy. Liczyła się wyłącznie długość mostku kapitańskiego na jachcie. Na bulwarze znajdowali się ci, którzy marzyli o podróżach. Zaledwie o dwa metry wyżej byli na pokładzie ci, którzy podróżowali.

- Salon - powiedział Le Guern ustępując, by przepuścić Alana. Ciemny mahoń boazerii, bar, niskie stoły, litografie o tematyce morskiej na ściankach działowych.

- Jadalnia znajduje się górnym pokładzie. Czy chce pan zobaczyć swoją kabinę?

Alan przeszedł obok pokojówki i dwóch stewardów w błękitnych mundurkach, którzy go powitali. Zaparło mu oddech, kiedy wszedł do „swojej” kabiny. Łóżko musiało mieć ze sześć metrów kwadratowych. Meble przytłaczały swoim luksusem, kabina była dostatecznie duża, aby jeździć po niej na rowerze.

- Ile jest jeszcze kabin? - zapytał bezbarwnym głosem.

- Sześć, proszę pana. Dwie bardzo duże, pozostałe mniejsze.

- Załoga?

- Prócz mnie i drugiego oficera - powiedział Le Guern - ośmiu członków załogi i dwóch kucharzy.

- Jacht ma duży zasięg?

- Możemy opłynąć kulę ziemską - uśmiechnął się Le Guern. - To piękna jednostka!

Wystarczyło trochę pieniędzy... Wszystko stawało się możliwe. Sny się materializowały. I to było aż tak proste? Alan wyrwał się z ogarniających go marzeń.

- Muszę wracać, kapitanie. Oczekuję telefonów. Zobaczymy się jutro.

- Według rozkazu, proszę pana. Chociaż szkoda tracić cały dzień pływania.

Le Guern odwiózł go z powrotem do Majesticu. Alan szedł na górę do swego pokoju ogarnięty trudnymi do zdefiniowania uczuciami. Jego fałszywa pozycja, niepokój, nagle zakochanie się w Terry. Cudowna zabawka, którą dopiero co zobaczył. Jego łup, który rozplątał się w rękach Nadii. Banister, Norbert, Hackett, Hamilton Price - Lynch. Wystawność, zachowanie tych wszystkich ludzi, wydających się żyć na nieznanym planecie, na której nie liczyły się prawa według jakich żył dotychczas... Potrzebowałby całych tygodni, by to sklasyfikować, zanalizować, rozszyfrować. Inni, nie on, mieli wszystkie przywileje od urodzenia: czy korzystali z nich w takim samym stopniu jak ci, którzy marzyli o nich całe swoje życie?

Zaciągnął zasłony, zrzucił ubranie i wskoczył do łóżka. Spać!...
Telefon.

- No i co, jest pan gotów? Dziewięć! Tu Sarah!

- Nie mogę, Sarah, naprawdę nie mogę! Bardzo mi przykro...

- Niech pan spróbuje to powtórzyć! Ma pan zarezerwowane miejsce, jest pan moim sąsiadem z prawej!

- Proszę posłuchać, Sarah!...

- Uprzedzam pana, Alan! Jeżeli za dziesięć minut nie znajdę pana ubranego w smoking w hallu, jadę na górę i każę wyważyć drzwi!

Wyłączyła się. Alan niewiele o niej wiedział, ale wystarczyło, by miał pewność, że dotrzyma słowa. Zniechęcony, przegrany, zadzwonił na kelnera na swoim piętrze:

- Proszę podwójną kawę z ekspresu. Bardzo mocną! Przeszedł do łazienki, popatrzył na siebie niechętnie, wszedł pod prysznic, zmieniając kolejno strumienie zimnej i ciepłej wody. Wyjął z szafy

biały spencer z surowego jedwabiu, założył go na gołe ciało, potrząsnął głową, zdjął go i zaczął się ubierać. Telefon.

- Panie Pope, Nowy Jork na linii... Alan zachnął się: Bannister!

- Alan! Nie odkładaj słuchawki, Alan! Tu Sammy!

- Idź do diabła!

- Nie bądź głupi, Alan! Już nic z tego nie rozumiem!

- Ja też nie! - krzyczał Alan.

- Zdumiewające! Byłem u ciebie aby zabrać pocztę. Wiesz, co tam zastałem?

- Gliny!

- Odczep się Alan! List od Burgera! Alan skulił się. Był załatwiony na szaro!

- Nowy przelew, Alan! Oszaleję! Dwa miliony dolarów do twojej dyspozycji!

- Kłamiesz! - zawył Alan. - Masz pietra i kłamiesz!

- Przysięgam na własną głowę! Dwa miliony! Mam to na papierze.

- Wyrzuć go do śmieci! Nie chcę tego!

- Alan, błagam cię!...

- Gówno! Gówno! Gówno!

Rzucił słuchawkę, ujął głowę w dłonie, trzęsły nim dreszcze. Wszystko się rozpadało, nic już nie miało sensu, bał się. Znowu zadzwonił telefon.

- Tu Sarah! Czy mam wjeżdżać?

Powstrzymał się, by nie powiedzieć czegoś bardzo grubiańskiego.

- Schodzę.

- Proszę się pośpieszyć! Dzwonek do drzwi. Kelner.

- Pańska kawa, proszę pana.

Alan wypił ją jednym haustem. Tak jak zażywa się lekarstwo. Zawiązał muszkę, nałożył pantofle. Nowy dzwonek telefonu.

- Recepcja, proszę pana. Jest pan oczekiwany na dole...

- Już idę - poderwał się Alan.

Ciągle ogłupiały po telefonie Bannistera, nalał sobie scotcha bez lodu i połknął bez żadnych dodatków. Zatrzasnął za sobą drzwi. Wiele osób ubranych wieczorowo oczekiwało na windę. Alan wszedł do niej ostatni, uderzony zapachem oszalamiających perfum, który wypełniał stalową klatkę. Hall wejściowy kipiał ludźmi. Poszukał oczyma Sarah, nie dostrzegł jej i wyszedł na podest. Podbiegł do niego Serge.

- O! Panie Pope! Ci panowie czekają na pana...

Alan spostrzegł ogromnego, szarego, metalicznego Mercedesa 600 ze sterzącymi antenami i trzy rollsy z rozłożonymi dachami. Dwa były białe i jeden ciemnoczerwony. Umundurowani kierowcy szli ku niemu w zwartym szyku. Znał tylko jednego, Norberta.

- Proszę pana - powiedział Norbert - musiało zajść nieporozumienie. Ci panowie również przyjechali po pana. Angelo La Stresa, od pana Price - Lyncha... Leon Trotsky, od pana Goldmana, Enrique Capiello, kierowca pana Larsena...

Alan stwierdził, że każdy pozostawił otwarte drzwi samochodu.

- Już odmalowali? - zapytał Norberta wskazując brodą dwa białe rollsy.

- Nie, proszę pana. Dysponowaliśmy identycznym.

- Ach, to wreszcie pan! - rzuciła Sarah z uśmiechem. - I powiadają, że to kobiety się spóźniają! Angelo, w drogę!

Z gestem właścicielki popchnęła Alana w kierunku czerwonego rollsa.

Maleńka restauracyjka była wypełniona młodą klientelą. Jej właściciel Tony wydawał niezliczone polecenia kelnerom lawirującym między stolikami. Otarł ręce w fartuch, oparł dłonie o stół i powiedział do Hansa:

- Mam swoje dojsćcia. Rolls należy do agencji „Carlux” przy ulicy Antibes. Został wynajęty Alanowi Pope'owi, Amerykaninowi. Mieszka w Majesticu.

Hans odsunął krzesło.

- Nie wściekaj się, mały. Nie porwał twojej Terry! Sam mi powiedziałeś, że wsiadła z własnej woli.

- Dziękuję, Tony, dziękuję!

Wypadł jak burza i wskoczył na tylne siodełko ogromnego motocykla z zapuszczonym silnikiem.

- Go, Eric! Jedziemy do Cannes!

Maszyna wspięła się i wystrzeliła jak rakietka. Uczępiony ramienia swego przyjaciela, z wiatrem świszczącym w uszach, Hans odczuwał straszliwą chęć niszczenia. Po dwóch godzinach spędzonych na schodach Terry zdecydował się działać. Tony znał wszystkich w okolicy. Jego imię rzucone mimochodem na plac gry w kule budziło uznanie i szacunek wszystkich. Zanim otworzył restaurację, był przez

dwa lata w policji. Zachował dużo znajomości. Hans dał mu rollsa, który namierzył w Juan. Po trzech telefonach Tony znalazł trop.

- Czadu, Eric!

Hans wyrwał go z za stołu:

- Potrzebuję twojej maszyny. Jedziesz?

Dwaj mściciele... poznali się niedawno na festiwalu jazzowym w Juan. Hans nie miał żadnych trudności, by zwerbować trochę ochotników do pisania na murach wyrazów buntu przepełniającego ich serca. Pasjonująca menażeria, gdzie za paszport wystarczało dwadzieścia lat, a za wizę - identyczny ubiór, zobowiązywał do bezwarunkowej pomocy. Podawano sobie adresy na spanie, zapalenie skręta, tanie jedzenie. Niektórzy, jak Hans, byli studentami lub licealistami, niektórzy zerwali z rodziną, inni byli zawodowymi włóczęgami. Łączyło ich lenistwo, odrzucenie społeczeństwa, negacja wartości zgniłej burżuazji, miłości do motocykli, radość mówienia „nie”. Byli także inni, trudni do określenia, których ostatecznie ochrzczono autonomistami. Posługiwali się w walce żelaznymi sztabami, białą bronią, śmiałkowie bez adresów i tożsamości, prowokujący bójkę dla przyjemności przestraszenie tych, którzy nimi gardzili.

Motocykl sunął ulicą Antibes, skręcił w lewo i znalazł się na Croisette.

- Zatrzymaj się tutaj! - powiedział Hans. - Zaraz wracam. Palcami poprawił włosy i przeszedł ostatnie metry dzielące go od

Majesticu. Ojciec Hansa w Amsterdamie był królewskim prokuratorem.

Przeszedł pewnie przez honorowy podjazd pod otwartym niebem, przyglądając się bezczelnie tym starym bonzom - życie kończyło się po trzydziestce - którzy przebrali się jak małpy, aby lepiej podkreślić perły noszone przez Małżonkę. Co za dno! Dlaczego takie królewskie samochody jak ferrari należały do tych, którzy nie mogli ich już prowadzić? Utorował sobie drogę wśród smokingów i wieczorowych sukien. Zapracowani portierzy nie zwracali na niego uwagi.

- Proszę pana, pan Alan Pope?

- Właśnie przed chwilą wyszedł na imprezę dobroczynną.

- Sam?

- Z jakąś damą.

- Ta impreza odbywa się w Palm Beach?

- Tak, proszę pana.

Recepcjonista w błękitnym uniformie, którego pytał, nawet na niego nie spojrzał. Mówił jednocześnie do dziesięciu osób, być może w dziesięciu językach. Hans wyszedł z hotelu oszalały z zazdrości. „Dama” z imprezy dobroczynnej mogła być tylko Terry! Dawała byle komu, ponieważ miał rollsa, dawała to, czego odmawiała jemu!

- Dokąd teraz jedziemy? - zapytał go Eric.

- Wracaj do Juan.

- A twoja dzidzia?

- Nie zajmuj się nią. Ruszaj!

- Znalazłeś ją? - Nalegał Eric.

- Pewien bydlak porwał ją na gównianą galę. Wracamy po koleśków. My też zrobimy sobie święto!

- Gdzie?

- W Palm Beach!

Rozdział 21.

Sarah wczepiła się kurczowo w ramię Alana. Dookoła trzaskały flesze fotografów, spoceni jak rude myszy funkcjonariusze kasyna wskakiwali za kierownice samochodów, aby odblokować główną aleję, całkowicie zakorkowaną przez nowo przybywających. Mimo ochrony dziesiątki gapiów sforsowało metalowe barierki postawione, by trzymać ich na dystans, chcąc przyjrzeć się znanym twarzom. Za każdą z nich lub prawie każdą kryło się nazwisko, konto bankowe lub marka znanego produktu, często skandowane przez ciekawskich niczym przyjacielska i kpiąca mantra. Brygada masywnych kelnerów w osiemnastowiecznych liberiach miała za zadanie eskortować zaproszonych na uroczystość i chronić ich przed szokiem zetknięcia z tłumem. Sarah upięła na głowie diadem z kamieni szlachetnych, który ze śmiechem przytrzymała ręką. Dwadzieścia metrów dalej, w hallu Palm Beach, który zdawał się ciągnąć bez końca usiany marmurowymi misami z czerwonymi plamami wodnych kwiatów, rozpościerała się strefa ciszy, niczym oko cyklonu.

Tornado wzmagalo się przy wejściu do sal prowadzących na Taras Żelaznej Maski; w monstualnym korku próbowali pracować funkcjonariusze kasyna, zbierając kartoniki zaproszeń przy świetle pochodni trzymanyh przez służących w liberiach, białych perukach, koszulach z żabotami i błękitnych kurtkach. Zwerbowano ich w okolicznych ośrodkach sportowych, spośród atletycznych rozlepiaczy plakatów, graczy w bule, mistrzów belotki i wszelkiego rodzaju szemranych tubylców. Alan przez całe życie nie miał tak spektakularnego wejścia. Z natury skłonny do chowania się w cień, powierzył Sarah kierownictwo operacją. Uczepiona jego ręki rozpoczęła pochód rozpychając morze opalonych pleców, na których lśniły klejnoty, roztrącając smokingi brzęczące od orderów; przebrnęli przez ostatnią przeszkodę lawirując szybko, by wylądować na tarasie oświetlonym tysiącem świec ustawionych na stołach uginających się pod kwiatami, ogłuszeni przez brazylijską orkiestrę grającą bossa nova, pośród armii kelnerów biegających we wszystkich kierunkach, trzymających w rękach wielkie butle szampana. Paul, szef restauracji, pośpieszył do Sarah:

- Proszę pani, oto pani stół...

Szedł przed nimi szerokim przejściem, a setki par oczu wpatrywały się w nich pożądliwie. Spadkobierczyni Burgera była

uważana za jedną z najwspanialszych partii na ziemi: kim więc był jej towarzysz?

- Dotychczas nie powiedział pan nic o mojej sukni? - zwróciła się do Alana udając, że nie dostrzega ciekawości, jaką wywołało ich entree.

Znów ujęła go pod ramię sunąc naprzód pewnym krokiem, drżąc z rozkoszy, że jest zarazem widzem i aktorem w tym spektaklu, pozdrawiając w przelocie znajome twarze, dozując uśmiechy zależnie od znaczenia tych, dla których były przeznaczone. Straszliwie zmieszany Alan miał wrażenie, że jest jamnikiem na smyczy.

- Alan, podoba się panu czy nie?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wykonał grymas, który miał być uśmiechem.

- Jak zwykle ostatnia! - rzucił dobrodusznie Cesare di Sogno. Wstał, by powitać Sarah, i dorzucił całując jej dłoń: „Jak wszystkie gwiazdy!”

Ku swemu wielkiemu przerażeniu Alan musiał obejść stół dookoła i przedstawić każdemu z współbiesiadników. Kiedy Arnold Hackett serdecznie potrząsał jego ręką, dokonał niebotycznego wysiłku, by powstrzymać chęć rzucenia wszystkiego i ucieczki. Ale Cesare trzymał go mocno:

- Wydaje mi się, że zna pan wszystkich... Księżę i księżna de Saran... Pani Hackett... Hamilton Price - Lynch z małżonką „z domu Burger” - dorzucił przez zęby... Oczywiście Honor Larsen... Panna Betty Grone... Julie i Louis Goldman... Myślę, że to wszyscy! Nikogo nie zapomniałem? No to siadajcie, gala zaraz się zacznie!

Z dłońmi spotniałymi po tylu uściskach Alan usadowił się na przypadającym mu krześle. Po lewej Sarah, po prawej - księżna de Saran. Podczas gdy podawano im napoje, a rozmowa stała się ogólna, obserwował ją ukradkiem, uderzony perłowym lśnieniem jej cery i ulotnym pięknem tej kobiety, której imię czytał setki razy w czasopiśmie. Była znana ze względu na książęcy tytuł, a jej elegancja zapewniała jej co roku miejsce w pierwszej dziesiątce najlepiej ubranych kobiet świata.

Poczwała jego spojrzenie na sobie, przesłała mu tajemniczy uśmiech i wyszeptała:

- Dałam do czyszczenia pańskie ubranie. Jutro zostanie odesłane do pana apartamentu.

Alan spurpurowiał: przez ułamek sekundy nie rozpoznał w tej eterycznej, tajemniczej istocie pokrytej siniakami nieznajomej żarłocznie rzucającej się na niego tego ranka w domku plażowym, w szacie splamionej oliwą i jego własną spermą. Instynktownie rzucił spojrzenie na księcia, który wyraźnie wpatrywał się w niego. Alan szybko odwrócił głowę, by pochwycić spojrzenie Hamiltona Price - Lyncha. Obserwował go z niebezpieczną życzliwością. Podano kawior.

- Po tym wszystkim, co wydarzyło się w Iranie, można sobie postawić pytanie, jak oni sobie radzą, żeby go jeszcze mieć! - zauważył głośno Arnold Hackett.

- Ludzie powariowali w dzisiejszym świecie! - rzucił rozsmarowując swój kawior dwucentymetrową warstwą. - Tu rewolucja, tu żądania. Tu nie chcą pracować! Robotnicy chcą zostać szefami, biedni bogatymi, ot tak!

Połknął połowę swojej tartinki jednym energicznym kłapnięciem protezy zębowej.

- Mam te same problemy w kinematografii - dołożył Goldman. - Statyści chcą być gwiazdami już po pierwszym filmie, ostatni z maszynistów uważa się za Orsona Wellsa!...

Hackett wycelował palec w Alana:

- Coś panu powiem, ponieważ pan jest młody! Czy wie pan, jak postępuję, aby przestrzegano przepisów w moim przedsiębiorstwie? Co roku, w okresie urlopów - upust krwi! Choć boleję nad tym! Zwalniam kilkudziesięciu, a reszta zachowuje się spokojnie!

- On jest bardziej głupi niż niegodziwy - szepnęła Sarah skamieniałemu Alanowi. - Niech pan je!

- Kiedy miałem dwadzieścia lat - dodał Hackett - trzeba było walczyć o swoje miejsce pod słońcem!

- Arnoldzie, pan ma i zawsze będzie pan miał dwadzieścia lat! - rzucił Cesare unosząc swój kieliszek. - Wznoszę toast za tych, którzy umieją zachować dwudziestoletnie serce!

- Czy długo pan z nami zostanie? - spytała Mandy de Saran tonem fałszywie obojętnym.

- Myślę, że kilka dni... - powiedział Alan.

- Musi pan koniecznie odwiedzić nasz jacht.

- Alan, czy pan ze mną zatańczy? Sarah już stała. Odepchnął krzesło, wziął ją za rękę i pociągnął na parkiet.

- Proszę popatrzeć mi w oczy. Przed chwilą zadałam panu pytanie. Nie lubię pytań bez odpowiedzi. Jakiego koloru jest moja suknia? Oszust! Spojrzał pan? Podoba się panu? Może należy pan do tego gatunku mężczyzn, którzy lubują się w niedostrzeganiu jak ubrana jest kobieta, trzymana przez niech w ramionach?

Wzmocniła uścisk, przytuliła swój policzek do jego policzka i szepnęła mu na ucho:

- Czy wie pan, że jest pan pociągający? Księżna nie przestaje się panu przyglądać. Mówią, że równie łatwo zdejmuje majteczki jak okulary. Zresztą okularów nie nosi. Biedny Hubert... Par Francji ofiarą ladacznicy...

Czubkami paznokci zaczęła delikatnie drapać go w kark.

- Czy był pan kiedy żonaty?

- Tak - odpowiedział Alan.

- Długo?

Dostatecznie długo, aby nie mieć ochoty na powtórkę.

- Dostrzegła, że wpatruje się w punkt za jej plecami; odwróciła się i napotkała utkwione w nim oczy Betty Grone.

- Podoba się panu?

- Kto?

- Ta, której się pan przygląda. Tańczy z Larsenem. Betty Grone.

- Nie patrzyłem na nią!

- Kłamczuch! Ma piękne oczy i piękną resztę. Mówią, że kurwiła się przez ćwierć wieku, aby kupić sobie stado bydła. Że posiada wszystkie australijskie krowy. I że jej źle płacą. Czy lubi pan kurwy? Jutro będziemy mieli lunch na wyspach. Proszę się nie spóźnić!

- Jestem zajęty - powiedział Alan. Bez żenady ukryła głowę na jego piersiach.

- Ubóstwiam pana! - powiedziała drocząc się. - Zachowuje się pan jak dziewczyna, która się boi, że ją zgwałcą. Czy pana kiedyś zgwałcono, Alan?

- Tak.

Przytuliła się do niego nieco mocniej:

- To mnie nie dziwi. Jak działają na pana te wszystkie kobiety, które się za panem uganiają?

W tym momencie wybiegła grupa cygańskich tancerzy i skrzypków. Było ich około pięćdziesięciu. Rozbiegli się po tarasie

przy ogłuszających dźwiękach muzyki. Masa tancerzy odpłynęła w kierunku stolików z głośnym chrzęstem szlachetnych kamieni.

- Chciałabym zatańczyć... - powiedziała księżna nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Sarah władczo położyła rękę na ramieniu Alana.

- Już mi obiecał ten taniec - wyjaśniła z drapieżnym uśmiechem.

- Sarah, czy pani uczyni mi zaszczyt?...

- Arnoldzie, a moja langusta!

- Pierwszeństwo dla dwudziestoletnich serc!

Podniosła się niechętnie, spojrzała przeciągle na Alana i pozwoliła się unieść sztywnym i niepewnym krokom Hacketta. Po raz kolejny Alan spostrzegł utkwione w nim oczy Ham - Burgera. Czując się nie swoje odwrócił wzrok, by złapać spojrzenie Betty, w którym czytało się dyskretne zaproszenie.

- Czy podoba się panu ten wieczór, panie Pope? Na miejscu Sarah usiadł obok niego, Larsen.

- Czym dokładnie się pan zajmuje, panie Pope?

Alan wykonał niewyraźny gest. Chcąc dodać sobie pewności wypił łyk szampana.

- Czy był pan kiedyś skazany?

Zakrztusił się, o mało co nie wypluwając tego, co miał w ustach. Larsen poklepał go kilka razy po przyjacielsku po plecach, co odczuł jak ciosy zadane cepem. Rozkaszał się jeszcze mocniej.

- Nigdy! - wyrzucił wreszcie.

- Wie pan, kim jestem? - zapytał grzecznie Larsen. - Posiadam większość udziałów w zakładach lotniczych Sekandier. Chciałbym spotkać się z panem prywatnie. Czy to możliwe? Gdzie i kiedy? To pilne!

- Honor, odda mi pan krzesło, czy mam panu usiąść na kolanach?

- rzekła Sarah.

Larsen podniósł się pospiesznie, pochylił ku Alanowi i szepnął mu cichutko na ucho:

- Skontaktuję się z panem jeszcze tej nocy.

- Nad czym tak spiskujecie? - zapytała Sarah. - Pytał pana o radę w sprawie cen wyznaczonych przez Betty? Ten stary puchacz Hackett zmasakrował mi stopy na marmoladę!

- Sarah!...

- Nie, dziękuję - odrzuciła sucho zaproszenie Cesare di Sogno.

- Zabrała się do zimnej langusty. - Nie do jedzenia. Nie jem więcej.

- Odepchnęła talerz. - Wszędzie, gdzie pan się pojawi, staje się pan ośrodkiem zainteresowania. Jak pan to robi?

Alan miał właśnie odpowiedzieć, ale Hubert de Saran ucałował szarmancko dłoń Sarah.

- Ubóstwiam słow. Czy pani zechce?... Sarah podążyła za nim na parkiet.

- Chciałabym zatańczyć - powtórzyła księżna.

Alan podniósł się i pociągnął ją za sobą. Była niemal równie wysoka jak on, ale ruszała się tak lekko, że ledwo czuło się ją w ramionach.

- Podobało się panu?

- Co?

- Dziś rano... Przytuliła się do niego.

- Pani mąż na nas patrzy.

- Ja mu o wszystkim opowiadam. Po zakończeniu tańca pójdę do toalety. Proszę do mnie przyjść.

Wydawało mu się, że źle dosłyszał. Na jej wargach błąkał się nic nie znaczący uśmiech. Trzymała się bardzo prosto, wyniosła, jakby nieobecna. Tylko jej wzniesienie łonowy, jakby poruszał się ożywiony własnym życiem, napierając falistym ruchem na podbrzusze Alana.

- Czekam na pana - powiedziała, wciąż zimna i wyniosła. Alan odprowadził ją do stołu. Wzięła torebkę z plecionki złotych nitek i nie patrząc na nikogo skierowała się ku wyjściu. Lou Goldman schwycił za ramię powracającą Sarah. Hamilton Price - Lynch natychmiast skorzystał i zajął krzesło zwolnione przez księżnę.

- Muszę z panem pomówić, panie Pope. , Alan uważał się za straconego:

- Tutaj? - wybełkotał.

- Proszę być u siebie tej nocy! Zadzwoń do pana. Uśmiechnął się olśniewająco do swojej żony. Wpatrywała się w niego udając, że słucha uważnie szczebiotu Victorii Hackett.

I nagle wszystkie światła zgasły. Mężczyźni objęli swoje partnerki, nie tyle z czułości, ale by nie pozwolić anonimowym dłoniom na wykorzystanie ciemności i zerwanie klejnotów. W świetle reflektorów ukazał się Gil Houdin.

- Panie prezydencie... Wasze Wysokości... Panie hrabio... Panowie i panie...

- Zaczyna się cyrk! - szepnęła Sarah. - Co chciał od pana Hamilton?

Cesare ucałował rękę Julii Goldman, którą odprowadził na miejsce. Alan pomyślał szyderczo o Mandy de Saran czekającej na niego w toalecie.

- Alan, o czym pan myśli?

... to takie wspaniałe, że się o nich nie zapomina... że się im pomaga... pańskie wielkie serce... - kontynuował głos Gila Houdina. - Hojność... licytacja... dziękuję w imieniu tych wszystkich, którzy cierpią, dziękuję!...

Po raz pierwszy Alan popatrzył jej prosto w oczy. Stracił wszystko, a więc nie miał już nic do stracenia: nie bał się więcej Sarah. Ani jej, ani nikogo.

- Nie chciałbym pani zaszokować - powiedział.

- Mnie zaszokować? No już! Niech pan nie oszukuje!

- Nic, nic. Naprawdę... Zupełnie nic!

... Jedno z najwspanialszych dzieł Chagala... 50 tysięcy dolarów... Na nasz cel... 60 z prawej... 60, kto da więcej?... 70! Dziękuję panie prezydencie... 80!... 90!... Wszystkie muzea świata biły się, aby go mieć... 100!

Wzięła go pod stołem za rękę.

- Jest pan dziwnym chłopcem, Alan... Zbijającym z tropu...

- 120 tysięcy! Panie prezydencie! 150! Księżniczko!...

- 160! - zagrział Hackett, którego kultura artystyczna nie wychodziła poza zdjęcia zachęcająco uśmiechniętych dziewcząt w kalendarzach jego firmy.

Betty delikatnie pociągnęła za łokieć Honora Larsena.

- Pana kolej!

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- To akcja dobroczynna! Niech pan weźmie udział w licytacji!

- Ile?

- 200.

- 200! - krzyknął Larsen unosząc rękę.

- 200! - krzyknął Houdin jak echo. - Kto da więcej niż 200? Ze stron głównego wejścia dał się słyszeć jakiś hałas: eskortowany przez

liczne stado przyjaciół i dworaków ukazał się księżę Hadad. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- Uwaga, panowie! Za wspaniałego Chagala... 200?... 200?... Kto mówi 210?...

- Perfumy Arabii... - skomentowała Sarah.

Alan tak jak wszyscy obserwował grupę spóźnialskich. Uwieszona ramienia księcia szła oszłamiająca blondynka w białej sukni, lśniąca od brylantów i drogich kamieni. Serce Alana zamarło: Marina!

Ze swej strony Hackett pospiesznie nakładał okulary: Marina!

Poprzedzani przez lokajów z pochodniami księżę i jego świta zbliżali się do olbrzymiego, zarezerwowanego dla niego stołu w pierwszym rzędzie. Alan był pewny, że śni, ale kiedy Marina przechodziła o dziesięć metrów od niego, podniósł impulsywnie rękę, by dać jej znać. Natychmiast został złapany w wiązkę oślepiającego światła.

- 210 000! - głosił Gil Houdin. - 210 tysięcy, tu, przede mną!

- Do tego stopnia lubi pan Chagala? - ironizowała Sarah starając się ukryć zdumienie.

- Słucham?

Przesunął się po nim niewidzący wzrok Mariny.

- 210 tysięcy! Panowie, 210 tysięcy dolarów!

Nie podniosła się już żadna ręka. Krótkim spojrzeniem Houdin obrzucił plemię księcia sadowiące się z wielkim szuraniem krzesel: wejście Hadada przerwało tempo licytacji. Było bardzo gorąco. Nagle poczuł, że chciałby być gdzie indziej.

- 210 tysięcy, panowie... Nikt nie da więcej?... Chagal! Nie... Po raz pierwszy... Po raz drugi... Po raz trzeci?... Kupione!

Fala oklasków przeleciała przez taras.

- Proszę pana bardzo!... Proszę pana!... Czy zechce pan podejść... Proszę się zbliżyć!

Sarah gwałtownie trąciła kolanem Alana.

- Na co pan czeka?

- Słucham?

Zadawał sobie pytanie, czemu reflektor wycelowany jest w niego. Dwie blond hostessy w niebieskich mundurkach złapały go za ręce. Zdumiony, ciągle w pułapce wiązki światła, czuł że bezwzględnie pchają go na scenę.

- Moje gorące gratulacje! - rzucił mu Houdin przyjaźnie poklepując po ramieniu. Wyciągnęło się w jego kierunku z dziesięć mikrofonów. Houdin ciągle nie puszczał jego ręki. Hostessy wymachiwały Chagalem. Houdin usunął się. Alan wrósł w ziemię jak idiota, w świetle reflektorów, ze swym obrazem pod pachą. Oklaskiwano go. Dwie blondynki wzięły od niego Chagala. Houdin szepnął mu:

- Proszę wypełnić czek... Chcę, aby wszyscy zaproszeni to zobaczyli!

Alan rzucił mu oszołomione spojrzenie. I właśnie wtedy trzy motocykle wpadły z przeraźliwym rykiem na taras. Myśląc, że chodzi o jakąś nową atrakcję, damy z wyższych sfer biły brawo czubkami palców uginających się od pierścieni. Jednocześnie na scenie pojawiło się dziesięć innych maszyn, przybyłych od strony morza. Przecięły salę jak pociski, kontynuując swój kontrolowany lot i wylądowały na najbliższych stołach, rozgniatając przy tym przejeździe szczątki deseru, zamieniając w pył szkło i zastawę. Taras zalał cierpki smród spalin z przegrzanych rur wydechowych. Jeden z motocyklistów w przelocie wyrwał kelnerowi ogromny tort z kremem czekoladowym i rzucił nim w niepokalany gors admirała. Goście, wciąż jeszcze niedowierzający, zaczęli pojmować, że sprawa jest poważna.

- Szybko! Policja! - rzucił Gil Houdin szefom ochrony, która stawiała się na rozkazy.

Szalone motocykle pędziły na pełnych obrotach między stołami, kierowane przez horde łachmaniarzy, w kaskach z przyłbicami upodabniających ich do średniowiecznych wojowników. W ogłuszającym koszmarnym zamęcie wrzeszczeli, niszcząc wszystko, co tylko mogli zniszczyć. Pasażerowie siedząc okrakiem na tylnych siodełkach wymachiwali żelaznymi sztabami, uderzali w stoły, zrywali obrusy, rzucali na ziemię zastawę, w ogłuszającym hałasie tłuczonych talerzy, wazonów, ciast, olbrzymich butelek szampana.

- Niech wrócą Cyganie! - wrzasnął Houdin. - Muzyka!

Zespół w pełnym komplecie skoczył w zamęt bitewny, szarpiąc struny skrzypiec, skandując dzikie węgierskie akordy w rytmie allegro vivace. Kobiety wyły, ściskając swoje klejnoty, a niektórzy goście, z których wielu miało za sobą wątpliwą przeszłość, żwawo wywijają krzesłami, rozbijając je w proch na głowach jeźdźców latających jak rój wściekłych os. Muskularni lokaje w blond perukach pospieszyli z

pomocą. Niektóre maszyny straciły równowagę i unosiły się z szybkością pocisku, wyrzucając kierowców w powietrze.

- Do sali gier! - wrzasnął jakiś głos.

Kilkadziesiąt motorów wystartowało ze straszliwym świstem, wtargnęło na korytarz i przejechało przez drzwi wejściowe mimo interwencji fizjonomistów i urzędników pracujących w hallu, którzy padali jak kręgle. Wokół stołów gry zapanowała panika. Każdy próbował odzyskać swą stawkę, i jeżeli to możliwe, zgarnąć stawkę sąsiada. Krupierzy bronili sztonów uderzeniami grabek, szefowie sali rzucali w napastników wszystkim, co im wpadło w rękę: półmiskami, rondlami, stosem talerzy, szynką, wszystkim, co było dość ciężkie, by powalić i zranić. Atletyczni lokaje skakali łobuzom na plecy, by wywrócić motocykl.

Dwadzieścia maszyn wjechało za bar, rozbijając w pył rząd butelek za pomocą żelaznych sztab. Potem pojawili się w kuchni, gdzie kelnerzy, pomywacze i kucharze, uzbrojeni w różny i brytfanny oszańcowali się za ogromnym bufetem z wyborami cukierniczymi i spokojnie oczekiwali napastników. Straszliwa bijatyka rozegrała się w kałuży galaretki porzeczkowej, w której maszyny ślizgały się i padały z nie wyłączonymi silnikami, wirując niczym potworne baki z ogłuszającym rykiem.

Walka wręcz rozegrała się wśród wywróconych garnków z kremem chantilly, na stołach pokrytych prowansalskim sosem pomidorowym...

Na zniszczonym tarasie ciągle wrzała walka.

- Dawajcie ogień sztuczne! - wrzeszczał Gil Houdin.

Na niebie wybuchały wirujące słońca, oświetlając scenę. Najtwardsi goście w poszarpanych smokingach zbili się w czworobok, blokując wyjście za pomocą przewróconych stołów. Jeden z nich, były motocyklowy mistrz świata, wskoczył na siodełko maszyny, której kierowca dogorywał na podłodze w kałuży krwi. Wziął na siodełko lokaja, któremu spadła fryzowana peruka odsłaniając potężny kark zapaśnika. Ruszyli w rajd, przemieszczali z szaloną szybkością, nieuchwytni i powodujący ogromne straty wśród napastników. Zapaśnik dziesiątkował ich uderzeniami żelaznej szpady.

- Gliny!

Rozległy się syreny wozów policyjnych. Motocykle wspięły się, przeskoczyły zdewastowane stoły, wdrapały na podium prowadzące

na scenę, przemknęły przez salon dla honorowych gości, pojawiły się niczym widma w sali gry i w grillu i wreszcie rozprysnęły we wszystkie strony. Na jednym z nich siedział Hans. W całym Palm Beach nie napotkał na najmniejszy ślad Terry. Rodeo nie wyczerpało przepelniającej go wściekłości. Zagwizdał na palcach i wrzasnął:

- Do Monte Carlo! Zniszczymy wszystko!

Rozdział 22.

Idę się położyć - rzuciła Emily.

Hamilton przetłumaczył to natychmiast: „Hamilton, kładź się!”

- Już idę, kochanie - powiedział z miłym uśmiechem. -
Przygotuję ci tylko sok pomarańczowy.

Odwieczny rytuał. Od piętnastu lat' musiał własnoręcznie wycisnąć kilka pomarańczy, których sok piła przed zaśnięciem. Musiał również podawać jej ogień, gdy tylko brała papierosa. A także przytrzymywać drzwi w tych wszystkich cholernych miejscach, dokąd się udawała; milczeć, kiedy mówiła; udawać zaniepokojonego, kiedy milkła; litować się nad jej migrenami; akceptować bez zastrzeżeń wybór garderoby; znosić w milczeniu zatrute strzały wypuszczane w jego kierunku przez Sarę; dostosować swój rozkład czasu do jej zajęć. W zamian za te wyrzeczenia księżę małżonek miał prawo chlubić się zewnętrznymi oznakami potęgi i chwały.

- Hamilton, na co czekasz?

- Kładź się do łóżka, już przychodzę.

Podczas bójki udało im się pozostać na uboczu. Każde ratowało się na własną rękę. Patrzył teraz na nią, jak szła do pokoju. Mając pięćdziesiąt pięć lat, Emily zachowała sylwetkę młodej dziewczyny. Hamilton musiał nawet przyznać, że wielu kochanków uważało ją ciągle za bardzo pociągającą. Jemu nigdy się nie podobała.

Kiedy była żoną wielkiego Francka Burgera III, on był tylko plenipotentem banku. Dzisiaj był jego prezesem i naczelnym dyrektorem. Pod warunkiem, że będzie się podobał. I dopóki Sarah, jego pasierbica, nie każe go wyrzucić, by samej sięgnąć po władzę. To właśnie ta sytuacja, równie tymczasowa co niewygodna, pchały go do działania mimo groźby utraty wszystkiego.

Otworzył drzwi lodówki, wziął trzy pomarańcze i wycisnął je do szklanki. Następnie zrobił kilka kroków na palcach, rzucił spojrzenie na lustro szafy, w którym odbijał się cały pokój. Emily siedząc przy toalecie nakładała na twarz ohydną brązową maź. Wrócił szybko do salonu, wyjął z małego pudełeczka w kieszeni trzy proszki i wrzucił je do soku. Rozgniół je starannie łyżeczką.

- Hamilton!

- Jestem!

Nie lubiła czekać. Wziął szklanekę i zaniósł. Wytarła twarz papierowymi serwetkami.

- Nie kładziesz się?

- Muszę jeszcze przejrzeć papiery.

Postawił szklanke na nocnym stoliku.

- O trzeciej rano?

- Fischmayer czeka na odpowiedź. Mam tego na jakieś dwadzieścia minut. Bardzo jesteś poruszona?

- Czym?

- Napaścią tych łobuzów na Palm Beach. Czego ci potrzeba?

- Czuję się zdenerwowana, Hamilton.

Weszła do łóżka, wzięła szklanke i wypła jednym haustem. Hamilton usiadł na brzegu łóżka, ujął jej rękę i pocałował z czułością.

- Bardzo jestem zdenerwowana - powtórzyła.

Nie miał wątpliwości, co miała na myśli. W obawie przed upokorzeniem podróżował z małą walizeczką wyładowaną specjalnymi tygodnikami. Jego małżeńskim dopingiem...

- Zaraz do ciebie przyjdę.

Pogłaskał ją po czole, wrócił do salonu, usiadł na sofie z zatroskanym wyrazem twarzy. Przed dwoma dniami pieniądze Johna - Johna Newtona dotarły do Nowego Jorku. Nie chcąc wprowadzać w panikę swojego sztabu, Hamilton zdeponował je w Chase Manhattan, w którym zażądał - i otrzymał - 12 procent od wkładu krótkoterminowego. Na cztery dni, jeżeli operacja rozegra się tak, jak przewidywano. Na nieszczęście śmierć Brokera pomieszała karty. Hamilton zgodził się ostatecznie na to morderstwo, ponieważ nie miał żadnego innego wyjścia. Broker mógł go doprowadzić do ruiny. Jedno słówko szepnięte Emily na temat operacji i Hamilton zobaczyłby, jak wali się cierpliwie i dokładnie opracowany plan, który miał uwolnić go od niej, zapewnić niezależność i położyć rękę na fortunie Burgera, zanim Sarah uzyska prawa do spadku.

Westchnął głęboko dostrzegając śmieszność swojej pozycji. Za kilka godzin John - John Newton zażąda wyjaśnień. Jeżeli nie będzie mu mógł przedstawić nowego nazwiska, Newton wycofa się, a jego spotka katastrofa. Ostatnią szansą była dobra wola drobnego, nędznego urzędniczyny, który uważał, że może go wykiwać realizując czek przelany na jego konto przez pomyłkę!

Popatrzył na zegarek. Za pięć minut zacznie działać środek nasenny połknięty nieświadomie przez Emily. Będzie mógł wreszcie złożyć wizytę Alanowi Pope'owi.

- Był pan wspaniały, Alan!
- Bez przesady, nawet nie drgnąłem.
- Zniszczył pan motocykl!
- Tylko pociągnąłem za obrus, kiedy wjechał na stół. Poślizgnął się. Bałem się, że mnie zdiełają żelazną sztabą.
- Będąc na pana miejscu, mój ojczym posłużyłby się matką jak tarczą!

Po przyjeździe policji Sarah wyciągnęła go z Palm Beach wśród iście piekielnego zamieszania. Nie zwracając uwagi na swój samochód i kierowcę wzięła go pod ramię. Szli wzdłuż Croisette w zgiełku strażackich wozów i syren karettek pogotowia.

- Dlaczego pani go tak nie cierpi?
- Jest płytki, ograniczony, fałszywy.
- Być może pani matka nie podziela tego zdania?
- Służy jej za parawan i nienawidzi jej!

Przechodzili przed Felixem. Noc była łagodna. Na opustoszałym tarasie, gdzie w dzień walczono o stolik, dwie dziewczyny i chłopak siedzący okrakiem na krześle wybijali rytm bluesa na bębunku. Alan pomyślał z goryczą, że ta młoda kobieta, uwieszona ze zbyt wielką swobodą jego ramienia, jest spadkobierczynią jednego z największych banków prywatnych na świecie. Do tego był to bank, od którego zaczęły się wszystkie jego nieszczęścia.

- Czy była pani kiedyś zamężna, Sarah?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nigdy nie znalazłam swojego pana. Kątem oka dostrzegła uśmiech Alana:

- Czy to takie śmieszne?
- Mówi pani o małżeństwie jak o związku przymusowym.
- A tak nie jest?
- Nie, jeżeli mają do siebie wzajemnie zaufanie.
- A pan ufa ludziom?
- Tak.
- I nie żałuje pan tego?
- Żałuję. Niemal zawsze.
- I dalej pan będzie ufał?
- Trzeba przyjąć, że to leży w mojej naturze.

Czy Ham Burger zapudłuje go już tego wieczoru czy jutro? Błogosławił dziki wybryk tych mętów, który wybawił go - po raz kolejny! - z groteskowej sytuacji: pieniędzmi, których już nie posiadał miał zapłacić za obraz, którego nie kupił. Zaskoczyło go pojawienie się Mariny u boku Hadada. Kilkanaście godzin wcześniej podobne zdarzenie dosłownie ścięłoby go z nóg, ale w międzyczasie spotkał Terry. W jaki sposób w tak krótkim czasie pojawienie się w jego życiu pary szarych oczu i kaskady popielatoblond włosów mogło zatrzeć wszystko, co ją poprzedzało? I jak Marina mogła uczestniczyć w Cannes w dobroczynnej uroczystości, podczas gdy jeszcze tydzień wcześniej nie wystawiała nosa poza Greenwich Village i nawet nie wiedziała, że istnieje jakaś Francja?

- Oto dowód, Alan! Gdzie pan się podziewa?

- Tutaj.

Przez chwilę korciło go, aby jej się zwierzyć, poprosić o opiekę. Nie wiedział już, jak się rozeznac w tym wszystkim, co się wydarzyło ani w co wdepnął. Patrzył, jak przesuwają się przez ciemną redę światła statku wycieczkowego, wypływającego na pełne morze. W Nowym Jorku Bannister wkładał pantofle, by zasiąść do stołu. Było mu przykro, że był dla niego taki szorstki. Sammy zawinił tylko tym, że wymarzył sobie dla przyjaciela coś, czego nie mógł przeżyć sam. Sarah ścisnęła go za rękę.

- Zaprosi mnie pan na strzemiennego?

Larsen i Price - Lynch stali już być może pod jego drzwiami?

- Jestem wykończony, Sarah. Umrę, jeżeli się trochę nie prześpię.

- I tak pan umrze.

Weszli na dziedziniec Majesticu, gdzie stał sznur samochodów wracających z Beach z milionerskim ładunkiem nasyconym mocnymi wrażeniami. W ich opowieściach każdy był bohaterem. Niektórzy dumnie obnosili ślady odniesione w czasie bijatyki, o której opowiadali teraz zdumionym i pełnym podziwu portierom.

- Alan?...

- Nie, Sarah, nie... Przykro mi. Nie trzymam się już na nogach. - Ma pani do mnie żal?

Rzuciła mu ironiczny uśmiech:

- Proszę nie zapomnieć! Jutro obiad na wyspach! Spotkanie w hallu o 11.00.

Nie odwracając się odeszła w kierunku wind. Alan pomyślał, że jeżeli jutro będzie jadł jakiś obiad, to odbędzie się to w więzieniu w Grasse.

Była ósma wieczorem i mieli właśnie zasiąść do stołu. Samuel korzystając z tego, że Christel jest w kuchni, udał się do pokoju, otworzył szafę i zamyślił nad ubraniami, które miał zabrać. Trudny wybór... Nigdy nie był na Lazurowym Wybrzeżu. Nadśluchiwał. Znów dobiegł go kojący i znajomy hałas uderzających o siebie garnków i talerzy. Od chwili, gdy wyznał jej, że jest zwolniony, Christel nie uczyniła mu żadnej wymówki. On w dalszym ciągu spał w dzieciennym pokoju, ona zachowywała się jak zwykle. A jednak była ta chwila prawdy, kiedy zerwali trwające między nimi od dwudziestu pięciu lat milczenie. Powiedzieli sobie mało, ale wystarczająco wiele, aby sprowokować dobroczynne pęknięcie w ponurej konwencji ich małżeńskich stosunków. Jak przyjmie wiadomość o jego wyjeździe?

- Samuel...

- Christel?

- Gotowe.

- Już idę.

Sprawdził ostatni raz zamknięcie walizki, zamknął drzwi szafy i przeszedł do kuchni.

- Możesz siadać, obiad na stole.

- Pachnie zachęcająco...

Zaatakował udko pieczonego kurczaka leżące koło kukurydzianej kolby i kępkę brokułów.

Usiadła naprzeciwko niego, otworzyła butelkę piwa i puszkę coca - coli.

Jedli nie mając sobie absolutnie nic do powiedzenia. Im dłużej trwało milczenie, tym uporczywiej dręczyło Samuela pytanie, jak powiedzieć jej o swojej podróży. Odkasznął.

- Christel...

- Tak? - odezwała się nie patrząc na niego, wyluskując ziarna z kukurydzianej kolby.

- Rozmawiałem dziś popołudniu z Alanem Pope'em. Źle z nim... Bardzo źle!

Żadnej reakcji. Wlał do szklanki pół butelki piwa.

- Czuję się trochę odpowiedzialny, rozumiesz.

- Za co?

- Jest młodszy ode mnie. Matkowałem mu trochę u Hacketta.

Delikatnie wyjmowała kostki ze skrzydełka kury.

- Obawiam się, że cholernie potrzebuje pomocy.

- Wiódł ślepy kulawego... wymruczała przez ledwo, ledwo uchylone zęby.

Umowa została zerwana! Natychmiast wskoczył w powstałą szczelinę.

- Nie będzie mnie przez kilka dni.

- Sam się zwolniłeś?

- Mam prawo do tygodnia urlopu.

Rzuciła przez pokój na wół zjedzoną kolbę i poczerwieniała:

- Gdzie chcesz jechać? Z kim? Ze mną? Pope! Pope! Ciągłe Pope! Czy jesteś żonaty z Alanem?

- Christal, chodzi tylko...

- Zostajesz bezrobotnym mając pięćdziesiątkę, twoja żona jest bez środków utrzymania, a ty wyjeżdżasz na wakacje z Alanem Pope'em! A ja? Przecież nie miałam wakacji!

Samuel położył serwetkę na stole i wzruszył ramionami. Po telefonie do Alana, który kazał mu się wypchać, polecił Patsy, aby załatwiła mu bilet do Nicei. List Burgera przesyłający Alanowi 2 miliony dolarów przestraszył go bardziej niż cała reszta. Cokolwiek powie mu Christel, wyjeżdża jutro.

- Posłuchaj mnie uważnie, Samuel! Jeżeli nie będzie cię tutaj jutro wieczorem na kolację, możesz nie wracać! Nie będzie mnie już tutaj!

Zaczął mieć nadzieję, że dotrzyma słowa.

Alan już dawno przekroczył tę ostateczną barierę zmęczenia, poza którą nie można zasnąć.

Zwalił się na fotel ze szklanką whisky w rękę. Dobijał do końca podróży. Ham - Burger zadmie w zwycięskie fanfary. Pukanie do drzwi. Larsen? Otworzył: Price - Lynch.

- Ja tylko na chwileczkę, panie Pope. Czy mogę usiąść?

Nie był już w smokingu, ale w czarnej, kaszmirowej marynarce narzuconej na koszulę bez krawata.

- Pan mnie nie zna, ale ja pana znam bardzo dobrze. Ma pan trzydzieści lat, został pan zwolniony przez Hacketta i ma pan zamiar zapłacić za swój pobyt w Cannes pieniędzmi, które zostały panu

przekazane przez mój własny bank, Burger. Bardzo dokładnie: 1 174 000 dolarów. Czy się mylę?

Alan nie uczynił żadnego gestu, nie powiedział słowa. W czasie tych ostatnich dni żył w takim napięciu, że odczuwał niemal ulgę: wszystko się kończy. Za kilka godzin znajdzie się w więzieniu. Nie zobaczy już więcej Terry.

- Czy myślał pan, że pozwolę się ograbić, aby pan mógł sobie zafundować milionerskie wakacje na Lazurowym Wybrzeżu?

Alan obracał w palcach szklankę. Słychać było tylko szmer kostek lodu postukujących o ścianki.

- To wszystko, co pan ma mi do powiedzenia, panie Pope? Alan ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Wie pan, że mogę pana zapudłować. Bezpośrednio ze swego apartamentu zejdzie pan do celi.

Dalsze milczenie.

- Powiedziałem: „mogę”. Nie powiedziałem: „zrobię to”. Widzi pan, uważam to za idiotyczne, aby chłopak w pana wieku gnął latami w więzieniu. Być może jest lepsze rozwiązanie.

Alan podniósł głowę i napotkał jego spojrzenie. Miał szarozielone, lekko wyłupiaste oczy. Lodowate oczy o fałszywym uśmiechu.

- Próbowałem zrozumieć przyczyny pańskiego zachowania, znaleźć się w pańskiej skórze. Zadawałem sobie pytanie, jak człowiek tak inteligentny mógł się zachować tak głupio. Głupio, ponieważ niepowodzenie było nieuchronne. Znalazłem na nie tylko jedną odpowiedź, panie Pope: uraza i gniew. niesprawiedliwie pana wyrzucono, chciał się pan zemścić. Czy tak?

Alan zrobił minę, którą Price - Lynch raczył uznać za potwierdzenie.

- Na nieszczęście próbując dosięgnąć Hacketta, trafił pan we mnie. Jeśli pan o tym nie wie, to pomyłka, z której pan skorzystał, zrodziła się z mojego banku. Czy przed dzisiejszym wieczorem znał pan Arnolda Hacketta?

- Nie.

- To bezwzględny człowiek, który nie liczy się z ludzkimi potrzebami. Liczą się dla niego jedynie bilanse na koniec roku. Rozumiem doskonale, że można go nienawidzić. Nie próbuję usprawiedliwić pana niedelikatnego gestu, próbuję tylko odkryć pana

motywacje. A teraz jedno pytanie: czy ciągle ma pan ochotę zemścić się na nim?

- Na nic już nie mam ochoty.

- Mimo tego co Hackett panu zrobił?

- On nawet nie wie, że ja istnieję.

- A jeżeli dam panu okazję odpłacić mu pięknym za nadobne?

- Mam to gdzieś.

- Facet, który pozbawił pana pracy? Który popchnął pana do nieuczciwości?

- Wszystko mi jedno. Może pan wezwać gliny.

- Ależ, panie Pope...

Szukał czegoś oczyma i odpowiedział na nieme pytanie Alana:

- Chętnie się napiję. W pana sytuacji to rzeczywiście drobnostka, czy da mi pan coś do picia!

Alan popatrzył na niego, wziął butelkę scotcha z barku i lód.

- Pańskie zdrowie, panie Pope. - Wypił duży łyk i mlasnął. - A jeżeli bym panu powiedział, że przyszedłem jako pański przyjaciel?

Alan znieruchomiał. Ham - Burger skrzyżował ręce i skupił się pełen obrzydzenia: musi paktować z taką miernotą bez polotu.

- Czy chciałby pan zrujnować człowieka, który pana pogrążył? Wypił drugi łyk, aby dać Alanowi czas na przetrawienie swoich słów.

- Moja propozycja jest bardzo poważna. Daję panu możliwość rewanżu i spuszczam zasłonę na to, co pan uczynił. Oczywiście zanim pójdę dalej, potrzebuję pana całkowitej zgody. Czy pan to rozumie?

- Tak - powiedział Alan rozdarty pomiędzy chęć, by z tym skończyć i małym płomykiem nadziei.

- A więc tak?

Alan z zakłopotaniem gryzł usta.

- Doskonale, panie Pope. Karty na stół. Dziś rano przelałem na pana konto 2 miliony dolarów.

Więc Bannister powiedział prawdę!

- Mam nadzieję, że pan jest przekonany, że nie szykuję panu żadnej pułapki.

- Ależ dlaczego te pieniądze? - jękał się Alan.

- Jest pan w fatalnej sytuacji, panie Pope. Chcę panu pomóc. Poza tym mogę negocjować poważnie tylko z człowiekiem mającym pewne zabezpieczenie bankowe.

- Jakiej sprawy?

- Sprawy, która powinna pana ubawić.
- Czego pan ode mnie oczekuje?
- Chcę, aby pan wykupił Hacketta. Alan podskoczył.
- Co?
- Wykupi pan Hackett Chemical Investment - powtórzył Price - Lynch spokojnym głosem.
- Czy pan oszalał?
- Niech pan sam oceni.
- Hackett wart jest co najmniej 200 000 milionów dolarów!
- Będzie pan dysponował taką sumą.
- Nikt nie uwierzy, że były urzędnik tej firmy, może ją wykupić niedługo po tym, jak go wyrzucili na zbity pysk!

Pozbawiony radości śmiech Hama - Burgera brzmiał jak skrzypienie zardzewiałej kołatki.

- W sytuacji, kiedy pan może zapłacić, jest bez znaczenia to, kto wierzy lub nie wierzy, panie Pope. Nieważna jest pańska przeszłość ani pochodzenie pana funduszy.

- A Arnold Hackett, co pan z nim zrobi? Ukryje go?
- Hackett to nie pana sprawa.
- Pana operacja jest niemożliwa do zrealizowania!
- Nie „moja” operacja, panie Pope. Pańska! To prosta sprawa. Mam nadzieję, że pan wie, co to jest OPA? Jutro w moim imieniu zgłosi pan publiczną ofertę zakupu firmy Hacketta.

- Ależ, panie Price - Lynch, jeżeli nawet drobni ciułacze będą gotowi odsprzedać swoje akcje, to nic z tego nie będzie! Arnold Hackett dysponuje 60 procentami kapitału znajdującego się na rynku! Wszyscy o tym wiedzą!

- Panie Pope - powiedział sucho Ham - Burger - jeżeli by pan wiedział równie dobrze jak ja, jak przedstawiają się sprawy i co kto posiada, byłby pan dziś zamiast mnie naczelnym dyrektorem Burgera. A ja byłbym na pańskim miejscu, co trzeba przyznać nie byłoby szczególnie korzystne. Proszę się więc na razie ograniczyć do robienia tego, co panu mówię. I błagam pana, niech pan nie myśli za mnie! Za swą pomoc dostanie pan po zakończeniu operacji 20 tysięcy dolarów. Sam pan je odliczy od tych 1 170 400 dolarów, które mi pan zwróci.

Alan zmienił się na twarzy:

- Jeden drobny kłopot, panie Price - Lynch. Ja już nie mam tych pieniędzy.

- Słucham?
- Jak pan sądzi, jakimi pieniędzmi grałem przeciw panu wczoraj wieczorem?
- Pan przecież wygrał! - oburzył się Ham - Burger.
- Z panem - tak. Ale nie z księciem Hadadem.
- Pan grał z Hadadem?
- Nie ja. Moja partnerka, Nadia Fischler. Przegrała wszystko.
- Pan myśli, że ja to kupię?
- To prawda. Wszyscy w kasynie o tym wiedzą. Niech pan się zapyta.
- Złodziej! Łajdak! Kłamie pan! Chcę moich pieniędzy!
- Bierze mnie pan za błazna?

Ham - Burger stał z zaciśniętymi pięściami. Oczy wychodziły mu z orbit.

- Wydam pana glinom! Sprawię, że zapudłują pana na dziesięć lat! Daję panu czas do dziesiątej rano, by odzyskać pieniądze, które pan ode mnie wyłudził! Dziesiąta, słyszy pan? Radź sobie, jak chcesz, razem ze swoim kurwiszonem! I jedna rada... Niech pan nie próbuje się zmyć! Już pan jest śledzony!

Odsunął wierzchem dłoni szklanę, z której pił, i wypadł na korytarz. Skamieniały Alan czekał, aż uspokoi się bicie jego serca. Próbował pomyśleć, wprowadzić nieco porządku do swoich myśli. Price - Lynch powiedział mu za dużo. Odtąd był w posiadaniu sekretu, z którym nie mógł nic zrobić: po cóż było uprzedzać Hacketta? Ale posiadanie tego sekretu było niebezpieczne. Wróciły do niego słowa Hama - Burgera: „Już pan jest śledzony”. Najlepszy sposób, aby to potwierdzić, było wystawienie tej groźby na próbę. Wrzucił do worka dzinsy, kilka koszul i przybory toaletowe. Była trzecia trzydzieści. Za niecałe siedem godzin zapuka do drzwi Terry. Jediną sprawą, jaka go obchodziła, zanim znajdzie się za kratami, było spotkanie jej i czas z nią spędzony. Nikt tego nie zdoła mu ukraść. Jeżeli uda mu się swobodnie wyjść z hotelu, musi mieć gdzie spędzić resztę nocy. Przypomniawszy sobie wreszcie o swoim jachcie! Komu przyjdzie do głowy, aby tam go szukać? Podszedł do drzwi, położył rękę na klamce. Ktoś sucho zapukał trzy razy.

Księżna przyzwyczaiła go do swoich eskapad, ale Hubert de Saran niepokoił się. Mandy była obok niego w samym sercu potyczki kiedy wymachiwał olbrzymią pustą butelką po szampanie, usiłując

trafić nią w motocykl. Kiedy rzucał - zresztą nie trafił - jej już nie było. W zgiełku towarzyszącym pojawieniu się oddziałów policji zniknięcie księżnej pozostało nie zauważone. Każdy robił rachunek swych ran i guzów, sporządzał listę przepadłych klejnotów, podartych ubrań. Myśląc, że ma jakąś potajemną przygodę, księżę wrócił dyskretnie do Majestic. Wziął prysznic i ubrał się w jedwabny szlafrok ozdobiony jego herbami. Teraz siedząc przed aparatem telefonicznym zadawał sobie pytanie, czy ma wezwać policję. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Zanim zdołał się odwrócić, księżna już była w salonie.

- Mandy! Co się stało? Umierałem z niepokoju!

Zobaczył z przerażeniem, że jej suknia z czarnego musłinu jest w strzępach, jeden z jej pantofli stracił obcas, a włosy są brudne.

- Mandy!

Gestem ręki dała mu znak, aby nic nie mówił. Oparła się o ścianę, zamknęła oczy i delikatnie oddychała przez nos, jak gdyby pogwizdując. Jej łono wznosiło się gwałtownie. Zbliżył się do niej.

Pachniała oliwą i smarem.

- Mandy, co oni pani zrobili?

- Pozwól mi odetchnąć, Hubercie...

Przyjrzał jej się z bliska. Miała na szyi podejrzone plamy, przypominające ślady duszenia. Pochwyciła jego spojrzenie.

- To nic - powiedziała nieswoim głosem. - Niech pan tu popatrzy...

Podniosła poły swojej zniszczonej wieczorowej sukni. Księżę zbladł widząc czerwone pręgi odbite na jej skórze.

- Wychłostali mnie, Hubercie!

Z wytrzeszczonymi oczami nie mógł uwolnić się od obrazu tych długich perłowych ud pokreślonych rysami, w których perliły się kropelki krwi.

- Zgwałcili panią? - zapytał się drżąc. Potwierdziła skinieniem głowy.

- Na motocyklu.

- Ilu ich było.

- Już nie wiem.

- Wzywam policję.

- Nie rób nic, Hubercie - zaprotestowała słabo. Wpatrywała się intensywnie w jakiś punkt za plecami księcia i dorzuciła rzuć namiętnie:

- To było wspaniałe, Hubercie... Wspaniałe!

Honor Larsen stał w drzwiach wypełniając je niemal całkowicie kolosalną sylwetką. Dostrzegł trzymany przez Alana w ręku worek.

- Wyjeżdża pan?

- Ależ nie!

Larsen ciągle był w smokingu. Alan widział, jak rozdzielał ciosy wśród bandziorów, którzy opanowali Beach. I ciągle był świeży i nienaganny.

- Wiem, że to nieco dziwna pora, ale interesy nie mogą czekać. Z ukosa popatrzył łapczywie na butelkę whisky.

- Z lodem czy bez? - zaniepokoił się Alan.

- Bez! Lód psuje alkohol!

Alan trząsał się wewnątrz. Każda upływająca minuta zmniejszała jego szansę ucieczki. Popatrzył na Larsena pytającym wzrokiem.

- Panie Pope - powiedział olbrzym - mam dla pana pewną propozycję. Zanim ją panu przedstawię, proszę pozwolić mi zadać panu kilka pytań? Czy jest pan obywatelem amerykańskim?

- Tak.

- Gdzie pan mieszka?

- W Nowym Jorku.

- Czy ma pan swoją firmę?

- Nie.

Honor Larsen zrobił zdziwioną minę:

- Wydawało mi się, że pan siedzi w interesach?

- Jestem od trzech dni bez pracy - wyznał Alan, który miał powyżej uszu zdradzieckich ciosów.

- Wspaniale!

Alan spojrzał na niego zmieszany: nie nachodziłby go przecież w środku nocy, aby się z niego natrzęsać!

- O co chodzi, panie Larsen? Olbrzym zawahał się przez chwilę.

- Czy może nam pan posłużyć za pośrednika, panie Pope? Jego zdumienie wziął za dezaprobatę.

- Otrzyma pan znaczną prowizję...

- Proszę jaśniej. Prowizję od czego?

- Od zamówienia pewnych rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Pan doskonale wie, co ja sprzedaję, panie Pope.

- Samoloty...

- Dokładnie tak.

- Pan chce abym kupił u pana samoloty? - wybełkotał Alan otwierając szeroko oczy.

Honor potwierdził ruchem głowy.

- Co pan chce, abym z nimi zrobił?

- Chodzi tylko o to, aby pan kupił je na swoje nazwisko.

W ciągu pół godziny już po raz drugi zwracano się do niego, aby został figurantem! - Dlaczego zwraca się pan do mnie, panie Larsen?

- Ponieważ mojemu stałemu pośrednikowi coś stanęło na przeszkodzie. Umowa musi być zawarta w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nie mam nikogo innego pod ręką. Czy jest pan zainteresowany?

- Ile samolotów?

- Sto.

Być może było to zmęczenie? Alan wyraźnie poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Musiał usiąść.

- Nie ma pan nic innego do roboty, jak tylko podpisać zamówienie, panie Pope. Samoloty zostaną panu dostarczone w pewnym kraju, skąd zabierze je pewien kupiec. Pan nie będzie się niczym zajmować. Za kłopoty, jeżeli tak się mogę wyrazić, dostanie pan pół procenta od wysokości transakcji.

- Która wynosi ile? - zapytał Alan bezbarwnym głosem.

- 800 milionów dolarów. Larsen zaśmiał się nerwowo.

- Będzie pan mógł sprawdzić liczby. Muszą znajdować się w fakturze.

Nie powie mu przecież, że gdyby się zaczął targować, byłby gotów przyznać mu dwa procent. Oczywiście różnica pójdzie do jego kieszeni. Dwanaście milionów dolarów. Będzie za co przedłużyć wakacje na Lazurowym Wybrzeżu i ofiarować małe drobiazgi Betty.

- Interesujące - westchnął Alan próbując mówić głosem bez wyrazu.

W jego głowie wybuchł wulkan: 4 miliony dolarów! Byłoby za co rozpocząć od początku, zwrócić pieniądze Burgerowi, oczywiście przeszłość, skończyć z koszmarem! Czy Ham - Burger da mu czas na

zwrot pieniędzy? Czy dotrzyma swej złowrogiej obietnicy? Ustalił moment wygaśnięcia ultimatum na dziesiątą rano...

- Kiedy pan przewiduje realizację swojej operacji, panie Larsen?

- Jak najszybciej, kiedy to będzie możliwe. Dzisiaj.

- Zgoda, panie Larsen. Czy możemy ustalić sumę, którą pan przekaże na zablokowane konto na moje nazwisko w banku w Nowym Jorku?

Szwed zaniepokoił się przez chwilę: czyżby Alan miał zamiar podnieść prowizję?

- Oczywiście! Czy połowa prowizji pana urzęda?

I aby nie było dwuznaczności sprecyzował: „2 miliony dolarów.

- Byłoby dobrze - odważył się Alan - aby pieniądze zostały zdeponowane w momencie podpisania umowy. Proszę wysłać wcześniej teleks. I kiedy będę mógł dysponować drugą połową?

- Gdy tylko kupiec otrzyma przesyłkę. Powiedzmy, że w ciągu dwóch tygodni. Zostanie pan pierwszy o tym poinformowany, ponieważ sprzedaż nie może się odbyć bez pana drugiego podpisu.

- O której godzinie podpisujemy umowę?

- O ósmej rano.

- A więc za cztery godziny. Doskonale. Poza Majestikiem, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu.

Larsen zachnął się.

- Co pan proponuje?

- Dlaczegoż by nie na pokładzie mojego jachtu? - powiedział Alan. - Jacht zacumowany dokładnie vis a vis, w starym porcie. Nazywa się Victory II.

Rozdział 23.

A mógłby pan kupić Empire Building? - parsknęła śmiechem Marina.

- Kiedy on już do mnie należy - odparował poważnie Hadad.

- Naprawdę?

- Bzdura. Co pani chce, abym z nim robił?

- No wie pan!... Marina zaśmiała się. Balansowała w niepewnej strefie, gdzie wizja świata już się zmienia pod wpływem alkoholu, a człowiek nie jest jeszcze zupełnie pijany. Od dawna nie przeżyła wieczoru takiego jak ten uwieńczony splądrowaniem Beach przez horde motocyklistów. Jej obcisła suknia z białego crepe - de - chine nie ocalała. Leżała teraz u stóp tapczanu, poplamiona czerwonym winem, pełna dziur. Obok stały pantofle na wysokich obcasach, które porzuciła wchodząc do książęcego apartamentu.

- Myślałam, że Arabowie nie piją alkoholu? Hadad uniósł swój kieliszek:

- Nigdy publicznie.

Przypatrywał jej się ze szczerym podziwem. Stała w filigranowych majteczkach i staniczku z białej koronki, suwerenna pani swego ciała, o którego istnieniu i potędze zdawała się zapomina. Hadad osłupiał, kiedy zwróciła mu klejnoty kupione popołudniu.

- Nie chcę ich! Nie chcę nic na moim ciele. Proszę je zabrać! Podobny brak zainteresowania zbulwersował księcia i zafascynował do tego stopnia, że nawet nie pomyślał, aby zebrać owoce swego wysiłku. Nawet nie próbował się do niej zbliżyć, ani ją popieścić. Patrzył jak napełniała kieliszek szampanem i lizała brzegi małymi ruchami swego różowego języka, postawiła go na stole i umoczyła w nim palce.

- Zimny... - powiedziała - chciałoby się w nim zanurzyć. Hadad ujął słuchawkę.

- Służba? Proszę przynieść natychmiast do mojego apartamentu dziesięć skrzyń Dom Perignon.

Przesłonił ręką słuchawkę i zapytał szeptem Marinę:

- Czy pani szczególnie lubi jakiś rocznik?

- Z tego czy innego, szampan ma zawsze ten sam smak...

- Jak pani sobie życzy.

I dodał na intencję maitre d'hotel ze swego piętra:

- Proszę wybrać najlepszy. Czeka!

- Jaki pan jest zabawny! - powiedziała Marina. - Och! Wstaje dzień! Moja gimnastyka! Słyszysz mnie pan?

- Gdzie pani idzie?

- Do mego pokoju. Zaraz wracam. Po kostium do ćwiczeń. Hadad wyraził odruchową nieufność:

- Wyślę sekretarza, aby go przyniósł!

- Ależ nie! - zaprotestowała Marina z trudem prostując się i kierując do drzwi chwiejnym krokiem.

- Marina, pani nie może wyjść tak ubrana! Niech pani chociaż włoży suknię!

- Ależ to tylko piętro niżej - rzuciła. - Co to ma za znaczenie? Wysłała gwizdząc. W dwadzieścia sekund później zjawił się pluton kelnerów obładowanych skrzynkami szampana.

- Wylać do wanny - rozkazał książę.

Bez mrugnięcia okiem kelnerzy wykonali rozkaz. Rozległa się kanonada strzelających korków. Gdy skończyli rozlewanie butelek, wanna była wypełniona w trzech czwartych. Hadad wsunął im ogromny napiwek. W momencie kiedy wychodzili ukazała się Marina, bosa, owinięta w biały, hotelowy peniuar. Przeszła przed Hadadem, z twarzą pełną koncentracji, usiadła na łóżku, wyciągnęła z kieszeni stary słomkowy kapelusz, przybrany wiśniami i nałożyła go na głowę.

- Ma pan robić to wszystko, co ja robię - powiedziała wciągając parę czarnych rękawiczek z kozłej skóry. - Zgoda?

- Zgoda - powiedział Hadad z rozbawionym uśmiechem. Zdjęła peniuar. Zaschło mu w gardle kiedy zobaczył, że jest naga.

- Na co pan czeka? - zapytała Marina.

- Proszę najpierw powiedzieć, co mam robić?

- Pompki. Proszę się rozebrać!

Nie miał pojęcia, co to są „pompki”, ale nie kazał sobie powtarzać dwa razy. Oparła stopy o szczyt łoża i wyprostowała ramiona trzymając głowę sztywno.

- Teraz pan!

Książę chciał ją naśladować, ale natychmiast zwałił się na dywan: nie ćwiczył od lat! Marina wybuchnęła śmiechem i rozpoczęła swoje ćwiczenia. Przy czterdziestej siódmej pompce opadła bez sił.

- Pod prysznic! - powiedział Hadad. Nie mógł ukryć podniecenia, w jakie wprowadził go ten pokaz. Wziął ją za rękę, pociągnął ją do

łazienki, pochylił się nad wanną i długo pił wypełniający ją bursztynowy napój.

- Proszę spróbować!

Z wahaniem umoczyła język w wannie:

- Szampan - krzyknęła klaszcząc w dłonie.

Wskoczyła do wanny, zanurzyła się z głową w szampanie i zaczęła pić.

- Która godzina?

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział Alan po przebudzeniu, zanim jeszcze otworzył oczy. Rozkoszny zapach kawy drażnił mu nozdrza.

- Wpół do ósmej, proszę pana.

Zobaczył przed sobą młodego chłopaka w jasnoniebieskim mundurze.

- Kim pan jest?

- Costa, proszę pana. Pański steward.

Alan usiadł na łóżku, przetarł oczy, obrzucił spojrzeniem ogromną i luksusową kabinę. Przypomniawszy sobie wszystko: był na pokładzie Victory II i jeżeli to wszystko nie było snem, Honor Larsen zjawi się o ósmej, by podpisać z nim kontrakt. Przybywając na pokład jachtu w środku nocy z trudem przekonał stojącego na straży marynarza, że to on jest tu pierwszym po Bogu. Obudzony przez majtkę Le Guern rozplątał się w przeprosinach i sam zaprowadził go do kabiny, gdzie Alan natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń.

- Na wszelki wypadek pozwoliłem sobie zamówić u szefa jajka na bekonie. Czy ma pan ochotę?

- Doskonale - powiedział Alan.

Zobaczył na dużej srebrnej tacy świeży sok z pomarańczy, grzanki, rogaliki, ciastka drożdżowe, konfitury. Nie spał nawet czterech godzin, w sposób niewytłumaczalny kipiał energią i był przepełniony wolą walki. Rzucił się na śniadanie, jakby od tygodnia nie jadł, poszedł do łazienki wyłożonej płytami marmurowymi i długo stał pod prysznicem. Przez bulaj widział burty czarnego żaglowca, a dalej spokojne fale bijące łagodnie o nabrzeże Saint - Pierre zalane słońcem. Wrócił do pokoju znajdującego się na górnym pokładzie, odstąpił firanki, otworzył szeroko okna wychodzące na zatokę, przeciągnął się i napełnił płuca świeżym, porannym powietrzem. O

7.55 był w salonie. Punktualnie o ósmej wszedł Honor Larsen wprowadzony przez marynarza.

- Ma pan bardzo piękny statek, panie Pope! Należy do pana?

- Czy ma pan dokumenty? - spytał Alan.

Larsen postawił na stole ciężką teczkę, z której wyciągnął dokumenty.

- Jeżeli chce pan je przejrzeć... Wystarczy tylko podpisać.

Alan pogрузił się w lekturze. Wynikało z niej, że zostanie właścicielem stu samolotów bojowych Cobra, czterdziestu Vikingów, dwudziestu pięciu sto piętek, trzydziestu pięciu Victorów.

Dostawy miały nadchodzić na redę w Dakarze, poza zasięgiem wód terytorialnych.

- A później? - zapytał Larsena.

- Pańscy przedstawiciele sprawdzą ładunek, który będzie wysłany na miejsce przeznaczenia.

- To znaczy? Larsen zarżał radośnie.

- To pana nie obchodzi, panie Pope. Pańska rola ogranicza się do zakupu materiału i odsprzedania go.

- Muszę wiedzieć!

- Czy mogę pana zapytać, po co? - zapytał Larsen, z twarzą nagle zasepioną.

- Mam otrzymać 2 miliony dolarów po dostarczeniu całości.

- Otrzyma je pan.

- Kto mi to zagwarantuje? Przecież nie mam pojęcia, kiedy i gdzie odbędzie się dostawa?

- Ma pan moje słowo, panie Pope. Poza wszystkim ja muszę się grzecznie zadowolić pańskim. Proszę nie żądać za wiele.

Alan jeszcze raz przeczytał dokumenty i wziął pióro podane mu przez Honora.

- Panie Larsen, ustaliliśmy ubiegłej nocy, że w momencie podpisu otrzymam 2 miliony dolarów. Jestem gotów podpisać. Czy ma pan dwa miliony dolarów?

Ponowny wybuch śmiechu Larsena.

- Przewidziałem pańskie pytanie, panie Pope. - Podał mu wyjętą z kieszeni zmiętą kartkę papieru.

- Oto teleks z First National Bank z Nowego Jorku. Otrzymałem go przed chwilą.

Alan przeczytał i omal nie zemdlął wpatrzony w nową porażającą sumę: był odtąd posiadaczem 2 milionów dolarów na koncie w First National!

- Mógłbym je kazać przekazać do Szwajcarii czy na Bahamy, ale ponieważ preferował pan Stany Zjednoczone... Zwracam pana uwagę, że poprosił mnie pan o zablokowane konto. Dlaczego zablokowane konto, panie Pope? Mam do pana całkowite zaufanie. Może pan dysponować tym kontem od zaraz, jeżeli pan sobie tego życzy.

Alan odkaslnął i zadał pytanie, które paliło mu usta:

- Dlaczego ma pan do mnie zaufanie, panie Larsen? Szwed uśmiechnął się z wyszukaną słodyczą.

- Oczywiście, nie jestem w stanie oszacować ludzkiego życia, panie Pope. Jednak wiem, że żadne życie, na przykład pańskie, nie jest warte 800 milionów dolarów.

Alan spuścił głowę i podpisał.

Spanie było niemożliwe. Hamilton wstał po cichutku i przyglądał się Emily: leżała nieruchomo jak kamień. Może przedawkował środki nasenne? Przeszedł do salonu, włożył płócienne spodnie i zawiązał krawat. Czuł lęk przed spotkaniem z Newtonem po fiasku ostatniej nocy. Było głupotą zaczynać z Alanem Pope'em. Teraz był przyparty do muru. Newton nie zgodzi się, aby fundusz OPA pozostawał nadal w jego dyspozycji. Patrzył na siebie z niechęcią w starym lustrze o srebrnej polewie: miał ohydny mordę. Bezsensowny gniew będzie go kosztować stanowisko, małżeństwo i 70 milionów dolarów. Było już za późno, aby znaleźć coś w zamian. Trzeba było bezwzględnie spotkać się jeszcze raz z Pope'em i przekonać go do współpracy, bez względu na cenę. Zresztą urzędnik Hacketta nie miał wyboru: stracił pieniądze należące do banku i było oczywiste, że nie może ich zwrócić. Tym samym był całkowicie na jego łasce. Żółć nagle wypełniła mu usta: przecież Pope również miał go w ręku! Wystarczyło aby zdał relację o tym, czego się dowiedział w nocy, a on sam, Hamilton Price - Lynch, znajdzie się w niezwykle trudnej sytuacji. Erwin Broker zginął, ponieważ zaczął go szantażować, a teraz Pope również może go zmusić do zeznań! Nałożył marynarkę, wyszedł na korytarz szóstego piętra, zwracając uwagę, by nie trzasnąć drzwiami, i zszedł dwa piętra. Na czwartym spotkał boya, który sprzątał po śniadaniu.

Była ósma. Zapukał do apartamentu Johna - Johna Newtona. Mimo paniki próbował zachować pogodny wyraz twarzy człowieka, który przynosi dobre nowiny. Newton przyjął go z serdecznym uśmiechem.

- Jak leci? Wszystko załatwiłeś?

- Wszystko! - powiedział Ham - Burger. - Potrzebuję jeszcze jednego, dwóch dni, aby dopracować pewne szczegóły...

Lodowate spojrzenie Newtona zmroziło go.

- Panie Price - Lynch, żyło mi się bardzo dobrze bez większości akcji Hacketta. Zdaje się, że ma pan jakieś trudności. Jeżeli tak jest, proszę mnie o tym powiadomić, a ja się natychmiast wycofam!

- Ależ drogi przyjacielu, nie ma żadnych trudności!

- Już tydzień temu powinien pan mi podać nazwisko pośrednika. Czy muszę przypominać panu wysokość przekazanej panu nie oprocentowanej sumy?

Ham - Burger uśmiechnął się uspokajająco.

- Rozumiem, że może być pan nerwowy, ale proszę się postawić na moim miejscu. Jestem tutaj, w Cannes, z Arnoldem Hackettem. Jestem jego bankierem. Moja sytuacja jest tak delikatna, że nie mogę sobie pozwolić na błąd. Mam obowiązek rozważyć każdy szczegół przed przystąpieniem do działania.

- To opóźnienie nie było przewidziane w naszej umowie. Czuję się zmuszony prosić pana o wypłacenie procentów za czas, przez który pieniądze nie są użytkowane zgodnie z ich prawdziwym przeznaczeniem.

- Nie wyobraża pan sobie chyba, że mogłem przez czas tak krótki zużytkować pański depozyt!

- Nie lubię ciągnących się spraw. Jeżeli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie zobaczę informacji o OPA w prasie ekonomicznej - wycofam się.

- John - John... - skarcił go Ham - Burger ze słodkim uśmiechem.

- Wie pan dobrze, że wszystko rozegra się definitywnie przed tym terminem!

- Życzę tego nam obu - powiedział chłodno Newton. Hamilton wyszedł z tego spotkania blady jak ściana. Wspiął się schodami dla służby na siódme piętro, gdzie wiele razy dzwonił do pokoju 751: Alana Pope'a nie było.

Wytworny, świeżo ogolony, z czapką nasuniętą kokieteryjnie na oko, Serge zrobił dwa kroki w kierunku Arnolda Hacketta:

- Pański samochód, panie Hackett?

- Nie, nie, dziękuję. Idę tylko na taras.

- Szefie! - krzyknął Serge. - Stolik na tarasie dla pana Hacketta!

Dzień był wspaniały. Dzieci baraszkowały już w basenie pod czujnym okiem nianiek i ochroniarzy. Hackett usiadł między stolikami zajmowanymi przez angielskie damy pijące swoją pierwszą poranną herbatę. Był ubrany w bluzę krzyczącego zielonego koloru wyłożoną na szorty w kratkę koloru malwy. Zawsze wstawał o szóstej rano, nawet kiedy kładł się, jak dziś, o czwartej. Rozłożył Herald Tribune, pachnącą jeszcze świeżą farbą, zatrzymał spojrzenie na dużej dziewczynie w typie nordyckim idącej na basen w białym szlafroku, z oczyma ukrytymi za ogromnymi czarnymi okularami. Victoria zasnęła ze straszną migreną. Nie obudzi się przed południem. Odwrócił głowę w lewo, w kierunku fasady zachodniej, policzył piętra, odnalazł okno Mariny i stwierdził, że jest szeroko otwarte. Bardziej niż całe zajście zaszokowało go jej pojawienie się u boku tego Araba.

Czy noc zakończyła właśnie z nim? W tych warunkach dlaczego sama nie ureguluje rachunku za hotel? Zaczął myśleć o Poppie, smutnej i samej w Nowym Jorku. Powtarzała mu setki razy, że umiera z nudów, kiedy go nie ma. W przeciwieństwie do niej Marina nie zauważała w ogóle jego obecności. Zamówił sok pomidorowy, a ponieważ Victorii nie było u jego boku, dodał: „Z odrobiną wódki”.

Jedna z angielskich dam wskazując na dziennik zapytała:

- Jakie wiadomości dziś mamy?

Kobiety ponad trzydziestoletnie nie interesowały Arnolda. Ta musiała mieć siedemdziesiąt pięć.

- Złe - powiedział... - Złe.

Gdy tylko Larsen opuścił jacht, Alana poraziła rzeczywistość: był bogaty, jego kłopoty się skończyły! Nie tylko mógł zwrócić pieniądze Burgerowi, ale będzie mieć jeszcze 800 000 dolarów z Frist National! Nie mówiąc o dalszych dwóch milionach, które otrzyma za dwa tygodnie, jak to mu obiecał Honor Larsen. Pod osłupiałym wzrokiem własnych marynarzy zbiegł po trapie, zeskoczył na nabrzeże i kontynuował bieg. Skoro może zwrócić dług, nie ma już powodu ukrywać się, nic również nie stoi na przeszkodzie, by uregulować rachunki w Majesticu.

- Czy macie w hotelu teleks? - zapytał portiera.

- Oczywiście, proszę pana.

Bez tchu pobiegł tam i nabazgrał tekst, który podał urzędnicze. Adresatem był First National Bank:

PROSZĘ PRZEKAZAĆ BURGER TRUST LIMITED 1 170 400 DOLARÓW. ALAN POPE. MAJESTIC HOTEL. CANNES. FRANCE.

Czuł, że rosną mu skrzydła. Nie zwracając uwagi na windę przeskakiwał po cztery stopnie głównych schodów, wpadł jak burza do salonu apartamentu i nakręcił numer apartamentu Hamiltona Price - Lyncha. Ten natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tu Alan Pope.

- Gdzie pan jest? Muszę z panem pomówić?

- Ja również. Czy może pan przyjść do pokoju 751?

- Już idę.

Chwilę później wszedł Ham - Burger. Zanim Alan mógł otworzyć usta, potrząsnął energicznie jego rękę.

- Tak mi przykro za tę noc, tak mi przykro! Zmęczenie, atak tych łobuzów... Byłem zdenerwowany, żałuję.

Nieco osłupiały Alan odwzajemnił mu uścisk.

- Mam dobrą wiadomość, panie Perice - Lynch. Natychmiast zwracam pieniądze, które pan mi przekazał przez pomyłkę.

- Słucham?

- Już nic nie jestem panu winien. First National w tej właśnie chwili przelewa 1 170 400 dolarów.

Ham - Burger zmienił się na twarzy.

- Ależ to niemożliwe! Powiedział mi pan, że pan przegrał tę sumę!

- Dokładnie tak. Znalazłem inne wyjście. Jesteśmy kwita. Mamy wpół do dziesiątej. Chciałbym, aby pan się zaraz dowiedział. Bez urazy.

- Chwileczkę, panie Pope. Jestem zachwycony tym, co mi pan powiedział. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby zająć się sprawą, którą panu zaproponowałem.

- Hackett?

- Hackett.

- Bardzo mi przykro, panie Price - Lynch. To mnie nie interesuje.

- Zaraz, zaraz... - zaprotestował Ham - Burger z szerokim uśmiechem. - Powiedziałem trochę przykrych słów ubiegłej nocy, więcej, niż myślałem... To nie jest powód... Moja propozycja jest ciągle aktualna: 20 tysięcy dolarów.

Dokładnie o dziesiątej Alan powinien być w Juan - les - Pins na spotkaniu z Terry. Poczerwieniał ze wzruszenia.

- Nie, naprawdę, zapewniam pana. Nie!

- Panie Pope... Sytuacja się zmieniła. Wczoraj pan był mi winien milion. Pan powiedział, że to zostało zwrócone...

- Proszę sprawdzić.

Ham - Burger podniósł rękę na znak protestu.

- Wierzę panu! Jestem pewien, że pan to zrobił! Właśnie z tego powodu proponuję panu już nie 20 a 30 tysięcy dolarów.

Alan popatrzył ukradkiem na zegarek. Spóźni się, jeżeli tylko będą korki.

- Dziękuję panu, panie Price - Lynch, ale nawet za 100 tysięcy nie zrobię tego!

- Daję tyle - powiedział spokojnie Hamilton widząc z przerażeniem, że Alan nie blefuje.

Wiedział, że podbijanie stawki było niezręczne, ale nie miał już wyboru co do innych sposobów. I tak powiedział mu za dużo.

- Sto tysięcy dolarów w kieszeni i rewanż na Hacketcie! Spozrzegł, że Alan przygląda mu się z uwagą. Zmusił się do uśmiechu.

- Powiedział mi pan w nocy, że się zgadza, pamięta pan?

- Proszę posłuchać, panie Price - Lynch, czekają na mnie!

- Rozumie pan, że jest mi trudno obyć się bez pana pomocy po zwierzeniach, które panu uczyniłem. Ten rodzaj spraw wymaga absolutnej dyskrecji.

- Ma pan moje słowo... - zaczął Alan.

- Już pan je złamał, mówiąc „tak” wczoraj wieczorem, a teraz wycofując się - zauważył łagodnie Ham - Burger. - W tych warunkach dłaczegóż miałbym panu wierzyć?

- Gwiżdżę na Hacketta i całe OPA, z którym może pan wystąpić przeciwko niemu! - zdenerwował się Alan. - Spuściłem zasłonę na to, co nas poróżniło, proszę mi wybaczyć, muszę wyjść.

Twarz Price - Lych przypominała kamienną maskę. - Pańska cena?

Alan patrzył na niego ze zdumieniem. - Powtarzam panu...

- Pańska cena! Każdy człowiek ma jakąś cenę, chcę poznać pańską!

- Powiedziałem panu, że odmawiam!

- Jest za późno, panie Pope, aby się wycofać! - Za późno? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nie będę ryzykował istnienia mego banku od kaprysów człowieka, który równie łatwo cofa słowo, jak je daje!

- Mam po dziurki w nosie zarówno Hacketta, jak i pańskiego banku! Zapomniałem już o pana machlojkach! Proszę wyjść!

- Po raz ostatni: ile?

Alan potracił go, rzucił się do łazienki, porwał swoje spodnie kąpielowe i wyszedł pozostawiając go nieruchomego pośrodku salonu.

- Panie Pope! - wrzeszczał Price - Lynch.

Wybiegł na schody, aby przez chwilę zobaczyć sylwetkę Alana zbiegającego po schodach. Przez kilka sekund nie ruszał się jak sparaliżowany: nie tylko wszystko diabli wzięli, ale ten cholerny wał właśnie podpisał na siebie wyrok śmierci!

Zmęczony leżeniem z otwartymi oczyma w ciemności, Bannister zapalił nocną lampkę. Czuł się winny wobec całego świata, poczynając od Christel i Alana. A przecież działał dla ich dobra! Rzucił się w łóżku żałując, że jest dopiero trzecia nad ranem i zdecydował, że nie będzie już dłużej spać. Miał samolot o siódmej. Wstał, na bosaka poszedł do kuchni i wypił dużą szklankę wody. Wrócił po cichutku do swego pokoju, by nie obudzić Christel, wyjął walizkę z szafy i zaczął w niej układać trochę ubrań. Kiedy skończył, usiadł na krawędzi łóżka machając rękami. Wolałby nie zostawiać swojej żony po wczorajszej sprzeczce, chciał ją przekonać, że nie może zostawić Alana. Z trudem znosił obecność Christel, ale czuł jak mu się serce ścisza na myśl, że będzie daleko od niej przez kilka dni. Dwadzieścia pięć lat małżeństwa stworzyło godne ubolewania przyzwyczajenie. Po raz kolejny zadawał sobie pytanie, czy nowy przelew dla Alana był również skutkiem pomyłki komputera? Jeżeli tak, to jak długo jeszcze będzie spadała ta manna? Zamyślony odsunął firanki w oknie. Była czarna, duszna noc. Czuł się przytłoczony. Poszedł do łazienki, ogolił się, wziął prysznic, ubrał się, sprawdził, że ma w kieszeni zarówno paszport, jak i bilet do Nicei, nie mogąc dłużej

wytrzymać czekania w tej brzemiennie ciszy chwycił walizkę, wyszedł na podest i zamknął po cichutku drzwi. Później zadzwonił do Christel z lotniska, aby się z nią pożegnać. Nacisnął na guzik windy, dręczony wyrzutami, które brały się nie wiadomo skąd.

- Czy może pan przyspieszyć? Jestem strasznie spóźniony. Kierowca posłał mu przez ramię pobłażliwe spojrzenie.

- Przepraszam, ale jestem równie pewien tego, że pański pośpiech jest bez sensu, jak tego, że mam na imię Albert. Albo ona na pana gwizdze i już wyszła, albo jej na panu zależy i wtedy może pan spóźnić się o rok, a ona i tak będzie czekać!

Patrząc na młodzieńczą sylwetkę w dzinsach i bawełnianej koszulce sądził, że Alan jest tym, na kogo wygląda: zakochanym studentem idącym na pierwszą randkę. Z westchnieniem rezygnacji Alan pozwolił oczom błądzić po bulwarze Croisette, którym wcześniej rano spacerował z Sarah. Wolał wziąć taksówkę niż swój samochód i kierowcę. Instynktownie wiedział, że byłoby to błędem w pojęciu Terry. Przypomniawszy sobie z niepokojem wypełnione nienawiścią i groźbą spojrzenie, jakie rzucił mu Hamilton Price - Lynch i błogosławił Boga, że wyszedł z koszmaru, w którym dotychczas szarpał się na ślepo. Naleganie bankiera wzburzyło go: nie miał szczególnego szacunku do Arnolda Hacketta, ale uważał za szokujące, że jego własny bankier szykuje się do zdrady. Jeżeli taka była cena bogactwa to tysiąc razy lepiej było pozostać biednym.

- Dokąd w Golf, w Juan?

- Proszę jechać drogą wzdłuż morza, zatrzymam pana. Czy będzie pan mógł zaczekać na mnie pięć minut?

- A później dokąd jedziemy? Pytanie zbiło z tropu Alana. Jeszcze nie wiem. Zobaczymy...

Od wielu godzin myślał tylko o spotkaniu z Terry, o dniu, który spędzą razem, o wspaniałym dniu na słońcu. Dokąd ją zawiezie?

Cesare di Sogno otworzył oczy i z przerażeniem zobaczył kobietę w swoim łóżku, leżącą u jego boku. Nie znał jej. Stwierdził, że jest blondynką i delikatnie odsłoniwszy prześcieradło przekonał się, że była nią naprawdę. Zaczęły powracać strzępki wspomnień. Skorzystał z inwazji na Beach, by wymknąć się na paluszkach, zanim zapanuje spokój i zostaną doręczone rachunki.

Odwiedził tyle lokali, wszystkie wypełniali przyjaciele, wypił masę koktajłów. I nawet nie przypominał sobie nazwiska, twarzy i

ciała tej kobiety, z którą kończył noc... Gdzie ją poderwał? Potrząsnął nią delikatnie.

- Hej...

Zaburzało jej w brzuchu, odwróciła się do niego plecami i schowała głowę pod prześcieradła. Cesare poklepał ją po pośladkach.

- Już czas! - powiedział przyjaźnie.

Głos dobiegający spod prześcieradeł nie był nieprzyjemny i wysławiał się po francusku, aczkolwiek głosem zaspanym.

- Czas na co?

- Nazywam się Cesare.

- A co mnie to obchodzi? Zmieszało go to.

- Chcę kawę, sok z pomarańczy, jajka na bekonie dobrze wysmażonym - kontynuował głos.

- Jak ty masz na imię?

- Marion.

- Znamy się?

- Nie wiem. Jeszcze pana nie widziałam.

- Chciałbym zauważyć, że leży pani w moim łóżku.

- Niech pan będzie miły i zamówi kawę.

- Niech pani posłucha - zniecierpliwił się Cesare. - Może by tak napiła się pani w barze? Spieszę się, ma spotkanie... łazienka jest obok...

- Po kawie jeszcze chcę pospać. Jestem śpiąca.

Skierował się ku oknu i szeroko rozsunął story. Słońce wtargnęło do pokoju.

- Marion, naprawdę, ten pokój jest mi potrzebny. Czekam na ludzi. Marion!...

Szorstkim ruchem ściągnął prześcieradło. Widząc jej ciało ocenił, że chyba się nie nudził, jeżeli w ogóle z niego skorzystał.

- Proszę powiedzieć, Marion... Pani i ja?...

Ścisnął palcami jej podbródek i zmusił, aby na niego spojrzała. Nie, naprawdę, nigdy jej nie widział, nic nie pamiętał.

- Niech pan mi pozwoli pospać. Jestem skonana. - Jedno pytanie: kochaliśmy się?

Podskoczył na dźwięk telefonu.

- Tak?

- Cesare?

- Tak.

- Czy pan mnie poznaje?

- Hamilton Price - Lynch!

- Tak.

- Chcę pana prosić o, przysługę.

- Słucham.

- Jak ostatnim razem. Przypomina pan sobie? Cesare oddychał powoli akcentując pauzę.

- Tak.

- Siedział wczoraj przy naszym stole. Miłośnik malarstwa. Chwyta pan?

- Bardzo dobrze. Kiedy?

- Natychmiast! Nalegam na to!

- Zajmę się tym. Proszę na mnie liczyć. Zrobię, co będę mógł.

Cesare odłożył słuchawkę. Miał właśnie wykręcić inny numer, gdy Marion skuliła się w rogu łóżka: to, co miało się zadecydować było tak ważne, że na chwilę całkowicie zapomniał o jej obecności. Podniósł wieczorową suknię z czarnego muślinu, złote pantofelki na wysokich obcasach, staniczek i czarne majteczki, malutkie i przezrocyste. Zwinął to wszystko w kulę, którą rzucił w dziewczynę:

- Proszę wziąć swoje rzeczy i zwiewać!

- Kawy... - wyjęczała Marion, przeciągając się. Cesare złapał ją brutalnie za ramię i rzucił na ziemię.

- Spieprzaj! Mam robotę! Oszołomiona otworzyła oczy, roztarta łokieć, którym uderzyła o poręcz łóżka i popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem:

- Wariat!

- Wynocha! Próbowałem ci to powiedzieć kulturalnie, ale nie zrozumiałaś.

- Bydlak!

Podniosła się, założyła sukienkę. Nie tracąc go z oczu usiadła na krześle, by włożyć pantofle.

- Skończysz się ubierać na korytarzu - ryknął Cesare. Złapał ją za rękę, pociągnął do przedpokoju, otworzył drzwi i wypchnął na zewnątrz.

Wrócił do pokoju i znów złapał za telefon.

- Marco?... Cesare. Mam klienta dla ciebie w Majestiku... Alan Pope... Tak... Dziś! Natychmiast! Czekam.

Postawił aparat i wszedł do łazienki. Manipulując gałkami prysznicą powiedział sobie, że do końca życia nie będzie wiedział: kochał się czy nie z tą Marion?

Rozdział 24.

W porcelanowej misie ciągle leżały: grapefruit, trzy jabłka i dwie pomarańcze. Przez okno widać było, między dachami koloru ochry, ten sam kawałek lśniącego morza, na pół przesłonięty szkarłatnymi płatkami geranium w doniczce. Przed nim na środku pokoju stała Terry, w białych płóciennych spodniach i zwiewnej bluzce. Miała w ręku książkę.

- No cóż, proszę wejść!... Uwaga na głowę!

Alan zdecydował się zrobić krok. Pchnął za sobą drzwi ze ściśniętym gardłem jak wtedy, gdy odnajduje się znajomy z dzieciństwa pejzaż albo twarz kogoś, kogo się bardzo kochało, a kogo uważało się za zaginionego.

- Jest pan punktualny. Zadawałam sobie pytanie, czy pan nie zapomni?

Fala protestów cisnęła mu się na usta, ale zamarła, zanim zdołał wyartykułować jakiś dźwięk.

- Co pani czyta? - zdołał powiedzieć.

- Anais Nin. „Dziennik”. Zna pan?

- Nie.

Rzuciła książkę na łóżko pokryte patchworkiem.

- Kawa?

- Nie, dziękuję.

- Udało się panu przespać?

- Trochę. Niedużo.

- Ma pan wyczerpujące wakacje! Zrobił rozzłoszczoną minę.

- Mam dla pana propozycję - powiedziała Terry. - Mam jacht. To znaczy nie jest mój, ale przyjaciele Lucy nie potrzebują go dziś. Podoba się to panu?

- Wspaniale!

- Ma pan kostium kąpielowy?

- Na sobie.

Wrzuciła trochę rzeczy do koszyka ze słomy.

- Jacht stoi w Cannes, w Porto Canto.

- Na dole mam taksówkę.

- Chodźmy!

Zbiegli po schodach. Widząc wyłaniającą się Terry kierowca puścił triumfalnie oko do Alana:

- No i co, mówiłem?

- Wracamy do Cannes - powiedział chłodno Alan. - Do Porto Canto.

- Co on chciał powiedzieć? - spytała Terry Alana, kiedy samochód ruszył.

- Kiedy jechaliśmy, wyłożył mi swoją teorię kobiecej cierpliwości.

- No i co?

- Wyjaśniłem mu - wtrącił się kierowca, który nie tracił ani słowa - że jeżeli nie idą sobie natychmiast, mogą czekać nawet dziesięć lat! Panienko, mam rację czy nie?

- Całkowitą - stwierdziła Terry.

- Naprawdę pani tak myśli? - zdziwił się Alan.

- Nie. Lucy została u MacDermottów. Wspaniały dom. Ma się ochotę tam osiaść i więcej nie ruszać. Nie męczy pana Nowy Jork?

- Tak.

- Po co to panu - być milionerem? Co pana tam trzyma? Alan znów sobie przypomniał o oszałamiającym cudzie: był teraz na fali i posiadał ponad 800 tysięcy dolarów w First National!

- Nic - powiedział z uśmiechem. - Już nic!

- Canto... - oznajmił kierowca.

- Co się robi, aby odnaleźć jacht? - zapytała Terry.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- Zna pani nazwisko właściciela?

- MacDermott.

- OK! Zapytamy w kapitanacie...

Skierował samochód ku nabrzeżu, gdzie cumowały kadłuby wyprofilowane tak, jak o tym zawsze marzą mężczyźni.

- Proszę chwileczkę poczekać!

Nie spiesząc się wszedł do budynku. Alan przyglądał się z boku twarzy Terry oglądającej jachty. Nie ośmielił się jej powiedzieć, że sam ma taki jeden. Obawiał się, że popełni gafę, jak wtedy z rollsem, czując niejasno, że obnoszenie się z bogactwem może ją szokować.

- Czy pani wie, jak on się nazywa? - zawołał kierowca. „Święto!” To cały program!

Ruszył i stanął dwieście metrów dalej, przed olbrzymim ślizgaczem pomalowanym na biało, z szerokimi czerwonymi pasami.

Jakiś marynarz krzątał się po pokładzie. Widząc ich wyskoczył na nabrzeże na spotkanie.

- Jesteśmy przyjaciółmi Ronalda MacDermotta - powiedziała Terry.

- Uprzedzono mnie. Nazywam się Gwen. Czekałem na państwa. Skinął głową Alanowi, który płacił za taksówkę. Kierowca zagwizdał z radości inkasując napiwek.

- Dziękuję! Jeżeli będzie mnie pan potrzebował... Zawsze stoję przed Majestic. Wystarczy tylko zapytać o Alberta!

Jednym susem Alan dołączył do Terry na pokładzie „Święta”. W mgnieniu oka zrzucił ubranie. Gwen zdejmował cumy mocujące ślizgacz do nabrzeża.

- Gdzie państwo chcą płynąć, proszę pani?

- Na pełne morze! - rzuciła Terry.

Gwen uśmiechnął się, zasiadł przy sterach i zapuścił silnik.

- Twój mężuś na joggingu?

Sarah wypowiedziała to zdanie tonem niedbałym. Rozsypywała właśnie ziarna pieprzu na smażonych jajkach, którym towarzyszyły smarowane masłem tosty. Zbliżało się południe, śniadanie podano na tarasie, na stole przybranym obrusem koloru nieba osłanianym przez parasol w szerokie pasy barwy lapis lazuli. Emily Price - Lynch z twarzą częściowo zakrytą ciężkimi czarnymi okularami naląła sobie filiżankę herbaty. Nieustanne napady córki na męża doprowadzały ją do rozpacz. Nie dlatego, by nie miała racji - mówiła wyłącznie prawdę - ale dlatego, że stały się zasadniczym tematem ich rozmów.

- Dziś pływam po morzu, biorę jacht. Jedziesz do Beach?

- Mam migrenę - powiedziała Emily. - Ten wieczór mnie wykończył.

- Uważam, że było to raczej zabawne. Komando punków na dobroczynnej uroczystości! Jakie inne miasto poza Cannes mogłoby sobie zafundować podobne widowisko?

- Łobuzy są wszędzie.

- Tak, ale imprezy dobroczynne są coraz rzadsze. Odprowadził mnie Alan Pope.

- Kto? - zapytała machinalnie Emily. Bawiła się butelką z keczupem, z której wlewała czerwone strugi do filiżanki z herbatą, by w końcu ją odepchnąć.

- Pope. Młody mężczyzna, który siedział naprzeciw ciebie. Powinnaś go zauważyć, ponieważ tylko on nie był starcem.

- A tak, przypominam sobie... - odpowiedziała Emily omiatając spojrzeniem brzegi basenu o sześć pięter niżej. Gdzieś mógł być Hamilton?

- Słuchasz mnie mamó?

- Tak, tak...

- Wyglądasz na niezadowoloną, że z tobą rozmawiam?

- Słyszałam bardzo dobrze! Pope... Alan Pope. No i co? Cóż w nim szczególnego?

Sarah powolutku podarła na strzępki różę, popatrzyła na matkę wyzywająco i bezbarwnym tonem rzuciła:

- Wyjdę za niego.

Leżeli na brzuchu na rufie, wiatr smagał im ciała. Byli tak daleko od brzegu, że mogli objąć jednym spojrzeniem roztopioną w błękitnej mgiełce panoramę wybrzeża od Cannes do Nicei. Statek pędził z wielką szybkością na pełne morze, ryjąc wspaniałe śnieżne bruzdy w wodzie koloru ciemnego indygo. Prześcignęli już kręcące się wokół wysp jachty, wyprzedzili inne ślizgacze.

- Popływamy? - krzyczała Terry, aby zagłuszyć szum motoru.

- Tak! - krzyczał Alan.

Poraczkowała po materacu i poklepała Gwenę po ramieniu. Wydawało się, że statek wbił się w wodę, kiedy Gwen wyłączył silnik. Płynął przez chwilę siłą rozpędu i znieruchomiał kołysząc się wśród chłupotu. Brzeg był już tylko szarym pasem, zaledwie widocznym na linii horyzontu. Mieli wrażenie, że są sami na świecie, daleko od wszystkiego. Gwen odwrócił się do nich plecami i spokojnie zapalił papierosa. Terry zanurzyła się pierwsza. Alan widział jak oddalała się swobodnie płynąc żabką. Czuł się idiotycznie, będąc tak mało opalonym. Z kolei i on się zanurzył. Woda była ciepła. Otworzył oczy, dostrzegł opalone ciało Terry otoczone pianą łączącą się z bąbelkami powietrza wylatującymi z jego własnych włosów. Powrócił na powierzchnię przecinając wodę tuż obok niej. Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

- A jeżeli Gwen odpłynie bez nas? - zapytał.

- Mam nadzieję, że doholuje mnie pan aż do brzegu!

Wywinęła kozła przed nim. Przez mgnienie oka, kiedy się zanurzała, jej złączone nogi utworzyły doskonałą strzałę. Tam gdzie

była nie zostało nic. Alan wiedział, że tam jest pusto. Ale zaledwie miał czas na krótki oddech i zanurzenie, gdy poczuł, jak jej ręce łapią go za kostki. Bawili się jak para szczęśliwych zwierząt swobodnie dysponujących swoim ciałem, baraszkując wśród srebrnych rozbłysków, pływając obok siebie, muskając jedno drugie. W pewnej chwili znaleźli się naprzeciwko, ich twarze błyszcząły. Żadne nie miało wrażenia, że uczyniło krok w kierunku drugiego, ale żadne nie spuściło oczu, kiedy ich słone wargi musnęły się: Terry ujęła rękę Alana i delikatnie ją ścisnęła. A potem popłynęła w kierunku statku. Odrzucając pomoc Gwena wspięła się na pokład.

- Jestem głodna - oznajmiła. Gwen zrobił zmartwioną minę.

- Pan MacDermott nie zostawił mi żadnych poleceń.

- Czy nie ma żadnej restauracji na wyspie? - zapytał Alan.

- Jest jedna oczywiście, ale obleżona. Można by pomyśleć, że jest się u mamy Besson!

- Trudno - powiedziała Terry. - Zjemy po powrocie. - I dodała patrząc na Alana: - Nie mam ochoty spotykać się z ludźmi.

- Przepraszam za śmiałość... - zaryzykował Gwen. - Przygotowałem kilka kanapek... Gdyby państwo chcieli podzielić się ze mną?... Mam również dwie butelki czerwonego wina.

Terry i Alan porozumieli się spojrzeniem i wybuchnęli śmiechem.

- A więc zgoda! - powiedział Gwen przyłączając się do chóru.

Otworzył skrytkę na rufie i wyjął butelkę.

- Czy państwo chcecie, abyśmy popłynęli pomiędzy wyspy? Kiedy chciał im nalać, spostrzegł, że oboje wyciągają kieliszki sztywni jak mumie i nie zwracając uwagi na to, co robią: siedzieli jak skamieniali, z uśmiechem błędzącym na ustach i spojrzeniami utkwionymi jedno w drugim.

Marco wyszedł z hotelu Majestic. Jego klienta nie było w hallu. Zamyślony obserwował ruch limuzyn krążących wokół podjazdu, by wysadzić cenny ładunek - bogaczy. Cesare di Sogno dał mu do wieczora czas na wykonanie zadania. Ale jak to zrobić, jeżeli ofiara pozostaje nieuchwytna? Zbliżył się do Serge'a.

- Szukam jednego z moich przyjaciół, pana Alana Pope'a. Nie ma go w apartamencie.

- Wszedł niedawno - odpowiedział Serge rzucając się, by rozdzielić psy dwóch dojrzałych dam, skaczące sobie do gardeł. Wrócił do Marco.

- Złapałem mu taksówkę.
- Czy wie pan, dokąd pojechał?
- Niech pan popyta na postoju, dokładnie na przeciwko. Wiózł go Albert.

- Dziękuję.
- Do usług, proszę pana.

Psy znów się gryzły wśród wrzasków swoich właścicielek. Marco odwrócił się na pięcie, wyszedł z głównego dziedzińca, przeciął Croisette i podszedł do pierwszej w rzędzie taksówki.

- Szukam pana Alberta.

- Ja jestem Albert. Marco uśmiechnął się szeroko:

- Widocznie mam dziś szczęśliwy dzień. Wyciągnął z kieszeni banknot pięćdziesięciofrankowy i wsunął mu do ręki.

- Dyspozytor z Majesticu powiedział mi, że wiózł pan jednego z moich przyjaciół, Alana Pope'a.

- A tak! To jedyny, którego zabierałem z Majesticu. Właśnie wysadziłem go w Porto Canto. Wyłączyli jachtem. Duży ślizgacz, biały z czerwonymi pasami. Ma śmieszna nazwę: „Święto”!

- Strasznie dziękuję. Ale jak odnaleźć statek na morzu...

- A dokąd pan chce, aby popłynął z Cannes? Prawdopodobnie są na wyspach! Wszyscy tam płyną!

Marco podziękował mu i odszedł. Sto metrów dalej czekał na niego Salicetti za kierownicą odkrytego dodge'a koloru śmietany.

- Skocz do Theoule. Jedziemy do Mangaru. Ruszaj się! Dodge skoczył do przodu z piskiem opon. Ruch nie był zbyt duży.

O tej godzinie urlopowicze smażyli się na słońcu. Samochód nabrał szybkości, okrążył Stary Port i pojechał wzdłuż morza w kierunku La Napoule. Marco zapalił papierosa.

- Jedziemy na ryby? - zaniepokoił się Salicetti.

- Tak - wymruczał Marco. - Po bardzo piękną rybę.

- Polowanie w dzień to bardzo niebezpieczne - powiedział Salicetti koncentrując się na prowadzeniu.

- No... W czasie sezonu na morzu zdarza się tyle wypadków... Z tymi wszystkimi kretynami, którzy prowadzą jachty byle jak...

- Tak, to szczerza prawda - zgodził się Salicetti.

Zdusił śmiech.

- Ciągłe to powtarzam! Morze i ognie sztuczne, nie ma nic bardziej niebezpiecznego!

Marco powoli wypuścił dym z papierosa przez nos.

- Postaramy się być bardziej dyskretni niż ze sztucznymi ogniami. W dziesięć minut później dodge zatrzymał się przed kratą z kutego

żelaza strzegącą dostępu do pomieszczenia wykutego w położonej niżej skale. Z drogi nikt nie mógł jej zobaczyć. Marco otworzył kratę, którą zamknął po przejeździe dodge'a. Pod domem znajdował się wydrążony hangar, którego składane, zamknięte na kłódkę drzwi właśnie otwierał Marco. Salicetti podszedł.

- Nigdy nie widziałem podobnego potwora!

Ślizgacz riva, cienki jak żyletka, został zbudowany dla przemytników. Żadna policyjna motorówka nie była na tyle szybka, aby za nim gonić. Kadłub całkowicie pozbawiony metalowych ornamentów, był pomalowany z boków na ciemnoniebiesko, zaś nadbudówki na ciemnozielono. Nawet w biały dzień można go było na wodzie dostrzec dopiero z odległości stu metrów. Budowniczy pokryli stewę dziobową stalową osłoną, zdolną przeciąć pień drzewa przy szybkości 120 na godzinę. Pracujące pełną mocą silniki rozpędzały ślizgacz do 150 kilometrów na godzinę.

- Wskakuj - powiedział Marco.

Usiadł przy sterze, włączył zapłon. Głuchy pomruk wypełnił podziemny hangar.

- Rzuć cumę... Salicetti odczepił linę z obręczy.

- Dokładnie jedziemy dokąd?

- Na maleńką przejażdżkę na wyspy.

Marco lekko dodał gazu. Groźny ryk rivy wypełnił grotę.

Słońce igrało po ciele Terry. Wyciągnęła się na tylnym pokładzie, ze skrzyżowanymi rękami, oddana słońcu, z wyrazem spokojnego szczęścia na twarzy. Alan wpatrywał się w nią bez przerwy. Leżąc obok niej wahał się, czy ponowić ten ukradkowy gest, który na pełnym morzu doprowadził, że ich wargi się spotkały. Ręka Terry spoczywała nieruchomo odległa o dziesięć centymetrów. Alan nie śmiał ich przebyć.

W towarzystwie Gwena, który czytał teraz jakieś pismo ilustrowane, pochłonęli kanapki z pasztetem, popili czerwonym winem, susząc się na słońcu. Wąska cieśnina pomiędzy wyspami Świętej Małgorzaty i Świętej Honoraty była wypełniona statkami

wszelkiej wyporności niczym bulwar samochodami w godzinie szczytu.

Woda była absolutnie przezroczysta. O osiem metrów niżej rozróżniało się na złotym piasku maluteńkie perłowe muszelki, wokół których pływały bezustannie małe srebrne rybki o ruchach szybkich i nieprzewidywanych. Święta godzina sjesty. Z sąsiednich statków dobiegały melodie nadawane przez tranzystory. Spokój, upał, światło... Ręka Alana zbliżyła się niepostrzeżenie do ręki Terry. Była od niej już tylko o milimetry, ale zatrzymała się z wahaniem. Chwila była cudowna i Alan bał się ją zniszczyć. Ale popęd był silniejszy. Czubkiem palców dotknął jej palców, które odpowiedziały na dotyk. Ich ręce szukały się, splatały, ścisnęły, złączone nagle jedna z drugą nie kończącym się pocałunkiem naskórka. Ani jedno, ani drugie nie dostrzegło zielono - niebieskiego ślizgacza, który zmniejszywszy gaz przepłynął obok nich w odległości niecałych pięciu metrów.

- Gwen - powiedziała Terry nie wypuszczając dłoni Alana - proszę nas zawieźć na kąpiel na drugą stronę wyspy.

Marynarz odłożył pismo, nad którym drzemał, i włączył gaz. Wolniutko lawirował między rozlicznymi jachtami, kołyszącymi się na powierzchni połyskującej i przezroczystej wody. Kiedy przebył przesmyk, skręcił na lewo w nagłym wytrysku piany i dodał gazu.

Na pokładzie rivy, którego kolory mieszały się z kolorami morza, Marco położył rękę na ramieniu Salicettiego.

- Poczekaj jeszcze pięć sekund i wolniutko pływaj za nimi.

O pierwszej Alana ciągle nie było w hallu. Sarah dzwoniła do jego apartamentu trzymając długo słuchawkę. Brak odpowiedzi. Podeszła do Serge'a, który obnosił pokaźny opatrunek na rękę.

- Serge, czy widział pan kierowcę pana Pope'a?

- Norberta? Tak, panienko. Jest tutaj.

- Co się panu stało w rękę?

- Zostałem ugryziony, panienko.

- Kobieta?

- Pies.

- To mniej groźne. Podniosła głowę i spojrzała na korpulentnego mężczyznę.

- Pan jest kierowcą pana Pope'a?

- Tak, proszę pani.

- Proszę pani. Czy widział go pan dzisiaj rano?

- Nie, panienko. Oczekuję na jego polecenia.
- Nie ma pan nic w planie?
- Nie, panienko.
- Doskonale, dziękuję.

Przeszła na taras wypełniony gośćmi chroniącymi się przed słońcem wśród diabelskiego baletu kelnerów zbierających zamówienia. Alana nie było. Obeszła basen. Z lewej, ukryte za kępami bukszpanu, dziewczyny z nagimi piersiami lekcewały zakazy. Sarah pozdrowiła ruchem głowy niektóre znajome, odrzuciła dziesięć zaproszeń na obiad, przeszła przez bar, zeszła po schodach na górze, gdzie królowała Fernande, dama od telefonów. Weszła do windy i nacisnęła guzik siódmego piętra. Nigdy się w ten sposób nie zachowywała. Zazwyczaj trzymała na dystans uganiających się za nią mężczyzn. Za każdym miłosnym, wyznaniem jej podejrzliwy wzrok odnotowywał tylko pragnienie zagarnięcia jej fortuny. Miała mało wymagań cielesnych, wszystko w niej rozgrywało się w głowie. Czasami używała przelotnego kochanka, by uspokoić nerwy. Rzadko kiedy spotykała się z kimś dwa razy. Nigdy trzy. Między nią i nimi znajdował się zawsze ekran jej milionów dolarów.

Wysiadła na piętrze i zapukała do apartamentu 751. Może jeszcze spał? Zastukała mocniej.

- Nie ma nikogo, proszę pani. Sprzątnęłam bardzo wcześnie. Pan już wyszedł.

Uśmiechnęła się chłodno do pokojówki i zawróciła. Alan nie obiecywał niczego, kiedy zaproponowała mu przejażdżkę statkiem. Serce ścisnęło jej się na myśl o długiej, wczorajszej przechadzce po Croisette. Trzymała go za ramię, noc była ciepła. Przypomniała sobie dokładnie, kiedy otrzymała cios w serce. Przyszli pod hotel. Zaproponowała mu wypicie strzemiennego. Odpowiedział: „Jestem wykończony, Sarah. Umrę, jeżeli się nie prześpię kilka godzin”.

W tym momencie wyglądał jak zagubione dziecko. Wiedziała, że to będzie on, nikt inny. Był taki odmienny! Trochę wcześniej matka potraktowała ją jak wariatkę, kiedy zorientowała się, że Sarah nie żartuje.

- Ależ ty go prawie nie znasz!
- To będzie on, mamo.
- Jeszcze jeden żigolak, który dybie na twoje pieniądze!
- Nie wszyscy są tak zepsuci jak ten wał, twój mąż!

- Sarah!

- Jeszcze dziś poproszę go o rękę! Spróbuj mi w tym przeszkodzić!

Ponownie zeszła do hallu i zdecydowała się rzucić okiem na Palm Beach. Może Alan tam jest? Kazała zawołać kierowcę.

- O czym pani myśli? - zapytał Alan.

Terry złożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia.

- Właśnie myślałam o tym, że nie myślę o niczym. Patrzyłam w niebo.

- I co pani tam zobaczyła?

- Brak chmur.

Alan przesunął się delikatnie na nią i musnął jej usta.

- A tu?

- Nic. Mam zamknięte oczy.

Końcem języka szukała jego ust. Leżeli w maleńkiej piaszczystej zatoczce, chronionej murami ostrych skał przed spojrzzeniami z morza. O trzysta metrów „Święto” kołysało się lekko na łagodnej fali. Gwen prawdopodobnie spał.

- To zabawne, że jesteśmy tu we dwoje... - westchnęła Terry.

- Zabawne?

Ujęła jego twarz w dłonie, pozerając go oczyma.

- Pan uosabia to wszystko, czego nienawidzę.

- To znaczy?

- Establishment... System... Ostentacyjne bogactwo... Niczego nie brakuje: rolls, hotel Majestic, imprezy, Palm Beach, forsa...

- Co pani o tym wie? - Paliła go chęć powiedzenia prawdy, ale bał się rzucić maskę. - Co pani ma przeciw temu? - dodał.

- Przeciwno samej sprawie - nic. Nie jestem z gatunku rzucających bomby. I wiem aż za dobrze, w jakim stopniu ludzie są zszargani niezależnie od triumfującej zewnętrzności. Pan jest pierwszy... Wyczułam to instynktownie, więc zgodziłam się wsiąść do tej pana cholernej gabloty. I jestem tutaj. Ile pan ma lat?

- Trzydzieści.

- Ciekawe, nie robi pan wrażenia kompletnie wysuszonego. Pieniądze wysuszają.

- Zwłaszcza, jak ich się nie ma - powiedział Alan.

- Mówi pan o nich jak człowiek, który ma ich za dużo, który posiada za dużo. Człowiek się nie cieszy tym, co ma.

- A więc czym?

Lekkiimi pocałunkami pokrywała brzegi jego warg.,

- Tym... A to jest za darmo! Musiał być pan bardzo biedny, aby mieć taką chęć bycia bogatym!

Po raz kolejny Alan czuł, że powinien zacząć mówić, ale coś niezrozumiałego powstrzymywało go nadal.

- A pani? Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Co pani chce robić później?

- To, co robię obecnie. Aby mi było dobrze.

- A naprawdę jest pani dobrze?

- Tak.

- Mnie także.

- Alan...

- Co? - mruzczał kryjąc głowę w burzy jej włosów pachnących solą.

- Nic.

Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła do siebie i z zamkniętymi oczami powtarzała jego imię.

- Alan... Alan... Alan...

Zalała go ciepła fala, w której z piekielną ochotą na Terry, mieszała się ogromna czułość, która nie przypominała niczego, co dotychczas odczuwał. Wolno przesunął dłonią wzdłuż jej uda, za każdym razem zbliżając się o kilka milimetrów do wnętrza. Poddawała się temu przez chwilę, później wyswobodziła z uścisku i popatrzyła mu prosto w twarz.

- Też ciebie chcę, Alan, tak samo jak ty mnie. Ale nie tutaj. I nie tak. Będiesz mnie miał. Ja też cię pragnę.

- Kiedy? - oczekiwał w napięciu.

- Tej nocy. Chcesz?

- Tak... - wyszeptał chrapliwym głosem.

Raptownie podniosła się i w trzech nerwowych skokach dopadła ciepłej wody, która rozstąpiła się pod jej ciałem. Widział jak oddala się długimi pociągnięciami ramion w kierunku jachtu. Z kolei i on się zanurzył, długo pozostając pod wodą. Uspokoił się, delikatnie wypłynął i położył się na wznak, usiłując kontrolować oddech, olśniony dziewczyną, chwilą, podniecony szczęściem.

Zmienił pozycję i zobaczył, jak Terry jednym ruchem wspina się na pokład „Święta”. Zaczął płynąć w jej kierunku, uważając na podwodne skały, które podchodziły pod powierzchnię wody niczym małe wysepki. Morze było usiane żaglami, białymi płatkami tańczącymi w lazurze nieba. Był zaledwie dwadzieścia metrów od statku, gdy dosłyszał głuchy pomruk. Siatkówka oka zarejestrowała pochyloną sylwetkę Terry czeszącej włosy, Gwena podnoszącego kotwicę, wielką poszarpaną skałę po lewej, której czub wystawał na pięćdziesiąt centymetrów ponad niebieskawe zwierciadło morza.

Dostrzegł również olbrzymi ślizgacz, którego kolor mieszał się z kolorem fal wzbijanych przez niego w straszliwym ryku silników pracujących pełną mocą, torujących sobie drogę olbrzymim gejzerem srebrzystego, wodnego pyłu.

Z pokładu „Święta” dobiegł wrzask Terry i dostrzegł Gwena, który skakał wymachując rękami i krzycząc coś, czego nie mógł usłyszeć. Na ułamek sekundy sparaliżował go hałas i strach: pilot ślizgacza nie widział go! Gwałtownie wyrzucił ręce pragnąc, aby go dostrzeżono, ale ślizgacz nawet o centymetr nie zboczył ze swej trasy. Zrozpaczony Alan rzucił okiem na zbawczą skałę i nawet nie nabrawszy powietrza zanurkował przewrotem i popłynął pod wodą w jej kierunku. Płuca paliły go, jakby za chwilę miały pęknąć. Ci faceci oszaleli! Grzmot narastał apokaliptycznie. Alan się dusił, ale gdyby wypłynął, rozciąłoby go na pół. Zaciśnął zęby i dusząc się płynął dalej, uczepiwszy się jednej myśli: przeżyć! Przez masę błękitnawej wody widział już ciemną ścianę skały, schwycił ją kurczowo i wyskoczył na powierzchnię z otwartymi ustami, by zaczerpnąć powietrza. Było już prawie za późno. Leżał na wodzie przez pewien czas niemal uduszony. Potem odwrócił głowę w kierunku pełnego morza: ślizgacz był już tylko linią piany, znikającą na horyzoncie. Gwen wygrażając pięściami miotał przekleństwa. Gdy Alan dotarł do burty „Święta”, Gwen wyciągnął go na pokład jednym ruchem. Zwalił się na materace jak stos martwych glonów. Terry była trupio blada.

Marina z trudem otworzyła oczy. Nie poznawała ani łóżka, ani pokoju. Z osłupieniem stwierdziła, że była zawinięta w biały peniuar frote. A przecież zawsze sypiała nago. Zmarszczyła nos, gdy powąchała z odrazą wierzch dłoni: śmierdziała alkoholem! Chwyciła prawą stopę i podniosła ją na wysokość nosa: ten sam straszliwy zapach. Jednym susem wstała, zobaczyła w nogach łóżka swą białą,

zgniecioną suknię, po czym na ślepo ruszyła do łazienki. Wanna była pełna jakiegoś podejrzanego żółtawego płynu, przypominającego siki. Umoczyła w nim palec: nie było wątpliwości, że właśnie stąd pochodził zapach jej ciała. Polizała koniec swego palca marszcząc brwi. Szampan! Wyjęła zatyczkę i patrzyła bezmyślnie jak zwietrzały szampan spływa, ciągle zadając sobie pytanie: co też mogła robić tej nocy? Odpowiedź pojawiła się w postaci małego pakiecika, który dostrzegła na dnie wanny. Był ściśnięty gumką, którą zerwała by dostać się do szkatułki. Wewnątrz znajdowała się przepiękna bransoleta, wysadzana drogimi kamieniami. Na wewnętrznej stronie napis z kilku słów: „Marinie, na pamiątkę cudownej nocy. Hadad”.

Zmieszana usiadła na brzegu wanny: nic, ale to nic nie pamiętała!

- O rany, pan widział tych bydlaków! Każdego roku zdarzają się wypadki! Doniosę o nich! Pomyleni! Zwariowani!... Kryminaliści!

Od dziesięciu minut Gwen nie przestawał przeklinać. Potwornie się przestraszył widząc ślizgacz atakujący Alana.

- To skandal, aby podobne gnoje pilotowały statek!

- Nie widzieli mnie - powiedział Alan.

Siedział obok Gwena na przedniej ławeczce z ręcznikiem na ramionach. Wtulona w niego Terry otaczała go ramionami.

- To właśnie im zarzucam! Ale proszę pana, czy pan wie, że obowiązuje ograniczenie szybkości, kiedy się płynie wzdłuż plaż? Byłem przekonany, że przetną pana na pół!

- W porządku, Gwen, już koniec, zapomnijmy.

- Nigdy w życiu! - rzucił marynarz głosem wibrującym oburzeniem. - Jak tylko znajdziemy się na lądzie, składam skargę do policji morskiej!

Alan trącił Terry łokciem i uśmiechnął się do niej. Była jeszcze bardzo blada.

- Umiesz się tym posługiwać?

Wskazał na narty wodne, których czuby wyłaniały się spod jego stóp.

- Tak, ale nie teraz.

- Nie masz ochoty?

- Nie utrzymałabym się na nogach.

- Gwen!

- Słucham pana!

- Mogę pojechać na nartach? Gwen natychmiast przymknął gaz.

- Na pańskim miejscu byłbym za bardzo zdenerwowany!

- Wręcz przeciwnie, to postawi mnie na nogi!

Znajdowali się o trzysta metrów od brzegu, na wysokości hotelu Carlton. Alan wskoczył do wody, wypłynął na powierzchnię. Gwen podał mu narty. Włożył nogi w strzemiona i mrugnął okiem do Terry.

- Jestem gotów!

Marynarz rozwinął linę i rzucił mu. Alan chwycił zaczepioną na końcu poprzeczkę. Gwen przymknął gaz i zaczął zataczać koło, którego Alan był osią, aż lina wyprostowała się całkowicie. Zapytał ruchem głowy.

- Co! - krzyknął Alan.

Poczuł się brutalnie uniesiony w górę, chwilę łapał równowagę poddając się radośnie straszliwej sile wynoszącej go nad wodę, z twarzą smaganą wiatrem i wodnym pyłem, olśniony światłem, szybkością i hałasem. Jego narty śmigały nad wodą, powierzchnia morza zdawała się falować pod jego ciężarem, w rytm ruchu jego bioder, które oddalały go po przekątnej od bruzdy piany z szybkością strzały.

Zaczął uprawiać narciarstwo wodne bardzo wcześnie, odkąd matka przyprowadziła go na plażę. Stwierdził z wielką radością, że jego ciało niczego nie zapomniało mimo lat przerwy. Nie tracąc go z oczu, Terry siedziała z tyłu, widziana pod słońcem, otoczona złotą, świetlistą aureolą, opryskiwana pyłem fal. Wykonał kilka ewolucji, szczęśliwy z pamięci swych mięśni, które działały, zanim zdążył wydać im polecenie. Poczuł się zmęczony i dał ręką znak. Wtedy właśnie Terry wrzasnęła pokazując mu coś za nim.

Sparaliżowany strachem Alan odwrócił się: o trzydziści metrów od niego pojawił się znikąd dziób potwornego ślizgacza, ścigający go najwyraźniej. Pojął natychmiast, że to był ten sam, który o mały włos nie obciął mu głowy! Zaalarmowany krzykiem Gwen dostrzegł niebezpieczeństwo i na pełnym gazie kierował się na pełne morze. Zielono - niebieska riva wykonała ten sam manewr, przyspieszyła, lekko zboczyła na prawo i wyprzedziła ich z dziecinną łatwością. Alan zaciął zęby i uczeplił swojego kawałka drewna. Gdyby się zatrzymał, byłby na ich łasce, ale jeżeli będzie kontynuować - w końcu nogi go zawiodą. Teraz fruwał nad wodą z szaleńczą szybkością. Gwen skręcił w lewo pod zupełnie szalonym kątem. Ich ostatnią szansą było dostać się na plażę. Tamci tylko czekali na ten manewr. Wielkim łukiem

powrócili jak burza ku łodzi, chcąc zajechać ich na ukos i przeciąć drogę Alanowi. Po sekundzie riva już była przy nim. Rozpaczliwym ruchem bioder Alan uciekł w prawo.

Orząc morze śrubami riva przeszła o metr obok niego, wycinając fantastyczną bruzdę piany, na której omal nie upadł. Terry krzyczała jak szalona, Gwen rwał ku brzegowi. Riva ponowiła atak z całą mocą swoich silników. Tym razem Alan zrozumiał, że nie zdoła umknąć. Zebrał się w sobie, napięty jak struna, doczekał ostatniej chwili, w której miał zostać zmiażdżony i nagle wystrzelił w niebo ponad ślizgaczem w nadludzkim skoku. Byli już około stu metrów od brzegu. Riva wzięła kurs na pełne morze i zniknęła. Gwen natychmiast położył łódź w wiraż. Alan puścił poprzeczkę, chwilę jeszcze szybował jak rakieta wzdłuż pontonu na plaży sportowej, o włos wymijając głowy ludzi, którzy pluskali się spokojnie. Bez tchu przywarł do pała, próbując odzyskać oddech, ostry ból rozdzierał mu pierś.

Podniósł głowę. „Święto” zastygło o trzy metry od niego ze zgaszonym silnikiem. Terry szlochala konwulsyjnie. Z twarzą trupio bladą pod opalenizną Gwen powiedział drżącym głosem:

- Chcieli pana zabić...

Rozdział 25.

Bannister wyskoczył z taksówki, zapłacił za kurs, poprosił, aby wniesiono jego bagaże, wszedł do hallu pytając portiera:

- Pan Alan Pope?

- Klucz jest na tablicy, proszę pana. Jeszcze nie wrócił.

- Nazywam się Bannister. Samuel Bannister. Przyjeżdżam z Nowego Jorku, jestem jego przyjacielem, czeka na mnie. Czy może mi pan dać jego klucz?

Portier odbył krótką poufną naradę ze swymi dwoma kolegami.

- Nie sędzę, aby to było możliwe, proszę pana. Pan Pope nie zostawił nam żadnych poleceń.

- Musiał zapomnieć. Jestem zmęczony. Czy dacie mi ten klucz?

- Naprawdę proszę pana, bardzo mi przykro...

- Mówię panu, że jestem jego najlepszym przyjacielem!... Dobrze, zgoda... Czy macie jakiś pokój?

- Przykro mi, proszę pana. Mamy komplet do końca sierpnia. Czy zechce pan poczekać w barze na powrót pana Pope'a?

- Muszę wziąć prysznic! - wykrzykiwał Bannister. Umierał z gorąca w swej tweedowej marynarce. Wyczytał gdzieś, że arogancja wyróżnia klientów takich pałaców od zwykłych śmiertelników.

- No więc: tak czy nie?

- Powtarzam panu...

- Doskonale!

Zdecydowanym krokiem podszedł do jednego z przepastnych foteli w hallu głównym, rozsznurował jeden po drugim swoje buty, zrzucił je, pozbył się krawata, rozpiął koszulę, zdjął skarpetki, rozpiął spodnie i zaczął powoli zsuwać je po udach. Przechodzący przez hall zatrzymywali się z otwartymi ustami kontemplując tę scenę.

- Leć po pana Gohelana, szybko! - rozkazał portier jednemu z bojów, który poleciał galopem.

- Kto to jest? - zapytała Mandy de Saran z fałszywą nonszalancją.

Księżę właśnie grał w golfa, a ona wróciła kupić perfumy. Mięśnie bolały ją jeszcze po wczorajszym laniu. Cudownie bolały!

- Ten osobnik twierdzi, że jest przyjacielem pana Pope'a, księżno. Niestety nie możemy dać mu klucza.

Widok potężnych owłosionych ud Bannistera wybitnie ożywił księżną. Mężczyzna był tak brzydki, tak przeciętny i tak jednocześnie śmiały w swojej obojętności, tak ostentacyjnie lekceważył „co o tym

powiedzą", że poczuła jak wzbiera w niej straszliwe pożądanie. Niech ją zerznie jak najszybciej! Poza wszystkim miał końską twarz! A jej najbardziej obscenicznym marzeniem było zawsze dać się pokryć przez konia. Pokazał się Gohelan w towarzystwie niosącego szlafrok służącego. Okryli nim Bannistera wśród rześistego śmiechu zgromadzonych gości. Zażenowany dyrektor pertraktował przez chwilę i ustąpił. Służący pozbierał rozrzucone ubrania, wziął z recepcji klucz Alana i poprzedzając Bannistera udrapowanego godnie niczym rzymski cesarz, zaprowadził go do windy.

Mandy machinalnie oblizwała wargi.

- Który apartament ma pan Pope?

- 751, księżno.

Wsiadła do drugiej windy, wjechała na siódme piętro i na podeście minęła wracającego służącego. Drzwi do pokoju 751 były uchylone. Popchnęła je.

- Hallo...

Przerażony swoim wybuchem Samuel przyglądał jej się oszłomiony.

- Hallo... - wyjąkał automatycznie.

Nie pozwoliła mu oprzytomnieć. Podeszła do niego, przycisnęła stojącego do ściany, zagłębiła język w jego ustach, wsunęła pod szlafrok rękę w jego kalesony i powiedziała tylko:

- Weź mnie!

- Proszę pani, niech pani przysięgnie!

- Tak, idiotko, tak! Przysięgam ci!

Alice podniosła rękę do czoła.

- Dobry Boże! Wygrałyśmy trzy miliony dolarów!

- I przysięgnę ci jeszcze jedno... Tym razem mi ich nie odbiorą! Kupuję „La Voliere”!

- Na przylądku, w Antibes?

- Przypominasz sobie? Powiedziałam ci, że będę miała to pewnego dnia. Zrobiłam to! Za dwa miliony dolarów!

- Och, proszę pani!... To cudowne! Jak tam będzie spokojnie!

- Jedziesz tam natychmiast! - powiedziała Nadia. - Chcę, aby wszyscy o tym wiedzieli!... To mój rewanz! Dziś wieczór urządza niezapomniane przyjęcie! Zapraszam całe Wybrzeże! Betty Grone zdechnie!

- Ależ proszę pani, jest za późno!

- Co ty opowiadasz? Wszystko już zaaranżowałam! Dziesięciu recepcjonistów z hotelu rozdaje w tej chwili setki zaproszeń. Tematem tej nocy będą ptaki! Od północy do południa! Tym, którzy wytrzymają, zostanie podane śniadanie nad brzegiem morza, w moim prywatnym porcie! Dziesięć orkiestr! No, ruszaj, kierowca czeka na ciebie!

Alice oddaliła się kłusem. Nadia przywołała ją:

- Nie pytasz mnie nawet, od kogo wygrałam te wszystkie pieniądze?

- Od kogo, proszę pani?

- Od Hadada.

- Dobra robota! Mam nadzieję, że go pani nie zaprosiła?

- Oczywiście, że tak. Ale wątpię, czy przyjdzie. Nie pytasz mnie wcale, co będziesz robiła w „La Voliere”?

- Co tam będę robić? - dowiadywała się potulnie Alice.

- Będiesz kierowała całą operacją. Mają przynieść ze studia filmowego Victorine tony piór, pazurów, dziobów. I tresy. To samo przyleci z Paryża, o dziewiątej trzydzieści, na lotnisko. Ograbiłam trzech kostiumologów. Wszystkie przebieranki odbędą się w wielkim hallu. Żaden z gości nie przekroczy progu bez założenia ptasiej głowy!

- Ależ proszę pani, kto uczesze tych wszystkich ludzi?

- Alexandre. Przylatuje do Nicei ostatnim samolotem. Z piórami i piętnastoma pomocnikami!

Plaża sportowa była wypełniona pięknymi efebami, którzy przyglądali mu się z zainteresowaniem. Alan wziął Terry za rękę i wciągnął w spokojniejszy kąt, za bufetem.

- Posłuchaj mnie uważnie, Terry... Wrócisz teraz do siebie. Zamówię ci taksówkę. Zamkniesz się w pokoju i nie ruszysz się, dopóki po ciebie nie przyjdę!

W jej wielkich szarych oczach widać było jeszcze panikę dopiero co przeżytych chwil.

- Słuchasz mnie, Terry?

- A ty?

- Myślę, że wiem, skąd przyszło uderzenie... Muszę być pewien. Ureguluję tę sprawę i wracam!

- Kiedy?

- Jak najszybciej, jak to będzie możliwe. Za godzinę lub dwie. Bał się o nią. Nie chciał, aby ich razem widziano. Chciał najpierw ukryć ją na jachcie, ale zabójcy być może już o nim wiedzieli. Nie musiał się długo namyślać, aby wiedzieć, na czyje zlecenie działają: Hamilton Price - Lynch! Przypomniawszy sobie zawołane groźby, kiedy odmówił uczestnictwa w jego grze. Zalewała go żądza skrucenia mu karku, walenia o mur jego głową, aby się rozpadła na kawałki!

- Nie ruszaj się z domu!

Udał się do baru, zamówił taksówkę i wrócił, by znów wziąć ją w ramiona. Trzęsła się.

- Nie bój się.

Przytuliła się do niego, nie zwracając uwagi na kpiące spojrzenia pięknych chłopaków zmartwionych, że przystojny mężczyzna traci czas z kobietą...

- Kocham cię, Terry... Kocham cię... - wyszeptał w jej włosy. Był oszołomiony, że wreszcie wypowiedział te słowa: nigdy dotychczas nie powiedział ich nikomu.

- Alan... Alan... - powtórzyła jak echo - ...kocham cię!

- Halo, proszę pana! Taksówka!

- Idź! - powiedział Alan.

Ostatni uścisk, długie spojrzenie pełne niepokoju i zdziwienia... Weszła na drewniane schody prowadzące na plażę przy Croisette.

Alan poczekał chwilę, zszedł po schodach i wielkimi krokami udał się do Majesticu, z ustami ściśniętymi tłumioną wściekłością, z twarzą trupio bladą, z zaciśniętymi pięściami.

- Mój klucz - zawył w kierunku recepcjonisty.

- Jeden z pańskich przyjaciół właśnie go zabrał, proszę pana.

- Jak to?

- Pan Bannister z Nowego Jorku. Zrobiliśmy wszystko, aby go powstrzymać, ale rozebrał się do kalesonów w hallu.

- Bannister!

Wypadki toczyły się od kilkunastu godzin z taką szybkością, że kompletnie o nim zapomniał!

- Alan, gdzie pan się podział?

Sarah przywarła do niego, ściskając go za ramię.

- Wszędzie pana szukam! Czekam na pana od pierwszej po południu. Ale mi pan wyciął numer!

Musiał się opanować, aby nie ryknąć. Wyswobodził się łagodnie:

- Proszę mi wybaczyć, Sarah, mam trudności... Bardzo mi przykro, muszę wejść na górę...

- Idę z panem!

- To niemożliwe! Czeka na mnie przyjaciel.

- Niech czeka! Muszę z panem pomówić!

- Sarah, naprawdę nie mogę!

- Alan, to bardzo ważne!

- Później, Sarah, niech pani spróbuje zrozumieć!

Odwrócił się na pięcie i rzucił w kierunku wind. Biegła za nim. Kabina wypluła trzy ogromne psy trzymane na smyczy przez małą dziewczynkę.

- To pilne, Alan! Chodzi o moje życie, o pańskie!

Zaplątał się w smycz, pomiędzy psami, Sarah i dziewczynką. W tej samej chwili weszła do hallu Marina, która wróciła z Palm Beach. Zdumiona rozpoznała Alana zmagającego się z wirem brytanów i spódnic. Nawet nie pomyślawszy, jakim cudem on tu się znajduje, pobiegła ku niemu, w tej samej chwili została dostrzeżona przez Arnolda Hacketta, który wychodził z baru, gdzie przez całe godziny zadreślał się wypatrywaniem jej przez okno. Zapominając o swoim wieku, godności, pozycji społecznej i o tym, że jest godnym szacunku żonatym człowiekiem, ruszył w pogoń.

A psy wesoło ciągnęły małą dziewczynkę, która padła jak długa na marmurową posadzkę. Marina i Hackett rozkwasili sobie nosy na stalowych drzwiach, które zamknęły się za Alanem i Sarah.

- Alan! Czy może mi pan poświęcić chociaż sekundę?

- Nie!

- Alan!

- Nie, nie i nie! Niech mnie pani zostawi w spokoju!

- Cham! A jednak będę mówiła! Dziewczynka musiała bawić się guzikami windy, bo zatrzymywała się teraz na wszystkich piętrach. Alan przeklinał ją w duchu.

- Wyjdę za pana! Słyszysz mnie pan? Alan oparł się o ścianę.

- Co pani powiedziała?

- Pan i ja, pobieramy się! - A ponieważ stał skamieniały, dorzuciła: - Mamusia wie o wszystkim.

Piąte piętro.

- Sarah, pani jest kompletnie szalona?

- Tak, na punkcie pana! Nie musi się pan niczym zajmować! Moi adwokaci przygotowują kontrakt! Spędzimy miodowy miesiąc, gdzie tylko będzie pan chciał!

Szóste piętro...

- Alan... Wiem, że jestem impulsywna... Po raz pierwszy mam ochotę wyjść za mąż...

- Odmawiam!

- To będzie wspaniałe...

- Nigdy!

Siódme piętro. Drzwi rozsunęły się. Z drugiej windy w tej samej chwili wychynęli Arnold i Marina.

- Marina! Mam prawo do wyjaśnień!

- O rany! ale nudziarz! Wszystko trzeba zawsze panu tłumaczyć!

- Znieruchomiała: - Alan!

Dwie windy zjechały na parter zostawiając całą czwórkę na podeście.

- Marina! - wykrzyknął Alan.

- Jak się pani czuje, Sarah... - rzucił kurtuazyjnie Arnold.

- Alan, kim jest ta kobieta? - rzuciła Sarah.

- To Marina - stracił głowę Alan, nie wiedząc już, co robić.

- Dzień dobry, panu - powiedział zimno Arnold do Alana. Marina rzuciła się Alanowi na szyję, ściskając go, zapominając ze zdziwienia, że widzi go w Cannes, że dopiero co porzuciła go w Nowym Jorku na zawsze.

- Alan, co ty tutaj robisz? Nieprawdopodobne! Wiesz, z Harrym już wszystko skończone.

- Alan, proszę, by mnie pan przedstawił - powiedziała lodowatym tonem Sarah.

- Marina, to jest Sarah... Sarah, Marina...

- Skąd pan ją zna? - dopytywał się zaniepokojony Arnold Hackett.

- Słyszysz go, Alan? - zapytała Marina. - Z wściekłością odwróciła się do Hacketta: - Jeżeli naprawdę chce pan wiedzieć, to żyliśmy ze sobą!

- Alan, to prawda? - zapytała Sarah.

- Posłuchajcie... - krzyknął Alan. - Posłuchajcie mnie jeszcze przez chwilę!

Nabrał powietrza, aby wypowiedzieć słowa ostateczne. Głos go zawiódł: to było zbyt skomplikowane. Nagle skoczył w korytarz i gorączkowo zaczął bębnić w drzwi swego apartamentu.

- Alan! - krzychały unisimo Marina i Sarah, rzucając się w pogoń za nim.

- Samuel! Otwórz mi! Otwórz! - krzychał Alan. - To ja!

- Nikt mnie nigdy tak nie traktował, Alan! - piszczała Sarah.

- Zostaw go w spokoju, głupia idiotko! - przerwała Marina, ciągnąc Sarah za rękaw.

- Służba, zamknijcie ją! Nie dotykaj mojego narzeczonego!

- Marina - grzmiał Hackett, któremu nerwy puszczały - wzywam panią, aby mi wyjaśniła...

- Spierdalaj, stary głupcze!

We framudze drzwi pojawiła się głowa ogłupiałego Samuela Bannistera. Za całe ubranie miał kalesony i jedną skarpetkę. Przypominał wypunktowanego boksera schodzącego z ringu. Alan potrącił go, zanim dobiegli pozostali, kłócąc się między sobą i próbując go pochwycić. Doznał szoku: na dywanie, szczęśliwa, zupełnie naga, leżała księżna de Saran, z włosami w nieładzie, ciałem sinym od krwiaków. Pozdrawiała ich ruchem głowy z taką samą nieskończoną dystynkcją, jak gdyby siedziała na tronie Francji udzielając audiencji swoim wasalom.

- Samuel! - zakrztusił się Alan.

Bannister żałośnie rozłożył ramiona na znak bezsilności.

- Przysięgam ci na życie Christel... - Wskazał na księżną oskarżającym ruchem podbródka i rzucił odwracając oczy: - Ona mnie zgwałciła!

Z nieprzytomnym wyrazem twarzy Alan załamał rękę.

- Mam nadzieję, że poznacie mego wspaniałego przyjaciela, Samuela Bannistera... Sammy - Marina, którą już spotkałeś... Pan Arnold Hackett... Panna Sarah Burger...

Bannister z wysuniętą szczęką, przyjmował każde nazwisko niczym cios w żołądek. Alan wskazał na księżną, która spokojnie wkładała suknię.

- Księżna de Saran...

- Jak się pani ma?... - wybełkotał Samuel. Arnold Hackett natychmiast zgiął się w pól:

- Moje uszanowanie, księżno!... To niewybaczalne z mojej strony! Nie zauważyłem pani!

Mandy roztargnionym gestem podała mu rękę do ucałowania.

- Alan, czekam na odpowiedź! - zażądała Sarah.

- A o cóż to ona cię prosiła? - ironizowała Marina.

- Alan, mówię do pana!

- Mam prawo wiedzieć, co pani robiła z tym Arabem! - wmieszał się Hackett oskarżając Marinę spojrzeniem.

- Brałam kąpiel w szampanie!

- Alan - błagał Bannister - czy mogę dostać coś do picia? Coś mocnego...

Zapukano do drzwi, ciągle półotwartych.

- Alan...

Ukazała się promienna Nadia Fischler. Nie zwracając uwagi na obecność innych ucałowała namiętnie Alana w usta.

- Odegrałam się całkowicie, kochanie! Oto twoje pieniądze! Wymachiwała mu przed nosem kopertę, którą Alan chciał zabrać.

Szybko ją cofnęło.

- Pod jednym warunkiem!... Daj mi słowo, że weźmiesz udział wieczorem w moim święcie... Oblewam moją nową posiadłość... „Ptaszarnię”... Wszystkich was zapraszam! - rzuciła z szerokim gestem. - Umowa stoi?

- Nie mogę, Nadiu!

- Ile jest w kopercie? - szepnął Bannister do Alana.

- 800 tysięcy dolarów! - odpowiedziała triumfalnie Nadia.

- Przyjdzie! - krzyknął Samuel.

- Chcę, aby było wesoło, zwariowanie! - podniecała się Nadia, wsuwając za pasek Alana kopertę. - Noc ptaków! Będziemy unosić się w powietrzu! Dziś wieczór... O północy! „La Voliere”... Cap d'Antibes!

Posłała na czubkach palców pocałunek Alanowi i zniknęła.

- Wychodźcie wszyscy! - wrzeszczał Alan. - Wychodź! Twardo odsunął czepiającą się go Sarah.

- Ja też? - zapytał Bannister przytrzymując ręką kalesony.

- Ależ ty jesteś nerwowy! - wyrzucała mu Marina.

- Do zobaczenia, kochanie... - powiedziała Sarah wychodząc dobrowolnie. - Idę ogłosić zapowiedzi.

Hackett odsunął się, aby przepuścić królewską Mandy de Saran i na ile pozwoliły jego krótkie nóżki, popędził za Mariną.

Alan zamknął drzwi, zasunął rygiel, oparł się plecami o jedno ze skrzydeł, z otwartymi ustami, ciężko oddychając. Z błędnym spojrzeniem długo, w milczeniu, przyglądał się Samuelowi.

- Alan! Coś nie tak?... Alan! Dokąd idziesz?

- Zabić faceta - rzucił Alan, odsuwając go. Bannister przycisnął go do ściany.

- Najpierw mi powiesz, co się dzieje w tym domu wariatów!

- A ty co wyrabiałeś w kalesonach w hallu!

- Posłuchaj...

Alan ukrył twarz w dłoniach:

- Bar jest tam... jest whisky... Nalej mi coś do picia!

Samuel wykonał polecenie. Ze szklanką w ręku Alan opadł na dywan. Ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko zaczął przerywanym głosem opowiadać swoją historię.

- Jesteś taka blada! Nie jesteś chora?

- Czuję się bardzo dobrze, Lucy.

- Nie powiedziałabym tego. Widziałaś się z nim?

- Spędziliśmy razem dzień na statku MacDermotta.

- Opowiadaj! Było fajnie?

- Wspaniały dzień - powiedziała Terry odwracając oczy.

- Widziałam koleśków z bandy. Zdaje się, że spędzili bajeczny wieczór! Zrobili turkę po Cannes i Monte - Carlo. W kasynach zdemolowali wszystko. Bajeczne! Wieczorem wszyscy jedziemy do Siesty. Będziesz?

- Nie.

- Dlaczego?

- Alan przyjedzie po mnie.

- O rany, to staje się poważne! Jesteś zakochana? Terry pograżyła się w lekturze „Dziennika” Anais Nin, obejmującego lata 1947 - 1955.

- Coś ci dręczy? - nalegała Lucy.

Nie wypuszczając książki Terry wrzuciła kostkę cukru do neski, którą sobie przygotowała. Zaczęła kręcić łyżeczką, aby rozgnieść cukier. Obok filiżanki. Na ceracie stołu.

- Co ci nasunęło taką myśl? - powiedziała.

Bannister był przy swojej szóstej whisky, Alan przy drugiej. Wobec tego, co go czekało, musiał zachować jasny umysł.

- Daj mi jeszcze jedną - powiedział Samuel.

- Chcesz się urząnąć? - zapytał Alan.

- Nie. Ale jestem zbity z tropu. Nie poznaję ciebie. Mam wrażenie, że stałeś się kimś innym.

- Myślisz, że można w tym środowisku przeżyć trzy dni i pozostać niewinnym? W Nowym Jorku byłem zamknięty w wąskim kręgu mojej pracy, marzyłem, nie wiedziałem. Byłem przekonany, że praca jest środkiem, aby lepiej żyć. Byłem baranem wśród baranów, uważałem ich za uczciwych, miłych. Biednych i miłych... Nie widziałem nigdy bestii w akcji! Walka o padlinę. Kto komu wyrwie kawałek padliny!

- Wyobrażasz sobie, że są szczęśliwsi?

- Spędziłeś dwadzieścia pięć lat dając dupy, aby skończyć jak prawdziwy wał i jeszcze mówisz mi o szczęściu! Ma się tylko jedno życie, Sammy! Ktoś taki jak ty nie ma o nim pojęcia! Jeszcze rano chciałem rzucić wszystko, wrócić do szeregu, zebrać o jakieś ciche spokojne zajęcie w Nowym Jorku, za 1500 dolarów miesięcznie... Co dowodzi, że byłem równie głupi jak ty! Następnie pojawił się ten typek Larsen. Przysięgam ci Sammy, że nie wierzyłem w to! Kiedy zobaczyłem, że wszystko gra - zrozumiałem, że wszystko jest możliwe!

- Może być, ale ja śpię spokojnie.

- Bo już jesteś martwy! Społecznie, finansowo, seksualnie! Bierzesz swoją rezygnację za cnotę! Ta kobieta, którą rznąłeś w moim własnym łóżku: kiedy ostatnio przeleciałeś podobną?

- Christel mi wystarczy.

- Kłamczuch! Po prostu nie ośmieliłeś się!

Bannister z zażenowaniem potrząsnął głową, zdjął okulary i wytarł z nich pot.

- To prawda. Ale żeby działać tak jak ty!...

- Próbowano mnie zabić, ośle! Wszyscy chcieli mnie dostać! Myślisz, że im to daruję?

- O rany - oburzył się Samuel - postaw się na moim miejscu! Widzę, jak wyjeżdża złamany facet, którego wyrzucono za drzwi, a pięć dni później spotykam pośrednika handlu bronią, odgrywającego rolę nababa w hotelach Lazurowego Wybrzeża, odtrącającego

spadkobierczynię największego banku prywatnego w USA, faceta, który chce puścić Burgera z torbami! Jak możesz żądać, aby nie chciało mi się rzygać?

- Ty mnie do tego popchnąłeś? Do wszystkiego, co mi zarzucasz ty mnie popchnąłeś! Zapomniałeś o tym?

- To były tylko słowa.

- „Bezrobotny” to tylko słowo? A moja dupa w formalinie w domu pogrzebowym w Cannes, to też tylko słowo? Być może wolałbyś organizować zbiórkę na wieniec dla mnie wśród drogich kolegów z biura! Nawet widzę ten obrazek! Pięć minut krokodylich łez nad biednym Alanem Pope'em i wspaniała wyżerka u Romano's!

- Boję się ciebie, Alan.

- Nie powinienes mi wsadzać do łba tego, co myślisz! Ham - Burger był łajdakiem! Hackett następnym! Chciałbyś, abym do nich dołączył po tym co dla nas zrobili? Gówno, Sammy! Żadnych podarunków! Odebrałem dobrą lekcję!

Samuel chciał odpowiedzieć, ale mu przeszkodził.

- Dosyć słów! Do dzieła! Dosyć nerwowo wykręcił trzy cyfry na tarczy telefonu.

- Hamilton Price - Lynch?... Alan Pope. Chciałbym się z panem natychmiast zobaczyć w hallu... Oczywiście... Już schodzę.

Odwrócił się do Bannistera.

- Przestań chlać i nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócę!

Ham - Burger zacisnął palce na słuchawce.

- Słucham, co pan mówi?

- Sprawa się rypla - powtórzył Cesare di Sogno.

Hamilton rzucił niespokojne spojrzenie na drzwi: bardziej niż kiedykolwiek był na łasce i niełasce Alana Pope'a. Musiał się domyśleć, skąd pochodził cios, chyba że jest skończonym głupcem.

- Musi się udać!

- Moi współpracownicy kończą właśnie przygotowanie do drugiego podejścia.

- Jeżeli z podobnym skutkiem jak pierwsze...

- Robię, co mogę.

- Niech pan spróbuje zrobić trochę więcej! Chcę, aby to było skończone przed wieczorem!

W głosie brzmiała groźba. Trzymał w garści di Sogno i ten gnój wiedział, że on go trzyma. Ale gdy ktoś jest tak umoczony jak on, to w końcu kto w końcu trzyma kogo?

- Zajmę się tym. Będzie grało.
- Życzę panu tego! Wściekły Hamilton przerwał połączenie.
- Do kogo dzwoniłeś?

Podskoczył dostrzegając Emily, która bezszelestnie weszła do salonu.

- Pomyłka... Utkwiła w nim podejrzliwe spojrzenie:
- Gdzie spędziłeś dzień?
- Szukałem cię. Byłem w Palm Beach, na plaży w Carltonie, na plaży sportowej, w Canto... Wróciłem.
- Wyglądasz na niespokojnego...
- Ależ nie, wszystko w porządku!

Uśmiechnęła się ponuro, co było sygnałem nadciągającej katastrofy.

- Mam kłopoty z Sarah. Bardzo poważne kłopoty! Wszystkie kłopoty pochodzące od Sarah mogły tylko ucieszyć Hamiltona, ale zmarszczył brwi i zrobił zafrasowaną minę.

- Nie udawaj, że ci przykro - powiedziała Emily z pogardą. - Wiem, że jesteś zachwycony! Niestety, to również ciebie dotyczy. Wyobraź sobie: wbiła sobie do głowy, że wyjdzie za Alana Pope'a!

Hamilton poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Zadzwoił telefon. Nie uczynił żadnego ruchu.

- Na co czekasz? Podnieś! - rozkazała Emily. Ujął słuchawkę z takim wahaniem, jakby parzyła.

- Słucham... Tak, to ja.

Twarz mu zmroczniała. Emily pytała go oczyma. Zrobił pełny zniecierpliwienia gest.

- Kiedy?... Gdzie?... Doskonale. Schodzę.

Położył słuchawkę i rzucił, nie mając odwagi spojrzeć na nią.

- Alan Pope. Chce mnie natychmiast widzieć na dole.

- Idę z tobą!

- Emily, chyba sobie nie wyobrażasz...

- Lepiej niż ty będę umiała mówić z tym żigolakiem! Poza wszystkim Sarah jest moją córką!

Tak jakby Pope chciał rozmawiać o jej córce! Przecież jedyne, czego chciał, to skóra Hamiltona. Powstrzymał ochotę, aby ją trzasnąć, uśmiechnął się i powiedział spokojnym głosem:

- Słuchaj, Emily... Trochę klasy! Zostaw im zainkasowanie pierwszego uderzenia. Kiedy usłyszę, o co chodzi, rozpatrzmy to i będziesz mogła działać. Zgoda?

- Tylko nie siedź zbyt długo - powiedziała surowym tonem.

Połowa hallu hotelu Majestic była wynajęta przez jubilerów, którzy wystawiali najpiękniejsze sztuki ze swych kolekcji w opancerzonych witrynach. Z ulgą Ham - Burger doliczył się z tuzina atletycznych byczków łatwych do rozpoznania po garbie wypychającym ich marynarki i troskę o to, by nie wpatrywać się w poszczególne osoby zbyt długo. Angażowano ich na sezon, aby czuwali nad tymi cudёнkami.

Alan Pope już tam był, siedział w ciemnobłękitnym fotelu, pod palmą w donicy. Jeżeli chciał go zabić na miejscu, być może goryle to udaremnią.

- Niech pan usiadzie, panie Price - Lynch.

Ham - Burger przysiadł na brzeżku, gotowy paść na ziemię, jeżeli Alan wyjmie broń.

- Czy pańska propozycja jest ciągle ważna?

- Zmienił pan zdanie? - zapytał nieufnie Price - Lynch.

- Namysliłem się. Zadaję sobie pytanie, czy nie oddać panu tej usługi, o którą pan mnie prosił. Ale nie na pańskich warunkach.

Hamilton lekko rozluźnił się: nie czynił aluzji ani do Sarah, ani do zamachu.

- Słucham pana...

- Ofiarował mi pan 100 tysięcy dolarów. Chcę 200 tysięcy. W serce Hama - Burgera wstąpiła nadzieja.

- To dużo pieniędzy, panie Pope.

- Nie mnie o tym sądzić, panie Price - Lynch.

Wypłata dla Hacketta Chemical odbyła się wczoraj, 28 lipca. Chodziło już o minuty. Poszedł na całego:

- Założmy, że się zgodzę...

- Nie rozpatruję interesów w sferze założeń, panie Price - Lynch. Proszę powiedzieć: tak czy nie?

Hamilton udawał, że toczy się w nim ogromna walka wewnętrzna.

- Pan mi przystawia nóż do gardła.

- Kiedy przekaże mi pan te pieniądze?

- Połowę, gdy tylko dojdziemy do porozumienia. Drugą po wykonaniu zadania. Najpierw muszę ponownie przekazać panu 2 miliony dolarów, które przelałem na pańskie konto. Oczywiście po odmowie dziś rano wydałem instrukcję, by je wycofano z pańskiego konta.

- Oczywiście. Na jaki bank zamierza pan przekazać mi 200 tysięcy dolarów?

Ham - Burger popatrzył na niego z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy.

- Oczywiście na swój. Burger.

Alan zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy:

- Nie, nie, nie, panie Price - Lynch. Nie mam najmniejszego zaufania do banku, w którym komputer dopuszcza się pomyłek. Jak również do bankiera, który zdradza swego najlepszego klienta. Likwiduję moje konto u pana. Proszę przekazać tę sumę do First National. A teraz proszę mi wyjaśnić od a do z mechanizm tej operacji. Powie mi pan dokładnie, czego oczekuje ode mnie w zamian za te 200 tysięcy dolarów. Słucham pana.

Z oczyma okrągłymi ze zdumienia Ham - Burger milczał przez dłuższą chwilę. Następnie, skrzyżowawszy ręce na kolanach, zaczął mówić.

Rozdział 26.

No więc, Murray, jak leci?

- Wszystko doskonale, panie Hackett!

- Zwolnieni nie burzą się zanadto?

- Wszystko w porządku, panie Hackett. Choć to wakacje, wydajność nigdy nie była tak wysoka!

- Dobrze, dobrze... - powiedział Hackett. - Jutro jest dwudziesty ósmy. Czy wszystko jest gotowe do wypłaty?

- Jestem umówiony o dziewiątej rano z Abelem Fischmayerem, panie Hackett. Jak zwykle. A propos, muszę panu donieść, że dzwonił do mnie wczoraj. Chciał informacji na temat jednego z naszych urzędników wyrzuconych z pracy.

- Nie jesteśmy agencją policyjną! - uniósł się Hackett. Niewdzięczne zachowanie Mariny stało mu kością w gardle. Ani serdeczności, ani miłego słowa, ani podziękowania, nic! Gdyby Poppie była w Cannes, spędzałaby dni klęcząc przed nim, słuchając, pijąc oczyma. Nie afiszowałaby się z Arabem!

- Nie wolno panu odpowiadać na pytania dotyczące przedsiębiorstwa!

- Właśnie, panie Hackett, ja...

- Proszę się zamknąć! Powiedział pan: Fischmayer? Przekażę to natychmiast Ham - Burgerowi!

- Dobrze, panie Hackett.

- I niech pan nie zgadza się, jak papuga, ze wszystkim, co mówię! Lubię współpracowników, którzy nie owijają w bawełnę! Lubię, jak ktoś mi się sprzeciwia dla dobra Hacketta!

- Panie Hackett...

- Wystarczy, abym wyjechał na tydzień, aby wszystko zaczynało się psuć. Niech pan uważa, Murray! Proszę mi nie psuć urlopu!

Przerwał gwałtownie połączenie. Siedział w szlafroku, na tarasie, przed ogromną kanapką, której nie ruszył. Majonez, pod wpływem gorąca, zaczął podstępnie przenikać przez kromki chleba. Victoria była u fryzjera. Mógłby miło spędzić czas z Mariną. Po raz setny popatrzył na jej okno. Były szeroko otwarte. W pokoju nie było nikogo. Być może zobaczy ją wieczorem na przyjęciu wydawanym przez tę kobietę o fioletowych oczach, Nadię Fischler.

Patrzyli na siebie jak para zahipnotyzowanych, nie mogąc oderwać od siebie oczu, nie mogąc się poruszyć, mówić. Przez

otwarte okno wpadał ostry krzyk jaskółek, strzępki rozmów prowadzonych na ulicy przez kumoszki; zapach szafranu i racuchów dobiegał z restauracji.

- Bałam się, że nie wrócisz - powiedziała Terry.

Alan przebył dzielące go od niej dwa kroki, wziął ją delikatnie w ramiona, zanurzył głowę w jej włosach wdychając głęboko ich zapach.

Trwali tak przytuleni jedno do drugiego, stojąc, dwoje rozbitków odnajdujących się na bezludnej wyspie zamkniętego pokoju. Czuł na swojej piersi miękki ruch jej piersi, a pod ręką delikatne i jędrne wygięcie jej bioder.

- Tak się bałam... - wyszeptała.

- To już skończone, Terry.

Miał ochotę mówić jej wariactwa, słowa ostateczne, słowa, które uważała za kretyńskie, kiedy wymawiali je inni. Ona czuła to:

- Mów do mnie, Alan... Opowiadaj... Muszą cię słyszeć. Chcę wiedzieć, że czujesz to samo co ja...

- Tak.

- Równie mocno?

- Tak.

- Opowiadaj... powiedz mi...

Kula zatykająca mu gardło nie pozwoliła na odpowiedź. Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Powiedz mi, Alan...

- Nie jestem przygotowany na to, co się zdarzyło.

- Ja też nie. Jestem sparaliżowana strachem.

- Nie uwierzyłbym, że sprawy tak się potoczą... Wyobrażałem sobie, że rzucę się na ciebie i pożrę cię na surowo... A tu zupełnie coś innego.

Spojrzała na niego w sposób, którego nigdy u niej nie widział, zdjęła przez głowę bluzkę i zaczęła mu rozpinać koszulę. Poczul na skórze ciepło jej sutków. Pieścił je czubkami palców, z ciałem wstrząsanym zimnymi dreszczami, zalany tamującym oddech pożądaniem, nieprzytomnym pragnieniem, aby ją zatrzymać, ochraniać, pić jej zapach z każdego centymetra jej skóry. Chwycił ją w ramiona i zaniósł na pokryte patchworkiem łóżko. Nie spuszczała go z oczu, a źrenice miała rozszerzone, jak u narkomanki. Leżeli obok siebie.

- Chcę, abys na mnie patrzył - powiedziała. - Abyś na mnie ciągle patrzył.

Ich języki dotknęły się. W jej nienaturalnie rozszerzonych oczach widział ze wzruszeniem, jak nadpływa bezmierna fala rozkoszy unosząca ich o miliony lat świetlnych na nieznaną planetę, poza przestrzenią i poza czasem.

Co robić? Ogłosić OPA nie mając pewności, że Pope przeżyje, to było niemal samobójstwo. Ale di Sogno nie mógł odnaleźć zbirów nasłanych na Alana. A czekać jeszcze godzinę z rozpoczęciem działania, to nieuchronnie przekreśla operację. W wyścigu z czasem Hamilton zdecydował się zagrać jedyną kartą pozostawiającą mu iskierkę nadziei: Pope ciągle żył i był również nie do znalezienia, co osaczający go zabójcy. Zadzwoił do Fischmayera, aby uruchomić maszynę.

- Abel? Tu Price - Lynch.

Odchrząknął, by pozbyć się z głosu tonu wahania, i przybrał zaczepny i zimny ton władczego bankiera.

- Bardzo mi się spieszy, Abel. Będę panu wdzięczny za oszczędzenie mi pytań. Wykona pan tylko punkt po punkcie moje instrukcje. Zgoda?

- Słucham pana - rzucił z rezerwą Fischmayer.

- Doskonale, proszę notować. Burger ogłasza OPA.

- Przeciwno komu, proszę pana?

- Przeciw Hackett Chemical. Długie milczenie...

- Czy pan mnie słyszy, Abel?

- Czy może pan powtórzyć, panie Price - Lynch?

- Ogłaszamy OPA przeciwko Hackettowi! Czy pan jest głuchy?

- Ależ to nasz najlepszy klient!

- Fischmayer - zakrztusił się Hamilton - pan zrobił u nas wspaniałą karierę! Moja żona i ja myśleliśmy nawet, aby awansować pana do naczelnej dyrekcji. Jeżeli to stanowisko pana nie interesuje, proszę od razu powiedzieć!

- Panie Price - Lynch, wie pan bardzo dobrze, że myślę wyłącznie o najwyższych zyskach Burgera...

- Burger to ja! Proszę starać się o tym nie zapominać, Fischmayer!

- Dobrze, proszę pana.

- Na ile Hackett nie ma pokrycia?

- Jak zawsze... Na czterdzieści milionów dolarów.
- Co się na to składa?
- Rozmaite kredyty, rachunki dostawców, płatności długoterminowe... Ostatnimi czasy Hackett dokonał ogromnych inwestycji...
- A wypłata, którą mamy na jutro zabezpieczyć?
- Czterdzieści milionów.
- Co, innymi słowy oznacza, że jutro wieczorem Hackett będzie nam dłużny 80 milionów?...
- Dokładnie. Proszę mi pozwolić dodać, że jest to sytuacja całkowicie normalna.
- Dziękuję, że pan to podkreślił, Fischmayer! - zgrzytnął Hamilton, - W jeszcze nie zapłaconych kredytach jest jakiś rachunek na mniej więcej 500 tysięcy dolarów?
- Bardzo możliwe.
- Proszę to kupić. Natychmiast. W imieniu Alana Pope'a.
- Z jakich pieniędzy, panie Price - Lynch? - dopytywał się Abel głosem urażonym i pełnym potępienia.
- Klient, dla którego działam, zdeponował 130 milionów w Chase Manhattan. Niech pan to przeleje do nas. Suma ta jest przeznaczona na zakup 6,5 miliona akcji spośród 10 milionów znajdujących się w obiegu. Akcje Hacketta szacowane są obecnie na 20 dolarów. Będzie pan z czego miał wypłacać, biorąc pod uwagę wszystkich ciułaczy, którzy się zgłoszą. Czy pan jest przy telefonie?
- Tak, tak...
- Czy coś nie tak, Abel?
- Panie Price - Lynch - zbuntował się Fischmayer - takie OPA jest niemożliwe! Arnold Hackett ma 60 procent udziałów we własnej firmie! Nawet jeżeli wszyscy pozostali akcjonariusze stawią się przy naszych okienkach, co oczywiście wcale nie jest pewne, w żadnym wypadku pański klient nie zdobędzie większościowego udziału!
- Czy pan mnie bierze za głupca, Abel?
- Czy pan myśli, że Hackett jest na tyle szalony, aby pozbywać się swoich własnych akcji i tracić kontrolę nad swoimi sprawami?
- Fischmayer, nie będę tolerował, aby którykolwiek z moich współpracowników rzucał mi kłody pod nogi! Nie ma pan dostatecznie wielu elementów oceny, by znaleźć się w skórze

Hacketta i myśleć zamiast niego! Ja je mam! Czy będzie pan wykonywał moje rozkazy? Tak czy nie?

- Przepraszam, panie Price - Lynch.

- Podyktuję panu tekst ogłoszenia w sprawie OPA. Jak tylko się rozłączymy, opublikuje pan to we wszystkich dziennikach, tygodnikach, biuletynach finansowych, w radio i telewizji! Wszystko to musi zacząć działać jutro, od samego rana! Notuje pan?

- Słucham pana.

Hamilton przeczytał to, co nagryzmolił w notesie kilka chwil wcześniej:

Bank BURGER TRUST LIMITED jest gotów zakupić wszystkie akcje HACKETT CHEMICAL INVESTMENT znajdujące się w obiegu za cenę 20 dolarów za akcję. Oferta ta będzie ważna tylko w przypadku, kiedy ilość złożonych papierów w BURGER TRUST LIMITED do ostatecznej daty 3 sierpnia wyniesie sześć i pół miliona.

Z ponad pięciu tysięcy kilometrów dobiegło zrezygnowane westchnienie Fischmayera.

- Co mam powiedzieć członkom rady administracyjnej, panie Price - Lynch?

- Nic! Proszę im pozwolić się wyspać! Kiedy się obudzą, my już od dawna skończymy! Z kim pan się jutro spotyka w sprawie wypłaty?

- Z Oliverem Murrayem.

- A więc proszę dobrze posłuchać, co mu pan powie... Długo tłumaczył, mimo rosnącego oburzenia okazywanego przez

Fischmayera, w miarę jak zaczynał rozumieć tajemnicę operacji. Kiedy położył słuchawkę, był spocony jak ruda mysz. Otarł sobie czoło apaszką Emily porzuconą na fotelu. Kości zostały rzucone!

Zazwyczaj po akcie miłosnym potrzebował czasu pustego, czasu samotności. Zdarzało mu się nawet, że miał ochotę wyrzucić z łóżka przypadkową partnerkę, by jak najszybciej sobie poszła. Z Terry nauczył się tego, czego nie wiedział dotychczas: można było pożądać kobiety przed, w czasie, po, bez żadnej przerwy, nawet bez żadnego kontaktu fizycznego, mieć po prostu ochotę, aby ta kobieta tu była, oddychała, czuć ją, słuchać jej, wsłuchiwać się w jej milczenie. W małym pokoiku noc przerodziła się w dzień, godziny upływały, zmieniały się hałasy i zapachy, a Alan, spleciony z nią, nigdy nie czuł się taki wolny i taki lekki. Rodzaj całkowitej zgody między zmysłami

i rzeczami, doskonała harmonia każdej sekundy, poświęconej na pełne zachwyty odkrywanie ciała Terry, szaleństwu, z jakim rzucało się jedno na drugie w oszalałej płątanie, i czasowi odpoczynku pozwalającemu na ogarnięcie całej intensywności, z jaką to przeżywali, i wyobrażeniu sobie szaleństwa, które nadejdzie.

- Terry...

- Tak...

- Ubierz się i chodź ze mną.

- Dokąd?

- Na wieczór w pewnej posiadłości. Tylko na godzinę. Obiecałem.

W ciągu kilku godzin Mabel, Marinę i tyle innych kobiet odesłał w otchłań zapomnienia. Przed nią nie było żadnej. Bał się przyznać, że po niej albo bez niej też nie będzie żadnej, tylko zimna pustka, przestrzeń bez życia. Skupienie, z jakim stała się jego, cała, wyłączna, bez żadnej fałszywej nuty, jakiej nawet nie mógł sobie wymarzyć, było doznaniem tak silnym, że aż go to przestraszyło. W nie kończącym się locie po złotej spirali usianej mieniącymi się świetlistymi punktami orientacyjnymi, była ratunkiem w cudownej katastrofie wyrzucającej ich poza nich samych, boją dla ich szeroko otwartych oczu utkwionych w sobie.

- Jest mi dobrze, Alan. . - Która godzina?

- Nie wiem. - - Muszę tam wskoczyć, zanim wyjdzie ostatni gość. Chodź!

- Nie, poczekam tu na ciebie. Nie chcę nawet patrzeć, jak inni ci się przyglądają.

- A ja mam ochotę, aby cię oglądano. Chcę cię pokazać. Wrócimy bardzo szybko. Nadia Fischler jest zawodowym graczem. Wspaniale się zachowała wobec mnie. Dałem jej słowo. Spotkasz tam wariatów. Będą poprzebierani za ptaki. Nie oceniaj ich, oni nie mają szczęścia znać ciebie. Co chcesz, aby robili innego?

Odgadywał w ciemności jej uśmiech i nalegał dalej.

- Gatunek, którego nie znasz, śmietanka Lazurowego Wybrzeża. Spotkałem nawet takich, którzy nie byli całkiem zepsuci.

Koniuszkami palców obrysowywała kontur jego ust. - Będę na ciebie czekać, Alan.

- Przysięgam ci, że się ubawisz! Nie masz zielonego pojęcia, co to jest?

- Idź... Idź szybko... Im szybciej pójdziesz, tym szybciej wrócisz.
- Masz do mnie żal?
- Chciałabym, aby dziś wszyscy byli szczęśliwi.
- Przysięgasz, że nie ruszysz się stąd?
- A dokąd miałabym pójść?
- Nawet nie wstaniesz z łóżka?
- Nawet nie mogłabym!

Wstał, popatrzył na noc przez szpary w okiennicach i miał ochotę zwierzyć się jej ze swych projektów. Nie chciał się z nią rozstawać. Nigdy. Powie jej po powrocie. Wobec wieczności, cóż znaczyła jedna godzina więcej, jedna mniej?

Wchodziło się przez przepastny, dębowy, szeroko otwarty portal. Czterech strażników ograniczało się do uważnego przyjrzenia się zaproszeniom, których kierowcy zatrzymywali na chwilę samochody. Gęsto rozmieszczone żywiczne pochodnie wytyczały aleję prowadzącą do głównego domu, który można było dostrzec dopiero po pięciuset metrach przebytych między szklarniami, kepmi kwiatów i egzotycznymi drzewami, które rozsiewały w noc swe odurzające zapachy. Uzbrojeni w pochodnie służący kierowali przybywających ku miejscom, gdzie samochody mogły jeszcze zaparkować. Wszędzie w alejach tonących w mroku tajemnie lśniły chromy karoserii.

Hadad wysiadł ze swego cadillaca.

- Proszę pozostać blisko schodów, nie będę tu długo - rzucił swemu kierowcy.

Otoczyła go muzyka dziesięciu orkiestr pochodząca z różnych miejsc i odległości, hałas rozmaitych głosów, śmiechy z wysoka. Przed nim przeszedł dwumetrowy indyk, a za nim bażancica, i Hadad pomyślał, że goście Nadii Fischler bawią się dobrze za jej pieniądze.

Trzy hostessy złapały go za ramię, by zaciągnąć do hallu wejściowego, przekształconego w garderobę.

- Jakim ptakiem chce pan być?
- Sokołem - odezwał się głos.

Hadad odwrócił się i dostrzegł zadziwiającego rajskiego ptaka, przyozdobionego tysiącem połyskujących piór: Nadia! Ujął rękę, którą podała mu z wahaniem, ucałował szarmancko.

- Gratuluję pani fantastycznego stylu, w jakim zarządza pani moimi kapitałami.

- To nie są już pańskie kapitały - powiedziała chłodno Nadia - tylko moje.

- Na jak długo, droga Nadiu?

- Na tak długo, dokąd będę miała naprzeciw siebie konkurentów którym wysiadają nerwy.

- Czy nienawidzi mnie pani aż tak bardzo, gdyż pani jest Żydówką, a ja Arabem?

Doświadczone ręce przypinały do jego czaszki głowę sokoła.

- To by panu pochlebiało - odrzuciła Nadia ze wspianym uśmiechem. - Chodzi po prostu o zwykłe odczucia: nie lubię pana.

Hadad oddał jej uśmiech.

- Nienawidzę tych, którzy mnie lubią. Nie umiem przyjmować. Lubię brać.

- Proszę więc wziąć kieliszek.

- Jeżeli tylko mi go pani nie da, to z przyjemnością. Przystąpił przez próg idąc tuż za nią i zagłębił się w barokowy świat zwariowanej ptaszarni, w zgiełk paplaniny, nawoływania, krzyków. Na jego widok potężna blondynka przebrana za synogarlicę, udawała, że ucieka z pełnym przerażenia gdakaniem:

- O nieba, sokół!

Była druga nad ranem. Już wszyscy byli pijani. Czaple z kieliszkami w ręku tańczyły z rozczochranymi kurami - nioskami rasy Leghorn; sęp całował w usta bażancicę, pelikan otoczony kurczątkami rasy brama putra opowiadał pieprzną historię, papuga leżała na kanapie w owłosionych ramionach kakadu, kuropatwa goniła rycząc ze śmiechu czarnego łabędzia.

- Jestem twoją Ledą! Nie odchodź!

Dziesiątki kelnerów o głowach wróbli przewijało się wśród zaproszonych. Otrzymali polecenie, aby podawać napoje tak, by nikt nie musiał chodzić do bufetów zajmujących przepastny salon. Cała fasada długości ośmiu metrów naprzeciw wejścia była oszklona i wychodziła na jaskrawo oświetlone reflektorami ukrytymi na drzewach trawniki. Schodziły one łagodnie po zboczach ku morzu między dwiema alejami wiekowych pinii, których wierzchołki ginęły w niebie i nocy. Orkiestry mew i papug były otoczone przez ptactwo wszelkiego rodzaju kręcące się w farandoli, ludowym prowansalskim tańcu, w którym ramię w ramię, pióro w pióro sąsiadowały ze sobą

kaczki, pingwiny, gołębie, kolibry, kosy i sójki. Nieco na uboczu, za kępą oleandrów, paw bronił się przed atakami kruka:

- Gdzie pan chce, abym ich odnalazł? Próbowałem wszystkiego! Przepadli gdzieś w świecie!

- Jeżeli Alanowi Pope'owi spadnie teraz włos z głowy!

- Ależ panie Price - Lynch - oburzył się paw - pan sam wydał taki rozkaz!

- Niech pan ich powstrzyma, Cesare! - zagroził kruk. - Niech pan sobie jakoś poradzi! Odpowiada pan za niego własną głową!

Paw odwrócił się na pięcie i znów pobiegł do telefonu. Od wielu godzin wykrecał wszystkie możliwe numery, pod którymi można się było skontaktować z Marco i Salicettim. Na próżno.

- Ale widok - powiedziała Nadia. - Ma się ochotę podłożyć ogień!

- Poluję tylko na grubą zwierzynę - uściślił Hadad z grymasem.

- Na dziewczynki madame Claude?

- W moim kraju nie strzela się do krów.

- Taką reputację zdobył pan w Cannes...

- Wie pani dobrze, że na Lazurowym Wybrzeżu wszystko jest fałszywe.

Nadia wybuchnęła śmiechem i wskazała na park.

- Być może, to również?

- To jak i cała reszta - powiedział Hadad. - Ten dom, te drzewa, te posągi, te ptaki... Złudzenie! Wszystko rozplynie się wkrótce jak noc.

- Taki ma pan do mnie żal, że zagarnęłam pańskie pieniądze? - szydziła Nadia.

- Złudzenie. Któż pani powiedział, że pani to naprawdę zagarnęła? Pani rzuciła swoją piątkę, a ja odłożyłem karty nie odwracając. Czy może pani przysiąc, że nie miałem dziewiątki?

- Bydlak! - wrzasnęła Nadia.

- Ja tylko chcę zostawić pani szansę. Niech pani dalej wierzy w swoje szczęście.

Skłonił się i dodał z ironią:

- Tak jak ja wierzę w moje. Wracam tam. Dobranoc.

- No, no... - protestowała łagodnie czapła odsuwając rękę, którą kurak wsuwał w wycięcie jej staniczka. - Pan jest straszliwie pociągający, ale działa pan zbyt szybko!

- To tylko, aby zobaczyć - powiedział Bannister.

Miękki grzebień koguci poruszał się na jego głowie przyozdobiony piórami, spadającymi mu na ramiona. Widząc jego przygnębioną minę czapla położyła mu rękę na swojej piersi.

- Lubi pan grać?

- W co, Karino?

- W różne śmieszne rzeczy... Moja specjalność to połykanie banknotów!

- Nie?

- Ależ tak!

- Bardzo chciałbym to zobaczyć!

- Ma pan banknoty? Potrząsnął energicznie grzebieniem:

- Nie przy sobie! Wszystko co mogłaby pani połknąć, to moja karta American Express.

Przytuliła kask swoich długich blond włosów do jego piersi i gładziła pióra z rozmarzoną miną.

- Jadałam już inne! Można by spróbować wracając do hotelu?

- Tak... Tak... To jest myśl...

- Hallo, Samuel! - rzuciła dobrodusznie sowa.

- Arnold! Zgubiłem pana! Gdzie pan się podziewał?

- Victoria chciała zobaczyć morze przy blasku księżyca. Kobięce kaprysy...

- Czy zna pan Karinę?

Nie wypuszczając kieliszka Arnold ceremonialnie pocałował rękę czapli.

- Hackett - powiedział.

Bannister podskoczył: widział, jak w szatni, z pomocą hostessy, Alan wkładał na siebie głowę gołębia.

- Karino - powiedział wstając pospiesznie - niech pani opowie o swoim numerze Arnoldowi! Zaraz wracam!

Rzucił się ku Alanowi. Był od niego zaledwie o dziesięć metrów, gdy pojawiając się nie wiadomo skąd, wyskoczyła na niego Sarah. Musiał się zatrzymać. Była przebrana za tukana, w czarnej lśniącej tunice i z żółtym, groźnym dziobem.

- Alan! Szukałem pana wszędzie! - wykrzyknęła chwytając go za ramię. - Niech pan idzie! Muszę pana przedstawić!

Alan wysłał sygnał alarmowy do Samuela starając się pohamować śmiech: opadający grzebień Bannistera i ostrogi koguta

trenowanego do walki przyczepione podwiązkami do owłosionych łydek były obojętne.

- Sammy, proszę cię, zapiej!

- O świcie - powiedziała Sarah. - Nie wcześniej, bo to przynosi nieszczęście!

- Panie Pope!

Zasapany kruk pochwycił rękę Alana i ścisnął ją, jakby był jego starym przyjacielem.

- Gołąb, jakie to zabawne!...

- Samuelu, czy mogę ci przedstawić Hamiltona Price - Lyncha?...
Samuel Bannister.

Kogut podskoczył, ale uściśnął rękę Hama - Burgera. Zbyt wiele wstrząsów w zbyt krótkim czasie uczyniły go biernym. Był gotów uwierzyć we wszystko. Gdyby się obudził obok Christel, wcale nie byłby zdziwiony.

- Bardzo mi miło, panie Burger... - powiedział myśląc o czym innym.

Pomyłka spowodowała śmiech Sarah.

- Powiedział pan Burger? To zabawne! Burger to ja! Ale może mnie pan nazywać Sarah!

Hamilton rzucił jej złe spojrzenie.

- Niech pan idzie, Alan - powtórzyła. - Moja matka skamieniała po prostu. Chce z panem porozmawiać!

- Dopiero co przyjechałem, Sarah. Chcę złożyć gratulacje pani domu i już wracam!

- Idę z panem! - uciął Price - Lynch. Był gotów zamienić swoje ciało w tarczę, by chronić Alana przed zabójcami, których sam za nim wysłał. Akcja się rozpoczęła, gra szła o jego głowę i teraz nie opuści go na krok. Niebezpieczeństwo groziło nie wiadomo skąd i nie wiadomo od kogo. Męczony tikami patrzył nieufnie na grupkę papug podających sobie ogromną butelkę szampana, z której pili duszkiem.

- Hamilton! - zaskrzeczała Sarah - niech pan przestanie wieszać się na jego ramieniu!

Mówiła o Alanie, jakby już był jej własnością. Bannister skorzystał z incydentu, by szepnąć mu:

- Zgadnij z kim się zakolegowałem? Z Hackettem! A gdybyśmy przestali się już wygłupiać? Powiem mu prawdę, a on nas znowu przyjmie!

Alan kopnął go z całej siły w piszczel. Utworzył się cały orszak wśród szalonego tupotu. Białe kule rozpryskiwały się wokół nich: to oszalałe domowe ptactwo gonilo z rykami radości czaple i pingwiny, uciekające spod bombardowania świeżymi jajkami.

Alan natychmiast skorzystał z paniki. Trzema susami znalazł schronienie w wysokopiennym lesie. Schylił się wół, biegł w lini cienia. Chciał zobaczyć Nadie, aby dotrzymać słowa i móg uciec do Terry. Odwracał się wielokrotnie, by sprawdzić, czy zgubił kruka i tukana. Zawadził nogą o parę kochających się królewskich orłów, wyjąkał przeprosiny i kontynuował swój marsz. Światło księżycyca przenikało między gałęziami pinii poruszonymi łagodnie przez morską bryzę.

Wszędzie widział wtulone w siebie pary, rozłożone na trawnikach. Gdy orkiestra przerywała, dochodził do niego delikatny szmer morza. Wreszcie wyłonił się przed nim wspaniała, samotny rajski ptak. Zatrzymał się:

- Nadia?
- Alan!
- Przyszedłem.

Odwróciła go twarzą ku księżycowi, przypatrzyła się jej, chwyciła za ręce i uściśnęła je serdecznie.

- Jestem szczęśliwa.
- Ja także! Naprawdę kupiłaś tę posiadłość?
- Naprawdę.
- Jest... wspaniała! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego!
- Wrócisz tu.

Był uderzony spokojem jej głosu. Zazwyczaj mówiła wyłącznie tonem podekscytowanym, elokwentnie, jak gdyby słowa spóźniały się zawsze w stosunku do tego wszystkiego, co miała do opowiedzenia, do podejmowanych projektów, przeprowadzonych akcji.

- Musiała cię kosztować fortunę?
- Tylko połowę swojej wartości. Dwa miliony dolarów: zapłaciłam gotówką!

- Wspaniała!

- Chciałam się schronić przed grą, posiadać coś, co nie rozplynie się na zielonym suknie, chociaż przez noc, przez całą noc. Ale się nie udało...

Alan skamieniał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Właśnie ją odsprzedalam.

Poczuł, że jakaś kula zatkała mu gardło. Znow ruszyła przed siebie powoli i pociągnęła go za sobą, zawieszona na jego ramieniu.

- Wróciłam do kasyna. Po raz pierwszy zapomniałam o moim talizmanie.

Przytulone do siebie przechodziły obok ptasie pary. Była cudowna noc, delikatna i ciepła, kiedy cała ziemia wydawała się uspokajająca i ciepła. Objął ją ramieniem.

- Hadad zastawił na mnie pułapkę, straciłam wszystko. Przyjechał tutaj i wyzwał mnie. Nie zostało mi nic. Ani biżuterii, ani futer, ani samochodów, ani domu. Nie mogłabym kupić sobie nawet pudełka zapalek. W środku nocy obudziłam ludzi z agencji. Chciałam otrzymać natychmiast forszę, aby móc postawić wysoko. Odkupili ode mnie za 500 tysięcy dolarów to, za co nieco wcześniej zapłaciłam dwa miliony. Straciłam je w czasie jednego banco. W takich momentach człowiek głupieje, rozumiesz?... Hadad robił minę, że gównem go to wszystko obchodzi. Wróciłam tutaj. Tysiąc drani na moich trawnikach piło moje wino i żarło moje jedzenie. Ani jeden nie wyciągnął do mnie ręki, nie pożyczył grosza. Udawali, że nie wierzą, że żartuję. Goldman roześmiał mi się w nos. A przecież setki razy wyciągałam go z opałów, jeszcze mi jest winien. Bydlaki!...

Alan przyciągnął ją do siebie:

- Nadiu... Ile ci trzeba? Kaskada tryskająca na końcu trawnika spadała do morza, dokąd

schodziło się wyrąbanymi w skałę schodami. W dole, wzdłuż betonowego mola, w błysku księżycowych promieni tańczyły łodzie.

- Ile, Nadiu? Ile?

Ujęła palcami jego podbródek, pocałowała go delikatnie w usta. - Nic, Alan. Dziękuję. Byłeś jedyny...

Odsunęła się, uśmiechnęła oczyma z wyrazem gorczy, który nim wstrząsnął, rozpostarła swe ogromne skrzydła i pobiegła w kierunku stromej, morskiej brzozy.

- Nadiu! - krzyczał.

Przyspieszyła, porwana stromizną trawiastej ścieżki. Fantastyczny ptak, którego stopy nie dotykały ziemi. Alan zobaczył ze zgrozą, jak ulatuje w pustkę w ostatnim szeleście skrzydeł. Echo przysłało mu straszliwy, głuchy odgłos roztrzaskującego się ciała.

Rozdział 27.

Każdego dwudziestego ósmego dnia miesiąca Oliver Murray odrabiał tę samą pańszczyznę. O dziewiątej rano zjawił się w banku Burgera, aby podpisać dokumenty pozwalające firmie Hackett wypłacić pensje każdemu z sześćdziesięciu tysięcy zatrudnionych. Zazwyczaj przyjmował go Abel Fischmayer, którego wyszukane ubrania, olbrzymi wzrost, fałszywe jowialne maniery, kwitnąca cera, a wreszcie ojcowska i afektowana familiarność przyprawiały Murraya o mdłości. Audiencja nie trwała dłużej niż kilkanaście minut, podczas których obaj udawali zachwyt ze spotkania. Murray wolałby ograniczać się do spraw czysto zawodowych, ale Fischmayerowi zdawało się sprawiać przyjemność wypytywanie o nowinki i stan wątroby, robienie uwag o jego wyglądzie, pytania o stan zdrowia żony. Wszystko to protekcyjnym tonem zwierzchnika zwracającego się do podwładnego.

- Pan Fischmayer czeka, panie Murray - powiedziała sekretarka z miłym uśmiechem. - Pan pozwoli ze mną...

Lodowaty Murray wkroczył do gabinetu, w którym wszystko miało na celu olśnić wchodzącego: przestrzeń, jaką należało przebyć, by zbliżyć się do plenipotenta, grubość dywanu, luksusowe meble, akwaforty ozdabiające brunatną stalową płytę pokrywającą duży kawał ściany, bar przeładowany drogimi flakonami, boazerie, wieża stereo... jakby poważny bankier miał czas na słuchanie muzyki.

- Jestem zachwycony pańską wizytą, Oliver! Jak się pan miewa? Zgiął swoje dwa metry obciągnięte flanelą Prince - de - Galles, lekką i krzyczącą. Jego postać pachniała zadowoleniem z siebie i wodą kolońską. Oliver pozwolił mu potrząsać swą dłońią, choć napawało go to wstrętem. Korzystając z tego, że Fischmayer wreszcie go puścił, wyjął papiery z teczki. Położył je na biurku prostując swą nikłą postać.

- A jak wątroba, Oliver?

- Nie choruję na wątrobę, panie Fischmayer.

- Nie? Powinien pan wybrać się na wakacje. Uważam, że wygląda pan nieszczególnie. Powinienem pana zaprosić na partyjkę. Gra pan w golfa?

- Nie.

- Szkoda... Szkoda... A jak zdrowie pani Murray?

- Znakomicie, dziękuję.

Szybkim ruchem wskazał dokumenty rozłożone na biurku.

- Mam bardzo mało czasu. Czy mógłby pan je podpisać?
Fischmayer obszedł dokoła biurko i usiadł.

- Proszę siadać, Oliver.

Murray zapadł się w fotelu tak głęboko, że całkowicie go pochłonał.

- Mam złe wiadomości, Oliver. Burger nie może pokryć waszych płatności na koniec miesiąca.

Murray wyskoczył z fotela:

- Przepraszam? Fischmayer zrobił uspokajający gest, choć uśmiech znikł z jego twarzy niczym starty ścierką.

- Hackett winien jest bankowi 42 miliony dolarów. Rada administracyjna osądziła, że wasz deficyt jest już zbyt duży i nie możemy posuwać się dalej bez gwarancji. Bardzo mi przykro.

- To żart? - syknął Murray usiłując odzyskać oddech. - Pracujemy w ten sposób od lat! Jesteśmy waszym najlepszym klientem!

- Proszę mi wierzyć, że strasznie żałuję. Rozumie pan, że przy deficycie 42 milionów trudno nam wyasygnować dalszych czterdzieści.

- Ależ, panie Fischmayer, to niemożliwe! Nie było między nami dotąd najmniejszego sporu! To śmieszne! Aktywa Hacketta sięgają setek milionów dolarów!

- Z pewnością. Być może trochę zbyt wiele inwestowaliście? Wasza polityka ekspansji jest z pewnością godna podziwu, ale tym razem nasza rada administracyjna nie wyraża zgody.

- To pułapka! - wykrztusił Murray wyciągając oskarżycielsko palec. - Jeśli o to wam chodzi, to nie trzeba było czekać do ostatniej chwili, żeby nas uprzedzić. Stawiacie nas w niemożliwej sytuacji!

- Hackett to zdrowa firma, Oliver.

- Proszę mnie tak nie nazywać!

- Z waszą reputacją z łatwością znajdziecie sposób, żeby sprostać płatnościom.

- Osiemdziesiąt dwa miliony dolarów w trzy dni, podczas których byle najemnik czy drugorzędny wierzyciel może nas postawić w stan bankructwa z powodu odmowy zapłaty? Nie mogę się z tym pogodzić! Czy zastanowiliście się dobrze nad konsekwencjami waszej odmowy?

- Nasza rada administracyjna...

- Niech ją diabli wezmą! Natychmiast uprzedzę pana Hacketta o waszej zdradzie! Zobaczymy jeszcze, co na ten temat powie pan Price - Lynch! Właśnie przebywają razem we Francji! Żegnam pana!

Purpurowy z oburzenia skierował się ku wyjściu. Fischmayer nie zrobił żadnego gestu, by go zatrzymać. Przed wejściem do samochodu Murray rzucił okiem na tekst w ramce wyeksponowany na pierwszej stronie New York Herald Tribune, trzymanego w rękę przez sprzedawcę wykrzykującego nowinę:

„Burger ogłasza OPA na akcje Hacketta" (OPA - Offre Publique d'Achat, Publiczna Oferta Kupna zobowiązuje do zakupu każdej ilości akcji przedsiębiorstwa, które ogłaszający chce przyjąć. Cena jest zwykle najlepsza, jaką można uzyskać w obecnym momencie, toteż powoduje na ogół masową wyprzedaż akcji w chwili nagłego obniżenia ceny.).

Z purpurowej jego twarz stała się woskowobiała. Pochwycił gazetę i nawet nie myśląc o odebraniu reszty z dolara, podanego sprzedawcy, wskoczył do samochodu.

- Do firmy, szybko! - rzucił kierowcy zduszonym głosem.

Czując skurcz żołądka zapoznał się z tekstem ogłoszenia. Natychmiast zrozumiał mechanizm obrzydliwej machinacji, jaką wymyślono u Burgera.

Alan otworzył jedno oko, spojrzał dokoła, niczego nie rozpoznając i dostrzegł, że leży owinięty dookoła Terry. Siedziała na łóżku w okularach na nosie i czytała swą ulubioną książkę. Zamknął oczy i jeszcze wzmocnił uścisk.

- Która godzina?

- Czwarta.

- Rano?

- Po południu. Była naga i chłodna.

- Nie śpię już od kilku godzin - szepnęła cichutko. - Nie śmiałam się ruszyć, w obawie, że się obudzisz. Ściskałeś mnie tak, jakbyś tonął.

- Nie wierzę!

- Mówiłeś do mnie przez sen, całowałeś mnie... Kiedy raz czy drugi chciałam wstać, omal mnie nie udusiłeś.

- Terry.

- Tak?...

- Dobrze mi...

Pochyliła się, musnęła wargami jego usta, pogłaskała ramiona.

- Chcesz kawy?

- Chcę ciebie.

- Przygotuję i wracam. - Gadanie...

Po samobójstwie Nadii musiał zostać jeszcze dwie godziny w „La Voliere”. Przyjechała policja i przesłuchała wielu świadków tragedii. Wrócił do Terry zupełnie rozbity. Wysłuchała go, pocieszała. Uczepił się jej niczym koła ratunkowego. Kochali się tak, jak jeszcze nigdy nie kochał się z nikim, to było coś przepastnego, nieprzerwanego, gwałtownego i czułego zarazem. Sen powalił ich ze splecionymi ramionami, z ciałem przywartym do ciała, z ustami przy ustach.

- Naprawdę zasnąłem trzymając cię w objęciach?

- Nie mogłam oddychać.

- Nigdy mi się to nie zdarzyło.

- Mnie też - odpowiedziała ze śmiechem.

- Terry...

- Tak?... Przetoczył się na nią, szukał jej języka, potem odzyskał oddech.

- Jesteś cierpliwa, Terry?

- Jak anioł.

- To trochę potrwa, urodzić dziecko... To znaczy, zanim się urodzi... Chyba dziewięć miesięcy, nie?

Poczuł jak się mimo woli sprężyła:

- Komu chcesz zrobić dziecko?

Zmienił pozycję i oparł głowę na wzruszającym rozgałęzieniu jej ud.

- Chcę żyć z tobą.

- Trzy dni?

- Zawsze.

Ujęła mu twarz w dłonie i popatrzyła poważnie:

- Nie mów tego.

- Dlaczego?

- Bo mogłabym uwierzyć.

- A chciałabyś? Wzruszyła ramionami.

- Terry, chciałabyś?

Nowe spojrzenie: intensywnie pytające. Oboje przebiegł nagle ten sam prąd elektryczny.

- Tak... - westchnęła.

- To dziwne, co mi się przytrafiło...

- Dziwne - powtórzyła jak echo. - Czemu się śmiejesz?

- Przez ułamek sekundy poczułem się w roli widza... Zobaczyłem nas oboje, sklejonych jak dwa cukierki, zupełna pocztówka!

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Po raz pierwszy w życiu nie chciałbym być nigdzie indziej, robić czegoś innego... Jak mnie ktoś zapyta, czego chcę, lub gdzie chcę być, albo z kim - odpowiem tylko jedno: tu, z tobą. Niczego nie potrzebuję, jestem w zupełnej zgodzie ze sobą? Rozumiesz?

Dreszcz go przeszedł, gdy poczuł jej paznokcie wolno drapiące go po karku.

- Tak.

- Mieliśmy tak mało czasu... Nie rozmawialiśmy ze sobą... Posłuchaj, Terry... W nadchodzących godzinach będę bardzo zajęty. To potrwa najwyżej dwa dni... Poczekaasz?

- Jeśli mi obiecasz, że już więcej nie będziesz jeździć na nartach wodnych.

- Nie, nie... Wytlumaczę ci później. W moim życiu zdarzyło się coś dziwnego, Terry! Fantastyczny skok, jeden jedyny. Przeskakuję na drugą stronę. Fortuny!

- Po co?

- To byłoby zbyt trudne do wytłumaczenia. Nie zrozumiesz. Przytuliła się do niego gwałtownie:

- A co tu jest do zrozumienia, Alan... - wyszeptała.

- Mówię z kabiny na dole. Muszę pana zobaczyć. Ham - Burger podskoczył, rozpoznając głos Cesare di Sogno.

- Odnalazł ich pan? - dyszał do słuchawki, której o mało co nie rozgniółł.

- Tak.

- Dzięki Bogu!

Szczyście się odwracało!... Pope jest żywy i pozostanie żywy, a on, Hamilton Price - Lynch, odzyska kontrolę nad Burgerem, uwolni się na zawsze od żony, napluje w twarz tej cholernej pasierbicy Sarah, wyleje Abła Fischmayera i wreszcie zacznie żyć nie przyjmując znikąd rozkazów i kontemplując swoje świerszczyki tylko dla przyjemności, a nie po to, by móc wygodzić tej histeryczce, która przyprawiała go od lat o mdłości. Wspaniałe życie!

- Muszę się z panem zobaczyć! - powtórzył di Sogno. Hamiltona uraził rozkazujący i natarczywy ton głosu tego łobuza.

Zrobił swoje i niech znika!

- Tutaj to niemożliwe. Skontaktuję się z panem. Do widzenia.

- Panie Price - Lynch! Niech się pan nie rozłącza! Tylko pięć minut, ale natychmiast!

- Nie! Żona jest w sąsiednim pokoju.

- Nieprawda! Właśnie się z nią minąłem. Odjechała samochodem. Radzę panu mnie przyjąć. Wjeżdżam!

Wściekły Hamilton wpatrywał się w słuchawkę: Cesare miał czelność się rozłączyć! Zapalił pięćdziesiątego muratti w tym dniu, kopnął nogę konsoli. Zabolało. Wrzasnął z wściekłości, podreptał kulejąc przez salon. Pukanie.

- Czy pan chce, żeby wszyscy wiedzieli o naszych interesach? - napadł na niego z góry Hamilton.

- W hotelu jest taki ruch... Nikt mnie nie spostrzegł.

- Porozumiał się pan z nimi?

- Tak.

- Nie ma niebezpieczeństwa?

- Żadnego.

- Czego pan chce?

- Trzeba im zapłacić.

- Już zapłaciłem.

- O czym pan mówi?

- O naszym pierwszym porozumieniu.

- A ja myślę o drugim. Price - Lynch uniósł wysoko brwi:

- O ile wiem, kontrakt nie został wykonany.

- Co?

- Pope wciąż żyje. Pańskim współpracownikom się nie udało.

Nic panu nie jestem winien.

Przelotny cień przesłonił rzymską twarz Cesare di Sogno.

- Panie Price - Lynch, czy pan kpi sobie ze mnie?

- Proszę do mnie mówić innym tonem! - wybuchnął Hamilton.

- Jest mi pan winien 30 tysięcy dolarów.

- Ani grosza! Ta sprawa już mnie nie dotyczy.

Cesare obrzucił go twardym spojrzeniem, pełnym pogardy.

- Lepiej będzie dla pana dotrzymać słowa.

- Proszę wyjść! Nie ma pan tu nic więcej do roboty.

- To pańskie ostatnie słowo?
- I proszę nie wracać!
- Uprzedzę ich! Sam się pan z nimi policzy!
- Niech pan tylko kiwnie palcem, a zamknę!

Cesare zawrócił na pięcie, przystanął w progu i rzucił trzaskając drzwiami:

- Grosza bym nie dał za pańską skórę!

Ledwo Alan przekroczył próg apartamentu, Bannister rzucił się na niego:

- Szukam cię od wczorajszej nocy! Wszyscy cię szukają! Price - Lynch wydzwania bez przerwy! Sarah przychodziła z dziesięć razy! Już myślałem, że ci się coś stało! Miałem dzwonić na policję! Ja...

Alan przeszedł koło niego, nie słysząc, z błogim uśmiechem na ustach, z błędnym wzrokiem: nawiedzony w stanie hipnozy!

- Alan!
- Hej, Sammy...

Podszedł do baru, nalał sobie whisky nie proponując Samuelowi i wyszedł na taras. Osłupiały Bannister poszedł za nim.

- Czy ty mnie słuchasz, Alan! Co się z tobą dzieje?

- Żenię się - odpowiedział Alan. Tak jakby chodziło o coś najzwyczajszego. Końska szczeka Samuela wykrzywiła się w promiennym uśmiechu.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Wiedziałem, że do tego dojdzie. Wspaniale! Koniec naszych kłopotów. Najbogatsza panna w Ameryce!

- Najbogatsza?... Terry?

- Kto?.

- Terry.

- Terry? Kto to jest Terry, Alan? Mów!

Alan oparł się o parapet tarasu ozdobionego kwiatami. Pływał w szczęściu. Wszystko wreszcie nabrało sensu. Czas, który miał dotąd dwa wymiary - przeszłość i terażniejszość - nagle ofiarował mu nowy wymiar: przyszłość. Nie pozwoli nikomu tego ukraść.

- Poczekaj, aż ją zobaczysz!... Jest...

Szukał słów, którymi mógłby ją opisać. Ale Terry umykała wszelkim opisom, Wzruszył ramionami, wypił łyk scotcha.

- Co ona robi? - zapytał Bannister podejrzliwie.

- Studentka. Psychologia czy filozofia, coś w tym rodzaju.
- Gdzie ją poznałeś?
- Tu, w Juan. Wypisywała sprayem jakieś okropności na karoserii mojego samochodu. Ma cudowne włosy, trochę hippiska... widzisz ten typ...
- Jak się nazywa?
- Terry.
- A nazwisko?
- Nie wiem. Ma szare oczy.
- Więc chcesz poślubić hippiskę, której nazwiska nawet nie znasz! - wybuchnął Bannister.
Popukał się w czoło czubkiem palca, biorąc niebo na świadka.
- On naprawdę zwariował! Najślawniejsza spadkobierczyni w Stanach czołga mu się u stóp, a on się zakochuje w biednej anonimowej gęsi! Nie pozwolę, Alan! Przysięgam! Obronę cię przed tobą samym! Wyobraź sobie, że Sarah mi się zwierza! Zwariowała na twoim punkcie, chce wiedzieć o tobie wszystko. Opowiedziała mi o waszych projektach.
- Jakich projektach?
- Wasz dom, wasz samolot, wasz jacht, wasze konie! Zaczniez jako główny plenipotent banku! A ja zostanę szefem księgowości!
- Moje gratulacje.
- Jeszcze nie mówiliśmy o moich poborach.
- Z tym nie powinno być problemu.
- Nie sądzę. Boże Narodzenie spędzicie na przyładku Cod, w wiejskiej posiadłości.
- Tak?
- Wielkanoc na Bahamach. Burgerowie tradycyjnie spędzają Wielkanoc na Bahamach. Sarah mówiła ci o babci?
- Nie pamiętam...
- Margaret. Wspaniała kobieta! Ma dziewięćdziesiąt jeden lat! Coś w rodzaju moralnej wyroczni klanu.
Usłyszeli gwałtowne pukanie do drzwi.
- Samuel!
- Sarah! - powiedział Samuel. Zrobił krok w kierunku drzwi. Alan złapał go za biodra.

- Słuchaj uważnie, Sammy! Zamknę się w łazience... Jeśli powiesz tej wariatce, że tu jestem, to słowo honoru: nigdy więcej mnie nie zobaczysz!

- Nie możesz jej tego zrobić! Ona cię kocha, pragnie, martwi się o ciebie!

- Czy ty mnie zrozumiałeś, Samuelu? Potrzebuję jeszcze czterdziestu ośmiu godzin, aby wyplątać się z tego szamba, w które mnie wrzuciłeś! Niech mi dadzą święty spokój!

- Największa fortuna w Stanach Zjednoczonych! - zawodził Samuel.

- Nie zapomnij, jeżeli nie chcesz żałować!

Rzuciwszy ostatnie groźne spojrzenie, Alan wśliznął się do łazienki i zamknął za sobą zasuwkę.

- Już idę!... - krzyczał Bannister.

Rzucił ostatnie spojrzenie do lustra, poprawił poły koszuli i poszedł otworzyć.

Arnold Hackett pospiesznie sięgnął po pudełko pigułek na serce i połknął dwie. Powrócił do pokoju, opadł na łóżko z pobladłą twarzą, rozpaczliwie łapiąc powietrze, niczym ryba na piasku. Victoria wyszła kupić tapiserię do haftowania, więc umrze w samotności... Z szeroko otwartymi ustami czekał, aż ustanie bicie serca, pracującego z głuchym szmerem. To, o czym go powiadomił Murray, było straszne: Burger odmawiał pokrycia wydatków na koniec miesiąca. Jemu, najlepszemu klientowi od piętnastu lat! Burger ogłosił OPA na akcje Hacketta!... Jego akcje! To niemożliwe! Chciał wstać, schwycić jakiś ciężki przedmiot i pobiec na koniec korytarza, żeby roztrzaskać czaszkę Price - Lyncha! Ten mały gówniany bankier wyobrażał sobie być może, że go wybebeszy? I w dodatku spędza wakacje z tym gówniarzem!

Jeżeli Murray powiedział prawdę, Ham - Burgerowi nie starczy życia, aby zapłacić za ten afront! Arnold zrukuje go, wyrzuci na ulicę, wykupi jego banczek, jeśli będzie trzeba, ale go wykończy! Poczul, że oddech mu się uspokaja. Zmusił się, aby poleżeć spokojnie jeszcze kilka minut, dysząc z nienawiścią. Potem nie wytrzymał, wstał, wyszedł z apartamentu, przeszedł tych kilka metrów, które go dzieliły od Price - Lyncha i już chciał kopnąć w drzwi, kiedy nagle otwarły się same.

- Arnold, jak się czujesz?

- Odwal się, łajdaku!

Szybkim ruchem pchnął drzwi.

- Sarah zaraz wróci... Nie czujesz się dobrze? Jak spięty ostrogą, Arnold chwycił go twardo za kłapy marynarki.

- OPA!... Moje płatności! Gadaj!

Price - Lynch podjął słabą próbę uwolnienia się, ale Hackett, jak wielu starców, miał żelazny chwyt.

- Uspokój się, Arnoldzie. Chodźmy raczej do baru, porozmawiamy o tym wszystkim...

- A więc to prawda! - wybuchnął Arnold.

Goście przechodzący korytarzem spuszczały skromnie oczy i przechodzili dalej.

- Proszę cię, Arnoldzie, trochę klasy! Jesteśmy dżentelmenami.

- Padalcu!

- Arnold! Patrzą na nas, słyszą nas!... Jesteśmy ludźmi na świeczniku... Unikajmy skandalu!

Ciągle trzymając go za kłapy Hackett zaciągnął go na koniec korytarza i wepchnął za uchylone drzwi służbowe prowadzące w stronę windy towarowej.

- Mów, co się dzieje, albo ci łeb roztrzaskam!

- Nie mam z tym nic wspólnego, Arnold! Moja rada administracyjna absolutnie nie zgadza się na powiększenie deficytu o czterdzieści milionów dolarów, skoro już jesteście winni bankowi.

- A OPA, Judaszu? Na czyje konto?... Czego się spodziewacie? Że sceduje na was moje własne akcje?

Spostrzegł ich kelner piętrowy i zastygł z otwartą gębą. Zawrócił i z wahaniem podszedł do windy, jakby nic nie widział nienormalnego.

- Przepraszam panów...

Hackett trzymając Price - Lyncha rozplaszczony na ścianie, zastygł na czas, w którym kelner wyjmował z windy półmiski z jajkami po prowansalsku i układał je na ruchomym stoliku.

- Proszę wybaczyć, panowie...

Patrząc prosto przed siebie ruszył biegiem popychając przed sobą stół na kółkach. Zamarła na chwilę akcja ruszyła nagle niczym film zatrzymany w kamerze po ponownym włączeniu prądu.

- O co chodzi w tym całym burdelu? Żądam wyjaśnień, Price - Lynch!

- Arnold, udusisz mnie... Nie uda ci się mnie zmusić do bójki! Hackett uwolnił swą ofiarę, spoliczkował go dziko z obu stron i znów trzasnął głową o ścianę.

- Nawet nie byłbyś do tego zdolny, łajdaku! Mały chuderlawy żigolak! Alfonsiak swojej żony! Masz jaja jak jaszczurka! Zniszczę cię, zrujnuję twój bank, wrócisz tam, skąd przyszedłeś! W gówno!

Złapał za półmisek z pomidorami i walnął nim w głowę Ham - Burgera. Szkarłatna maź oślepiła Price - Lyncha, rozlała się po jego niepokalanie białym ubraniu, natychmiast splamionym tłuszczem, sosem i żółtkami jaj. Podniósł dłoń, żeby zasłonić oczy. Arnold pełną garścią zebrał to, co pozostało, i rozmazał mu po twarzy, po czym zawrócił korytarzem, pozostawiając swą ofiarę na ziemi, niczym paczkę brudnej bielizny.

Alan ostrożnie wsunął głowę w uchylone drzwi.

- Poszła?

- Chyba że siedzi gdzieś pod łóżkiem - odpowiedział Bannister cierpko. - Nie rozumiem cię, Alan! Chyba zwariowałeś od tego klimatu! Zaledwie przed tygodniem gotów byłeś popełnić samobójstwo, bo cię zwolniono z pracy. Dzisiaj możesz zostać właścicielem banku i plujesz na to!

Alan wrzucił do torby kilka drobiazgów.

- Nie pluję na bank, tylko na Sarah. Różnica!

- Cóż to jej zarzucasz! Jest zachwycająca!

- Już teraz przypomina mamusię. Nie mam zamiaru zostać następnym Ham - Burgerem!

- Gdzie idziesz?

- Na jacht.

- Jacht? Jaki jacht?

- Ten, który dla mnie wynająłeś, kretynie! Muszę poczuć, że nie jestem śledzony! Mam rachunki do wyrównania, sprawy do załatwienia, chcę, żeby mnie zostawiono w spokoju!

- To piękny jacht?

- Wspaniały!

- A ja, co ja mam robić? Dokąd pójść?

- Zostajesz tutaj.

- Dlaczego nie chcesz mnie zabrać na jacht?

- Bo się za bardzo rzucasz w oczy. Przez ciebie mnie odnajdą. - Nie mam forsy na mieszkanie w Majesticu! Widziałeś ceny?

- Ja płacę. Otwieram ci nieograniczony kredyt. Pod jednym warunkiem... Zostajesz tutaj jako zasłona, chronisz mnie, informujesz o wszystkim, uprzedzasz o wszystkim. Kapujesz?

- Jak się ten twój jacht nazywa?

- Victory II.

- A gdzie stoi?

- Przy bulwarze, w starym porcie. Uprzedzam cię, że jeśli popełnisz najmniejszą niedyskrecję - odpłynę na Antyle! Przez najbliższych czterdzieści osiem godzin muszę mieć absolutnie wolne ręce.

- Co mam odpowiadać, jak będą o ciebie pytać?

- Nie widziałeś mnie, nic nie wiesz, jestem w podróży.

Samuel nalał sobie szklaneczkę, usiadł na poręczu fotela i ukradkiem zaczął przyglądać się Alanowi. Nie mógł pojąć, jak zdołał w tak krótkim czasie aż tak się zmienić.

- Alan...

- Co?

- Ta historia ze ślubem ze studentką... To żart, nie?... Chciałeś mnie przestraszyć?

- Będziesz świadkiem.

- Szkoda... Już wyobrażałem sobie siebie samego jako plenipotentą banku Burger. To jakby mnie po raz drugi wylali z pracy.

Alan zapiął torbę.

- Alan...

- Tak?

- A jeśli przypadkiem wyjdzie ci...

- To co?

- To zaangażujesz mnie na sekretarkę? Alan udał zaskoczenie:

- Ciebie?! Ty byś nawet nie potrafił napisać pieprzonego listu!

Oliver Murray odłożył słuchawkę zniechęcony. Publiczne ogłoszenie OPA wystarczyło, by w środowiskach giełdowych Nowego Jorku powiał wiatr paniki. Rozeszły się najbardziej niepokojące pogłoski o sytuacji finansowej chwiejącego się giganta: nikt już nie miał zaufania do Hacketta.

- Pan Hackett jest na wakacjach... - odpowiadał niezmiennie wielkim akcjonariuszom dzwoniącym po nowiny. Telefony nie przestawały dzwonić na wszystkich ośmiu piętrach Rilford Building, w których mieściły się służby administracyjne firmy. Zaniepokojone

pytania napływały ze wszystkich oddziałów rozrzuconych po terytorium Stanów Zjednoczonych. Dyrektorzy, inżynierowie, chemicy, służba medyczna - każdy chciał wiedzieć, z jaką przyprawą zostanie zjedzony.

W ciągu kilku godzin zmienił się układ sił. Wielkie banki, które zazwyczaj błagały Hacketta, by raczył przyjąć ich kapitały, ogłuchły, gdy Murray wysłał w ich stronę dyskretne S.O.S. Nikt nie zamierzał ułatwić płatności. Rekiny oczekiwały na rezultat polowania.

Murray błagał Arnolda Hacketta, by nie przyjeżdżał do Nowego Jorku, tak jak to obwieścił poinformowany o zdradzie Burgera. Pozostawały jeszcze pełne dwa dni na znalezienie środków i odzyskanie sterowności. Ale Murray już w to nie wierzył. Jego zdaniem jedynym sposobem uratowania czegokolwiek było wpłynięcie na Hamiltona Price - Lyncha, by zmienił zdanie. To on był przyczyną katastrofy. I on mógł ją jeszcze powstrzymać, gdyby Hackett przechytrzył go, ubłagał, nawet tracąc twarz. Niestety, tam gdzie w grę wchodziła jego duma, Arnold był uparty jak osioł. Jeżeli nie ukorzy się, by w końcu zwyciężyć, ogłoszone zostanie bankructwo firmy z powodu zawieszenia płatności i to już w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin.

I wtedy Oliver Murray będzie mógł pakować walizki. Zmęczonym ruchem po raz setny podniósł słuchawkę telefonu.

Rozdział 28.

A więc oni wciąż się nie pogodzili?

- Mój nic mi o tym nie wspomniał. Najmniejszej aluzji. Nic. A twój?

- Gubię się w domysłach... A tacy byli kumple!

Był 30 lipca. Rozpowszechniona przez kelnera wieść o bójce, która przeciwstawiła sobie przed dwoma dniami Arnolda Hacketta i Hamiltona Price - Lyncha, obiegła wszystkie piętra Majesticu, Palm Beach i kasyna z szybkością podpalonego prochu. Całe Cannes przez kilka godzin zachodziło w głowę, co mogło być tego przyczyną. Wieczorne dzienniki przyniosły odpowiedź: wszystkie na pierwszej stronie wiadomość o ogłoszeniu OPA.

- W końcu to, co twój szef zrobił mojemu, jest obrzydliwe - powiedział Richard pod adresem Angela La Stresy.

Czterech kierowców zainstalowało się przed głównym wejściem do hotelu i od dziesięciu minut dyskutowało w cieniu gęstych krzewów mimozy posadzonych u stóp schodów prowadzących do basenu. Opinie były podzielone: dla Leona Trockiego, który nosił czapkę z emblematem Lou Goldmana, nie było w tym nic nadzwyczajnego.

- Gdybyście wiedzieli, co się dzieje w środowiskach filmowych! Goldman wypatroszyłby własne dzieci, by móc wyprodukować film!

- I uważasz, że to normalne? - oburzył się Richard. - Hackett jest twardy, czepia się, to prawda! Ale przynajmniej jest w porządku.

- Co ty o nim wiesz? - rzucił La Stresa. - Ham - Burger też miał opinię, że jest w porządku! A przecież jest najgorszym skurwielem! Żebyś widział, jakie mi robi numery, kiedy się podejrzewa, że chcę go prosić o podwyżkę! Takie jest życie, Richard. W interesach, jakie by nie były, jeden musi pożreć drugiego!

Dzień był cudowny. Hall Majesticu wrzał gorączkowym ruchem. Pierwsza fala lipcowych gości pakowała walizki, by zrobić miejsca bladym twarzom pojawiającym się na początku sierpnia. Na wszystkich piętrach pędziły korytarzami pokojowe z bukietami kwiatów w ramionach.

- Nie wiem w końcu, co cię tak dziwi w tym napadzie - powiedział Norbert. - To jest przecież sam fundament systemu kapitalistycznego! Obaj są tak samo zgnili, Hackett i Price - Lynch.

- A więc wszyscy jesteśmy zgniłkami - wtrącił się Serge.

- Dlaczego my? - zdziwił się Norbert.

- Bo w naszej małej skali - kontynuował Serge z przekonaniem - wyrywamy sobie tak samo nasze kromki chleba z masłem. Spróbuj załatwić sobie posadę miejskiego zamiataacza! Zobaczysz, do czego są zdolni, by wyeliminować kolegę!

- W końcu są sposoby i sposoby - oburzał się Richard. Serge odwrócił się błyskawicznie, by pozdrowić jowialnym gestem księcia i księżnę de Saran udających się do baru.

- A gdzie jest twój szef? - zaniepokoił się Richard, zwracając się do Norberta.

- Nie widziałem go od dwóch dni.

- Ale masz szczęście! To ty jego rolujesz! Dlaczego ja nie mam takiego szczęścia, żeby pracować u Pope'a?

Norbert błyskawicznie zmienił wyraz twarzy:

- Lepiej się zamknij... - szepnął przez zęby. - Oto jego kumpel. Zrobił kilka kroków w stronę rudzielca z końską twarzą:

- Samochód, panie Bannister?

- Tak - powiedział Samuel. - Jedziemy do Beach.

Odkąd dowiedział się o ciąży nad nim groźbie, Arnold Hackett poruszył niebo i ziemię, by znaleźć fundusze: na próżno. Bankierzy, których nękał telefonami na drugim końcu świata, niczym kierowani niesłyszalnym rozkazem, zgodnie odmawiali. I to ci sami, którzy przed tygodniem lizali mu podeszwy, byle tylko raczył przyjąć ich pieniądze!

Rząd amerykański ogłuchł nagle. Skontaktował się z sekretarzem stanu, starym przyjacielem rodziny, ale ten nie dał się ugiać nawet najsilniejszemu argumentowi Arnolda: jeśli padnę, straci pracę sześćdziesiąt tysięcy ludzi!

W ciągu kilku godzin Hackett zorientował się, że zyskał dziwny dar wytwarzania wokół siebie pustki. W tym czasie mali geniusze obwieszani dyplomami, których trzymał na czele służb administracyjnych za cenę złota, nawet nie potrafili znaleźć jednej pieprzonej rady!

- A wasze konferencje, Murray, daje to coś?

- Szukamy, panie Hackett...

- Jesteście kretynami, Murray! Płacę wam po to, żebyście znaleźli!

- Panie Hackett, błagam, niech mnie pan posłucha przez sekundę! Jeżeli w ciągu czterech godzin nie przyjdzie nam pan na ratunek - utoniemy!

Oddzielało ich pięć tysięcy kilometrów, ale obaj słyszeli na dwu końcach sznura stłumione niespokojne sapanie.

- Wydaje się, że drobni ciułacze wystają w ogonkach przed okienkami Burgera, panie Hackett. Tu jest panika! Jesteśmy wprost obleżeni przez wierzycieli!

- Powiedz pan tym łobuzom, niech poczekają! Zawsze regulowaliśmy im wszystko w terminie i co do grosza, od trzydziestu lat!

- Ale oni się boją! Krążą alarmujące pogłoski! Wprost biją się, żeby sprzedać po 20 dolarów za akcję!

- A kto ma większość akcji? - ryknął Hackett. - Mam sześćdziesiąt procent! Czego niby mamy się bać?

Doskonale wiedział czego, ale chciał to usłyszeć raz jeszcze, aby lepiej pojąć nieuchronność faktu: zapędzili go w kozi róg!

- Panie Hackett, jeśli natychmiast nie znajdziemy 42 milionów dolarów, aby uregulować należności wierzycieli i dalszych 40 milionów, aby wypłacić pracownikom, zostaniemy postawieni w stan upadłości!

- A skąd ja niby mam wytrzasnąć 82 miliony dolarów w kilka godzin, do tego w niedzielę?

- A jeśliby się pan rozstał, na chwilę, z pakietem pańskich akcji?

- Nigdy!

- Ich wartość zacznie spadać z minuty na minutę! Niech pan coś zrobi, panie Hackett!

- Jesteście bandą niezgułów! Poczekajcie, niech wrócę do Nowego Jorku!...

- Nasza jedyna szansa jest w Cannes!

- Murray! Jeśli pan jeszcze raz wypowie nazwisko Price - Lyncha, wyrzucę pana na bruk! Nawet gdybym się miał zrujnować, nie upokorzę się przed nim!

- Gdyby zechciał, mógłby jeszcze zatrzymać OPA! Błagam pana, panie Hackett, w interesie firmy, niech pan się z nim zobaczy!

- Uprzedzałem pana, Murray! Jest pan usunięty!

- Już mnie pan od rana zwolnił sześć razy!

- Więc to jest siódmy i ostatni! Dość szkód pan narobił! W końcu muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Niech każdy czeka na posterunku, przyjeżdżam!

Rozłączył się.

- Twoje serce, Arnoldzie... Twoje serce! - powiedziała z wymówką w głosie Victoria.

- Zamknij się!

Od chwili, w której rozkwasił półmisek z pomidorami na gębie Ham - Burgera, żywił się pigułkami i ledwo zmrużył oko. Victoria była w rozpacz: przez cały czas deptała mu po piętach, w skrytości ducha zachwycona rolą, jaką jej przypisał stan katastrofy. Jak zwykle, starała się za bardzo...

- Zadzwoń do recepcji! Wykręć 163!... Nie 162! To kasa! Oddaj mi to!...

Wyrwał jej słuchawkę z ręki i sam nakręcił numer.

- Recepcja?... Arnold Hackett! Proszę mi postawić do dyspozycji odrzutowiec na lotnisku w Nicei! Natychmiast!... Może być boeing, skoro wam zależy, mam to gdzieś!... Tak, do Nowego Jorku!

- Serce mi się kraje, kiedy cię widzę w takim stanie i to z powodu pieniędzy... - zaczęła Victoria.

- Chcą mnie wykrwawić! Mam im może podziękować?

- Weź... Połknął dwie pigułki, które mu podała. Ale duszący ból w piersiach, który znów się pojawił, jakoś nie chciał ustępować.

- Uprzedź Richarda! Niech wyprowadza samochód! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zdecydowała się na kontakt fizyczny: położyła mu rękę na ramieniu.

- Arnold, tak sobie właśnie myślę...

- Ty myślisz? Właśnie teraz?

- Czy ty aby na pewno wiesz, co będziesz robić w Nowym Jorku? Zachnął się, ale ona nadal przytrzymywała go za ramię. Wciągnął głęboko powietrze, usiadł i przez długą chwilę milczał, z oczyma wbitymi w przestrzeń. Dziesiątki razy zmuszał innych, by przeżywali to, co on przeżywał teraz; zmuszał ich do uległości. Fanfaronada niczego nie załatwiała. Jego obecność na czele sztabu nowojorskiego nie mogła zmienić biegu wydarzeń. Przegrał, nadeszła jego kolej. Poczł nagle ciężar swych lat, zmęczenie bezlitosnego zapaśnika, który tyle razy zwyciężał. Wzruszył ciężko ramionami i powiedział z ponurą rezygnacją:

- Nie, Victorio, nie wiem.

- Drogi przyjacielu, mam panu do zakomunikowania same dobre nowiny. Wszystko idzie znakomicie! W ciągu dwu dni skupiliśmy już trzydzieści procent kapitału!

John - John Newton zrobił sceptyczny grymas:

- Trochę za mało, aby zdobyć większość, nieprawdaż?

- Obiecałem panu, że Hackett się złamie - powiedział Ham - Burger - i złamie się! Gwarantuję, że obejmie pan kontrolę nad firmą Hackett jeszcze przed upływem czterech godzin! On już nie ma wyjścia! Albo sprzeda, albo straci wszystko!

- Chciałbym móc podzielać pański optymizm!

- Nie jestem optymistą, drogi przyjacielu, tylko realistą!

- A jeśli będzie wolał pójść na dno?

- Przecież nie jest szalony!

- Czy mógłby w ostatniej chwili znaleźć ratunek?

- Obawiam się, że nie. Ja jestem jego jedynym ratunkiem. Teraz pana zostawię. Muszę wrócić do swego apartamentu i ustalić ostatnie szczegóły estokady. Będzie pan u siebie?

- Nie ruszam się ani na krok.

- Więc do zobaczenia! Mam nadzieję, że przyniosę panu wieść o zwycięstwie jeszcze wcześniej, niż przypuszczałem!

Idąc przez westybul zastanawiał się, jak wygląda twarz kobiety, której zapach perfum go owionął. Nie chcąc czekać na windę na podeście zatłoczonym przez wyjątkowo liczną rodzinę w plażowych peniuarach, wesoło pogwizdując wbiegł trzy piętra dzielące go od siódmego. W salonie zadzwonił telefon:

- Słucham...

Z ulgą usłyszał głos swego gołąbeczka.

- Zielone światło - wykrzyknął urywanym głosem.

- Dobrze - odpowiedział Alan Pope. - Już idę.

Arnold trwał nadal w stanie prostracji, gdy w drzwiach pojawiła się Victoria. Nawet nie zauważył, że wychodziła.

- Arnoldzie, czy mógłbyś przyjąć pana Pope'a?

- Kogo?

- Alana Pope'a. Był z nami na kolacji w Palm Beach. Mówi, że ma dla ciebie nader ważne informacje dotyczące twoich interesów. Czemu nie miałbyś się z nim zobaczyć? Wprowadzę go!

Richard siedział za kierownicą rollsa. Samolot czekał w Nicei. W Nowym Jorku wrzało. W dziesięć minut po podjęciu decyzji, Arnold jeszcze się nie ruszył z fotela. Przez otwarte okno dobiegały go krzyki dzieci kłębiących się wokół trampoliny. Skrzypnęły drzwi do salonu, Victoria znikła. Wszedł Alan.

- Dzień dobry panu, panie Hackett.

Zmarszczywszy brwi, Arnold zmierzył wzrokiem tego smarkacza, który stał przed nim. Nie miał więcej niż trzydzieści lat. Poczul w sercu skurcz: zazdrościł mu tego wieku. Skinął głową, nie wstając z fotela.

- Wyjeżdżam. Ma pan trzydzieści sekund, słucham! Alan uśmiechnął się grzecznie:

- Właśnie się dowiedziałem o tym, co pana spotkało, panie Hackett.

Arnold potrząsnął głową zniecierpliwiony:

- O jakie informacje chodzi?

- Mógłbym pana uratować w jednej chwili - rzucił Alan. Arnold poczul się tak, jakby czteropiętrowy dom zwałił mu się na głowę: czy ten typek zwariował, czy był prowokatorem?

- Co pan rozumie przez „uratować”?

- Uregulować pańskie długi na 42 miliony dolarów, panie Hackett.

- Kto panu podał tę liczbę? - szczerzył Arnold.

- Wie o tym najędźniejszy z agentów wymiany. Hackett spojrział na niego arogancko:

- Pan ma 42 miliony dolarów?

- Myśli pan, że gdybym nie miał, ośmieliłbym się pana niepokoić? Arnold pograżył się w myślach, które kłębiły mu się w głowie. Na zmianę podejrzliwość, nadzieja, podstępność.

- Czego pan chce w zamian?

- Pańskiego większościowego pakietu akcji - oświadczył zimno Alan.

- Od chwili, gdy pan tu wszedł, wiedziałem, że mam do czynienia z obłąkańcem!

- To się wkrótce okaże, panie Hackett. Jestem gotów wymazać pański czterdziestodwumilionowy dług w zamian za 6 milionów pańskich akcji.

- Ma pan poza tym jeszcze 20 milionów dolarów? - zapytał Hackett ironicznie.

- W obecnej sytuacji byłoby sporym idiotyzmem płacić panu po 20 dolarów za akcję. Akcje Hackett Chemical dosłownie parzą dłonie posiadaczy. Biją się, by sprzedać, a nie żeby kupić.

- Uważa pan, że jestem aż tak głupi, żeby dobrowolnie pójść na dno?

- Nie. Uważam pana za dostatecznie inteligentnego, by zrozumieć, że za niecałe cztery godziny nie będzie pan mógł już sprzedać niczego. Pan zostanie ogłoszony bankrutem, panie Hackett. Biorąc pod uwagę nagłość sytuacji, robię panu całkiem rozsądną ofertę. Za pańskich 6 milionów akcji proponuję panu 70 milionów dolarów.

Hackett odwrócił w myślach ich role: gdyby to on był na miejscu Pope'a, usiłowałby wydusić więcej, proponując 30 lub 40 milionów i posuwając się do 50 milionów.

- To śmieszna propozycja! Niemożliwa!

- Bierze pan, czy nie? - powiedział Alan.

Po tonie głosu Hackett zrozumiał, że to nie jest bluff.

- Proszę usiąść, panie Pope... - powiedział.

W swoim słomkowym kapelusiku i rękawiczkach z kozłej skóry, naga jak zwykle Marina myła sobie zęby nad wanną. Zastanawiała się, jak mogła zmarnować tyle czasu w Nowym Jorku, kiedy na ziemi było takie miejsce jak Cannes? Wypłukała usta, przeszła do pokoju i zaczęła podziwiać bukiety róż, które go wypełniały. Zachodziła w głowę, skąd ci wszyscy admiratorzy brali jej adres? Miała ochotę zrobić kilka pompek, ale zawahała się: było zbyt gorąco. Technika była zawsze taka sama: najpierw kwiaty, potem dyskretny telefon. Ale Khalil czuwał. Przed kolacją pojawił się, aby zaprowadzić ją do apartamentu księcia. Parę razy w ciągu dnia, zarówno po to, by skontrolować, w jaki sposób spędza czas, jak i dla czystego kaprysu. Hadad posyłał jej prezenty: diamencik, bransoletkę, kolie z pereł. Marina uważała, że to zabawne. Miała gdzieś pieniądze i klejnoty, ale podobało jej się zainteresowanie. Mężczyźni, których dotąd знаła - z wyjątkiem Alana - nigdy nie okazywali jej takiej delikatności. Poppie nie uwierzy, jak jej o tym powie! Właśnie miała wyciągnąć się na łóżku, gdy ktoś zaskrobał w drzwi. Poszła otworzyć i zamarła ze zdumienia:

- Mój Boże, co się panu stało?

- Panie Pope, moje gratulacje!

Ham - Burger zapalił trzeciego papierosa w ciągu dwu minut, zaciągnął się kilkakrotnie i rozduśił go nerwowo, próbując opanować tick, który wykrzywiał mu twarz wskutek podniecenia. Do ostatniej sekundy podzielał w duchu obawy Newtona: Hackett mógł nie ustąpić.

- Jak przebiegło spotkanie, panie Pope?

- Bardzo prosto - odpowiedział Alan. - Arnold Hackett doskonale zrozumiał, gdzie tkwi jego prawdziwy interes.

- Groził panu? Obraził?

- Absolutnie nie! Czy nie przyniosłem mu rozwiązania kłopotów?

Price - Lynch spojrział na niego żywo, by sprawdzić, czy to zdanie nie miało podwójnego znaczenia. Twarz Alana była nieprzenikniona.

- Czy musiał się pan posłużyć, aby go zmusić, tą nie zapłaconą fakturą, którą dla pana wykupiłem?

- To nie było konieczne.

- Czy ma pan jego zgodę na piśmie?

- Oczywiście, panie Price - Lynch.

Wyjął papier z aktówki, która leżała na stole. Hamilton porwał go niecierpliwie. Drżącymi dłońmi podniósł do oczu. Alan podszedł do baru, wyjął szklaneczkę, lód i butelkę.

- Ma pan ochotę?

- Nie, nie, dziękuję... Czy dał mu pan czek?

- Czy sądzi pan, że bez tego czeku podpisałby dokument? Najpierw zatelefonował do Nowego Jorku, aby się upewnić, że mam taką sumę zablokowaną na koncie i dopiero potem załatwiliśmy formalności. A propos, ma pan mój czek?

- Przepraszam?

- Mój czek. Na 100 tysięcy dolarów...

W przelocie wziął do ręki zapisany arkusz, na którym Hackett deklarował, że zbywa 6 milionów akcji za 70 milionów dolarów.

- Proszę - powiedział Ham - Burger. - Już panu przygotowałem. Alan starannie sprawdził datę, sumę i podpis.

- A drugi?

- Jak ustaliliśmy. Po powrocie z Nowego Jorku. Kiedy pan leci?

- Natychmiast! Na lotnisku w Nicei czeka boeing na lot w obie strony. Fakturę dostanie pan bardzo niedługo.

- Co?

- Pozwoliłem sobie wynająć ten samolot na pańskie nazwisko. Nie ma żadnego powodu, dla którego ja miałbym za to płacić. Arnold Hackett osobiście rezerwował samolot. Miał pan szczęście!

- Ile? - zduszonym głosem powiedział Price - Lynch.

- A skąd ja mam wiedzieć? Sam pan zobaczy. Mam nadzieję, że podjął pan już niezbędne kroki, aby uregulować wszystkie należności?

- Pan się wtrąca w nie swoje sprawy! Proszę się ograniczyć do ścisłego wypełniania tego, o co pana proszę! Za ile godzin będzie pan z powrotem?

- Siedemnaście... Osiemnaście... Tyle, ile trzeba, żeby pojechać do pańskiego banku i wrócić. Myślę, że wszystko już uregulowaliśmy. Więc jeśli pan wybaczy?... Muszę się spakować.

Price - Lynch rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

- Proszę się postarać i nie popełnić błędu, panie Pope.

- Spróbuję - powiedział Alan obojętnym tonem.

Price - Lynch wyszedł. Alan wypił swoją szklaneczkę małymi łydkami, krańcowo skoncentrowany. Wyszedł na taras. O siedem pięter niżej dostrzegł Norberta za kierownicą rollsa zaparkowanego u podjazdu. Wykrzywił się w stronę lustra i mruknął:

- Teraz albo nigdy! Odwagi! Pomyślał, schodząc, o Bannistrze.

- Alan!

Sarah! Miał wrażenie, że musiała trwać na posterunku w hallu, aby go w końcu dopaść. Przeklinał, że zbyt wcześnie wezwał samochód.

- Bardzo mi przykro, Sarah. Zaraz mam samolot. Oczy jej się rozszerzyły:

- Dokąd jedziesz?

- Przez jakiś czas mnie nie będzie...

- Z kobietą? Od dwóch dni nie śpię...

- Więc weź proszek.

- Alan, ja muszę wiedzieć!

Zrobił dwa kroki w bok i korzystając, że drzwi były zablokowane przez dużą grupę dzieciaków i nianie, podbiegł do rollsa.

- Norbert, w nogi! Uciekamy!

Samochód ruszył. Kiedy skręcali na Croisette, spojrzął za siebie: Sarah biegła za nimi!

- Jedź przez Juan, Norbercie. Mam tam coś do załatwienia.
- Dobrze, proszę pana. Tylko boję się, że będą korki.
- Zobaczymy.

Otworzył skrytkę pod stolikiem z akacjowego drewna, wyjął długopis i kartkę papieru. Napisał dużymi literami: „Muszę wyjechać. Odnajdę cię za dwadzieścia godzin. Czekaj. Kocham cię. Alan.” Włożył kartkę do koperty, zaadresował do Terry, po czym wsunął kasetę do odtwarzacza stereo i opadł na oparcie. Pograżył się w marzeniach o Terry. Bo i o czym miałby myśleć? Odkąd ją spotkał, wszystko co przedtem wydawało mu się ważne, nagle stało się nic nie znaczącą błahostką. Cokolwiek robił, gdziekolwiek był, szare oczy Terry stawały nieodmiennie pomiędzy nim i światem.

Była ostateczną odpowiedzią na wszystkie pytania.

- Juan, proszę pana.

Poprowadził Norberta, pozwolił mu minąć restaurację i zatrzymał na rogu małej uliczki.

- Uważaj na lody i pizzę, Norbert! Dzieciaki w tej dzielnicy to prawdziwa zaraza!

- Zostanę w samochodzie, proszę pana.

Alan zawrócił, wszedł do ciemnej bramy obok baru „U Tony'ego”, wspiął się na trzecie piętro i stanął na podeście, wpatrując się w drzwi do pokoju Terry. Dokądś poszła razem ze swą angielską przyjaciółką Lucy. Nie mógł się jednak powstrzymać i zadzwonił: nikogo. Przypiął do drzwi swój liścik używając pinezki tkwiącej tam najwidoczniej w tym celu. Posłał kopercie lekki pocałunek i zszedł na dół.

Schowany piętro wyżej Hans poczekał, aż kroki Alana umilkną, a kiedy był pewien, że nie wróci, zbiegł na dół, stanął jak wryty przed kopertą, zerwał ją i otworzył. A kiedy przeczytał list, porwał go na tysiąc kawałków.

Na progu stał Arnold Hackett, postarzały nie do poznania.

- Czy pan jest chory, Arnoldzie?

Marina wyczytała w jego spojrzeniu tak gorącą prośbę, że poczuła wzruszenie.

- Wejdz, Arnoldzie...

Posadziła go na fotelu, na który zwałił się ciężko, nawet nie zauważając, że wciąż jest naga.

- Czy miał pan wypadek?

Potrząsnął głową i z trudem uśmiechnął się do niej:

- Muszę z panią porozmawiać, Marino... Pozwoli mi pani zostać przez chwilę?

- Ależ oczywiście!

Poklepała go po łysinie. W końcu jemu zawdzięczała, że tu jest.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć...

Nie pozostało w nim już nic z frywolnego starca, przed którym musiała jeszcze wczoraj zamykać drzwi. Oddech miał świszczący, nieregularny.

- Chodzi o pańską żonę?

- Nie, nie...

- Więc o co? Proszę powiedzieć!

Szukał słów, gryząc wargi i w końcu wyrzucił z siebie, spuszczać wzrok:

- Sprzedałem Hackett Chemical.

Marina popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- I to pana wprowadziło w taki stan?

- To jakby mi umarło ukochane dziecko.

Objęła go czule za ramiona.

- Słuchaj, Arnold! Przecież to lepiej!... W twoim wieku... Pewnego dnia trzeba wypruć! Całe życie przepracowałeś, musisz w końcu odpocząć!

- Nie, nie odpocząć! Pozwoliłem się wyrolować, rozumie pani? Zawsze to ja rolowałem innych, to ja byłem silniejszy. Złamano mnie i musiałem się poddać. Czuję się chory.

- Jesteś zrujnowany?

- Tak.

- Nie zostało ci nic na życie? - zapytała tonem pełnym litości. - Bardzo mało.

- Ile?

- Wszystko musiałem sprzedać za 70 milionów dolarów.

- Boże! Ależ to strasznie dużo!

- Dużo? - oburzył się, wychodząc z osłupienia. - Wszystkie moje akcje warte były dwieście milionów.

- Dwieście czy siedemdziesiąt, co to ma za znaczenie?

- Straciłem moją firmę! Jestem sam! Sierota!
- Pozostaje ci żona.
- Właściwie to od pięćdziesięciu lat nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Nie mam już celu w życiu.
- A co ci przeszkadza założyć jakąś inną fabrykę? Z 70 milionami dolarów możesz kupić Generals Motors?
- Jestem złamany, Marino. Gorzej niż bezrobotny.
- Od tego się nie umiera! Mam przyjaciela, którego właśnie wyrzucono od Hacketta...

Przerwała nagle, zdumiona: po raz pierwszy uświadomiła sobie związek między firmą Hackett, w której pracował Alan i Arnoldem Hackettem, żalonym zakochanym starcem, który przyszedł do niej szukać pomocy.

- Wiesz, to zabawne! To ty jesteś Hackett Chemical?
- Nie wiedziałaś o tym?
- Nie!
- Hackett, to ja! - potwierdził Arnold, jakby chciał sam siebie przekonać. - W końcu, to byłem ja...
- To z ciebie niezły łajdak! Wyrzucasz ludzi na bruk. Znasz Alana Pope'a?

Hackett podskoczył, jakby podłożono mu rozpaloną płytę pod siedzenie.

- Pope'a?
- Co on ci w końcu zrobił, Pope? Nie ma miłszego chłopca! Miał u was bardzo dobrą opinię! I nagle znalazł się na ulicy, bez żadnego powodu.
- Gdzie pracował? - zapytał mechanicznie Hackett?
- W księgowości.
- W Nowym Jorku?
- Tak, w Nowym Jorku. To był mój przyjaciel.
- Marino, czy pani może mi dać coś do picia? Wody, po prostu wody...

Poszła do łazienki, a on wyjął pigułkę, włożył do ust, połknął i zaczął wpatrywać się w niebo.

Marina wróciła, obeszła dokoła łóżko i postawiła szklanekę na nocnym stoliku.

- Mieszkaliśmy razem. Niestety, odeszłam z Harrym. To był dopiero egoista! Wszystko, co nie dotyczyło jego malarstwa, traktował jak śmiecie. Nawet mnie!

Wyciągnęła się na łóżku obok Arnolda, który wciąż siedział w tej samej pozycji, plecami do niej. Zawstydziała się trochę, że tak na niego napadła, podczas gdy był tak załamany. Podrapała go delikatnie w kark.

- Powinieneś odpocząć, Arnoldzie... Po co robić z tego taki dramat... Nie tobie pierwszemu się to zdarza. Drogę młodym!

Nasiliła nieco mechaniczny ruch swych paznokci po opalonej na brązowo nagiej skórze czaszki. Wyraźnie odczuła dreszcz, który go nagle przeszył i przestraszyła się, że przekroczył subtelny granicę dzielącą przyjacielskie kontakty od zmysłowego pożądania. Cofnęła dłoń ze strachu, że zaraz się na nią rzuci, chcąc jej dowieść, że mimo wieku... Nie zrobił żadnego ruchu.

- Niech pan kupi sobie jacht... Gra w golfa... Za to, co panu pozostało, można zrobić tyle przyjemnych rzeczy. No nie?... Arnoldzie?...

Milczał nadal. Podniesiona na duchu uścisnęła go za ramię.

- Arnold?...

Pociągnęła mocniej. Wolno osunął się na bok. - Nie, Arnoldzie, nie... Proszę grzecznie usiąść.

Chciała go odepchnąć. Upadł na nią, z szeroko otwartymi oczami, z zastygłą twarzą. Martwy. Krzyknęła.

Rozdział 29.

Gdy tylko samochód wjechał do centrum Alan poczuł, jak Nowy Jork go poraża. Powietrze, upał, mgła, odgłosy Nowego Jorku... Znane mu miasto, którego już nie poznawał. Było to popołudnie 30 lipca. Opuścił miasto 25 rano. Wystarczyło pięć dni, aby czas w niesamowitym przyspieszeniu, rozciągnął się niemal w sobie, tyle wydarzeń, że pięćdziesiąt lat normalnego życia nie byłoby w stanie ich wchłonąć. Te pięć dni miłości, śmierci i mocy przeistoczyły gąsienicę w motyla. Proces przyrodniczy na żywo, u źródeł. Teraz już za późno na niewinność.

- Poczekaj pan na mnie. Jak tylko się zjawię, jedziemy z powrotem na lotnisko.

Przyglądał się uważnie fasadzie banku. Gdzieś przed stu laty, 23 lipca, pocąc się ze strachu, za tymi murami realizował pierwszy czek na 500 dolarów. Przebył osiem schodów wejściowych, przeciął hall i udał się prosto do działu maklerskiego, gdzie tłoczyli się mali ciułacze chcąc sprzedać akcje Hacketta po 20 dolarów za sztukę. Zwrócił się do woźnego, który kierował interesantami:

- Jestem umówiony z panem Fischmayerem. Nazywam się Alan Pope.

W chwilę później wchodził do luksusowego biura głównego plenipotentą Burgera. Abel Fischmayer wyprostował swoje dwa metry i podszedł z wyciągniętą ręką.

- Fischmayer, bardzo mi miło.

- Pope, jestem zachwycony.

Po zakończeniu tych wstępów Alan chrząknął i wyjął z teczek dokument, w którym Arnold Hackett dokonywał cesji na jego rzecz swych 6 milionów akcji.

- Panie Fischmayer, oto 6 milionów akcji Hacketta. Przekazuje je panu w odpowiedzi na OPA ogłoszoną przez bank Burgera.

Główny plenipotent przeczytał pismo i zaczął obracać je w rękach.

- Bardzo dobrze, panie Pope... Bardzo dobrze.

- Te akcje mają wartość sto dwadzieścia milionów dolarów. Jestem winien pańskiemu bankowi siedemdziesiąt. Proszę więc o przekazanie różnicy, czyli 50 milionów dolarów.

- Czy napije się pan czegoś, panie Pope?

- Bardzo mi przykro, samolot czeka na mnie. Muszę wracać.

- Do Francji?

- Czy mogę dostać czek? Bardzo proszę...

- Oczywiście - powiedział Fischmayer z urażoną miną. Otworzył zamek głównej szuflady swojego biurka i wyjął mały błękitnawy prostokąt ze znakami banku.

- Gdyby pan zechciał sprawdzić...

Alan wziął go spokojnie. Czek został wystawiony na jego nazwisko i opiewał, liczbowo i słownie, na zvariowaną sumę 50 milionów dolarów, parafowanych podpisem Fischmayera oraz nieczytelnymi podpisami dwóch innych pełnomocników.

Abel rzucił mu wyniosłe i zimne spojrzenie. Alan czuł, że ten również wie, kim on był.

- Do widzenia panu - powiedział Alan.

- Do widzenia panu - odpowiedział Fischmayer. Nie uścisnęli sobie dłoni.

Kiedy Alan rozsiadł się w samolocie, zapiął pasy i kazał hostessie przynieść kieliszek szampana. Pociągnął dwa razy papierosa, zanim rozbrzmiał warkot silników. Myśl, że jest jedynym pasażerem boeinga wywołała jego uśmiech. Samolot stanął na pasie startowym, by po chwili unieść się w powietrze. Alan opuścił głowę na oparcie, zamknął oczy i roztopił w oczach Terry.

Być może nie miała klasy Mandy de Saran, ale podobała mu się. Jej okrągłe kształty, dobroduszny uśmiech, dwa dołeczki w podbródku pod hełmem czarnych włosów podbiły serce Bannistera.

- Gdzie uczyła się pani mówić po angielsku, Clarisse?

- W Londynie. Byłam guwernantką u pary sprzedawców obrazów.

- Dużo mieli dzieci? Clarisse parsknęła śmiechem.

- To byli dwaj mężczyźni!

- Od dawna pani pracuje w Palm Beach?

- Od miesiąca. Do końca sezonu. Bardziej dla zabicia czasu, niż z innego powodu. Trochę się nudzę w domu. Mój mąż jest Anglikiem.

Obrzuciła akceptującym spojrzeniem apartament.

- A pan, co pan robi, panie Bannister?

- Kieruję fabryką wyrobów farmaceutycznych - odpowiedział chłodno Samuel. - W Nowym Jorku. Czego się pani napije?

- Nie w tej chwili. Długo zostaje pan w Cannes?

Do wyznań było jeszcze daleko, ale tak jakby się zaczynały, rodziło się porozumienie. Sprawy szły dobrze.

Samuel złowił ją w toalecie Palm Beach. Siedziała na krześle, czytała Vogue, z roztargnieniem słuchając brzęku monet rzuconych przez klientki na spodeczek. Brak tego odgłosu zaalarmował ją, gdy Bannister opuścił miejsce, którego była strażniczką. Rzuciła mu surowe spojrzenie. Odpowiedział wskazując na banknot dziesięciofrankowy, który położył na spodeczku. Uśmiechnęli się do siebie. Często wielkie namiętności zaczynają się od takich drobnych szczegółów. Bez zbędnych ceremonii zgodziła się wypić u niego kieliszek.

- Proszę się rozgościć, Clarisse...

Miała na sobie tylko lekką sukienkę z bawełny, opiętą na piersiach i pozwalającą się domyślać ciemnej aureoli sutek. Samuel odchrząknął i odwrócił wzrok. Poza księżną, która rzuciła się na niego, przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa nie miał żadnej przygody. Powolną pracą małżeńskich podchodów, Christel stopniowo zdusiła jego uwodzicielskie zapędy. A jednak przez niezrozumiałą wstydlivość, do przegródki portfela, który trzymał na sercu, wsunął między dwie karty kredytowe zdjęcie swojej żony.

- To ładne imię, Clarisse...

- Tak pan uważa?

Siedzieli w fotelach naprzeciw siebie. Rozpaczliwie próbował odkopać w zakamarkach swej pamięci kiedyś wykonywane gesty, pozwalające pokonać przestrzeń między neutralnym krzesłem, a oszłamiająco ciepłym łóżkiem. Jego prawa ręka ważyła dziesięć ton. Ze ściśniętym gardłem podniósł ją i zbliżył do ramienia Clarisse. Gdy była nie dalej niż o pięć centymetrów, zapukano do drzwi: czar prysł, wszystko trzeba było zaczynać od nowa!

Podniósł się, wściekły i poszedł otworzyć. W drzwiach stała młoda dziewczyna. Miała popielatoblond włosy, szare oczy, a ubrana była bardzo prosto, w sprane jeansy i obszerną białą bawełnianą bluzkę.

- Musiałam się pomylić - powiedziała przepaszająco. - Powiedziano mi, że jeden z moich przyjaciół mieszka w apartamencie 751... .

- Co za przyjaciel?

- Alan Pope.

- To rzeczywiście jego apartament... - wymruczał Samuel.

- Nazywam się Terry.

A więc to w niej zakochał się Alan!

- Nie ma go tutaj... - powiedział Bannister wrogo.

- Czy pan wie, kiedy wróci?

- Wyjechał. Jestem jego przyjacielem. Bannister.

- Czy zobaczy się pan z nim?

- Powinien wrócić, ale nie wiem kiedy.

- Czy może pan przekazać mu list?

Podawała go. Samuel ujął list nieufnie między kciuk a palec wskazujący.

- To bardzo ważne... - wyszeptała.

- Może pani na mnie liczyć... - powiedział Bannister. - Przekażę mu, jak tylko go zobaczę.

- Proszę mu powiedzieć, że musiałam wyjechać... Wszystko wyjaśniam. Proszę mu powiedzieć także...

- Co? Co pani mu chce jeszcze powiedzieć? Zagryzła usta.

- Nic. To jest w liście. Dziękuję.

Skinęła głową i zniknęła w korytarzu. Bannister zamknął drzwi. Był wprost chory na myśl, że Alan może mieć poważne zamiary wobec dziewczyny aż tak bezbarwnej, podczas gdy Sarah Burger rozścielała przed nim czerwony dywan fortuny. Na szczęście on czuwał! Porwał list na kawałeczki, rzucił resztki do muszli klozetowej i spuścił wodę.

Następnie wrócił do pokoju, gdzie czekała na niego Clarisse.

Rolls zjechał z Croisette i skręcił w prawo, by wjechać w aleję prowadzącą do Majestic. Po odlocie z Nowego Jorku Alan zasnął i obudził się dopiero, gdy lądowali w Nicei.

- Czy będzie mnie pan potrzebował dziś wieczorem? - zapytał Norbert.

- Nie sędzę. Jeżeli pan chce mieć wolny wieczór, proszę go wykorzystać.

- Dziękuję panu, z przyjemnością.

- Intymne spotkanko, Norbercie?

- Zebranie mojej komórki, proszę pana.

Alan zaczął się uśmiechać, ale ten uśmiech zgasł natychmiast.

- Gazu! Niech pan nie zatrzymuje się przed schodami wejściowymi! Niech pan objedzie rondo!

Z przerażeniem dostrzegł Sarah, siedzącą na składanym krześle i pogrążonej w ożywionej rozmowie z Serge'em. Położył się na tylnym siedzeniu.

- Norbercie, czy ta dziewczyna ubrana na zielono, tam, z Serge'em, widziała mnie?

Norbert spojrział we wsteczne lusterko.

- Nie wydaje mi się, proszę pana. Ta panna Burger mówi bez przerwy.

- Dziękuję. Proszę się zatrzymać...

Wyskoczył przed klubem prasowym, okrążył hotel, zapuścił się w maleńką uliczkę równoległą do Croisette i wślizgnął do Majesticu wejściem dla służby. Czujnie jak Siouks podszedł do recepcyjnej lady.

- Proszę 751.

- Nie ma tu pańskiego klucza, proszę pana. Pan Bannister powinien być na górze...

Wszedł do windy i znalazł się twarzą w twarz z Mariną, która z niej właśnie wychodziła.

- Alan!

Wzruszył się, gdy zobaczył, że jej twarz zalana jest łzami.

- To straszne, Alan! Umarł w moich ramionach?

- Hadad?

- Hackett!

- Hackett nie żyje?

Jej łkanie spotęgowało się.

- Zupełnie. W moim pokoju! I jak ja wyglądam? - popłakiwała. Alan chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Marina! Coś ty mu zrobiła! Marina!

Ponad jej głową zobaczył Sarah wchodzącą do halu. Gwałtownie pociągnął Marinę do kabiny i nacisnął na guzik siódmego piętra.

- Chcę wysiąść - powiedziała dama w czerwonym trzymająca w ramionach czarnego pudelka.

Alan dostrzegł dopiero ją wówczas, kiedy zaczęła mówić. Wyglądała na skrajnie oburzoną.

- Leżałam na łóżku - kontynuowała Marina. - Głaskałam go milutko po głowie... Sprzedał właśnie swoje fabryki, nie chciałam być świnią... I muszę ci powiedzieć!... Hackett, to był ten Hackett!

- Wiem... - powiedział Alan - wiem!

- Proszę mnie natychmiast zawieźć na trzecie! - rozkazała dama.

- Jak tylko znajdziemy się na siódmym... - przeprosił Alan. Czarny pudel wydał z siebie wrogi pomruk.

- Wystarczyło dać mu szklanekę wody i wyciągnąć się obok niego i już nie żył! - mówiła ciągle Marina.

- Ale na co umarł?

- Serce stanęło. Co za zamieszanie! Nie chcieli nosić się z nim po korytarzach, więc zostawiono go w moim pokoju... Przenieśli mnie na szóste... Zgubili mi niebieską spódnicę!... Nie mogę się połapać w moich rzeczach!

Drzwi otworzyły się na piętrze.

- Marina, spotkajmy się później, wyjaśnisz mi wszystko szczegółowo!

- To ty musisz mi wyjaśnić. Co ty robisz w Cannes?

- Chcę wysiąść! - zapiszczała dama.

Zanim Alan zdążył wysiąść, stalowe drzwi znów zamknęły się automatycznie. Dama chciała wcisnąć guzik trzeciego. W czasie tego ruchu pudel wymknął się i zaczął wściekle szczekać. Dama próbowała wziąć go znów na rękę.

- Wróciłam do ciebie w Nowym Jorku. Opuściłam Harry'ego. Biedny Arnold! Nie było wody i poszłam sobie...

- Gdzie poznałaś Arnolda Hacketta?

- Uwaga na mojego psa! - krzyczała dama. - Jean - Paul, tutaj! Skacz!

Na próżno wyciągała opiekuńcze ramiona, by Jean - Paul w nich się schronił.

- U Poppie - powiedziała Marina. - Znasz Poppie?

- Nie.

Kabina zatrzymała się na parterze. Drzwi otwarły się. Pudel uciekł. Dama chciała pobiec za nim, ale zderzyła się z Mariną.

- Alan! - krzyczała Sarah. - Alan! Alan nacisnął guzik siódmego. Winda ruszyła.

- Chcę wysiąść! - wrzeszczała dama. - Jean - Paul!

- Hej, ty w czerwonym! Mogłabyś uważać! - oburzyła się Marina. - Zmiażdżyłaś mi nogę!

- Jestem znajomą pana Gohelana - zakrztusiła się dama. - Złożę skargę! Przyjeżdżam tutaj od dwudziestu lat! Jeżeli mojemu psu coś się przydarzy!...

- Kto to jest Poppie?

- Przyjaciółka Petera.
- A co ona miała wspólnego z Arnoldem Hackettem?
- Nie mam pojęcia. Spotkałam go u niej, kiedy się do ciebie wyniosłam. Zaprosił mnie tutaj. Ze wszystkimi szykanami... - Ze zmarszczonymi brwiami odwróciła się do damy, by skończyć zdanie:
- Nienawidzę staruchów!

Kabina zatrzymała się.

- To do mnie pani to mówi? - rzuciła dama wyzywająco.
- Tak! - wrzasnęła Marina. - Nienawidzę również psów! Alan wysunął się przez drzwi, zanim spór przerodził się w bójkę.

Zadzwoił do drzwi swego apartamentu.

- Co jest? - zagrzmiął głos Bannistera.
- To ja! Otwieraj!
- Alan?
- Otwierasz, czy mam wyważyć drzwi?

Zgrzyt klucza w drzwiach... Głowa Bannistera... Alan pchnął drzwi do środka i spostrzegł, że Sam jest w kalesonach.

- Znowu!
- Nie jestem sam... - wyznał Samuel ze skruszoną miną. Alan posłał mu jadowite spojrzenie.
- Księżna?
- Pani z toalety z Palm Beach. Błagam cię o dyskrecję, Alan! Jest mężatką!

- Odprowadź ją do toalety! Natychmiast muszę mieć salon wolny!

- Alan, właśnie zaczynaliśmy...
- Won!

Alan wszedł do łazienki.

- Kiedy wyjdę spod prysznic, wywalę was oboje przez okno, jeżeli jeszcze tutaj będziecie! Co zaś tyczy ciebie, masz być za godzinę. Będę miał ci sporo do powiedzenia!

Zamknął za sobą drzwi, puścił zimną wodę i wybuchnął nerwowym, niepohamowanym śmiechem. Gdy osuszony wrócił do przedpokoju, teren był wolny. Ubrał się, zanotował kilka spraw w notesie i zadzwonił do Hamiltona Price - Lyncha.

- Przed chwilą przyjechałem. Jestem u siebie. Czy zechce pan przyjść?

Pochłaniały go dopiero co napisane liczby. Na dźwięk dzwonka schował do kieszeni kawałek papieru.

- Dobrą pan miał podróż, panie Pope? - spytał Ham - Burger wchodząc do salonu.

- Doskonałą, dziękuję.

- Wszystko się udało?

- Wspaniale.

- Dzwonił właśnie do mnie Fischmayer. Czy zechce mi pan pokazać jego czek?

- Proszę bardzo - powiedział Alan. - Czy ma pan mój?

- Oto on - odpowiedział Price - Lynch. Obydwa чеki zmieniły właścicieli.

Alan sprawdził sumę: 100 000 dolarów. Schował czek do kieszeni.

- W porządku, panie Pope?

- W porządku.

- A więc doskonale - powiedział Price - Lynch zwracając mu czek na 50 milionów dolarów wystawiony na nazwisko Pope'a przez Abela Fischmayera. - Pozostaje tylko zrealizować go w jednym z genewskich banków, którego nazwę panu podam.

Alan odwrócił się do niego plecami, dotykając z roztargnieniem butelek w barku. Drugi czek dołączył w jego kieszeni do pierwszego.

- Czy pan mnie słucha, panie Pope?

- Słucham pana.

- Indosuje go pan...

- Nie indosuję go - uciął Alan.

- Słucham?

- Ten czek jest wystawiony na moje nazwisko. Zamierzam go zrealizować na własny użytek.

Price - Lynch drgnął.

- Mam nadzieję, że pan żartuje?

- Absolutnie nie - powiedział Alan lodowato. - Chciał mnie pan wyrolować. Posłużył się pan mną, aby ukryć przestępstwo zawodowe, które przyniosło panu 50 milionów dolarów na niekorzyść klienta, którego pan zdradził.

- Pan uważa się za tak mocnego, aby mnie zmusić do ustępstw? - warknął z pogardą Ham - Burger.

- Hackett miał zaufanie i z tego powodu umarł.

- Wszyscy wiedzieli, że był chory na serce!
- Popęłnił pan czyn niemoralny, panie Price - Lynch. Jestem zaszokowany.

- Pańska cena? - zgrzytnął Hamilton.

- Chciałbym przede wszystkim dokonać krótkiego podsumowania, aby pan dokładnie wiedział, gdzie obydwaj się znajdujemy.

- Do dzieła!

- To, co mnie uderzyło pierwszy raz, kiedy opowiadał mi pan o waszym OPA to to, że było nieuchronnie skazane na porażkę. Nawet jeżeli by się panu udało zgromadzić całość akcji znajdujących się w obiegu miałby pan tylko 40 procent. Ilość nie wystarczająca, aby zdobyć kontrolę Hacketta. Aby się panu udało, należało spełnić dwa warunki. Pierwszy - znaleźć sposób, aby zmusić Hacketta do sprzedaży. Jest pan jego bankierem, wystarczy zablokować mu kredyt, aby ustąpił. - Drugi - interwencja osoby trzeciej o czystych rękach, aby odkupiła od niego większościowy pakiet akcji po cenie obniżonej, czyli ja! Idealny kozioł ofiarny, panie Price - Lynch, zwłaszcza po tym, co mu się przydarzyło!

- Daję panu ostatnią szansę, Pope! Niech pan zatrzyma 200 000 dolarów, zwróci mi moje 50 000 i zniknie!

Alan przyglądał mu się z ironią.

- Istnieją nieszczęsne niebezpieczne słowa, panie Price - Lynch. Słowo „zniknięcie” na przykład. To, że nie zniknąłem wcześniej, po mojej pierwszej odmowie, oczywiście to nie pana wina...

Ham - Burger uniósł się.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic - powiedział Alan - nie spuszczać go z oka. Absolutnie nic. Rozumiemy się?

- Zupełnie nie!

Alan zarejestrował, że na ułamek sekundy opuścił oczy.

- Czy zapomniał pan o tym? - zapytał Price - Lynch, wyjmując z kieszeni kartkę papieru.

Alan rozpoznał list, który podpisał przed czterema dniami, gdy zawierali porozumienie. Zgadzał się na pełnienie roli pośrednika, używającego nazwiska na rzecz Price - Lyncha.

- Wystarczy mi tylko pokazać go jakiemukolwiek prawnikowi, aby oskarżyć pana o szantaż! - zagroził Ham - Burger.

Alan z rozbawieniem popatrzył mu prosto w oczy.

- Pan go pokaże?

- Proszę mnie nie prowokować!

- Ten dokument jest dowodem pana nieuczciwości, panie Price - Lynch. Żaden bankier nie ma prawa ogłaszać OPA na swoje konto. To przestępstwo!

- Podnoszę pańską prowizję do 500 000 dolarów.

- Nie pańska kolej składnia ofert. Mam w głowie inny projekt. Chcę stać się głównym udziałowcem Hacketta.

Price - Lynch wpatrywał się w niego zaskoczony.

- Powinni pana zamknąć u czubków!

- Hackett już mi to powiedział, kiedy zgłosiłem chęć odkupienia jego akcji. A teraz zechce mnie pan posłuchać. Mam dla pana propozycję.

- Zamknąć u czubków!... - powtórzył machinalnie Ham - Burger.

- Jeżeli pan się zgodzi, a między nami mówiąc, nie widzę jak mógłby pan odmówić, ja panu dam prowizję. Nie 500 000 dolarów, ale 5 milionów.

- Co pan mi tutaj nawija? - zbuntował się Hamilton.

- Jestem gotów zapomnieć o wszystkim. Zwrócę pański czek, a pan mi zwróci 6 milionów akcji, które złożyłem na ręce Fischmayera.

- Kto za nie zapłaci? - zaczerwienił się Price - Lynch.

- Pan. Oczywiście nie z własnej kieszeni. Pan jest dyrektorem Burgera. Pański bank udzieli mi pożyczki długoterminowej 75 milionów dolarów pod zastaw akcji, które mi pan zwróci. Siedemdziesiąt milionów na wykup akcji Hacketta, pięć jako prowizja, którą panu przekażę. - Alan z nonszalancją spojrział na zegarek. - Daję panu dokładnie pięć minut na podjęcie decyzji.

Nalał sobie whisky i spokojnie wyszedł na taras. Ham - Burger trwał przez chwilę nieruchomo. Następnie schwycił butelkę zostawioną na stoliku, nalał pełny kieliszek i wypił jednym haustem. Pięć milionów umieszczonych w Szwajcarii na 12 procent dawało 600 000 dolarów rocznie. Netto, bez podatku... Być może nie starczy na szaleństwa, ale na odzyskanie wolności, porzucenie Emily i lot na własnych skrzydłach. To warte było kilku małych ustępstw. W skupieniu wypił whisky, zawahał się przez moment i poszedł na taras.

To, co jest wspaniałe w tym kraju, to światło. Błękit stale niebieskiego nieba. W dole wirowała karuzela opalonych dziewcząt w

kostiumach mini, kelnerów kręcących się między stolikami w barze, klientów Majestic przywoływanych przez głośniki i biegnących do kabin telefonicznych.

Alan Pope oparł się łokciami o parapet, z wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Ham - Burger zakaszłał:

- Panie Pope...

Alan odwrócił się wolno udając, że go dopiero dostrzega.

- Zastanowiłem się nad pańską propozycją - powiedział Price - Lynch.

Trzęsącą się ręką zapalił muratti.

- Zgadzam się.

Z pokoju Mariny zabrano łóżko. Na jego miejscu ustawiono katafalk pokryty czarnym prześcieradłem, oparty na dwóch kozłach. Stała na nim trumna, w której spoczywały zwłoki Arnolda Hacketta. Po obdukcji przeprowadzonej przez lekarza sądowego, Victoria nie pozwoliła odwieźć ciała męża do kostnicy.

Ich córka Gertruda, bawiąca na wakacjach w okolicy, przybyła w pośpiechu i wyraziła to samo życzenie. Po złożeniu zwyczajowych kondolencji i zapewnień, że uczestniczy w ich smutku, Marc Gohelan spytał je dyskretnie o dalsze plany. Trup w hotelu stwarza problem nieuchronnej konieczności wywiezienia ciała bez psucia dobrej atmosfery zakładu.

Victoria i Gertruda zdecydowały przewieźć ciało zmarłego w najkrótszym możliwym terminie do USA. Gohelan zajął się wszystkim. Wyczarterował specjalny samolot, uprzedził zakład pogrzebowy i załatwił oficjalne formalności. Usilnie namawiał wdowę i spadkobierczynię, aby doczekać nocy i dopiero wtedy wynieść trumnę z apartamentu. Napotkał jednak na twardy opór Victorii.

- Ależ proszę pani, proszę wziąć pod uwagę, że jesteśmy w środku sezonu... Hotel wypełniony po brzegi... Jest dzień... Proszę mnie zrozumieć...

- Mój mąż przyjechał do was z podniesioną głową i nie widzę powodu, dlaczego miałby opuszczać hotel ukradkiem.

Udało mu się uzyskać jedynie ustępstwo, że tragarze nie będą ubrani w tradycyjne żałobne ubrania, ksiądz przyjedzie po cywilnemu, z małą walizką w ręku, wypełnioną kapłańskimi rekwizytami. Story w pokoju były zaciągnięte. Tu i ówdzie paliły się świece. Przez otwarte okno wpływały strzępki wesołego wakacyjnego zgiełku.

- Był to wspaniały człowiek... - powiedział Hamilton Price - Lynch.

Sarah i Emily rzuciły mu takie samo ostre spojrzenie, jak za każdym razem, kiedy otwierał usta. Pomyślał, że nie mógłby już długo tego znosić.

- Twój ojciec szedł korytarzem... Usłyszał krzyk: jakaś kobieta przez pomyłkę oparzyła się, biorąc prysznic. Otworzyła na oścież drzwi, wołając o pomoc. Twój ojciec wszedł... Serce nie wytrzymało... - szeptała Victoria do Gertrudy powtarzając pobożną wersję, ułożoną przez Gohelana, by usprawiedliwić obecność Arnolda Hacketta w pokoju Mariny. Gertruda popatrzyła zimno na blond kreaturę stojącą w rogu pokoju, za ich plecami, obok Lou Goldmana otaczającego opiekuńczym gestem ramiona swojej żony Julii.

- Sądzę, że była pani przyjaciółką nieboszczyka?... - wyszeptał producent do ucha Mariny. - Czy wraca pani do Ameryki na pogrzeb?

- Nie, nie... Po prostu przyszłam, aby poszukać niebieskiej spódnicy, którą pokojówki zagubiły w czasie przeprowadzki...

- Znalazła ją pani?

- Nie. To głupie, ale lubiałam ją...

- Przygotowuję super produkcję o życiu Marilyn Monroe... Ma pani coś w twarzy, co...

- Wszyscy mi to mówią.

- Czy grała już pani w filmie?

W kącie szlochał Richard. Śmierć szefa nadała mu nagle status członka rodziny. Olivia, pokojówka Victorii Hackett, chlipała w chusteczkę. Trochę dalej, książę de Saran ścisnął rękę księżnej. Zależało mu na tej kurtuazyjnej wizycie przed wyprowadzeniem ciała. Chłopak z siódmego piętra przyłączył się do powszechnego smutku. Hackett zawsze go fascynował swoim skąpstwem: nigdy ani grosza napiwku, ani słowa podziękowania!

- Stracił pan wspaniałego chlebodawcę... - wyszeptał do ucha Richarda, który dusił się łzami.

Prowadzona przez Gohelana grupa mężczyzn w białych bluzach wśliznęła się do pokoju. Ksiądz w flanelowych spodniach i fioletowej koszuli pospiesznie zakładał sutannę w łazience.

Oczywiście żadnych mów, a tym bardziej mszy. Tylko krótka modlitwa, a po niej pokropek. Mężczyźni w bieli zamknęli wieko trumny. Victoria padła w ramiona córki. Gohelan wypadł na korytarz,

dał dyskretny znak jednemu z zarządców stojącemu o dwadzieścia metrów dalej, wrócił do pokoju i rozkazującym gestem nakazał tragarzom pośpiech. Podnieśli trumnę i zabrali ją. Rozległ się diabelski łoskot udarowej wiertarki. Chcąc uniknąć spotkania z którymkolwiek z klientów twarzą w twarz z orszakiem, Gohelan zablokował korytarz od windy dwoma robotnikami udającymi, że wiercą dziurę w parkiecie. Idąc szybkim krokiem można było w dwadzieścia sekund znaleźć się przy windzie towarowej i schodach służbowych. Tragarze zniknęli tam i kiedy już nie było ich widać, wiertarka udarowa w cudowny sposób zamilkła. Z westchnieniem ulgi Gohelan wrócił do pokoju, by pocieszyć wdowę i sierotę. Tragarze zjechali aż do sutereny, przeszli przez hall prowadzący do stołówki dla pracowników i złożyli trumnę w stolarni. Wszystko było gotowe na jej przyjęcie. Umieszczono ją na warsztacie. Dwóch stolarzy obudowało ją błyskawicznie szalunkiem z desek; nikt nie mógł domyśleć się, co kryły.

Pięciu mężczyzn w niebieskich wiatrówkach podniosło pakę i skierowało się do służbowego wyjścia na tyłach hotelu, od ulicy Saint - Honore. Załadowano ją do białej furgonetki; kierowca zamknął drzwi.

Pogłoski o śmierci Hacketta rozeszły się oczywiście w Cannes. Dyrekcja Majestic mogła jednak pozwać każdego kto by twierdził, że widział, jak trumna płacze się po hotelu w głównym sezonie.

- To niemożliwe, aby nic dla mnie nie zostawiła!

Tony skończył wycierać kieliszek, ciągle zerkając spod oka na rollsa zaparkowanego przed restauracją.

- Wiedziałbym o tym - powiedział ponuro.

- A jej przyjaciółka? - nalegał Alan. - Lucy? Lucy jakaś tam? Pan zna jej nazwisko?

- Nie. Ona często jeździ do swych angielskich przyjaciół, chyba pod Vence...

- Jak oni się nazywają?

- Nie mam pojęcia. U mnie bywa wielu ludzi. Niech pan spróbuje spamiętać...

- Proszę o whisky. Samą, bez lodu.

Terry zniknęła! Nigdzie śladu po niej. Zniknęła... Wyparowała... Bannister nie widział nikogo.

- Nie myślę, aby miała tu wrócić - powiedział Tony popychając kieliszek w kierunku Alana. - Widziałem, jak wyjeżdżała ze wszystkimi rzeczami. Niewiele tego, duży marynarski wór.

- Jak ona odjechała?

- Taksówką.

- Przypomina pan sobie ten samochód?

- Nie.

- Może pan znał kierowcę? Może to jakiś facet, który pracuje w Juan?

- Nie zwróciłem uwagi.

Mieli spotkać się u niej i natychmiast odjechać na Victory II, której dotychczas nie wykorzystał z wyjątkiem dwóch nocy spędzonych przy nabrzeżu. Krótka wycieczka na Korsykę...

- Nazywam się Pope - powiedział Alan. - Alan Pope. Jeżeli by ją pan zobaczył, proszę powiedzieć, że czekam na nią... Jestem w Cannes, w Majestic... Zresztą ona wie...

Tony rzucił mu spojrzenie z ukosa. Nie po raz pierwszy miał do czynienia ze zrozpaczonymi kochankami. Jego restauracja była znanym azylem wszystkich zdradzonych w Juan. Między dwoma kieliszkami pastis był informowany o wszystkich sercowych kłopotach swoich klientów. Tylko że oni przychodzili piechotą, przyjeżdżali na rowerze lub motorowerze, nigdy rollsem.

- Co się mogło wydarzyć? - rozmyślał głośno Alan.

Zastał drzwi zamknięte. Ani słowa, nic. Dokończył swój kieliszek.

- Nie zapomni pan?

- Pope, Majestic, zakodowałem! - powiedział Tony chwytając banknot porzucony na kontuarze.

Alan wyszedł na ulicę, popatrzył na fasadę, zauważył zamknięte okna na poddaszu, gdzie odnalazł z nią to, czego już nigdy nie odnajdzie.

- Dokąd jedziemy, proszę pana? - zapytał Norbert przytrzymując drzwi.

- Dokąd pan chce - powiedział Alan znużonym głosem. - To nie ma już żadnego znaczenia.

Rozdział 30.

W dwa dni po tym, jak upłynął termin OPA, 6 sierpnia, Alan zatrzymał samochód na 42 ulicy. Nowy Jork wprost kleił się od upału. Przekroczył próg Rilford Building, przeciął hall i wszedł do windy, która zatrzymywała się na 30 piętrze. Była dziesiąta rano. Za godzinę miał stanąć przed radą administracyjną Hackett Chemical Investment i pozwolić się wybrać na prezesa. Posiadał 60 procent akcji i ceremonia inwestytury była prostą formalnością. W korytarzach czuł znajomy zapach i słyszał znajome dźwięki, dobiegające jak gdyby z poprzedniego życia. Minał kilku kolegów z pracy, którzy pozdrawiali go jakby ukradkiem. Zdziwił się: przecież wszyscy powinni już wiedzieć, że przejął kontrolę na firmą. Pchnął drzwi do pokoju 8021. Przez cztery lata marzył tu o innym życiu. Bannister pospiesznie zdjął nogi ze stołu.

- Co cię napadło? - zapytał Alan.

- Studiowałem akta fluoru... - zaczął Samuel tonem skruchy.

Alan przyglądał mu się z niedowierzaniem. Podeszedł do biurka, które było jego biurkiem, zanim go wyrzucono z pracy. W zamyśleniu pogładził końcami palców jego metaliczną powierzchnię. Potem podeszedł do przeszklonej ściany i rozpląszczył nos na szybie, tak jak to mu się zdarzało setki razy. Przed dwoma dniami powrócił z Cannes. Zaangażował detektywów i posłał ich na poszukiwanie Terry. Jak dotąd żadnego śladu. Szukają... Alan wynajął apartament w hotelu Pierre, ale nie odczuwał już tego dreszczu wzruszenia, jaki przejął go 24 lipca, gdy spędzał tu swą pierwszą noc z Ann, pracownicą American Express. Po Majesticu i Palm Beach, po szalonym Cannes w pełni sezonu, już nic nie mogło nim wstrząsnąć. Nawet olśniewające zwycięstwo pozostawiło posmak goryczy, bo nie miał już z kim go dzielić. Poza Samuelem... Spojrzał na niego przez ramię. Ułożył przed sobą stos teczek i studiował gorączkowo akta, nie podnosząc nosa.

- Sammy...

Bannister podniósł głowę:

- Tak?

- Masz problemy?

- Przepraszam, mam tyle pracy...

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie... nie... - bełkotał Samuel - zapewniam pana...

Alan przyglądał mu się z niedowierzaniem:

- Mówisz do mnie „pan”? Teraz?

- Nie zrobiłem tego naumyślnie - powiedział Bannister i ponownie pograżył się w swych papierach.

Alan jednym skokiem znalazł się koło biurka, z wściekłością zmiotł akta na podłogę jednym ruchem ręki, złapał go za klapy i podniósł.

- Jeżeli mi natychmiast nie powiesz, skąd i dlaczego ta mina, to ci wybiję zęby!

- Nic, nic... naprawdę... Trochę zaległości w pracy...

- Skończ z tymi idiotyzmami! - ryknął Alan. - Ledwo na mnie spoglądasz, nie odzywasz się, traktujesz mnie jak zadżumionego! Jeżeli cokolwiek ci leży na sercu, to powiedz! W końcu jestem tu szefem!

Bannister uwolnił się powoli, pokiwał głową i wymamrotał:

- Właśnie...

- Właśnie - co?! - wybuchnął Alan. Bannister odwrócił wzrok.

- To robi wrażenie.

- Ty wale! - wyrzucił z siebie Alan z westchnieniem ulgi. - A ja myślałem, że już mnie nie lubisz...

- Gównu! Ty sobie w ogóle nie zdajesz sprawy! Teraz Hackett to ty! W tej budzie nikt nie może przyjść do siebie. U Romanos wszyscy są jak sparaliżowani. Chłopaki mają tremę!

- A co, czy ja się zmieniłem?

- Jesteś szefem!

Podniósł słuchawkę telefonu, który dzwonił od paru chwil, i słuchał z grymasem na twarzy:

- Dobrze, proszę pana... Oczywiście, proszę pana...

- Kto tam? - zapytał Alan.

Samuel przysłonił dłonią słuchawkę:

- Murray.

- Daj mi... Murray?... Tu Pope! Proszę natychmiast przyjść do mojego dawnego pokoju. Natychmiast!

Odłożył słuchawkę. Samuel przyglądał mu się z osłupieniem.

- Już wczoraj zrobił awanturę z powodu tej podróży. Uważa, że naruszyłem obowiązki zawodowe... Chce mi obciąć odszkodowanie...

- Naprawdę?

- Przecież go znasz...

- W końcu ma rację - oświadczył Alan. - W myśl przepisów nie powinieneś się oddalać z pracy.

Bannister jakby się przygarbił. Alan wskazał mu palcem tytuł w Herald Tribune, który ścisnął w rękę, od chwili, gdy wszedł do pokoju. Mordercy Hamiltona Price - Lyncha schwytani!

- Wiesz, kto go sprzątnął? Te same typki, które chciały mnie zabić, gdy jeździłem na nartach wodnych. Na jego polecenie. To oni wysadzili w powietrze Erwina Brokera podczas pokazu ogni sztucznych. Wszystkim kierował Cesare di Sogno. Jego także zapuszkowali. Powiedział, że Ham - Burger nie chciał zapłacić jego najemnikom. Dlatego umarł.

Zauważył, że Samuel zamiast słuchać, wpatruje się w jakiś punkt nad jego głową. Odwrócił się: w drzwiach stał Olivier Murray.

- Panie Pope, proszę przyjąć najszczerze gratulacje z powodu jakże zasłużonego awansu!

Alan nie uścisnął wyciągniętej ręki. Patrzył na niego bez słowa, zimno, a potem przysiadł na biurku.

- Proszę mi powiedzieć, Murray... Pił pan?

Samuel czując się bardzo niezręcznie, zaczął interesować się widokiem za przeszkloną ścianą.

- Panie Pope! Nigdy w życiu nie wypilem kropli alkoholu! Kto panu powiedział?...

- Odniosłem takie wrażenie, Murray. Tylko wrażenie... Od jak dawna zalicza się pan do personelu, Murray?

- Od piętnastu lat, proszę pana.

- To dużo. Ile pan ma lat?

- Pięćdziesiąt dwa, proszę pana.

Alan długo patrzył na niego w milczeniu. Murray, którego nie poproszono, by usiadł, skręcał się z niepokoju.

- Ile pan zarabia?

- Miesięcznie trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt pięć dolarów. Bez potrąceń.

- To dużo - powiedział Alan zmartwiony. - W razie zwolnienia pańskie odszkodowanie wynosiłoby... ile?

- Chce mnie pan zwolnić? - zakrztusił się Murray.

- To nie zależy ode mnie. Ja tylko zatwierdzę decyzję, jakakolwiek by była, naszego nowego dyrektora generalnego, pana Samuela Bannistera. Tu obecnego.

- Moje gratulacje, panie dyrektorze generalny... - wybełkotał Murray tonem budzącym litość, kłaniając się nisko Bannisterowi.

Na twarzy Samuela pojawiła się cała gama kolorów, od zielonego przez pomarańczowy do ceglastego, który natychmiast ustąpił miejsca kredowej bieli. Drzwi się uchyliły, do wnętrza zajrzał woźny.

- Panie Pope... Panie Victoria i Gertruda Hackett, a także radca prawny firmy Hackett, pragnęliby się z panem spotkać na kilka chwil przed posiedzeniem rady administracyjnej. Są w gabinecie pana Hacketta. Czy będzie pan tak łaskaw udać się tam?

- Już idę - rzucił Alan. - Murray, może pan wracać do siebie. Pan dyrektor generalny wezwie pana po dokładnym zapoznaniu się z pańskimi aktami. - Po czym odwrócił się do Samuela, zmiażdżonego szybkością wydarzeń: - Słyszałeś, stary ośle? Zajmuj się Murrayem! Nie bądź dla niego zbyt okrutny, to w końcu śmieć. Będzie nam potrzebny, aby podkładać ogień pod dupy pozostałych! Chcę, żeby to wszystko warczało i pruć naprzód.

Jak porażony prądem Bannister szepkał:

- No więc, Murray? Na co pan czeka? Już powinienem mieć na stole pańskie akta!

Alan wspiał się schodami dwa piętra, dzielące go od Olimpu, gdzie dotąd królował Bóg Ojciec nadzorując mrowisko swych podwładnych. Teraz on był Bogiem Ojcem! Wzruszył go ostatni, mimowiedny odruch służalczości: pochwycił się, że machinalnie poprawia węzeł krawata przed wstąpieniem do sanktuarium, które odtąd miało stać się jego prywatnym królestwem. Zapukał, odczekał parę chwil, popchnął drzwi. Ludzie, którzy kiedykolwiek mieli zaszczyt stąpienia na dywany Arnolda Hacketta, twierdzili, że grywa on w swoim gabinecie w golfa.

Nic dziwnego: miał on rozmiary katedry. Na samym końcu olbrzymie biurko z nierdzewnej stali stało na tle szklanej ściany, za którą wyrastał las nowojorskich drapaczy chmur, migoczących w cieplej mgiełce. A przed biurkiem, maleńka w sukni z białego dżerseju, stała dziewczyna w wielkich szylkretowych okularach: Terry!

- Dzień dobry, panno Gertrudo Hackett.

- Dzień dobry, panie Alanie Pope.

- Chciała się pani ze mną widzieć?

- Chciałam pana poznać, zanim opuszczę to miejsce. Mój ojciec mianował mnie dyrektorem administracyjnym, wbrew mojej woli. Nie mogę powiedzieć, abym czymś szczególnie administrowała. Prowadziłam życie innego rodzaju.

- Jakże?

- Studia, podróże... Chciałam być wolna, rozumie pan?

- Rozumiem.

- Nie było między nami szczególnej nici porozumienia. Ja nie szanowałam pieniędzy, świat jego wartości nie był moim. Mając osiemnaście lat opuściłam dom i poszłam na swoje. Dotarłam aż na Lazurowe Wybrzeże.

- Dobrze było?

- Nawiązałam tam pewną pasjonującą znajomość.

- Ja także.

- Widzi pan, byłam może niesprawiedliwa wobec ojca. Może powinnam bardziej interesować się jego przedsiębiorstwem? Teraz, gdy przekazuję panu całą władzę, trochę żałuję tego, że nawet nie spróbowałam.

- Podobałoby się to pani?

- Niewiele umiem...

- Czy potrafi pani pisać na maszynie?

- Trochę.

- Czy zgodzi się pani na małą próbę?

- Bardzo chętnie.

- Proszę usiąść. Podyktuję pani list. Jeśli będę z pani zadowolony, mógłbym pomyśleć o zaangażowaniu pani w roli sekretarki - stażystki.

Terry wstała, podeszła do małego stołu, na którym stała ogromna IBM. Usiadła, wkręciła do maszyny arkusz papieru:

- Jestem gotowa...

- A więc - powiedział Alan obojętnym tonem.

Droga pani, w odpowiedzi na łaskawy list z 28 lipca, którego nie otrzymałem, proszę przyjąć do wiadomości, że kocham panią...

Zatrzymał się i podjął dalej:

Kocham panią... Kocham panią...

- Ile razy „kocham panią”? - zapytała Terry nie podnosząc głowy.

- Dziesięć razy, sto razy, tyle razy ile pani chce... Proszę dalej...

- Słucham...

Wobec tego, czy mogłaby pani wyznaczyć mi odwrotną pocztą datę naszego ślubu?

Klekot maszyny ustał. Terry wolno zdjęła okulary. Alan czuł, że nogi się pod nim uginają. Popatrzył na nią: była bardzo blada. Wszystko zamarło na dziesięć nie kończących się sekund. A potem jednocześnie pobiegli ku sobie.